



MALWINA FERENZ

Jest taki stan ducha, który nie ma ani wieku, ani odpowiednich miejsc czy pór roku. Pojawia się i sprawia, że nagle jesteś gotowa na wszystko. To właśnie miłość.

**Pora
na miłość**

FILIA

MALWINA FERENZ

Pora
na miłość

FILIA

*Nigdy nie kieruj się tylko logiką,
metafizyką wypełnij dzień.
A gdy rozsądku głos gdzieś zaginie,
to większe ryzyko czasem ma sens.*

Mrozu *Poza logiką*

LATO

1.



Ech, wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te komary! Co prawda władze miasta regularnie zlecały odkomarzanie Wrocławia z powietrza i małe samoloty przelatujące nad drzewami były niczym zwiastuny dobrej nowiny, ale w parkach komarza gadzina wydawała się niezniszczalna. Zwłaszcza w starych, z wielkimi drzewami, które niejednokrotnie zasługiwały na miano pomników przyrody. Zwłaszcza gdy te drzewa rosły w pobliżu Odry i gdy siedziało się blisko wierzchołka jednego z nich. A niech to jasna cholera!

Kaśka odsunęła aparat fotograficzny od oka i położyła go na kolanach, by podrapać się po plecach. Och, jakim to geniuszem błysnęła i niezwykłą inteligencją, kiedy ubierała bluzeczkę na ramiączkach, bo przecież panowało typowo wrocławskie trzydzieści dwa i pół w cieniu. Nobla jej, do diabła, i jeszcze jednego a konto przyszłych pomysłów. Jak można było nie założyć tak prostych rzeczy, że po pierwsze, w cieniu drzewa będzie ciut chłodniej, po drugie – wynikające z pierwszego – będą się tam kryły wszelkie stworzenia latające? Te pożądane, czyli ptaki, i te zupełnie niechciane, czyli bezkręgowce.

Efekt działania błyskotliwego umysłu był taki, że dziewczyna zajmowała górne partie okazałego platana, pogryziona od stóp do głów. Dodatkowa nagroda należała się za krótkie spodenki, choć trzeba oddać sprawiedliwość i przyznać, że w tym upale ktoś mający na sobie ubranie zajmujące większą powierzchnię niż skromne paski w strategicznych rejonach ciała z miejsca wzbudzał niezdrowe zainteresowanie, a tego przecież wołała unikać. Bo w końcu chciała wdrapać się na swoje ulubione drzewo i usiąść na ulubionej gałęzi, skąd roztaczał się świetny widok na park, a to i wszystko pozostałe sprawiało, że można było bezkarnie oddać się swojemu hobby, czyli fotografowaniu przyrody. A nie jest tak prosto wleźć na drzewo, kiedy od

czasu do czasu ktoś się po tym parku szlaja i wynurza na ścieżce w najmniej oczekiwanym momencie. Poza tym człowiek jednak ma na sobie ten nie najmniejszy plecak, w którym trzyma trzy obiektywy i lustrzanekę. I monopod, nie zapominajmy. Ale tę bluzę z długim rękawem to jednak mogła zabrać. Niech to szlag!

Platan został przez Katarzynę Małopolską namierzony już jesienią i bardzo przypadł jej do gustu za sprawą swej rozłożystości i grubych gałęzi, które znajdowały się stosunkowo nisko. Ktoś zwinny i sprawny, jak na przykład szczupła dziewczyna w klasie maturalnej, która nie uciekała z lekcji wuefu, mógł bez problemu na niego wejść. Kaśka więc pewnego razu odważyła się i weszła.

Weszła i prawie natychmiast uznała, że to jest właśnie to, o co jej chodziło. Jasne, można z powodzeniem trzaskać fotki ptaszków, kiedy się spaceruje parkową alejką ramię w ramię ze swoim przyjacielem statywem, można też zaszyć się w krzakach w odzieży o deseniach typu „nie zobaczysz mnie”, można położyć się w trawie, ale kiedy siedzi się na drzewie i ten ptak, co to się na niego bezkrwawo poluje, siedzi sobie na tym samym drzewie i tak się akurat szczęśliwie składa, że tuż obok na gałęzi on sobie siedzi, no to, drodzy państwo, to jest zupełnie co innego, prawda? No. Perspektywa.

Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, a w przypadku Katarzyny należało to rozumieć dosłownie. Z biegiem czasu platan został stuningowany za sprawą grubej liny z supłami, którą to zdobył i własnoręcznie przymocował klasowy kolega Katarzyny, zapalony żeglarz. Jego największym przekleństwem życiowym był fakt, że przyszło mu mieszkać pięćset kilometrów od Bałtyku, jedynej miłości życiowej. Papiery złożył więc do Akademii Morskiej w Gdyni, co połowa żeńskiej populacji Liceum Ogólnokształcącego numer jeden przy ulicy Poniatowskiego przyjęła rozpaczą i zapowiedzią prób samobójczych. Katarzyna (po dwóch nieśmiałych i bardzo nieudanych podrywach – beznadziejna sprawa, musiałyby być bardzo duże, bardzo mokra i porządnie zasolona, czyli miałyby znacznie większe szanse jako samica tuńczyka) wyprosiła na nim zawiązanie porządnych, marynarskich węzłów na swoim ulubionym drzewie oraz na drugim, też przez nią wykorzystywanym, które rosło w innej części parku i było równie zachęcającym do eksploracji starym dębem.

Od tej pory Jej Wysokość Kasienda, jak nazywali ją znajomi, którzy wiedzieli o jej zamiłowaniach, wdrapywała się na drzewa znacznie szybciej, znacznie łatwiej i znacznie bezpieczniej, a co najważniejsze – w sposób znacznie mniej ryzykowny i inwazyjny dla sprzętu, który ze sobą zawsze targała.

Westchnęła. Upał nie był sprzymierzeńcem obserwacji, to pewne.

Wszystko, co żyło, chowało się w dziuplach, pod liśćmi, w krzakach, czyli wszędzie, gdzie można było znaleźć choć namiastkę cienia. Jak na złość prognozowano cudną pogodę i zapewne wszyscy spędzający urlop nad Bałtykiem zawstydzają pięknem śpiewu chóru anielskie, wielbiąc Opatrzność, która w swojej łaskawości pozwoliła im (właśnie im, a nie tym, co pojada za dwa tygodnie!) cieszyć się na północy Polski piękną aurą i tak wysokimi temperaturami, które nawet dramatyczne, typowo bałtyckie wietrzysko każą traktować jako przyjemny zefirek, a co odważniejsi zrezygnowali nawet z roztawiania parawanów (nie może być!). Nad morzem naród zawsze radośnie rujnował się w powodu lodów i piwo, ale mieszkańcy miast, a zwłaszcza najcieplejszego w Polsce Wrocławia, zaczęli już zupełnie otwarcie marzyć o ulewnym deszczu lub nawet porządnym gradobiciu, które obniży temperaturę o jakieś dziesięć czy piętnaście stopni. Ponad trzydziestostopniowe upały w dużym mieście przywodziły na myśl życie w przedśmionku piekła, zwłaszcza jeśli ktoś miał zwyczaj poruszać się komunikacją miejską. Dochodził wtedy do wniosku, że najlepszym prezentem urodzinowym, imieninowym czy jakimkolwiek innym dla większości jego rodaków byłoby zwyczajne mydło z nakazem

codziennego stosowania, pod groźbą, powiedzmy, braku dostępu do zimnego piwa i meczu w TV. Nic dziwnego, że wszelka fauna (z wyjątkiem komarów, oczywiście) chowała się w rejonach trudno dostępnych i trzeba było nie lada cierpliwości, żeby coś bezkrwawo upolować.

Nie żeby Kaśka miała wracać z pustymi rękami, o nie. Na to ma zbyt duże doświadczenie i zbyt szeroko otwarte oczy. Zawsze można coś zauważyć, zawsze! Przyroda nie jest statyczna.

Katarzyna rozejrzała się jeszcze raz dookoła, oparła plecami o pień i zamachała od niechcenia nogami, cały czas siedząc okrakiem na okazałym konarze. Plecak wisiał koło niej na złamanej gałęzi, wprost stworzonej do umieszczenia tam sprzętu. Rozwiązanie było bardzo wygodne. Ciężki i sporych rozmiarów plecak nie krępował ruchów i nie utrudniał utrzymania równowagi, a jednocześnie można było bezpiecznie sięgać po obiektywy.

No dobrze, posiedzi tu sobie jeszcze ze dwadzieścia minut i pójdzie. Z parku Szczytnickiego do domu ma kawałek, a choć mieszka w samym centrum, tuż na progu Nadodrza[1], na ulicy Oleśnickiej, to jednak jazda tramwajem przy tak wysokiej temperaturze równałaby się próbie samobójczej, dlatego ona serdecznie podziękuje, ale pójdzie na piechotę. No bo, umówmy się, nie ma się do czego spieszyć, co nie? W końcu ma wakacje. No i w końcu nikt na nią nie czeka.

Wilga pojawiła się dosłownie znikąd. Jak gdyby nigdy nic, jakby Katarzyna była jeszcze jedną zupełnie przyzwoitą gałęzią. Przysiadła sobie w odległości około czterech metrów na tym samym drzewie, na wprost dziewczyny. Kaśka zakłęła w duchu i zaczęła powolutku podnosić aparat do oka, starając się, by jej ruchy były jak najbardziej płynne i jak najmniej podejrzone. W parku panowała senna, popołudniowa cisza, z oddali dobiegał szum aut mknących po ulicach i wydawało się, że nawet ptakom nieszczególnie chce się ćwierkać.

Aparat miała już przy oku, jeszcze tylko ustawić ostrość. Bzzzzzz... Niech to szlag, zapomniała, że silniczek w tym obiektywie nie jest najcichszy na świecie! Wilga przez ułamek sekundy spojrzała prosto w soczewkę, po czym odfrunęła. Kurde. Kurde, kurde, kurde!

Katarzyna spojrzała na wyświetlacz i powiększyła fotografię. No, może coś z tego będzie. Dobra, wystarczy na dziś. Musiałaby tu siedzieć do wieczora, a nie bardzo jej się chce, tak po prawdzie. Pasja pasją, ale istnieją pewne granice. Poza tym w poniedziałek drugiego lipca, czyli już pojutrze, zaczyna pracę jako dziewczynka od wszystkiego (przynieś, podaj, pozamiataj) w jednej z wrocławskich knajp. Pieniądze z nieba nie spadają i jeśli chce mieć kolejny, wymarzony obiektyw, musi na niego zarobić, nie ma opcji. A do tego przyda jej się jakieś pierwsze doświadczenie zawodowe.

Odłączyła obiektyw od korpusu aparatu, a następnie jedno i drugie umieściła na odpowiednich miejscach w plecaku, a plecak założyła na ramiona. Powoli, trzymając się liny, zsunęła się z drzewa i stanęła na wyschniętej na wiór pożółkłej trawie. Ruszyła ścieżką w stronę mostu Zwierzynieckiego. Zatrzymała się na chwilę, bo z pobliskiej przystani odbijała właśnie grupa kajakarzy. Wyjęła telefon i zrobiła zdjęcie. O wiele więcej możliwości dawała jej lustrzanka, ale nie chciało jej się wyciągać wszystkiego i skręcać na nowo. Uwieczniła barwne kajaki i eksploratorów Odry, którym – jak komarom – najwyraźniej niestraszne były upały, a przy okazji zauważyła wiadomość, że znajomi z jej licealnej klasy spotykają się dzisiaj wieczorem na Wyspie Słodowej (tak niezobowiązująco, może gdzieś pójdziemy, wiesz, jakieś piwo czy coś tam) i pytają, czy do nich dołączy. Oczywiście, że dołączy, w końcu tworzą coś w rodzaju paczki i lubią się. Dała znać, że przyjdzie, schowała telefon do kieszeni i opuściła most Zwierzyniecki, kierując się ku placowi Grunwaldzkiemu.

„Grunwald” bardzo się zmienił. Zyskał nowe rondo z przejściem podziemnym, a wszędzie, gdzie się tylko dało, stanęły biurowce. Nawet „Manhattan” został odnowiony, przez co stał się na nowo pożądanym obiektem fotograficznym[2].

Przeszła pod rondem Reagana i ruszyła ulicą Szczytnicką. Patrzyła na stopniowo odnawiane elewacje starych kamienic i na nowoczesne biurowce postawione na miejscu dawnego budynku Liceum Ogólnokształcącego numer czternaście. Żółte wieżowce przy Wyszyńskiego wydawały się jedynym niezmiennym elementem okolicy. Straszły jak zawsze.

Katarzyna przeszła koło katedry, skręciła w Kanonią i wyszła na plac Bema obok kościółka Świętego Marcina. Minęła Polish Lody (oczywiście gigantyczna kolejka), skręciła w Poniatowskiego, spojrzała na masywny gmach swojego liceum i opustoszały dziedziniec przed nim, a następnie skręciła w Oleśnicką. Co tu dużo gadać, kiedy w mieście panują upały jak w przedsionku piekła, człowiek docenia, że mieszka w starej, przedwojennej kamienicy. Nawet jeśli ktoś znowu rozwalił domofon i najwyraźniej załatwił swoje potrzeby fizjologiczne wcześniej, niż dotarł do toalety, o czym świadczył niedający się z niczym pomylić zapach.

Na klatce schodowej panował chłód wręcz piwniczny. Tego jej było trzeba! Drewniane schody trzeszczały, gdy wchodziła na drugie piętro. Wyjrzała przez okno. Na odrapanym podwórku dzieciaki sąsiadów wydzierały się przy krzywym trzepaku. Otworzyła masywne drzwi i weszła do mieszkania, na którego widok jakiś pomysłowy Dobromir doznałby dreszczy rozkoszy (cztery metry wysokości, można zbudować antresolę, można wszystko!). *Home, sweet home*. Niech żyją stare kamienice!

[1] Nadodrze jest owiane mniej więcej tak złą sławą jak słynny Trójkąt, czyli Przedmieście Oławskie, rejon starych kamienic, zamknięty między ulicami Kościuszki, Traugutta i Pułaskiego. O Trójkącie Lech Janerka śpiewał: „strzeż się tych miejsc”, i miał rację. Gdyby mieszkał na Nadodrzu, pisałby o tym, żeby i tutaj uważać. Jeśliby – jakimś cudem – przeprowadził się na Brochów, miałby już całą listę miejsc, które warto omijać i których mieszkańcy doceniają szczególnie te dni w miesiącu, kiedy idą do pracy na pierwszą zmianę. Zarówno Przedmieście Oławskie, jak i Nadodrze to też zgrupowanie przepięknych, secesyjnych kamienic i klimatycznych klatek schodowych (najczęściej zapuszczonych), co jakoś osładza mankamenty sąsiedzkie. W przypadku Brochowa pozostaje po prostu się strzec tego miejsca.

[2] „Manhattan” to wyjątkowe wieżowce, które stały na placu Grunwaldzkim w epoce PRL. Wyjątkowe, bo ciekawe architektonicznie. Twórca jakimś cudem przeforsował pomysł nietypowych okien i balkonów, co nadało wieżowcom rys futurystyczny i lekko odrealniony. Z biegiem czasu mocno straciły na urodzie, a zyskały na brzydocie, mówiło się nawet o ich zburzeniu, jako że podobno nie spełniały norm mieszkalnych, o dziwo jednak nie tylko stoją dalej, ale i zostały odświeżone i „wyładnione” na tyle, na ile to możliwe. Szczytem lansu jest takie zbajerowanie mieszkańców, by zechcieli wpuścić człowieka na klatkę schodową, a następnie udanie się na dach (przejście wyłącznie dla wtajemniczonych) i sfotografowanie panoramy Wrocławia. Na Instagramie i Facebooku fotki zrobione z „Manhattanu” biją rekordy popularności.

2.

– Nie jest dobrze, żeby piwo było samo – stwierdził filozoficznie Mateusz, a jego głos wręcz ociekał przekonaniem o słuszności wygłaszanych sądów. – Dlatego rzekł Pan: „Idźcie i łączcie się w grupy, a na piwo chodźcie wspólnie, będzie weselej”. Witam was serdecznie, bracia i siostry.

Odpowiedział mu chór prychnięć i parsknięć, dołączono szturchnięcia w ramię i śmiech. Pięć osób siedziało przy jednym ze stołów w zaimprovizowanym ogródku piwnym ulokowanym na Wyspie Słodowej.

Na wyspie w porze letniej wiecznie się coś działo, jak nie festyn, to koncert, jak nie koncert, to inna impreza, jak nie impreza, to festyn i tak w kółko. Nawet kiedy zupełnie wyjątkowo nie organizowano niczego, na wyspie zawsze był tłum ludzi w przeróżnym wieku, odwiedzających to miejsce w różnym celu. Rodziny ciągnęły do ogromnego i świetnie wyposażonego placu zabaw, gdzie mogły uczciwie i po bożemu przeczołgać swoje dzieci, by przez chwilę mieć święty spokój, kiedy te padną wreszcie ze zmęczenia. Starsi ludzie przychodzili na spacer, zakochani umawiali się na randki, studenci dołączali z okazji i bez okazji, a nierzadkie były też sytuacje, kiedy ktoś zostawał do rana, o czym się sam przekonywał niezmiernie zdumiony, kiedy już spadł w końcu z ławki służącej mu za łóżko, najczęściej lżejszy o portfel i telefon.

Tym razem na wyspie trwał festyn rodzinny, ale ponieważ pora była już wieczorowa, rodziny przeprowadziły sprawną ewakuację, by zakończyć dzień kąpielą dzieci i zwyczajowym zaśnieciem na napisach początkowych przypadkowego filmu w telewizji. Pozostała reszta narodu albo dzieci jeszcze nie miała, albo owszem, miała, ale już na etapie całkowitej samoobsługi. Na niewielkiej scenie jakaś kapela cięła niezobowiązujący folk, niezbyt ambitnie, by nie przeszkadzać w degustacji płynów, a inni zajmowali się sobą, ot jak na przykład pięcioro maturzystów.

– Ty to, Mati, jednak pajac jesteś – prychnęła Aśka.

– Pajac, zaraz pajac! – oburzył się Mateusz. – Wskaż mi, gdzie błędę. Czyżbym powiedział coś nieprawdziwego? Lepiej jest iść na piwo z paczką niż złopać samemu, co nie?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi – kontynuowała Aśka, ale już wyraźnie łagodniej.

– Oj, daj spokój, dziewczyno – wtrąciła się Ola. – Powiedział, jak powiedział. Jesteśmy tu razem, cieszymy się, potem nie będzie już tak wesoło. Zacznie się praca, studia i tak dalej.

– O właśnie, idzie Jej Wysokość Kasienda – zawołał Patryk, widząc zbliżającą się Katarzynę – która nam powie, czy złożyła papiery na ASP.

– Nie złożyła. Cześć wszystkim – powiedziała Kaśka i przysiadła się do stołu. – Po ile piwo?

– Po siedem.

– To nieźle. Idę kupić.

– Siedź, Gregorio pójdzie, potem się rozliczycie – powiedział Patryk, a Grzegorz zwany Gregoriem, nie odezwawszy się ani słowem, podniósł posłusznie swoje sporych rozmiarów ciało, które było niezwykle skutecznym argumentem, kiedy człowiek chciał się przepchać przez tłum i nieco prędzej niż inni uzyskać to, po co przyszedł. Gregorio po prostu szedł, a reszta albo się odsuwała, albo szybko żałowała, że tego nie zrobiła.

– Drodzy bracia i siostry, zebraliśmy się tutaj, żeby pogadać – zauważył Mateusz.

– O czym? – spytała Aśka.

– O wszystkim! Zawsze o czymś można. Na przykład Jej Wysokość Kasienda mogłaby nam zdradzić, gdzie zamierza się wybrać, skoro już tak pięknie zdała maturę w naszym liceum i nie rozproszył jej nawet Krzyś od historii.

– Krzysia to ty zostaw w spokoju – odezwała się Ola. – Swój chłop.

– No swój, swój, bardzo swój! – potwierdził gorliwie Mateusz. – Wszystkie na historii zawsze wyglądałyście tak, jakbyście były jednym wielkim, zbiorowym zaproszeniem do łóżka.

– Oj, nie przesadzaj – oburzyła się Asia. – Ładny pan i tyle.

– Żonaty – wtrąciła się Kaśka. – A poza swoją żoną świata nie widzi.

– A co to dla was za przeszkoda? – Mateusz uśmiechnął się szelmowsko. – Jedno drugiego nie wyklucza. Miłość znajduje różne drogi.

– Dla niego wyklucza – westchnęła Kaśka. – On ma jasno sprecyzowane poglądy.

– Pole-Katole – wtrącił Patryk.

– Przestań! – prychnęła Kaśka. – On ma koło czterdziestki! To staruch!

– Staruch, nie staruch, ale jakby chciał, tobyście za nim w ogień poszły. Wystarczyło na was popatrzeć.

– Nie to, co wy i wasza wuefistka – dogryzła mu Ola. – Nie, skąd, żaden się nie interesował i słodkich oczu nie robił. Takie dzielne te nasze chłopaki, takie grzeczne, takie odporne na wdzięki, ach, ach.

Wśród chłopców, do których dołączył z powrotem Gregorio, niosąc kufel piwa[3], zapanowało coś na kształt konsternacji. Wymienili szybkie spojrzenia i dziwnie zamilkli.

– Czekaj, czekaj. – Aśka trzymała rękę na pulsie i nie dała się wyprowadzić w pole. – Coś jest na rzeczy. Niech pomyślę... Sławek! Sławek z nią kręcił, wszyscy o tym wiedzą!

– Oj tam, zaraz kręcił – mruknął Gregorio.

– Kręcił, kręcił – upierała się Aśka. – Ty mi tu kitów nie wciskaj. Kręcił zupełnie na poważnie. Pojechała z nami na wycieczkę, pamiętacie? Ślepy by zauważył, że iskrzy.

– Iskrzy, zresztą, to mało powiedziane – wtrąciła się Ola. – Tam pioruny waliły aż miło.

– No i przywalały... – odezwał się cicho Patryk.

Dziewczyny aż podskoczyły z podekscytowania i wymieniły gorączkowe spojrzenia.

– No dobra, co jest? Gadaj zaraz – rozkazała Aśka.

– A co ja wam będę mówił, ja nic nie wiem.

– Teraz to już nie ma sensu niczego ukrywać, szkoła się skończyła, a zaraz i tak wszyscy się dowiedzą – wtrącił Grzesiek.

– Gregorio nam powie, porządny kumpel. – Ola z nutką triumfu w głosie rozsiadła się wygodniej na ławce przy stole.

Grzegorz jeszcze trochę się krygował i zerkał małymi oczkami, jakby schowanymi w jego bardzo pulchnym obliczu, w stronę kolegów, ale nie odczytał ani sprzeciwu, ani zachęty, uznał

więc, że musi sam zdecydować.

– I tak prędzej czy później będzie widać. Ona w ciąży jest.

– Kto? Wuefistka?! – wykrzyknęła Aśka.

– Nie, kuźwa, ja! – odparował Mateusz.

– Ze Sławkiem?!

– Nie, ze mną!

– Z tobą?!

– Nie udawaj głupszej, niż jesteś – zezłościł się Mateusz. – Oczywiście, że ze Sławkiem.

Wuefistka będzie miała dzieciaka, a Sławuś będzie ojcem. Zresztą hajtają się niedługo.

– Poważnie?! – wykrzyknęła Ola, a oczy niemal wychodziły jej z orbit.

– Z wami to się czasem ciężko rozmawia – westchnął Patryk. – Tak, poważnie. Będzie dzieciak i będzie ślub.

– A co na to Sławek? – spytała Kaśka.

– A co on może mieć na to? – Mateusz wzruszył ramionami. – Przyjął do wiadomości i pogodził się z losem. Zresztą jego starzy im pomogą, chłopak ustawiony jest.

– No to grubo – stwierdziła Paulina, która do tej pory zajmowała się wyłącznie swoim nowym smartfonem.

– Grubo, grubo – obruszył się Patryk. – Wy to jednak jesteście hipokrytki. Monika przecież też jest w ciąży!

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Aśka.

– Nieważne skąd, wiem i tyle.

– No tak, ale jej chłopak nie jest nauczycielem w tej samej szkole. Poza tym też niedługo ślub, czekała tylko, aż będzie po maturze, żeby się za dużo o tym nie mówiło.

– A Majka? – wtrącił Patryk.

– Jaka Majka?

– No ta z trzeciej de.

– No wiem która. I co z nią?

– Jak co z nią? Nic nie wiecie?

– Nie. Może nas uświadomisz?

– Ona też się hajta. Z księdzem.

– Nie no, teraz to przywaliłeś jak łysy grzywką. Zastanów się, co ty pieprzysz? Z jakim księdzem? – oburzyła się Aśka.

– Z tym, co ich uczył religii – wyjaśnił spokojnie Mateusz. – Miłość zakwita na rozmaitym gruncie, jak widzicie, drogie panie.

Przez chwilę panowała cisza, jeśli przez ciszę rozumieć brak wymiany zdań. Poza tym drobnym aspektem dookoła powietrze aż drgało od rytmicznej muzyki i widać było, że folkowa kapela mocno się rozkręca, czego przyczyną mogły być hektolitry płynu, jakie zapewniał sponsor. Głos wokalisty brzmiał więc znacznie śmielej i z dość nawet sympatyczną chrypką, a ten i ów siedzący przy stoliku rytmicznie tupał nogą, nie rejestrując nawet tego faktu swoim umysłem.

– Ja nie wiem – westchnęła Aśka. – Zawsze, jak wychodzimy na piwo, rozmawiamy o dupach. Może pogadajmy o czymś innym?

– No, ale jak mamy nie rozmawiać o dupach? – roześmiał się Mateusz. – Jest lato, jest gorąco, dziewic wśród nas nie ma, a prawiczków pewnie też nie. No, chyba że Gregorio. Gregorio, co ty na to?

– Weź ty ze mnie zejdz – odparł Grzegorz spokojnym basem.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

– A weź przestań, chłopie, ja na tobie nie mam zamiaru siadać. – Mateusz najwyraźniej coraz lepiej się bawił. – Ja nie wiem, co ty lubisz albo jak lubisz. No ale dobra, już dobra, zostawiamy Gregoria i zostawiamy dupy. Jej Wysokość Kasienda siedzi sobie cicho i nic nie mówi, więc nie powiedziała nam jeszcze, czy idzie na to ASP, czy nie.

– Już mówiłam, że nie – odezwała się Kaśka.

– No to gdzie idziesz?

Kaśka westchnęła i pociągnęła ze swojego kufla.

– Po wielu godzinach medytacji stwierdzam, że na dziennikarstwo.

– Na dziennikarstwo? – zdziwił się Patryk. – A co z twoją pasją do fotografii? Cykasz te ptaszyska, łazisz po drzewach...

– No właśnie, ale wiesz, to tylko hobby. Nie tworzę jakiejś sztuki, rozumiesz. To są fajne fotki i tyle. Przyroda jest super, ale jakoś nie widzę, żeby mogła na tym zarobić.

– Na dziennikarstwie zarobisz na pewno. – Ola nie mogła sobie odmówić nutki sarkazmu.

– Oj, nie wiadomo, czy na pewno, ale to zawsze jakiś konkret. Poza tym fotografia może mi się tam przydać. Reporterka i takie tam.

– Kasia mała reporterka. – Mateusz się uśmiechnął.

– Zgadza się, jest malutka – dodała Aśka.

– Jest naszym kochanym kurdupelkiem. – Spojrzenie Matiego zrobiło się jakby szkliste.

– Oj, temu panu już nie polewamy – zdecydował Patryk. – No to wiemy, na czym stoimy. Aśka idzie na prawo.

– Ola na lewo – odezwał się Mateusz i położył głowę na stole.

– Jemu naprawdę już wystarczy – stwierdziła Ola. – Ja już mówiłam, na studia się nie wybieram. Robię policealnie „kosmetyk” i ruszam we własny biznes.

– Bo rozkręcisz – powątpiewał Patryk.

– Wiesz, ty to jesteś malkontent, urodzony Polak normalnie. Oczywiście, że rozkręcę! A jak nie rozkręcę, to wtedy się będę martwić. Gregorio niech powie, gdzie idzie.

Grzegorz poruszył się na ławce, jakby pytanie skierowane do niego wyrwało go z letargu.

– Ja też już mówiłem wcześniej. Na polibudę. Robotyka.

– Ach, no tak, bo ty jesteś fanem tych mechanicznych bajerów, faktycznie. A Mati? Mateusz! Do ciebie mówię!

Chłopak powoli podniósł głowę ze stołu i wzrokiem lekko nieprzytomnym spojrzał na Olę.

– Ja też już mówiłem wielokrotnie i nieraz udowaśniałem swój talent. Do PWST.

– A nie, no to spoko, pasujesz tam. Tam chyba wszyscy chleją. Twórcy reklam już na ciebie czekają. A Patryk?

– A Patryk jeszcze nie wie – odpowiedział zapytany.

– Jak to nie wie?! Musi wiedzieć! Już za moment lipiec!

– Nie wiem, bo może wyjadę do Anglii, tam sobie wszystko przemyślę i za rok zdecyduję. Brata tam mam, nie zapominaj.

– No tak. Dobra, ludzie – zdecydowała energicznie Ola. – Chodźcie w kierunku Hali Targowej, pójdziemy sobie na tarasy, siądziemy, a Mati w tym czasie ochłonie.

– Jak ma ochłonieć, dziewczyno, w tym upale? – powątpiewała Aśka.

– Zostać tu nie może.

– Ja go odwożę do domu – zaoferował się Grzegorz. – A wy się przespacerujcie.

– No ale jak to? Dojedziesz do nas?

– No coś ty! Z Kozanowa? Nie, ale i tak miałem się zwijać.

– Dobra, to ja, Aśka, Patryk i Jej Wysokość Kasienda idziemy na tarasy, a ty spełniasz

dobry uczynek względem bliźniego – podsumowała Ola. – Chodźcie, ludzie. Trzymaj się, Gregorio!

– On niech się lepiej trzyma – odparł Grzegorz i jego zwalista sylwetka zniknęła w tłumie.

Chociaż nie. Lepsze byłoby stwierdzenie, że zrobiła sobie w tłumie wyłom, weszła w niego jak w masło, przy czym tłum nie miał tu zbyt wiele do gadania. Potężny, otyły, młody chłopak, ważący na oko ze sto pięćdziesiąt kilo, podtrzymywał jakiegoś chuderlaka i po prostu szedł naprzód w kierunku przystanku tramwajowego. Nie musiał wypowiadać ani jednego słowa. Nikt nie zaprotestował.

[3] Kufle były oczywiście plastikowymi, półlitrowymi pojemnikami, bo tylko skończony idiota wyposażyłby plenerową imprezę w elementy szklane. Nie będziemy się jednak nad tym faktem rozwodzić.

Katarzyna cicho wślizgnęła się do mieszkania, żeby nie budzić śpiącego ojca. Spotkanie ze znajomymi skończyło się o drugiej trzydzieści w nocy, kiedy to Patryk mało nie wpadł do Odry. Opowiadał mianowicie o czymś szczególnie efektownie, a charakter opowieści zakładał gorączkowe machanie rękami i nogami.

Skąpanie się w największej z rzek przepływających przez Wrocław wcale nie jest takie trudne, nawet jeśli człowiek byłby trzeźwy jak niemowlę, bo bulwary Dunikowskiego w żaden sposób nie są zabezpieczone. Można usiąść i majtać nogami nad wodą, można nawet skoczyć. Nie żeby ktoś jakoś szczególnie się przejmował, bo bywalcy bulwarów, zwłaszcza ci nocni, wyznają zasadę, że jeśli już ktoś postanawia spotkać się z przeszkodą o wilgotności sto procent, to zasadniczo wie, co robi, a jeśli nie wie, to i tak jest za późno, żeby go poddać procesowi edukacji.

Patryk więc o mało nie sprawdził, jak to jest z temperaturą wody o tej porze, przytrzymany w ostatniej chwili przez Aśkę za koszulkę, która to w ostateczności nieco się podarła. Koszulka, nie Aśka oczywiście. Towarzystwo stwierdziło, że co prawda warto posłuchać wywodów nietrzeźwego kolegi, ale może chodźmy już sobie, bo chce nam się spać i do zobaczenia, pa, pa.

Katarzyna była w tej dobrej sytuacji, że od Oleśnickiej dzieliła ją naprawdę niewielka odległość, na tyle niewielka, że przejmowanie się jakąkolwiek komunikacją nocną nie miało najmniejszego sensu, a spokojny spacerek piechotą zajmował około dziesięciu minut. Uroki mieszkania w samym centrum. Ola, Aśka i Patryk ruszyli w kierunku dokładnie przeciwnym.

Kasia zdjęła buty w przedpokoju i na palcach udała się do kuchni, by stwierdzić, że ojciec pomyślał o wszystkim i zostawił jej w lodówce kolację. Kanapki z wędliną i pomidorem, posypane szczypiorkiem. W ilości takiej, że mogłaby poczęstować połowę Nadodrza. Zawsze był taki nadopiekuńczy i doprawdy wyłącznie kapryswi natury zawdzięcza to, że pomimo ojcowskiej troski żywieniowej nadal pozostała drobna i szczupła. Kaśka wzięła na talerzyk dwie kromki, a resztę owinęła folią spożywczą i schowała z powrotem do lodówki. Będą na śniadanie.

Po cichu weszła do łazienki i stwierdziwszy, że trzecia w nocy to kiepska pora na jakieś większe kąpiele, opłukała tylko twarz i umyła zęby, zostawiając sobie na poranek doprowadzenie się do takiego stanu, by znowu móc pokazać się ludziom. Spojrzała w lustro (świetnie oświetlone zresztą, wymogła to na ojcu, bo makijaż i wiesz, tato, takie tam). Krótkie włosy w kolorze intensywnie kasztanowym (szalejący na jej punkcie ojciec w chwilach nagłych uderzeń romantyzmu mawiał, że ma włosy w odcieniu późnego zachodu słońca), przycięte krótko i wdzięcznie w stylu lat sześćdziesiątych, jasna cera, ciemnobrązowe oczy okolone wachlarzem długich rzęs, mocno zarysowane brwi i – wisienka na torcie – mnóstwo piegów.

Oczywiście ich nie lubiła. Ciotki załamywały ręce i mawiały, że piegi zaczyna człowiek doceniać wtedy, kiedy już ich nie posiada, niech więc się cieszy, póki może, ale jakoś nie udało im się skłonić Kaśki do zmiany zdania. Nie można powiedzieć, żeby panna Małopolska miała jakieś kompleksy na punkcie swojego wyglądu. Poza piegami, rzecz jasna. Raz po raz jakaś

kobieta zaczepiała ją na ulicy i pytała, czym farbowała włosy, i zawsze bawiła Kaśkę reakcją pytającej, kiedy mówiła, że niczym, bo to jej naturalny kolor. Lubiła samą siebie. Lubiła swoje chude ręce i nogi, drobną sylwetkę i zupełnie przyzwoitą figurę.

– Jak ty to robisz, że jesteś taka szczupła? – pytały koleżanki. – Ćwiczysz?

– Nie – odpowiadała zgodnie z prawdą.

– Nienawidzimy cię. Dietę stosujesz?

– Nie.

– No to nienawidzimy cię podwójnie.

Wszystko, rzecz jasna, żartem, ale można było wyczuć nutkę zazdrości, a Kaśka śmiała się i wyciągała ze szkolnej torby wielką bułkę z pasztetem i sałatą. Była tą, która zjadała największe kawałki pizzy, wypijała colę (nigdy w wersji *light*), nie odmawiała, gdy ktoś ją częstował pączkiem i nie przejmowała się kaloriami. Ot, rewelacyjną przemianę materii dostała w prezencie od Opatrzności. Dobrze się czuła w swoim ciele, dobrze się czuła z samą sobą.

Dlatego nie rozumiała, jak to jest, że pomimo niepodważalnych walorów cielesnych i – nie bójmy się tego – intelektualnych nie zainteresował się nią żaden chłopak. Westchnęła do własnego odbicia w lustrze i poszła do swojego pokoju.

To było naprawdę irytujące. Taka Olka (wcale nie jakoś szczególnie piękna, a i niechciane fałdki można by jej wytknąć to tu, to tam) zmieniała chłopaków jak rękawiczki, przebierała jak w ulęgałkach. Wiecznie miała kolejkę adoratorów i gdy już nacieszyła się jednym i dochodziła do wniosku, że nic z tego nie będzie, z miejsca pojawiał się drugi, gotowy zająć miejsce poprzednika. Raz nawet odbiła chłopaka swojej rywalce z innej klasy (Katarzyna twierdziła, że gdy rozdawali inteligencję, ów młodzian stał po bicepsy oraz potężne ego i naprawdę nie rozumiała, po co to wszystko), po czym rozpętało się piekło i cała szkoła przez dłuższy czas żyła tylko tym. Kiedy już się nim nacieszyła, rzuciła go nagle i niespodziewanie[4], a wtedy on wrócił do swojej poprzedniej ukochanej, ale okazało się, że faktycznie nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. Młodzian całkowicie więc poświęcił się kulturystyce i nawet odnosił sukcesy na tym polu, a potem skończył szkołę, zdał maturę (a jak!) i świat o nim zapomniał.

Aleksandra nieraz przy okazji spotkań w gronie babskim i nie tylko zwierzała się ze swoich osiągnięć sypialnianych, które sypialnianymi można by nazwać wyłącznie przez szacunek do pewnej konwencji, bo całość zazwyczaj rozgrywała się w atmosferze tak romantycznej, jak w piosence zespołu Łzy: „kochali się namiętnie w męskiej ubikacji”. Słowem, Ola wianek zgubiła bardzo wcześnie, a teraz tylko wzbogacała swoje życie erotyczne o kolejne doświadczenia. Dysponowała już wobec tego dość obfitą wiedzą, dlatego była cennym źródłem informacji dla, no cóż, nie tak zaawansowanych koleżanek.

Aśka, z tego, co Katarzyna mogła wychwycić z sygnałów podprogowych, wdychała do Patryka, a Patryk wdychał do Aśki. Ciekawe, jak potoczyły się wypadki, kiedy wsiedli do tego nocnego autobusu, a właściwie, kiedy z niego wysiedli, bo to oczywiście o wiele ciekawsze. Dla żadnego z tej dwójki nie było to pierwsze zauroczenie.

Aśka jakiś czas temu relacjonowała im (Kaśce i Oli) niemalże na żywo przebieg swojego burzliwego związku ze starszym o cztery lata gitarzystą wrocławskiego zespołu grającego alternatywny rock. Och, jak on grał, co on robił z tą gitarą! Aśka zobaczyła go na jakiejś imprezie plenerowej (festiwal piwa czy coś w tym guście, co tam Wrocław zwykł organizować), kiedy stała zaraz pod sceną i – nie może być, ach, ach! – skupiła na sobie jego uwagę. Normalnie śpiewał dla niej. Była półprzytomna, kiedy artysta po odbębnieniu swojego supportu (potem miał wystąpić ktoś znaczniejszy, a następnie główna gwiazda, ale to nieważne, naprawdę nieważne) podszedł do niej tak po prostu i zapytał, czy pójdzie z nim na piwo, bo spodobała mu się. Tak

powiedział. Aśka niewiele pamięta z tej swojej randki, śmiała się później, że musiała mu się wydać jakaś głupawa, ale fakt pozostał faktem, że ona i Rysiek zaczęli się spotykać. No cóż, początkowej fazy zazdrościła jej nawet Ola, której partnerzy nie chcieli być ani rockmanami, ani aktorami, ani nikim innym z magicznej sfery „szołbizu”. Rysiek pisał dla Aśki piosenki, ona chodziła na jego występy. Poszła z nim do łóżka, a jakże, i również w przeciwieństwie do wyczynów Olki, było to naprawdę łóżko, z kołdrą i poduszkami.

Jak to jednak bywa z zakochaniem, po etapie ślepego zauroczenia do człowieka zaczynają docierać także inne informacje, pracowicie tłumione przez głupie serce, które wciąż wrywa się do przodu. Supporty Ryśka nie przestawały być supportami, a grupa jakoś nie wychodziła z roli tych, którzy grają przed innymi i to wcale nie tymi najślawniejszymi. Pieniądze jakieś tam były z tego chałturzenia, ale też ani Rysiek, ani jego koledzy nie umieli tak nimi zarządzać, żeby nastąpiło rozmnożenie funduszy. Wprost przeciwnie, gąże rozchodziły się z prędkością światła rozpuszczane w hektolitrach alkoholu. Mówiąc wprost i brzydko, Rysiek, co zarobił, to przepierdzielał. Mieszkał z matką (łóżko, w którym posiadał rozanieloną Aśkę, należało do jego kolegi i znajdowało się w tegoż kolegi domu), nie wykonywał żadnej pracy zawodowej, a występy zespołu trudno było nazwać inaczej niż hobby czy ewentualnie dorabianie sobie do czegoś[5]. Intensywnie i z zaangażowaniem narzekał jednak na los artystów na tej planecie oraz na to, że atmosfera dla sztuki nie jest łaskawa, bo świat zatracił się w galopującym konsumpcjonizmie. Bardowie tacy jak on pozostają niezrozumiani, ale on i tak cierpliwie zaczeka, aż zrobi się jakiś wyłom w konsumpcjonistycznym murze, a wtedy on zaszczepi tam ideę wolności.

Aśka słuchała tego i słuchała, a ponieważ miała łeb na karku, zasugerowała mu pewnego razu, żeby może nie czekał, tylko podjął jakąś pracę, nawet niezbyt prestiżową i niekoniecznie superpłatną, bo wolność wolnością, ale trzeba mieć trochę kasy, żeby poza walką o wolność pomóc swojej matce opłacać rachunki.

I to był koniec romansu. Rysiek stwierdził, że Aśka od pewnego czasu blokowała jego obszar twórczy, ale tak to jest, jak się człowiek zadaje z gówniarami, dlatego żegna ją serdecznie, ale niech zrozumie, że liczy się sztuka przez duże SZ. Sztuka jest ponad wszystkim, a on tę sztukę tworzy i przekazuje. Z tego powodu żadna małolata nie będzie mu mówić, co powinien w życiu robić, a czego nie. Niemalże wypchnął ją za drzwi.

Aśka poleciała z płaczem do Kaśki, a następnie z Kaśką do Olki, która rzeczowo i spokojnie stwierdziła, że jednego palanta mniej, to i dobrze. Znajdzie sobie innego. Wygląda więc na to, że jednak znalazła, a kandydat na Romea był cały czas w zasięgu ręki i spędzało się w jego towarzystwie co najmniej kilka godzin dziennie. Ot, życie bywa przewrotne i dziwne.

Ryszard zaś, zdobywca serc niewieścich i piewca wolności, parę razy jeszcze szarpnął za struny i zamilkł. Może w końcu matka przemówiła mu do rozumu, bo życie pasją a życie z pasji to dwie zupełnie różne sprawy. Aśka rok później, już po maturze, zobaczyła go przypadkiem w Lidlu, ubranego w strój właściwy pracownikom tej sieci sklepów. Udał, że jej nie poznaje. Aśka mimo wszystko ucieszyła się, bo przecież Rysiek był młody, doświadczenie zawodowe mu się przyda, a i jego matka będzie miała lżej.

Podbojów miłosnych mniejszych i większych dałoby się naliczyć w Kasinej klasie sporo. Właściwie poza nią wszyscy już jakieś przygody sercowe zaliczyli (nie licząc, rzecz jasna, przypadków nieszczęśliwie platonicznych), nawet ci bardzo brzydki lub bardzo głupi (a nawet brzydki i głupi), tu ktoś spał z kimś, a chodził z kimś innym. Słowem, zupa hormonalna była w stanie wrzenia, działo się sporo i tylko, wydawało się, jedną Kaśkę wszystkie atrakcje omijały.

Oczywiście nie przyznałaby się do tego za żadne skarby świata. Istniała wersja wydarzeń, zgodnie z którą Kaśka spotykała się z kimś spoza LO numer jeden, spędzali razem czas, zaliczyli

raz i drugi może nie męską ubikację, a ławkę w parku późną nocą (wszystkie informacje nie do zweryfikowania przez rówieśników), a następnie rozstali się w zgodzie, kiedy oboje stwierdzili, że to nie to. Kaśka pokusiła się nawet na co barwniejsze opisy czynności wybitnie intymnych podejmowanych wobec niej przez męskiego bohatera jej opowieści, a we wzroku Oli odczytała *approved*. Nawet ona dała się nabrać.

Kaśka leżała teraz na łóżku w swoim pokoju i patrzyła na to, co dostarczyło jej takiej seksualnej wiedzy. Zdjęcia.

Zebrane w albumie, wydrukowane samodzielnie na papierze fotograficznym. Nie przedstawiały bynajmniej ptaków, tylko istoty z rodziny naczelnych zwane człowiekiem. Konkretnie samce i samice, choć zdarzały się wyjątki. Jak wszystko, co genialne, robienie zdjęć parom, które niczego nie podejrzewały, spłynęło na Kaśkę czystym przypadkiem.

Razu pewnego, siedząc na drzewie, ostrzyła obiektyw na niezwykle ciekawy okaz zielonego dzięcioła, kiedy spostrzegła, że w „polu rażenia” znajduje się siedząca na parkowej ławce para. „Siedząca” było określeniem nieścisłym. Na ławce siedział on, ona na nim jak na rumaku, przy czym głowa rumaka tkwiła między dwiema okazałymi piersiami. Piersi zostały uwolnione zarówno z bluzki, jak i ze stanika (co wymagało pomysłowości i wysiłku, stwierdziła Katarzyna), a rumak, korzystając z pomocy własnych rąk, by utrzymać przed sobą tak gigantyczną dawkę dobra i piękna, całkowicie oddał się kontemplacji, mrużąc przy tym z ukontentowania.

Właścicielka dorodnego biustu wzdychała i jęczała, a całość trwała na tyle długo, by Katarzyna zdecydowała się w końcu dać spokój dzięciołowi i skupić się na parze. Walcząc z bijącym ją po łapach własnym sumieniem, cyknęła parkowym kochankom całą serię zdjęć ociekających zmysłowością, po czym przejrzała je w domu na swoim komputerze i jedno z nich zdecydowała się wyedytować i pozostawić na dysku. Nie było świetne i można by niejedno mu zarzucić tak pod względem kompozycyjnym, jak i wymowy artystycznej, ale od niego zaczęła się ta część hobby, z której Jej Wysokość Kasienda nikomu się nie zwierzała.

Oprócz ptaków łowiła przekazywane sobie przez ludzi gesty miłości. Czasem było to po prostu ciepłe spojrzenie, czasem uścisk ręki, drobne oznaki czułości, pocałunki, aż po gorętsze i bardziej spektakularne wybuchy namiętności. Przez szacunek dla nieświadomych przecież niczego bohaterów swoich fotografii i z potrzeby usprawiedliwienia swojego podglądactwa, starała się z tych spotkań wydobyć to, co najbardziej poetyckie, i trzymać się z daleka od ciosanej toporem pornografii. Trzeba przyznać, że jej zdjęcia – już po obróbce, bo obróbka, jak wiadomo, może zmienić charakter fotki radykalnie – były pełne emocji, nieco odrealnione, kipiały erotyką, a nad wszystkim unosił się duch poezji. Z powodzeniem zajęłyby miejsce w galerii na wystawie, gdyby nie to, że powstały w sposób nie do końca legalny. Tkwiły więc sobie bezpiecznie w – opasłym już teraz – albumie, a jedynym ich widzem i krytykiem była właśnie Kaśka.

Nie czując potrzeby snu, patrzyła więc teraz na odrzuconą do tyłu głowę swojej pierwszej bohaterki, na jej długie, kręcone włosy spadające na plecy, na rozchylone usta, zamknięte oczy i wyraz ekstazy wymalowany na twarzy, na nie najszczuplejsze ramiona, którymi trzymała swojego towarzysza, zupełnie zgrabnie przygwożdżonego do ławki jej masywnymi udami, jakimś cudem zmieszczonymi w obcisłych jeansach. On, a przynajmniej ta część jego głowy, która była widoczna zza dorodnych piersi, zdawała się sugerować, że leksykalne uzewnętrznianie przez niego poczucia szczęścia ma o wiele skromniejszy repertuar niż w przypadku „ochów”, „oooooooochów” i „achów” (a nawet „aaaaaachów”) jego towarzyszkę i ogranicza się do radosnych pochrumkiwań z rodzaju „mhfm, mhfm, mhfm”.

Kaśka patrzyła więc na tę parę, patrzyła na wszystkie inne i coraz bardziej ugruntowywało się w niej przekonanie, że nie będzie jej dane doznać prawdziwej miłości. Jak

nikogo nie zainteresowała, tak nie zainteresuje. Z jakiegoś powodu nie ma w sobie tego „czegoś”, co przyciąga płęć przeciwną. Z przekonaniem właściwym dla ludzi bardzo młodych pomyślała, że do końca życia będzie już sama. Tak już zostanie. Na pewno. Na sto procent. Nie ma innej opcji.

W jej otoczeniu nie ma nikogo, kto odwzajemniłby jej uczucia i pominiemy fakt, że do nikogo obecnie żadnych cieplejszych nie żywiła. Zdarzyły się jej dwie czy trzy fascynacje płcią przeciwną, wszystkie beznadziejnie platoniczne i kompletnie niezauważone. Nieważne, jak intensywnie przewracała oczami, jak głęboko wzdychała, z jaką wytrwałością kręciła się wokół obiektu swoich uczuć, ten niczego się nie domyślał. Przyjmował oznaki adoracji z doskonałą obojętnością lub – co jeszcze gorsze – po kumpelsku. Ona nie chciała się kumpelować, tylko zakochać (czytaj: delektować się uczuciem ze strony najlepszego z facetów), ale jak na złość wybraniec jej serca nie dysponował duchowym rentgenem lub empatią na poziomie mistrzowskim, nie wychwytywał więc wszystkich podprogowych sygnałów, które Katarzyna z taką intensywnością emitowała, maskując je jednocześnie najlepiej, jak to możliwe.

Nie była też tak asertywna, jak Aśka i bezpośrednia jak Ola, by zastosować bardziej spektakularne metody zwracania na siebie uwagi. Z biegiem czasu ten i ów platoniczny ukochany zwracał się ku jakiejś dziewczynie i zdarzyło się nawet, że Katarzyna była mimowolnym świadkiem ich zupełnie nieplatonicznego okazywania sobie wzajemnie uczuć. Wtedy wracała do domu i w czterech ścianach oplakiwała okrucieństwo i niesprawiedliwość losu.

I tak oto było w pół do czwartej rano, gwar miejski nawet w tak ruchliwym miejscu, jak zbieg Poniatowskiego i Jedności Narodowej oraz bocznej do nich Oleśnickiej ucichł prawie zupełnie i zogniskował się w nielicznych głosach spóźnionych imprezowiczów przemierzających szybko przedsiónek Nadodrza. Ciepłe powietrze delikatnie, ale stanowczo wpadało przez otworzone na oścież okno i podejmowało skomplikowaną grę z rozspaną firanką, która wyraźnie nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Noc była jedyną szansą na wpuszczenie jako takiego powietrza, które, choć chłodniejsze, i tak zbierało ciepło oddawane przez nagrzaną w ciągu dnia kamienicę.

Było więc w pół do czwartej rano, w ciepłą czerwcową noc, kiedy Katarzyna doszła do wniosku, że coś musi ze swoim życiem zrobić. Musi zadziałać. Brutalna prawda jest taka, że nikt nie zrobi tego za nią. Gdzieś w czeluściach Internetu przeczytała pewnego razu bardzo sugestywne stwierdzenie: „Trzeba natychmiast żyć. Jest później, niż się wydaje”. Właśnie doszła do wniosku, że czas odnieść to również do niej samej. Ma dziewiętnaście lat. Jest później, niż się wydaje. Nie ma takiej opcji, żeby spotkała jakiegoś fajnego faceta, jeśli sama się o to nie zatroszczy. Potencjalny kandydat nie będzie siedział na progu. Na progu to co najwyżej można spotkać sąsiada spod siódemki, który jest tak zalany – standardowo, wiadomo – że niczym Odys do Itaki nieskończenie długo wraca do domu, zahaczając po drodze o wszystkie możliwe lokalizacje, by na koniec, w przeciwieństwie do greckiego bohatera, zatrzymać się niedaleko celu, z zamiarem niedrgnięcia ani o milimetr.

Nie, miłości trzeba poszukać, o miłość trzeba zawalczyć. Zostawmy walkę, bo na razie nie ma przeciw komu występować, skupmy się na szukaniu. Gdzie znaleźć? Gdzie jest ratunek dla dziewiętnastoletniej dziewczyny, która – o bogowie! – jeszcze nigdy w życiu się nie całowała? Gdzie? No gdzie, ja się pytam?

Oczywiście, że w Internecie.

Katarzyna odłożyła na bok album z fotografiami ukradkiem przyłapanych całujących się par i rzuciła się do laptopa. Zupełnie nie chciało jej się spać. Otworzyła przeglądarkę internetową i wpisała to, co wydało jej się najbardziej logiczne, czyli „najlepsze portale randkowe”. Przez moment pomyślała o sobie, że zachowuje się jak stara panna z workiem kotów i gniazdem na

głowie, ale szybko odrzuciła od siebie tę myśl. Po prostu sprawdzi, tak? To nie przestępstwo, tak? Poza tym nikt o tym nie wie, tak? No właśnie.

Znalazła kilka stron internetowych, poczytała tu i ówdzie opinie, zaglądnęła na jedno, drugie i trzecie forum, wpadła na Facebooka, w końcu drogą selekcji zdecydowała się na portal Nasza miłość. Nasza miłość pe el. Brzmi nieźle. Lekko trąci kiczem, ale nieźle. Ma wielu użytkowników i dobre opinie. Przez chwilę dłonie Katarzyny wstrzymały się nad klawiaturą, ale po chwili ich właścicielka wzruszyła ramionami, stwierdziła, że chrzanić to wszystko i kliknęła „Utwórz konto”.

Wybrała swoje najlepsze zdjęcie (a zdjęć miała sporo i nie było problemu z podażą), napisała o sobie kilka ciepłych słów, wspomniała o pasji fotografowania, dodała, skąd jest i ile ma lat najzupełniej zgodnie z prawdą. Utworzyła w końcu profil, zapisała, postanowiła zorientować się co do ewentualnych wybrańców jej serca następnego dnia, bo jednak czas nie jest z gumy i trzeba by się przespać, po czym wylogowała się i wyłączyła komputer. Położyła się na łóżku, nie przykrywając kołdrą, i chwilę potem spała snem sprawiedliwej. Była piąta rano.

[4] Niespodziewanie dla niego. Gdyby choć trochę wyrzał poza czubek własnego nosa, mógłby już dawno odczytać wyraźne sygnały graniczące z wymachiwaniem transparentem.

[5] Trzeba jednak mieć to „czegoś”. Rysiek nie miał.

4.



Dzień rozpoczął się szybciej niż szybko za sprawą odgłosu ekspresu do kawy.

Sprawili sobie z ojcem ten ekspres jakiś czas temu, uznając, że coś im się, do licha, od życia należy. Należy im się, jeśli już nie bogactwo i wygrana w totolotka, to na przykład przyzwoita kawa, a co. Ojciec nigdy nie przejmował się tym, że spała, a energiczne działanie młynka do kawy potrafiło postawić na nogi umarłego. Niejednokrotnie powstawały sprzeczki z powodu tych głośnych poranków, ale dzisiaj Katarzyna nie miała ochoty na żadne konfrontacje. Po prostu usiadła na łóżku i przez pewien czas tępo wpatrywała się w okno.

Ruch na Poniatowskiego był już bardzo intensywny. Po torach właśnie ciężko przetaczał się tramwaj niczym gigantyczna gąsienica[6], a po wyslizganych przez tysiące samochodów kociach łbach Polacy przemieszczali się w kierunku centrum i Psiego Pola za pomocą swoich czterech kółek, które z takim zaangażowaniem przykładały się do przekraczania wszelkich norm emisji zanieczyszczeń. Kamienica przy Oleśnickiej, w której mieszkała Kasia, mieściła się bardzo blisko Poniatowskiego, dlatego hasło „miasto budzi się” oznaczało, że zazwyczaj budzi się również Katarzyna. Dziewczyna podniosła się w końcu z tapczanu, mając wrażenie, że nie wstaje, a zmartwychwstaje, i powlokła się do kuchni.

Wysoki, chudy i szpakowaty facet z wąsem, lekko przygarbiony i odziany w znoszony podkoszulek oraz pasiaste spodnie od piżamy właśnie słodził swoją poranną kawę i energicznie mieszał w kubku łyżeczką.

– O, widzę, że wstaliśmy – powiedział.

– Nie mieliśmy wyjścia – mruknęła Kaśka. – Która godzina?

– Ósma.

– Rany boskie, jest środek nocy...

– Jak dla kogo, dla mnie dzień zaczął się już jakiś czas temu. Mniej więcej wtedy, kiedy

dla ciebie pewnie się skończył. O której wróciłaś?

– Przed trzecią. Ale zasnąłam o piątej.

– O właśnie.

Ojciec pokręcił głową i siorbnął gorącego płynu z kubka, mocząc wąsy, których Kaśka nie cierpiała i powtarzała, że tata wygląda w nich jak jakiś Wasyl. On odpowiadał, że nie można winić kogoś za to, jak się nazywa, a on, jak Kaśka doskonale zdaje sobie sprawę, ma na imię nieco inaczej, a poza tym kogo obchodzi, czy on nosi wąsy, czy nie. Kaśka odpowiadała zawsze, że ją obchodzi i to bardzo, a ojciec odwdzięczał jej się stwierdzeniem, że to miło z jej strony, ale on i tak przy wąsach pozostanie, bo tak mu się podoba i kropka.

– To niesamowite, ile młodzi ludzie mają siły i energii życiowej. Ja padam na twarz o dziewiątej, a moja córka dopiero wtedy się rozkręca.

– Wielkiego szaleństwa nie było, tato – uspokoiła go. – Wypiliśmy po piwie, pogadaliśmy i wróciłam do domu.

– Wiem, wiem, moja córka się źle nie prowadzi.

– Twoja córka w ogóle się nie prowadzi, tato. Z nikim – stwierdziła z wyraźną nutą gorczy w głosie.

Ojciec odstawił kawę i, jak to miał w zwyczaju, podszedł do Katarzyny, po czym najzwyczajniej w świecie ją przytulił. Zatopiła się w twardych i żyłastych ramionach, przycisnęła głowę do jego klatki piersiowej i poczuła żebra, a spracowane, szorstkie dłonie budowlańca pogłaskały ją po plecach. Koleżanki z klasy nie wierzyły jej, kiedy mówiła, jak zażyła relacja łączy ją z ojcem. One raczej ze swoimi rodzicami wojowały, Katarzyna zaś w wielkiej zgodzie, co oczywiście nie obywatelom się bez zgrzytów. Wydawało się jednak, że nic nie było w stanie nadszarpnąć obustronnego zaufania. Obie strony zresztą przestrzegały ustalonych reguł. Nie było to proste, bo nigdy nie jest proste wychowywanie dziecka w pojedynkę. Bycie jednocześnie ojcem i matką już samo w sobie stanowi wyzwanie, tak jakby życie nie rzuciło dodatkowych kłód pod nogi. A bycie ojcem, który nie zaszczepi w córce poczucia żalu do matki, to już mistrzostwo świata.

Matki bywają różne, a rodzicielka Kasi zdecydowanie odbiegała od popularnego stereotypu kapłanki domowego ogniska, wspierającej dzielnie męża i wykrwawiającej się w poświęceniu dla dobra rodziny. Zamiast więc budować dom na skale, którego wichry nie zmiecie, nie opierała się podmuchom wiatru. Podatna na porywy serca dała się unieść na skrzydłach nowej miłości, by osiąść gdzieś tam na drugim końcu Europy i rozpałać nowe ognisko u boku nowego mężczyzny, w wielkim mieście o bardzo łagodnym klimacie, gdzie wszyscy mówią po hiszpańsku, a serca biją w rytmie flamenco. Jej pierwszy mąż często myślał, że w gruncie rzeczy nigdy do niego nie pasowała. Gdzie jemu, zwykłemu robotnikowi fizycznemu po zawodowce do tego rajskiego ptaka z wyższym wykształceniem! Ot, zupełnie przypadkiem przysiadła koło niego, na krótki czas spowiła jego życie barwami tęczy, zdążyła urodzić ich wspólne dziecko, nacieszyła się nim cztery lata, a potem zerwała się z gałęzi i odfrunęła ku nowym doznaniom, nie dokończywszy doktoratu z chemii.

Dziecko zostało. Najwyraźniej było balastem. Wściekłość i żal, jakie czuł ojciec Kaśki, kazały mu zamknąć się w sobie, ale na szczęście, zamiast poddać się rozgoryczeniu, przysięgnął całemu światu, że cokolwiek się stanie, on wychowa córkę tak, by jej życia nie zeszpeciła blizna straty. W rozmowach między Kaśką a jej ojcem temat matki przewijał się rzadko, ale jeśli już się pojawiał, tato nigdy nie wypowiadał się o niej źle. Bóg jeden wie, ile go to kosztowało. Ponieważ jednak sukces najczęściej jest dziełem zespołowym, trzeba uczciwie wspomnieć, że ojciec Katarzyny być może nie byłby taki dzielny i wytrwały w swoich postanowieniach, gdyby nie jego własna starsza siostra, która służyła mu wsparciem i do której Kaśka była bardzo

przywiązana. Z biegiem czasu rozumiała oczywiście coraz więcej, a kiedy z krótkich rozmów i jeszcze krótszych półsłówki domyśliła się wszystkiego, było już za późno, by wyhodować w sobie żal.

Ojciec, zebrawszy przez wszystkie te lata spory bagaż rodzicielskiego doświadczenia, nie ingerował więc w świat swojej dorosłej już córki i zostawiał jej spory margines do działania. Przyklaskiwał fotograficznemu hobby (włącznie z włożeniem na drzewa) i był jedyną osobą, która widziała namiętne zdjęcia par zrobione z ukrycia. Katarzyna zaś starała się, by nigdy nie nadużyć ojcowskiego zaufania. Układ działał bez zarzutu.

– Kasieńko, masz dopiero dziewiętnaście lat. Całe życie przed tobą! – powiedział.

– Jasne, jasne – mruknęła. – Liczy się tu i teraz.

– Nie wiem, kto ci nagadał takich głupot. Liczy się wszystko, to, co było, to, co jest, i to, co będzie. Ale dobrze, skoro tak, skoro tu i teraz, to tu i teraz oświadczam, że skończyło się maselko. I byłoby miło, gdyby ktoś z nas tu i teraz skoczyło do sklepu. A ja nie mogę, bo piję kawę i zamierzam usmażyć jajecznicę. Tu i teraz.

– No naprawdę, jesteś potworem – powiedziała Kaśka, ale uśmiechnęła się. – Pójdę po to przekłete maselko, tylko daj mi chwilę, żebym doprowadziła się do stanu używalności. Trzeba było je kupić wczoraj.

– Nikt nie jest doskonały, kochanie, i bardzo ważne jest, żeby dawać ludziom prawo do błędu. Nie kupiłem. Zapomniałem. Ale moja córka też o tym nie pomyślała, bo zwiślała z jakiegoś drzewa. Upolowałaś coś w ogóle?

– Słabo – odpowiedziała Kaśka i wyjęła z chlebaka kromkę, po czym zaczęła ją szarpać po kawałku i zjadać na sucho. – Wszystko się pochowało. Za gorąco jest.

– To prawda.

– A ty nie idziesz dzisiaj do pracy?

– Jakbym szedł, to już by mnie nie było. Nie. Dzisiaj nasz szanowny deweloper przeprowadza jakieś inne prace, więc dla nas roboty nie ma, ale serdecznie zapraszają nas w poniedziałek. Dołożę ci się do obiektywu, jeśli chcesz.

– W życiu! – Kaśka się oburzyła. – Sama zbiorę! Od poniedziałku pracuję, dam radę. Nie pozwolę, byś płacił za moje fanaberie.

– To żadne fanaberie, inwestujemy w twoją przyszłość.

– Daj spokój. Jeszcze nie wiemy, jak ta przyszłość będzie wyglądać, bo nie do końca jestem pewna, w jakim iść kierunku.

Ojciec westchnął.

– Wszystko się ułoży, zobaczysz. No dobrze – zreflektował się. – My tutaj w wysokie tony uderzamy i w tym hałasie nie słyszymy, jak maselko woła do nas z półki sklepowej. A ja tu porządną jajecznicę chcę dla nas zrobić. Na maselku właśnie. I grzanki.

– Oj, Boże, już idę, idę – mruknęła Kaśka, podniosła się z kuchennego stołka i ruszyła w kierunku łazienki.

[6] Kabaret Studio 202 śpiewał, że „mkną po szynach niebieskie tramwaje”, ale to daleko posunięta *licentia poetica*. Żaden wrocławski tramwaj nie mknie, bo przede wszystkim stoi w korkach, a następnie przetacza się leniwie i ciężko z przystanku na przystanek. Jedyne pomykanie odbywa się w kierunku Leśnicy, ale na dźwięk słowa „Leśnica” wrocławianie uciekają z wrzaskiem, przekonani, że aby dojechać na te odległe rubieże miasta, należy wziąć dwa dni wolnego, prowiant i karimatę.

5.

Sobota to czas, kiedy mieszkańcy dużych miast szykują się na trzecią wojnę światową. Zaprawieni w bojach ruszają na eksplorację sklepów z samego rana, mając nadzieję, że reszta rodaków będzie nieco dłużej spoczywać w objęciach Morfeusza. Czekają ich pewna doza rozczarowania, kiedy okazuje się, że pozostali mieszkańcy miasta pomyśleli dokładnie tak samo, w związku z czym już od najwcześniejszych godzin zaparkowanie przed supermarketem graniczy z cudem, a ludzie wznoszą się na szczyty kreatywności, by zostawić swoje auto w takim miejscu, by nie było za daleko od wózków, no i by dało się z powrotem wyjechać.

Katarzyna, wchodząc do piętrowej Biedronki przy ulicy Jedności Narodowej, była świadkiem być może pierwszej i najprawdopodobniej nie ostatniej dzisiaj kłótni z udziałem dwóch najlepszych kierowców na świecie, ich małżonek i wózków sklepowych, można więc było z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że właśnie chodziło o miejsce parkingowe. Minęła ich zgrabnie w momencie, gdy sięgali po ciężki kaliber wzajemnych inwektyw i weszła do chłodnego sklepu. Ach, niech żyje klimatyzacja!

Mogła się spodziewać, że kolejki do kas będą się ciągnąć na pół sklepu. Głupio jej było stać z jednym artykułem, kupiła więc jeszcze czekoladę i lody. Czekolada jest dobra na wszystko, lody zresztą też, zwłaszcza w upały.

– Tam jest luźniej, niech pan podjedzie do tamtej kasy. – Usłyszała za swoimi plecami.

Obejrzała się. Za nią w kolejce czekał chłopak na wózku inwalidzkim. Przed sobą na kolanach trzymał koszyk z zakupami. Przyjrzała mu się – mógł mieć jakieś dwadzieścia lat. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Ot, króciutko ścięty blondyn w koszulce z jakimś logo, które nie wiadomo co oznaczało. Pewnie matka mu kupiła w jednym z okolicznych lumpeksów, których w okolicy było pełno. Cokolwiek powiedziec o Nadodrze, lumpeksów i monopolowych nie brakowało. Spod jednego z rękawów koszulki wystawał tatuaż. Trudno było rozeznaczyć, co

przedstawia, ale mógł to być tygrys.

Za chłopakiem stała starsza kobieta i to ona właśnie namawiała go do podjechania do sąsiedniej kasy.

– Tam szybciej idzie, proszę pana, niech pan tam się uda.

– Nie mogę – odpowiedział chłopak. – W tamtej kasie jest węższy przejazd, nie zmieści się wózek.

– A skąd pan wie? – drażyla baba.

– Bo próbowałem. Niech pani tam podejdzie, ja muszę tutaj.

Baba zafukała, zamruczała coś pod nosem, przewróciła oczami, pokręciła głową i... stała dalej za chłopakiem.

– Nie idzie pani tam? – zagadnął ktoś za nią.

– Nie! – zirytowała się baba. – Ja zawsze czekam do tej kasy.

– Oj, to ja pójdę... – Młoda kobieta zmieniła miejsce i ustawiła się w drugim ogonku.

Katarzyna, przypatrując się tej samej sytuacji (a jednocześnie posuwając się do przodu w kolejce, bo nie ma większej zbrodni w sobotę rano niż tworzenie zastoju), zatrzymała wzrok na chłopaku. Baczenie jej się przyglądał. Co więcej, miała wrażenie, że oczy, w których malowało się jakby zdumienie i jakby ciekawość, przewiercały ją na wskroś. No, jeszcze czego. Nie ma co robić, tylko wlepią gały.

Katarzyna zsunęła na oczy ciemne okulary, które do tej pory robiły jej za opaskę, i demonstracyjnie odwróciła się od chłopaka plecami. Czytnik przy kasie zapipczał, spakowała swoje artykuły do kupionej reklamówki i wyszła ze sklepu.

Od razu rzucił się na nią skwar i czuła się, jakby ktoś skierował w jej stronę gigantyczną suszarkę. Rany, ale gorąco. Ze zdumieniem stwierdziła, że kłótnia na przysklepowym parkingu nie tylko się nie ucichła, ale zataczała coraz szersze kręgi. Panowie już zaczęli machać rękami i tylko kwestią czasu pozostawało, który pierwszy sięgnie po mocny argument dyskusyjny w postaci lewego sierpowego. Obydwie towarzyszące im kobiety trzymały się z tyłu i udzielały duchowego wsparcia słowami w stylu: „Zenek, daj spokój, widzisz, że facet ledwo się trzyma ze strachu”, co można było odczytać jednoznacznie jako zagrzewanie do walki.

Kaśka zatrzymała się, by rzucić okiem i to samo zrobiło jeszcze z dziesięć osób, bo nic tak nie angażuje uwagi tłumu, jak jakaś bójka, zwłaszcza że biją się inni, a tłum może sobie na to popatrzeć. Jest nawet szansa, że ktoś nakręci filmik, który stanie się potem hitem Internetu. Kątem oka zauważyła, że ze sklepu wyjeżdża chłopak na wózku. Spojrzał na nią, spojrzał na kłócących się mężczyzn i odjechał, nie zatrzymując się. Płócienną torbę z zakupami miał zawieszoną z tyłu wózka i Kaśka przez moment zastanowiła się, jakim cudem sam ją tam umieścił. Musiał ktoś mu pomóc, nie było wyjścia. Straciła zainteresowanie kotłującymi się ludźmi i stwierdziła, że na nią również już czas. Zaczęło jej porządnie burczeć w brzuchu.

Drogę do swojej kamienicy pokonała niemal biegiem i z ulgą zanurzyła się w cuchnący, bo cuchnący, ale w jakimś stopniu orzeźwiający chłód bramy.

6.



- Cześć, Kasienda – rozległo się w telefonie. – Może piwko?
- Cześć, Mati, nie mam ochoty. A poza tym, czy nie powinienes zrobić sobie przerwy?
- Oj, weź, Kaśka, ty mi tu z morałami życiowymi nie wyjeżdżaj. Idziesz czy nie?
- Nie chce mi się, mówię ci. Za gorąco. A Gregorio odstawił cię do domu?
- Gregorio? Jaki Gregorio? Nic nie pamiętam. Nie, dobra, żart. Jasne, że pamiętam, odstawił, odstawił i jeszcze poklepał po plecach.
- Mateusz, jest szósta po południu, jest gorąco, nadal gorąco i nic się nie ochładza, i nie chce mi się.
- No dobra, próbowałem. A co robisz?
- Czytam – skłamała.
- A co czytasz?
- Co czyta, co czyta? Kaśka rzuciła okiem na regał z książkami.
- Camillę Lackberg. Taki kryminał dla kobiet.
- O bleeee. Dobra, czytaj sobie, czytaj. Myślałem, że się... zobaczymy.
- Zaraz, zaraz, co to za nuta? Nie znała jej do tej pory. Trzeba natychmiast uciekać.
- Mati, skarbie, spotkamy się jeszcze niejeden raz.
- Boże, nienawidzę, jak się na mnie mówi „skarbie”! – zirytował się Mateusz.
- Wiem, skarbie.
- Och, wracaj sobie do tej Camilli, wracaj. Idę spędzić upojny wieczór z moją sąsiadką, która wybiera się na medycynę.
- Tak jakby ukłucie lub coś w tym rodzaju, ciężko stwierdzić.
- Chyba upojony.
- No właśnie. Jak ty mnie dobrze znasz. To cześć!

I Mateusz się rozłączył.

Katarzynie nie w głowie były spotkania z rówieśnikami, ponieważ właśnie z niebotycznym zdumieniem wpatrywała się w monitor komputera, zdążywszy wcześniej zalogować się na portalu randkowym. Na dobrą sprawę przez cały dzień o niczym innym nie myślała, snuła się bez sensu z kąta w kąt, co zwróciło nawet uwagę jej ojca. Dla niepoznaki zrobiła jakieś pranie, włączyła dość głośną muzykę, którą on momentalnie kazał jej wyłączyć, czyli robiła wszystko, by stwarzać pozory normalności i nudy. Tak naprawdę jednak wrzała z niepokoju. Postanowiła zalogować się dopiero po południu, by ten potencjalny KTOS w ogóle miał czas na to, by usiąść przy komputerze, po czym zobaczyć jej zdjęcie, a następnie momentalnie się w niej zakochać. Jezu, ależ z niej kretyńka. Za takie durne myślenie trzeba ją porządnie wychłostać. Chyba jeszcze podłogi umyje, ot co. Wyczekała więc do szóstej, po czym stwierdziła, że wystarczy i już nie może, wysprzątała chałupę i po prostu zwariuje, jeśli nie sprawdzi, czy coś się zmieniło. Wtedy właśnie zadzwonił Mateusz. Kazała mu spadać na drzewo i wróciła do patrzenia w monitor.

Dwadzieścia jeden osób zainteresowanych jej profilem. Dwadzieścia jeden. To się nie dzieje naprawdę. W tym jedna kobieta. No pięknie.

Przez chwilę się wahała i drżała z niepewności (drżała dosłownie, trzęsły jej się ręce), po czym odpaliła czat. Cisza. Nic się nie dzieje. Powinna zagadać do którejś z tych osób, czy jak się to robi? Może czekać? Dobrze, będzie czekać. Zaczeka. Jasne, że zaczeka. O ile zaraz nie padnie. Boże, jakie to trudne!

Plomp! Komputer nagle wybudził się z letargu i w okienku czatu ukazało się powitanie.

– *Cze* – napisał Demon24.

Ja pierniczę, co się odpowiada na „cze”?!

– *Cześć* – odpisała (długo myślała nad pseudonimem, ale zdecydowała się po prostu na „Kaśka”).

Demon24 wydawał się zbierać siły do następnej wypowiedzi i w końcu ją sformułował.

Jak lubisz?

Jak co lubię? – odpisała Kaśka.

Jprdl, strata czasu – stwierdził Demon24 i się wyłączył.

No tak, początki mogą być trudne. Trzeba wziąć pod uwagę to, że portale randkowe są pełne typów takich jak Demon24, których model działania można streścić w dwóch słowach na zet: zaliczyć, zapomnieć. Plomp!

Komputer znów się odezwał, ikonka zamrugła i w okienku pojawił się Adam_F. Ten był nieco subtelniejszy i zdawał się jakby bardziej celebrować wstęp, zanim zagłębi się w meritum sprawy. Ot, taka leksykalna gra wstępna. Zagrał resztą zupełnie miło i sympatycznie, stwierdzając, że ona, Kaśka, zainteresowała go niezmiernie i wydaje mu się, że szukał takiej dziewczyny jak ona, bo jest inteligentna (tak napisał!), młoda, mieszkają w tym samym mieście, mają to samo hobby i ciekawie byłoby się spotkać. Na przykład u niego. Kiedy? A kiedy Kaśka może? Nie wie jeszcze? No cóż, on wieczory ma wolne, z winem będzie czekał i jest bardzo szczęśliwy. Chciałby jednak zapytać jeszcze o coś, bo Kaśce najwidoczniej jakoś to umknęło, a szkoda. Jaki ma rozmiar? Czy może trójkę?

– *Rozmiar czego?* – spytała z głupia frant.

Stanika, oczywiście, stwierdził Adam_F i jego entuzjazm względem spotkania szybko zapikował w dół. Ze dwa frazesy jeszcze padły, a potem, że buziaczki i będziemy w kontakcie. No tak.

Katarzyna postanowiła wyłączyć czat i przyjrzeć się profilom tych dwudziestu jeden osób, które wyraziły zainteresowanie. Dwudziestu, nie liczyć kobiety (czyżby nie zaznaczyła

preferencji płciowych?). A nie, osiemnastu, bo dwóch już zrezygnowało. Dwanaście osób jest z Wrocławia, sześć z innych miast. To rodziło pewne trudności logistyczne, ale kto powiedział, że związek dwóch osób z różnych części Polski jest niemożliwy. Użyła słowa „związek”? Opanuj się, kobieto!

Co więc tu mamy? Szybki_i_dobry. Hm. Chyba nie można tego ująć w kontekście dobroci serca, raczej możliwości fizycznych. Od razu wiadomo, w czym – jego zdaniem – jest dobry i czego oczekuje od relacji (relacja, dobre słowo) i chyba Katarzyna nie ma zamiaru poddawać testom jego umiejętności. Jest jakiś Ryszard. Na oko po pięćdziesiątce, starszy od jej ojca. Co za porażka. Franciszek jest nawet przystojny, ale ma nieprawdopodobną ilość tatuaży na ciele, które zresztą ochoczo prezentuje. Nie wiadomo, co o tym myśleć, popatrzmy dalej. Łukasz, pracownik banku. Brzmi nieźle, przystojny jest nawet, fajnie wygląda na zdjęciach. Trzydzieści lat. Trochę dużo, Katarzyna chciałaby raczej znaleźć kogoś zbliżonego do niej wiekiem. Oczywiście nigdy nic nie wiadomo, ziarno miłości wschodzi na różnym gruncie, wołałaby jednak, by był to grunt bliższy jej rocznika.

Westchnęła. Wątpliwości i poczucie beznadziei zaczęło krążyć nad nią jak stado wron. To wszystko bez sensu. Grupa buhajów spragnionych jedynie seksu. Jeśli tak się przedstawia obraz współczesnego mężczyzny, to należałoby się zastanowić, czy przypadkiem lesbijki nie są w lepszej sytuacji.

O kondycji kobiet Katarzyna miała lepsze zdanie. Wszyscy faceci są tacy sami. Ot, taki Ryszard. Pewnie znalazłby na portalu niejedną osobę bardziej zbliżoną do siebie wiekiem, ale nie, on wyraża zainteresowanie dziesięcioletnią lanią. Co sobie o takim myśleć? Wygląda na to, że wszyscy jak jeden mąż (nomen omen) oczekują tylko tego, żeby szybko i sprawnie rozłożyła nogi. No i za darmo. Świat jest jednak straszny, nie ma co mówić.

Już miała wylogować się z portalu i wyłączyć komputer, kiedy jej uwagę zwrócił profil Rafała. Rafał. Po prostu Rafał. Informacje skąpe, zdjęcia brak. Rzeczywiście brak? Rzeczywiście. Podejrzan. Jak można nie wstawić zdjęcia na profil randkowy? Mieszka we Wrocławiu, interesuje go wspinaczka wysokogórska (no, no...) oraz przyroda w Polsce (jasne, jasne). Lat dwadzieścia. No coś takiego...

Katarzyna obiecała sobie zastanowić się głębiej nad osobą Rafała, ale skoro postanowiła już wcześniej wyłączyć komputer, przeszła od słów do czynów. Poczuli się strasznie zmęczona dwiema odbytymi rozmowami i ciekawość zesłała na plan dalszy, a na pierwszy wysunęła się potrzeba zrobienia czegoś. Czegokolwiek. Katarzyna stwierdziła, że kiedy nie wiadomo, co ze sobą zrobić, to najlepszym rozwiązaniem jest wziąć aparat fotograficzny i przejść się nad Odrę.

7.

Rafał otrzymał informację, że Kaśka jest zalogowana. Zastanawiał się, czy zagadnąć ją na czacie, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Postanowił poczekać i sprawdzić, czy ona zdecyduje się na pierwszy ruch. Trzeba być bardzo ostrożnym, taka dziewczyna szybko może się spłoszyć, a wtedy koniec, wszystko przepadnie. Skoro już zdarzył się tak niesamowity zbieg okoliczności, że ona założyła konto na tym samym portalu, który i on wybrał, to nie ma opcji, trzeba to potraktować jako uśmiech losu i pielęgnować, żeby – jak to było? – zasiane ziarno wydało plon.

Brak zdjęcia na portalu randkowym był ryzykownym zagranem, ale z drugiej strony, jeśli tak się dobrze zastanowić, nie miał przecież innego wyjścia. Jeśli w ogóle coś miało wypalić, musiał ją zainteresować, no, samym sobą. Żeby zwróciła uwagę na niego, nie na jego ciało. Ciało, rzecz jasna, jest bardzo ważne, normalna rzecz, ale jeszcze ważniejszy był duch, osobowość.

Rafał uważał się zresztą za całkiem fajnego faceta i bynajmniej nie nieśmiałego, sądził, że w realnym życiu są możliwe sytuacje z gatunku Pięknej i Bestii, kiedy ludzie zakochują się w sobie bez względu na... okoliczności, szeroko pojęte okoliczności. Dobra, to być może naiwne patrzyenie, ale mógłby wskazać kilka przykładów dowodzących, że choć naiwne, to jednak prawdopodobne. W porządku, jutro do niej zagada. Chyba że ona zdecyduje się na to pierwsza. Zobaczmy. Tak czy inaczej, do życia trzeba podchodzić optymistycznie. Szklanka jest w połowie pełna.

Nie odrywając wzroku od monitora, sięgnął ręką ku półce, na której zawsze znajdował się jego telefon, ale natrafił na puste miejsce. Spojrzał w tamtym kierunku i stwierdził, że komórka leżała nie na swoim miejscu, tylko znacznie dalej. Holender, chyba jest naprawdę zakręcony, skoro zapomniał, gdzie ją położył. Jak tak dalej pójdzie, głowy niedługo też zapomni, ot co.

Teraz musi specjalnie się ruszyć, żeby po nią sięgnąć. Ma za swoje, pomimo wszystko powinien mieć większy kontakt z rzeczywistością.

Wyłączył laptopa i spojrzał w stronę okna. Rany, ale upał. Żar wlewa się z ulicy jak wrzątek. Żadnej ochłody. Trzeba będzie zaciągnąć zasłony, nie ma innego wyjścia. Westchnął, zbliżył się do okna i za chwilę pokój pogrążył się w półmroku. Zasłony zakryły znajdujący się po przeciwległej stronie ulicy rząd starych kamienic.

8.

Mateusz odłożył telefon. W skali pecha od zera do dziesięciu zaliczył jedenaście. On to umie się zabierać do działania, oj umie. Umie tak, że niech to jasna cholera. Kolejne podejście spalił tak koncertowo, że mógłby zarabiać na kursach typu „jak zostać frajerem w trzy i pół sekundy”. Zarobiłby miliony. Najpierw w sposób szybki i głupi spił się, siedząc z ludźmi na Wyspie Słodowej, kiedy czekał, aż ona wreszcie przyjdzie, a teraz tak sprawnie strzelił sobie w kolano.

Ona. Jej Wysokość Kasienda.

Sam wymyślił to przezwisko, które ku jego zdumieniu przyjęło się w klasie. Zaimponowała mu tym, że zawsze była lekko wycofana, jakby kompletnie nie zależało jej na tym, czy zostanie zaliczona do klasowej pierwszej ligi, czy nie. Nie szukała akceptacji, nie walczyła o uwagę, nie szokowała, nawet nie odzywała się za często. Latała sobie z tym swoim plecakiem i aparatem, robiła jakieś zdjęcia do szkolnej gazetki, a potem nagle jakby mimochodem zdradziła, że wdrapuje się na drzewa i urządza bezkrwawe łowy na ptactwo wszelakie. Och, jak chciał jej w takich eskapadach towarzyszyć! Nigdy mu tego nie zaproponowała, zresztą niby dlaczego miałyby to robić? Nie sygnalizował przecież otwarcie, że mu na tym zależy. Ot, rzucił jakąś uwagę, zadowcipkował, korzystając z przywileju posiadania ciętego języka, rzucił jakiś tam zawołowany komplement (żeby nikt się niczego nie domyślił!) i uciekał na z góry upatrzone pozycje.

Jej Wysokość Kasienda.

Marzył, żeby się z nią spotykać, usychał z tęsknoty, choć paradoksalnie na początku zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Nie zauważył jej i nie zauważał dalej. On, zawsze wygadany, brylował w towarzystwie, ale pod grubą warstwą podśmiechujek, pod postawionymi jak mur obronny pozorami bycia duszą towarzystwa, skrywał wrażliwego, na dobrą sprawę niepewnego

swojej wartości i nieśmiałego człowieka. Maskował tę nieśmiałość brawurą. Przybierał pozę kogoś, komu na niczym nie zależy, ot, młody dekadent z dużego miasta, którego mottem życiowym wydawało się przeświadczenie, że lepiej spłonąć szybko i z rozmachem niż tlić się długo i delikatnie. Bronił swojego prawdziwego „ja” jak cerber, bardzo był w tym skuteczny, nie przewidział jednak tego, że w rezultacie nikt nie będzie go brał na poważnie. A szczególnie Jej Wysokość Kasienda.

I teraz on do niej dzwoni, wreszcie do niej dzwoni, wreszcie się odważa, na miłość boską, totalna rewolucja, i proponuje randkę (tak, nie bójmy się tego słowa, randkę), a ona w zamian za to wskazuje mu miejsce w kącie. No dobra, trzeba uczciwie przyznać, że zabrał się do tej propozycji z gracją młota pneumatycznego trzymanego przez tyranozaura, ale przecież jakby tak się wykazała tą legendarną, kobiecą intuicją, toby się mogła przecież zorientować, ile treści upakował między wierszami, prawda? Niestety nie zorientowała się. Albo więc legenda jest nieco przereklamowana, albo on powinien być nieco bardziej subiektywny, albo... no cóż, albo ona w żaden sposób nie jest nim zainteresowana. Albo też wszystko naraz.

Mateusz tępo spojrział na wyświetlacz telefonu, po czym westchnął głęboko i rzucił urządzenie w róg kanapy, na której siedział. Nie było, rzecz jasna, żadnej sąsiadki, wymyślił ją, żeby zagrać Kaśce na nerwach i sprowokować do jakiegoś ruchu. Nie udało się. Znowu się nie udało. Znowu jak zwykle się nie udało. I tak już chyba zostanie, niech to jasna cholera!

9.

Poniedziałek był zdecydowanie ciężkim dniem. Poniedziałki w ogóle z definicji stanowią wyzwanie, są jak zimny prysznic po weekendzie, są jak pudełko lodów wyciągnięte z zamrażarki, gdzie człowiek zagląda do środka, a tam koperek. We wtorek po południu człowiek zaczyna się przyzwyczajać do cotygodniowego kieratu, w środę patrzy już z lekką nadzieją w kierunku kolejnego weekendu, w czwartek daje się już wyraźnie wyczuć zapach nadchodzącego odpoczynku, o piątku nawet nie ma sensu wspominać, ale poniedziałki to... to poniedziałki, ot co.

A jeśli człowiek w poniedziałek zalicza swój pierwszy dzień pracy, to jest to szczególnie trudne. Jeśli natomiast miejscem tej pracy jest knajpa, w której nikt nie daje taryfy ulgowej, bo bez przesady, to że się jest nowym pracownikiem, nie oznacza, że można w związku z tym liczyć na jakieś fory, nawet jeśli jest to pierwsza praca w życiu, wtedy naprawdę można się poczuć zmęczonym.

Katarzyna się czuła. Cały dzień spędziła na myciu garów i sprzątaniu kuchni, bo tylko na to jej na razie pozwolono. Przy okazji jej „opiekun” wprowadzał ją w arkana życia restauracyjnego i wymalował przed jej oczami wizję czegoś między obozem zagłady a kolonią karną. Ogólnie było więc beznadziejnie, zapiernicz niemożliwie, żadnego poszanowania dla poszczególnych jednostek, szef to świnia (a ponieważ to facet, więc świnia podwójna), a robota jest beznadziejna. Katarzyna zapytała, dlaczego więc „opiekun” pracuje tutaj od lat – ilu, mówileś? A tak, pięciu – i nie szuka innego miejsca, a przecież trudno powiedzieć, by we Wrocławiu był jakiś wybitny problem z pracą. Pytanie zamiast odpowiedzi doczekało się spojrzenia, które – jeśli wzrok mógłby zabijać – byłoby odpowiedzialne za masowe wymieranie gatunków.

– To nie takie proste, jak ci się wydaje – rzekł w końcu restauracyjny mentor.

Katarzyna pomyślała, że życie w ogóle okazuje się trudniejsze, niż się to na początku wydawało, ale takie już jest i to do siebie ma. Ona nie uważa jednak, żeby narzekanie na wszystko i wszystkich posuwało cokolwiek do przodu. Zachowała jednak tę uwagę dla siebie, przeczuwając, zapewne słusznie, że nie spotkałaby się ona z należyтым zrozumieniem.

Tak czy inaczej, skoro z definicji miało być strasznie, jej nowy, starszy kolega starał się za wszelką cenę udowodnić, że właśnie tak jest, przy czym, trzeba mu przyznać, okazał się niezwykle kreatywny i dysponował naprawdę bogatym repertuarem metod. Od kąśliwych uwag, poprzez miganie się od pomocy, wprowadzanie w błąd, podśmiewanie się, po zwalanie na barki Katarzyny wszystkiego, z czego sam miał się wywiązać. Czy protestowała? Trochę protestowała, ale Kaśki nie można było nazwać rekinem asertywności, a i fakt, że za bardzo nie wiedziała, co można, a czego nie, robił swoje.

Po ośmiu godzinach (z hakiem) odwiązała fartuch, zabrała swoje rzeczy, wyszła na bruk jednej z niedalekich rynku uliczek i zastanawiała się, czy rzeczywiście nowy obiektyw jest tego wszystkiego wart. I czy na pewno go potrzebuje. Wieczne słońce przykrywało fasady budynków złotą poświatą jak drogocenną tkaniną, igrało z okiennymi szybami, stroiło żarty kominom, przeciągało się jak leniwy kot na dachach. Ludzie dwójkami i większymi grupami szli zatopieni w rozmowie, a światło tańczyło między nimi, nic sobie nie robiąc z nieuchronnie zbliżającego się zmierzchu.

Widok zrelaksowanego, wyluzowanego miasta, które zrzuciło z siebie swoje codzienne obowiązki, był na tyle kojący, aż Katarzyna pomyślała, że tak naprawdę pierwszy dzień w nowej pracy mógł być zdecydowanie gorszy (a nie był) i na dobrą sprawę mogłaby w ogóle pracy nie mieć (a ma i nie miała problemu, by ją znaleźć), a wtedy już na pewno nie byłoby widoków na nowy sprzęt (a przecież były). Odetchnęła więc głęboko i od razu jakoś poczuła się lżej.

Postanowiła, że zamiast pójść prosto do domu, uda się w stronę rynku i obejdzie go sobie dookoła. Bo tak. Kurtyny wodne igrające z promieniami słonecznymi i rozstawione koło ratusza zawsze są malownicze, warto więc je sfotografować i wrzucić na Instagram, nawet jeśli dysponuje się w tym momencie jedynie telefonem komórkowym. No i fontanna. Zawsze można rzucić na nią okiem pod nieco innym kątem niż przez ostatnie sto sześćdziesiąt trzy razy.

Kaśka, przekonana już do swoich planów, wyszła z cienia kamienicy, stanęła na środku uliczki i popatrzyła prosto w słońce, pozwalając, by ją oślepiło. Następnie odwróciła się i... zderzyła się z Mateuszem.

– O, przepraszam... – zaczęła, po czym go poznała. – Mateusz? A co ty tu robisz?

Mateusz bardzo skutecznie udął bezbrzeżnie zaskoczonego i całkiem szczerze się ucieszył.

– O, cześć! Właściwie ciężko powiedzieć, co robię. Prościej, czego nie robię. Na pewno się nigdzie nie spieszę, a ty?

– Ech... – Kaśka westchnęła ciężiej, niż chciała. – Właśnie skończyłam pracę i jestem wykończona.

– Tu w Pyszocie?

– Tak. Zaraz, zaraz, skąd wiesz?

– Sama nam mówiłaś, nie pamiętasz?

– Ach, tak, faktycznie. Zupełnie zapomniałam.

– I jak? Pysznie było?

Kaśka prychnęła pogardliwie.

– Nieszczęśliwie. Raczej potężny zakalec. Albo coś przeterminowanego. Szczerze mówiąc, nawet nie chce mi się o tym rozmawiać.

– Jakoś mnie to nie dziwi. Idę w stronę rynku, a ty? – Mateusz zmienił nagle temat.

– Ja właściwie też. Nie po drodze mi, ale pomyślałam sobie, że w końcu jest na czym oko zawiesić, to i zawieszę.

– No to chodźmy – zakomenderował chłopak i nie czekając na reakcję, odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie.

– Zaraz, zaraz. – Dogoniła go Kaśka. – Jedna rzecz mnie zastanawia – rzekła, idąc ramię w ramię z klasowym kolegą i kompanem od piwa. – To dziwne, że akurat pojawiłeś się tutaj wtedy, kiedy ja skończyłam pracę. Świat jest pełen zaskakujących przypadków.

– Och, to żaden przypadek – odparł Mateusz, patrząc przed siebie i sadząc długie kroki. – Przez trzy godziny stałem w pobliżu i monitorowałem drzwi, żeby niczego nie przegapić i w kulminacyjnym momencie rozścielić przed tobą czerwony dywan.

Kaśka wybuchnęła perlistym śmiechem.

– Ty to jednak zgrywus jesteś! Jak coś palniesz, to można się nogami nakryć. A poważnie?

– A poważnie to wszystko jest przypadkiem. Taki po prostu przypadkowy przypadek się trafił. Świat to, wiesz, nic pewnego. Jediną pewną rzeczą w życiu jest zmienna.

– O rany, już wolę, jak żartujesz, niż jak uderzasz w takie wysokie tony.

– Teraz też żartuję, choć zgoda, jest to żart sarkazmem podszyty. No dobrze, zostawmy to. Co zamierzasz zrobić w rynku?

– A coś trzeba zrobić? Nic nie zamierzam. Chcę się po prostu przejść i odpocząć. A ty?

– Ja też. To znaczy, ja nie mam od czego odpoczywać, ponieważ objam się od rana do wieczora i leżę kołami do góry, ale w ramach kreatywnego lenistwa chętnie się z tobą przejdę.

Kaśka pokręciła głową, ale i uśmiechnęła się pod nosem.

– Ja nie wiem, ty to wstydu nie masz. Ktoś harował cały dzień, a ty otwarcie mówisz, że się objasz.

– To prawda.

– Że się objasz?

– Że nie mam wstydu.

Dziewczyna znów wybuchnęła śmiechem. Nie było możliwości, żeby brać na poważnie to, co mówi Mateusz, ale nie da się ukryć, że dzisiaj rozmawiało się z nim naprawdę dobrze. Przeszli przez Więzienną, skręcili, a krótko potem szli już Kuźniczą. O tej porze dnia była wyjątkowo ludna. Ogródki piwne rozrosły się po obu stronach ulicy. Minęli słynny antykwariat, spojrzeli na krokodyla z uczeponym do pyska balonikiem, który po drugiej stronie ulicy już od wielu lat sygnalizował, że w tym właśnie miejscu działa teatr Kalambur.

Szli wśród zabytkowych, odrestaurowanych kamieniczek i w końcu znaleźli się na zalanym wieczornym słońcem rynku. Wieża kościoła garnizonowego odcinała się na tle złotego nieba ciemną, majestatyczną strukturą. Gwar rozmów, śpiew wystających w różnych punktach rynku artystów, popisy kuglarzy, performerzy próbujący zainteresować przechodniów swoimi wyczynami, ludzie szczerlnie wypełniający kawiarniane ogródki, stada wycieczek przemierzające rynek wzdłuż i wszerz, jakaś mała demonstracja obok średniowiecznego pręgierza – ot, w sercu Wrocławia toczyło się zwyczajne, wieczorne życie. Kurtyny wodne działały pełną parą, przechodzący przez nie ludzie głęboko wciągali powietrze do płuc po zażyciu ochłody, a dzieci piszczały z uciechy, mocząc się od stóp do głów.

Katarzyna wyciągnęła swojego wysłużonego iPhone'a i zaczęła robić zdjęcia wszystkiemu, co działo się na rynku.

– Mnie cyknij! – zawołał w pewnym momencie Mateusz, po czym przebiegł przez tryskającą w górę wodę i stanął za wodną ścianą złożoną z miliardów drobnych kropelek.

Jego sylwetka utraciła szczegóły, ale zyskała na tajemniczości. Chłopak stał trochę za

kurtyną, przetrenował kilka pól, po czym wrócił do Kaśki.

– Pokaż – poprosił. – No, no, masz oko. Świetnie będzie wyglądać przerobione na czarno-białe.

Kaśka wpatrywała się przez chwilę w ekran smartfona.

– Masz rację – przyznała. – Masz artystyczną duszę, Mati.

– Oj tam, oj tam. Po prostu jestem pokrecony! – zawołał i wskoczył w kałużę, ochlapując kilka osób dookoła.

Szli wzdłuż północnej ściany rynku w stronę kościoła garnizonowego i kamieniczek Jaś i Małgosia. Minęli kultowy już klub PRL, a także rozległy gmach ratusza i ich oczom ukazała się słynna wrocławska fontanna, wieczna inspiracja fotografów profesjonalnych i amatorskich miłośników kadrów.

Mateusz od czasu do czasu pokazywał Katarzynie coś ciekawego i namawiał ją do uwiecznienia sytuacji. Sam też wyciągnął telefon i fotografował równie zapamiętałe. Pokazywali sobie nawzajem najświeższe kadry, wymieniali się uwagami, żartowali i dyskutowali, a Katarzyna ze zdumieniem odkryła, że świetnie się dogadują. Kto by pomyślał, że ten świrus i kandydat na profesjonalnego opoja, przesiąknięty cynizmem jak gąbka, nieobecny i nierozumiany, którego nikt o zdrowych zmysłach nie traktował serio, będzie takim fajnym kompanem.

Dziewczyna zaczęła nawet myśleć o tym, czyby nie zaprosić go na któryś wypad do parku i wtajemniczyć w arkana swego hobby. Ciężko jednak było jej wyobrazić sobie Mateusza niemówiącego nic (nic!) i w skupieniu wyczekującego (wyczekującego! Litości!) na skrzydlatych przedstawicieli fauny, nieraczącego otoczenia swoimi sarkastycznymi uwagami, co do których człowiek nigdy nie miał pewności, czy się nimi przejąć, czy najlepiej nie zwracać uwagi.

Minęli fontannę, skutecznie konkurującą o palmę pierwszeństwa wśród fotografowanych obiektów z katedrą, przyczaili się na dwa lub trzy spizowe krasnoludki[7], przystanęli na chwilę pod piwiarnią Spiz, podeszli pod pomnik Aleksandra Fredry, gdzie Mateusz znów zapozował do kilku kompletnie zwariowanych zdjęć, przeszli obok Piwnicy Świdnickiej, opuścili rynek koło najbardziej obleganej, całodobowej poczty i przez ulicę Oławską wyszli na plac Dominikański. Chwilę postali przed przejściem podziemnym, po czym Katarzyna oznajmiła, że było jej bardzo miło, ale ona już sobie pójdzie, więc do zobaczenia.

– Ale jak to już idziesz? – Mateusz szczerze się zdziwił.

– A jak sądzisz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Kaśka. – Pół dnia w pracy, padam na pysk. A myślałeś, że co teraz będzie?

Chłopak przez chwilę przyglądał jej się i w Katarzynie zakiełkowało przekonanie, że coś jest nieco inaczej, niż zwykle było, oraz że pewne kwestie wyraźnie umykają jej uwadze, choć nie powinny. Po chwili Mateusz jakby się otrząsnął i odpowiedział, wydawałoby się, zupełnie beztrąsko:

– Nie, nic, nic. Po prostu fajnie było i tyle. – Wzruszył ramionami. – Faktycznie, późno się robi, pora spać. Żeby tak człowiek mógł pospać do południa, ale niestety nie może.

– Ja nie mogę, ale ty?

– Ja też nie. Kac wyrywający cię z łóżka o szóstej nad ranem to nic przyjemnego.

– To efekt sąsiadki? – spytała z przekąsem Katarzyna, choć chwilę wcześniej zupełnie nie miała takiego zamiaru.

– Jakiej sąsiadki?

– Tej z medycyny, o której mówiłeś.

– Ach, no tak, rzeczywiście. Ostra jest, nie daje żadnych szans.

– No tak, to faktycznie kiepska sprawa. Życie bywa ciężkie, prawda? – Kaśka ku swemu

zdziwieniu wyczuwała narastającą w niej złość.

Mateusz poczuł się jakby nieswojo.

– O co ci chodzi?

– O nic.

– O coś chodzi, nie zmylisz mnie.

– O nic nie chodzi – zachnęła się Kaśka już wyraźnie wściekła. – Każdy ma w życiu jakieś priorytety. Ty lubisz sobie wypić i pomacać panienkę, a ja zapieprzam na zmywaku, bo zbieram na obiektyw. Taki mam kaprys. Wybacz więc, ale na tym skończymy i ja sobie pójdę w lewo, do Hali Targowej, a ty, o ile się nie mylę, dokładnie w przeciwnym kierunku. Miło było. Cześć!

Odwróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem, rezygnując z przechodzenia na drugą stronę ulicy.

Mateusz stał i patrzył bezbrzeżnie zdumiony nagłym zwrotem akcji. Znowu coś spieprzył. Miał ogromną ochotę pobiec za Kaśką, chwycić za ramię i siłą zatrzymać w ramionach, wykrzykując do niej czułe słowa, które wzbierały w nim od tak dawna. Chciał wrzeszczeć, żeby stanęła, obejrzała się, bo on szaleje na jej punkcie i zupełnie nie potrafi tego okazać. Czuł, że powinien, że musi coś zrobić, działać, bo właśnie jakaś ulotna rzeczywistość przecieka mu przez palce. Tak bardzo zależało mu wcześniej na ukryciu swoich uczuć w obawie przed ośmieszeniem, że zabrnął w ślepą uliczkę, zablądził w jakimś dziwnym labiryncie własnych doznań i zorientował się, że zupełnie nie może znaleźć drogi na zewnątrz, choć wydawało mu się wcześniej, że nie ma nic prostszego. Miał wrażenie, że betonowa kostka przy przejściu podziemnym postanowiła trzymać jego buty z całych sił, by nie mógł drgnąć. Nie drgnął więc i jedynie patrzył, jak jego nadzieje dają się porwać podmuchowi wiatru niczym nic nieznaczące, bezsilne babie lato. Niechby chociaż odwróciła się i spojrzała na niego, nawet z gniewem. Tylko niechby się odwróciła!

Katarzyna zdecydowanym krokiem podążała w kierunku Hali Targowej z zamiarem jak najszybszego jej minięcia, przekroczenia Odry, dotarcia na wyspę Piasek, plac Bema, ulicę Poniatowskiego i w końcu na Oleśnicką, gdzie czekał na nią jej azyl, miejsce, w którym czuła się bezpiecznie. Była wściekła. Dała się nabrać. Już, już myślała, że wbrew pozorom Mateusz jest człowiekiem, z którym... no, może nie wybiegajmy myślami w tak odległe rejony, nie człowiekiem, z którym można by się spotykać, żadną miarą, uchowaj Boże, ale... myśleć podobnie na te same tematy, ot co. Już, już tak myślała, ale on oczywiście musiał okazać się płytkim dupkiem, który chce się wyłącznie nachlać, zabawić i ma kompletnie gdzieś to, że ktoś pracuje, ma obowiązki i nie może sobie tak po prostu bimbać jak on.

Przez chwilę miała ochotę obejrzeć się i spiorunować go na odchodnym wzrokiem, żeby się nogami nakrył lub coś w tym guście, szybko jednak zganiła samą siebie za ten pomysł. A co będzie, jeśli ona się obejrzy, a jego już tam nie będzie? Ona wykona jakiś idiotyczny gest, a on ten gest będzie miał w głębokim poważaniu i kiedy ona będzie pracowicie spopielać go spojrzeniem, on, niczego nieświadomy, będzie sobie szedł ulicą w zupełnie przeciwnym kierunku, nucąc (tak, na pewno nucąc!) coś pod nosem? Nie wybaczyłaby sobie tej kompromitacji. Nie można do tego dopuścić, dlatego na wszelki wypadek nie odwróci się i koniec.

Szła więc, niemalże biegła, tak intensywnie wpatrując się przed siebie, że gdyby spojrzenie miało moc przepoławiać rzeczywistość na dwie części, Mojżesz westchnąłby z zazdrością i uznaniem, stojąc przed otwartymi wodami Morza Czerwonego.

[7] Pisząca te słowa rozmawiała niegdyś z pewnym mieszkańcem Poznania (pozdrawiam Poznań!), który postawił sobie za cel zlokalizowanie wszystkich wrocławskich krasnali. Czy faktycznie nie przepuścił żadnemu, tego nie wiadomo, fakt faktem, że w momencie rozmowy przyznał się do fotograficznego ustrzelenia osiemdziesięciu siedmiu, co jest wynikiem imponującym. Większość wrocławian prawdopodobnie nawet nie przypuszcza, że pogłowie symbolu miasta stało się tak liczne.

10.



– Kaśki dzisiaj nie będzie? – spytała Ola, siedząc na stopniach tarasów przy bulwarze Dunikowskiego, całą swoją energię (poza zadaniem pytania) przeznaczając na pacyfikację gigantycznej lodowej kanapki.

Było sennie, upalne, sobotnie popołudnie. Wbrew temu, czego można byłoby się spodziewać, ulice Wrocławia świeciły pustkami, a przez tarasy ludzie bardziej przemykali w poszukiwaniu cienia, niż zostawali, by delektować się widokiem rozległego cielska Odry i Ostrowa Tumskiego zlokalizowanego na drugim brzegu rzeki.

Nie, to nie był dzień na wylegiwanie się na tarasach, to nie był nawet dzień na zażywanie słonecznych kąpeli. Słońca Wrocław miał serdecznie dość. Upały zmieniły miejskie trawniki w namiastki krótko przyszczyżonej sawanny, krótkotrwałe i gorące podmuchy wiatru biorącego się znikąd (całkowity brak chmur na niebie przypominał, że deszcz nie wchodzi w grę) wzbijały z chodników i ulic tumany kurzu, wyziewy z rur wydechowych niezliczonych samochodów przeciskających się przez wiecznie zakorkowane miasto w połączeniu z pyłem przykrywały miasto warstwą smogu, szczelną niczym najlepsza szklarnia.

Ola, Aśka, Gregorio i Patryk jako jedni z nielicznych wydawali się nic sobie nie robić z morderczych upałów. Siedzieli w pełnym słońcu na rozgrzanych tarasach i jedli dopiero co kupione w Hali Targowej lody. Ola jak zwykle kupiła te możliwie największe.

– No co jest? Co tak milczycie? Kaśki nie będzie? – powtórzyła pytanie.

– Kaśka pracuje – odpowiedziała jej Aśka i niby od niechcienia zepchnęła z ramion wąziutkie ramiączka koszulki, pozwalając, by materiał opierał się wyłącznie na biuście. Obserwowała przy tym uważnie reakcję Patryka i z satysfakcją przyjęła, że jest ona dokładnie taka, jakiej się spodziewała.

– Oj tam, pracuje, teraz już nie pracuje, dzisiaj skończyła wcześniej. – Ola siorbnęła

intensywnie, zapobiegając niekontrolowanemu wyciekowi czekolady spomiędzy dwóch mocno już rozmiękłych wafelków. – Nie chciała się z nami spotkać?

– Pewnie siedzi w parku – podsunął cicho Gregorio, jak zwykle nieśmiały i pozostający na pozycji obserwatora.

– Na pewno nie siedzi w parku – odparła Aśka.

– To gdzie jest? Przed chwilą mówiłaś, że pracuje. Ty coś wiesz! – ożywiła się nagle Olka. – Gadaj! Gadaj, jeśli ci życie miłe!

– Chciałem dyskretnie zaznaczyć, że nie ma też Mateusza – mruknął rozleniwionym głosem Patryk i na dobre ulokował wzrok na Aśce, a konkretnie na tym jej fragmencie, który pozostawał skryty pod ledwo trzymającą się bluzeczką, przy czym żadna dodatkowa warstwa (typu biustonosz) między ciałem a bluzeczką – Patryk był tego absolutnie pewien – nie istniała.

– Czyżbyś coś sugerował? – Ola zastrzygła uszami.

– Nie wiem, nie wiem – odpowiedział Patryk, starając się nadać swoim słowom otoczkę tajemniczości. – Ja tylko stwierdzam fakty.

Aśka wyciągnęła nogi i podciągnęła możliwie jak najwyżej spódnicę, która normalnie sięgała jej do kostek, ale teraz ledwo zakrywała uda.

– Jakże tam stwierdzasz, jakie fakty? Interpretujesz rzeczywistość i to na dodatek zupełnie błędnie.

– No nie, ty naprawdę coś wiesz! – wykrzyknęła Ola, przejęta do granic możliwości. – Jak zaraz nie opowiesz, to oszaleję i zrobię komuś krzywdę. Na przykład tobie.

– Dobra, dobra, ale wszystko zostaje między nami – Aśka ustąpiła w końcu.

– No przecież! – prychnęła Ola i spojrzała na Patryka i Gregoria, a ci gorliwie pokiwali głowami. – Dajesz!

Aśka westchnęła i odrzuciła włosy z ramion (co było gestem wielokrotnie ćwiczonym w pokoju przed lustrem i gest ten, trzeba przyznać, doprowadziła do perfekcji, jako że praktyka czyni mistrza).

– Jej Wysokość Kasienda się zakochała.

Ola przewróciła oczami.

– No toś pojechała. Rzeczywiście mało kto wpadłby na to. Szok i niedowierzanie. I to ma być ta rewelacja?

– Ale czekaj, nie przerywaj. Zakochała się w gościu z portalu randkowego. Nie przychodzi do nas, bo siedzi z nim na czacie – Aśka zakończyła i powiodła triumfalnym spojrzeniem po reszcie towarzystwa.

Nikt się nie odezwał i wszyscy wpatrywali się w nią, jakby spodziewali się dalszego ciągu, który z niewiadomych przyczyn nie nastąpił.

– No i? – odezwała się w końcu Olka.

– Siedzi z nim na czacie – powtórzyła Aśka, akcentując wyraźnie ostatnie słowo.

– No i? – powtórzył pytanie Patryk.

Tym razem to Aśka przewróciła oczami.

– Oj, ludzie, zupełnie nie słuchacie tego, co mówię. Nie w parku, nie w knajpie, nawet nie w łóżku. Siedzi z nim na CZACIE.

– Oj, Boże. – Patryk wydawał się rozczarowany. – Pewnie gość nie jest z Wrocławia. Może z nim siedzieć albo na czacie, albo na Facebooku.

– On nie ma konta na Facebooku – powiedziała stanowczo Aśka. – I jest z Wrocławia.

Ola dokończyła pastwienie się nad lodowym wafelkiem, jeszcze raz siorbnęła głośno (i zupełnie się tym nie przejęła), po czym sięgnęła do torebki i wyjęła chusteczki nawilżane, które miała zwyczaj zawsze nosić przy sobie.

– No dobra, powiedzmy, że to do Kasiendy podobne, ona zawsze podchodzi do sprawy jak pies do jeża. Chce siedzieć na czacie, to siedzi na czacie, pal sześc, woli platonicznie. Nie ogarniam, ale dobra, jej sprawa. Powiedz chociaż, jak gość wygląda, to sama na tym czacie siądę i też porandkuje. Może lubi trójkąty? – Ola roześmiała się perliście, niezmiernie zadowolona z własnego dowcipu.

– Nie wiem, jak wygląda – odparła Aśka.

– Nie powiedziała ci? – wtrącił Patryk.

– I tu dochodzimy do sedna. Nie powiedziała mi, bo sama nie wie.

Ola zastygła z chusteczką w ręce i przestała usuwać ślady lodowej zbrodni. Patryk wpatrywał się w Aśkę, jakby chciał ją przeświecić na wylot, i nawet milczący Gregorio, do tej pory uparcie wpatrzony w rzekę, wychylił się zza Patryka i zawiesił na Aśce spojrzenie.

– Jak to nie wie? – zapytał Patryk.

– No nie wie – westchnęła Aśka. – Gość nie zapodał żadnej fotki, nawet najmniejszej.

– To skąd wie, czy to nie jest jakiś czterdziestoletni pierdziel?! – prychnęła Ola.

– Cześć, Kasiu, jestem Wojtek, też mam dwanaście lat – Patryk piskliwym głosem zacytował tekst z popularnej niegdyś kampanii społecznej dotyczącej bezpieczeństwa w sieci.

– Żebyście ją słyszeli – westchnęła Aśka. – Nawiedzonym głosem mówi o połówkach pomarańczy, komunii dusz. Serio tak powiedziała: komunია dusz. Że rozumie go doskonale, a on ją, że wie, co napisze, zanim on to faktycznie napisze, że on podziela jej pasję, że gadają, a właściwie piszą do siebie godzinami, że ciągle o nim myśli i nie może bez niego żyć, że idzie do pracy, a po pracy od razu leci do komputera i znowu z nim gada. Wszystko pięknie, tylko że go jeszcze nie widziała na oczy.

Grupa trwała przez chwilę w milczeniu i przetrawiała usłyszane rewelacje. Aśka raz po raz odrzucała włosy z ramion i starała się jeszcze bardziej wyciągnąć na betonowym tarasie, Patryk kontemplował ten widok i zdawał się zatapiać w nim bezgranicznie, Gregorio, jak zwykle milczący, wpatrywał się w rzekę, gdzie przepływał właśnie jeden z licznych statków wycieczkowych, które w porze wiosennej i letniej stanowią niemałą atrakcję turystyczną, więc kursują obładowane po brzegi amatorami wodnych wrażeń. Dokładnie naprzeciw, po drugiej stronie Odry, katedra Świętego Jana Chrzciciela wznosiła się majestatycznie i niezmiernie od kilkuset lat, obojętna na głupawe sprawy maluczkich.

– To w czym jest problem? – zapytał w końcu Patryk. – Dlaczego on nie chce się z nią zobaczyć?

– Dobre pytanie – odparła Ola. – Cholernie dobre pytanie.

Statek przepływający obok nich wybrał właśnie tę chwilę, by zatrzeć i w ten sposób zasygnalizować donośnie swoje istnienie. Spojrzeli w tamtym kierunku. Spora grupa Japończyków wychylała się przez burtę i entuzjastycznie machała im rękami, po czym wszyscy zgodnym ruchem, jakby tworzyli jeden wielonogi i wieloręki organizm, wymierzili w nich aparaty fotograficzne.

11.

Dlaczego nic nie może być tak, jak powinno? Dlaczego wszystko zawsze musi się komplikować? Człowiek chce po prostu mieć życie proste, normalne i w miarę możliwości szczęśliwe, ale zawsze musi wydarzyć się coś takiego, co weźmie i obróci świeżo zbudowany i jako tako się trzymający porządek w ruinę. Dlaczego? Dlaczego nie można prostą drogą zmierzać w kierunku „i żyli długo i szczęśliwie”?

I dlaczego ona, Kaśka, nie może tak zwyczajnie się zakochać w normalnym chłopaku, tylko albo spotyka jakichś świrusów, albo ci, którymi się interesuje, bardzo intensywnie interesują się... kimś innym. Oła, no dobra, wpada w pokręcone związki, traktuje ludzi instrumentalnie i brutalnie porzuca, ale ona przynajmniej się z nimi SPOTYKA. Spotyka w sposób taki, w jaki ludzie zwykli to czynić, do diaska. Czyli chodź, mała, potrzymam cię za rączkę. Dobra, jasne, że nie za rączkę, a już na pewno nie w przypadku Olki, ale wiadomo, o co chodzi.

Aśka, zakochana w Patryku z wzajemnością (z wzajemnością!), spotykająca się z nim potajemnie i utrzymująca tę tajemnicę z powodów wielce idiotycznych, a mianowicie, żeby się nikt nie dowiedział. Logiczne. Po co się tak czają, trudno powiedzieć, ale przynajmniej też się widują (widują!) i też nie trzymają się za rączki.

Gregorio... Dobra, zostawmy Gregoria, to jakaś inna kategoria człowieka, ale gdyby chciał, toby mógł.

Mateusz... Z nim to nic nie wiadomo. Czasami wydawało się Kaśce, że zwyczajnie ją podrywał i przypadkowe spotkanie traktował jak długo wyczekiwaną randkę, ale potem rzucał jakimś tekstem, który z miejsca ustalał właściwy porządek rzeczy. Jaki to porządek? To chyba oczywiste – wyrwać jak najwięcej panienek jak najmniejszym kosztem, zanim się człowiek zaleje w trupa i będzie już kompletnie do niczego. Tak, po Matim można się spodziewać tylko

jednego. Płytki facet o prostych zapotrzebowaniach, który próbuje zgrywać nie wiadomo jaką chodzącą tajemnicę. Dramat.

A ona? Ona oczywiście wbrew wszelkim regułom przyrody i społeczeństwa nawiązała kontakt na portalu randkowym z człowiekiem, o którym nie ma pojęcia, jak wygląda. Ba, ten człowiek stał się jej bliski! Czy to jest normalne?! Nie, to w żadnym wypadku nie jest normalne i stwierdzi to każdy, kto by o tym usłyszał, dlatego na wszelki wypadek nie usłyszał nikt.

Poza Aśką, ale ona nikomu nie powie. Dlaczego nie powie? Bo wtedy Kaśka rozpowie wszystkim o jej schadzkach z Patrykiem, a Aśce zależy na utrzymaniu sekretu. No więc ona, Jej Wysokość Kasienda, nawiązała kontakt z facetem, o którym nie wie nic i którego jednocześnie ze wszech stron zna na wylot. To nie tylko nie jest normalne, to nie miało prawa się wydarzyć. To niemożliwe, by tak dobrze znać człowieka, którego... no, którego się nie zna.

I sama zaczęła. To ona zainicjowała rozmowę na czacie. Rozmowę, która trwała – OMG! – do białego rana. Dosłownie.

Kaśka zdrzemnęła się potem przez trzy lub cztery godziny i na trzynastą poszła do pracy, gdzie zebrała burę po całości, bo była kompletnie nieprzytomna. Nie tylko z niewyspania. Była całkowicie nieobecna duchem, lewitowała w zupełnie innym wszechświecie, myliła zamówienia, niedokładnie obsługiwała klientów, trzeba było ją popędzać i ponaglać, żeby zechciała się ruszyć i nie patrzyła cielecym wzrokiem w bliżej nieokreślony punkt, by łaskawie zabrała tacę i zaniósła ją do stolika, ale nie do tego, na litość boską, do tamtego pod oknem! Halo! Czy Kaśka to słyszy? Pod oknem i to już!

Ona, Katarzyna, zupełnie nieoczekiwanie przegadała całą noc z człowiekiem, który – no cóż, powiedzmy to, nie uciekajmy od tego – mógł być bardzo zgrabną swoją własną kreacją stworzoną na potrzeby Internetu.

Przegadała całą noc. I to jak przegadała! Mój Boże! Serce waliło jej jak młotem, przez całe ciało raz po raz przebiegały dreszcze. Nawet spojrziała na termometr, by upewnić się co do temperatury, ale tu nie dostrzegła żadnej niespodzianki. Nagrzana za dnia Oleśnicka oddawała teraz całe zgromadzone ciepło i nie chciało być mniej niż dwadzieścia trzy stopnie. W kraju, który jest położony za pięćdziesiątym równoleżnikiem! Masakra.

Było więc gorąco i sucho, a ona trzęsła się jak osika. Myśli wystrzeliwały z jej głowy jak pociski, błyskawicznie przechodząc przez palce na klawiaturę. Momenty olśnienia, zauroczenia, oświecenia rozbłyskiwały w jej umyśle niczym petardy. Nie chciało jej się jeść ani spać, a gdy późnym wieczorem wyszła w końcu na moment ze swojego pokoju i udała się do kuchni, by napić się wody, wzrok miała tak nieprzytomny, że jej ojciec wyraził zaniepokojenie i to wyraził je werbalnie, co mu się naprawdę rzadko zdarzało. Katarzyna porwała butelkę wody gazowanej i z powrotem zamknęła się w swojej twierdzy. Rozmowa płynęła.

Czy to możliwe, by dwie osoby rozumiały się tak idealnie i niemal bez słów? Czy to możliwe, by wyczuwać myśli drugiej osoby i po chwili, kiedy ona zamieni je w słowa, bez żadnego zdumienia przyjąć, że odgadło się je prawidłowo? Czy w ogóle natura dopuszcza takie przypadki, by dwie osoby były tak cudownie do siebie dopasowane, jak dwa puzzle w układance? Czy to nie jest zbyt piękne, by wydawało się prawdziwe?

Jest. Katarzyna doskonale zdawała sobie sprawę z rozmaitych sieciowych zagrożeń, ale jakaś nieodparta siła pchała ją w kierunku nieznanego człowieka i kazała wierzyć, być przekonaną, że instynkt w tym przypadku nie może się mylić i że po drugiej stronie nie czeka na nią żadne niebezpieczeństwo.

Wprost przeciwnie, gdzieś tam po drugiej stronie monitora siedzi skumulowane dobro. Dlaczego więc on nie zaproponował do tej pory spotkania? Po kilku dniach codziennych internetowych randek, kiedy wydawało się, że doszli do wprawy we wzajemnym odczytywaniu

swoich myśli, zapytała go, czy wyskoczą gdzieś razem, ale on odmówił. Delikatnie odmówił, fakt, ale jednak. Zaraz, jak to powiedział? Że zależy mu na tym, żeby stał jej się bliski, tak naprawdę bliski, zanim się spotkają. Żeby poczuła w głębi siebie, że tak szczerze, dogłębnie szczerze chce się z nim spotkać nie tylko ten jeden raz, ale i więcej. Nie ujawnił, dlaczego tak mu na tym zależy.

Czyżby w domyśle brzmiało „zawsze”? Nie, z pewnością nie, bez przesady. Dla niej, dla Kaśki, nie ma w tym momencie czegoś takiego jak „zawsze”. Ma dziewiętnaście lat, do diabła, na „zawsze” przyjdzie jeszcze czas. Teraz po prostu chciałaby poznać po raz pierwszy w życiu smak miłości nieplatonicznej i nie tej nieodwzajemnionej, do której już zdążyła przywyknąć, niech to szlag.

Czy oczekuje zbyt wiele? Trzymać się za ręce, poznać smak pocałunków... No dobra, nie tylko pocałunków, ale w końcu od tego się zaczyna, więc...

Kaśka położyła się na tapczanie, przez chwilę wpatrywała się w sufit, po czym nagle zerwała na równe nogi. Zaraz, zaraz. A jeśli on ma żonę? Może dlatego jest taki tajemniczy, że nawet nie zamieścił swojego zdjęcia na portalu? Może dlatego tak odwleka spotkanie i flirtuje sobie z nią na odległość, bo za ścianą gotuje mu obiad jego szanowna małżonka, a pod jej nogami kręci się trójka dzieci? Może znalazł sobie odskocznnię od życia codziennego w postaci naiwnej nastolatki, z którą wymienia inspirujące myśli i to mu wystarczy, żeby zneutralizować utyskiwania żony?

Co z tego, że napisał, że ma dwadzieścia lat? Ona mogła napisać, że ma dwadzieścia sześć! Wszystko można napisać, Internet jak papier wszystko przyjmie.

Nie, dość tego, musi to wyjaśnić! Dłużej tak nie wytrzyma! Już ileś tam dni gadają godzinami, zdążył się chyba przekonać, że jej na nim zależy. Czas, żeby sam się określił, żeby dał ostatecznie i jasno znać, że jemu zależy na niej. Jak to było? Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli, czy jakoś tak. Niech w końcu, do licha, pokaże, jaki jest naprawdę, kim jest, jak wygląda. Jest skłonna zaryzykować i spotkać się z nim, gdziekolwiek będzie chciał. Po prostu zmusi go do tego i koniec.

Postawi mu ultimatum: albo zobaczy go wreszcie twarzą w twarz, albo koniec randek. Jak tylko o tym pomyślała, doszła do wniosku, że wyraz „koniec” nie przejdzie jej przez gardło, ale po chwili wściekłość wzięła górę. Dосkoczyła do komputera, odpaliła czat, po czym szybko, gubiąc litery, drżącymi rękami wpisała wiadomość:

Zaczynam wątpić, że naprawdę Ci na mnie zależy i odnoszę wrażenie, że się ze mną bawisz. Piszemy do siebie na tyle długo, że mogłeś się przekonać, jak jesteś mi bliski. Podaj miejsce i termin spotkania. Przyjdę. Inaczej...

W ostatniej chwili zrezygnowała z „inaczej”, wykasowała wyraz i postanowiła wysłać wiadomość tak, jak jest. Kliknęła odpowiednią ikonkę i szybko zamknęła laptop. Spojrzała na zegarek – była dziewiąta rano. Ojciec już zdążył wyjść do pracy, cicho zebrał się, nie mając świadomości, że ona od dawna wcale nie śpi, nie musi więc się starać, by zachować ciszę.

Dzisiaj przypadał jej dzień wolny. Doszła do wniosku, że nie usiedzi na miejscu i postanowiła udać się w zaniebawanym ostatnio kierunku, czyli do parku Szczytnickiego. Plan był prosty: wyżyć się fotograficznie. Uznała, że wściekle tego potrzebuje. I to do oporu, ile się tylko da. Zacznie już teraz, natychmiast. Zgarnie do plecaka coś, co można by od biedy uznać za jedzenie (wszystko jedno co, byle jej się żołądek nie przykleił do kręgosłupa), posiedzi sobie na swoim ulubionym drzewie, póki ostatecznie nie przegra z upałem. Potem wróci do domu, przygotuje jakieś szybkie i proste obiadowe żarcie dla siebie i ojca (niech ma coś z życia),

a potem znowu wyskoczy na bezkrwawe łowy. Błyskawicznie spakowała sprzęt fotograficzny, wzięła z kuchni dwie suche bułki i niewielką butelkę wody gazowanej, zabrała czapkę z daszkiem i już jej nie było. Nic tak nie uspokaja, jak poświęcenie czasu na coś wartościowego, a ona już od dawna nie robiła tego, co jej przecież dawało tyle frajdy. Poza tym to świetna okazja, by poukładać sobie wszystko w głowie i gruntownie przemyśleć.

Skacząc po dwa stopnie, szybko znalazła się na parterze kamienicy i z chłodnej (choć cuchnącej) bramy wyszła na ulicę. Miała wrażenie, jakby znalazła się nie na ulicy, a na środku rozpalonej słońcem Sahary, gdzie temperatura powietrza z powodzeniem może konkurować z nagrzanym piekarnikiem.

Ruch na Poniatowskiego był już znaczny, jako że dla reszty społeczeństwa był to zwyczajny dzień roboczy, ale na Oleśnickiej nie stwierdziła żywego ducha.

Choć nie, po przeciwnej stronie ulicy szła niemłoda kobieta, pchając przed sobą wózek inwalidzki z dorosłym już chłopakiem, który z kolei trzymał na kolanach pokaźnych rozmiarów torbę z zakupami. Katarzyna zdążyła pomyśleć, że jeśli mieszkają w starym budownictwie i nie mają windy, musi być im ciężko i ogólnie to raczej mają przechlapane z racji potwornie krzywych chodników, wysokich krawężników i tego typu spraw, ale na dłuższą refleksję nie starczyło jej czasu, ponieważ rozległ się wyraźny odgłos tramwaju zbliżającego się do pobliskiego przystanku.

Katarzyna stwierdziła, że tym razem sobie podjedzie, jak na cywilizowany kraj przystało, a na pobliskim Dominikańskim złapie dwójkę lub dziesiątkę, bo kto bogatemu zabroni? Kto powiedział, że musi drałować na piechotę? Nie chce jej się! Nie patrząc już na nic, ruszyła biegiem i po chwili wsiadała już do jedenastki.

12.



Dudek! Takie rzeczy normalnie się nie zdarzają! Dudek siedział sobie spokojnie jak gdyby nigdy nic, zerkał czujnie dookoła i co jakiś czas lekko unosił ten swój imponujący czubek, jak przystało na godnego przedstawiciela rządu kraskowatych. Poranna część wypadu fotograficznego była na tyle uboga w zadowalające efekty działań, że Kaśka już, już prawie postanowiła, że podda się i część popołudniową po prostu sobie podaruje, teraz jednak gratulowała sobie podjęcia słusznej decyzji powrotu na drzewo. Złapać dudka obiektywem to rzadkość i wielkie święto, a złapać go w miejskim parku to święto podwójne, godne otworzenia cennego szampana.

Katarzyna szampana nie miała, ale nawet po butelkę wody bałaby się sięgnąć, bo obserwowany przez nią ptak siadł zadziwiająco blisko, jakby albo nie zdawał sobie sprawy z człowieka z obiektywem, albo wprost przeciwnie, pokazywał swoim zachowaniem, że wie doskonale, co się tutaj wyprawia, a on, gwiazda tego programu, łaskawie zgadza się na parę fotek ze strony paparazzich.

Dudek usiadł na gałęzi, wykonał kilka niespiesznych ruchów, po czym – i tu zachwył Katarzyny sięgnął niebios – zastygł niemal w bezruchu, z lekka tylko kręcąc głową, jakby dyskretnie skanował otoczenie w poszukiwaniu ewentualnego niebezpieczeństwa. Za takie nie uznał siedzącej na tej samej gałęzi dziewczyny, która ze strachem i sercem walącym jak młot zwolniła po raz pierwszy migawkę, a widząc, że nie wywołało to u ptaka gwałtownej reakcji (a ściśle rzecz biorąc, nie wywołało żadnej), pstrykała zawzięcie coraz to inne ujęcia, składając sobie w myślach wyrazy szczerego uznania za każdym razem, że od razu przymocowała do puszki swój najdłuższy obiektyw, czyli trzysetskę. Zbierała na jeszcze dłuższy, po to właśnie harowała w knajpie, cierpliwie znosząc bycie popychadłem.

Tymczasem siedziała jednak tu i teraz, na wielkim platanie, szykując się do historycznego

ujęcia i odcinając się od silnych emocji, które towarzyszyły jej w ciągu ostatnich godzin, ponieważ dudek przedreptał właśnie kilka kroczków w jej stronę, przez co wszystko inne w oczywisty sposób kompletnie przestało się liczyć. Zwolnienie migawki to ułamek sekundy, ale właśnie wtedy ptak zerwał się nieoczekiwanie i odleciał.

Katarzyna westchnęła. Niech to szlag. Ciekawe, co go spłoszyło. Zagadka nie kazała długo czekać na rozwiązanie, bo oto z dołu dało się słyszeć stłumione głosy i kobiecy śmiech. Chichot raczej, pomyślała Katarzyna, której odgłos ten dobrze był znany. Tak chichoczą te, które mają ochotę zrobić coś nietypowego, na przykład odsłonić cycki w miejscu publicznym, kiedy podejrzewają, że ktoś postronny mógłby to zobaczyć, ale właśnie ten fakt wywołuje w nich szczególnie dreszczyk podniecenia.

Para, która zmierzała do pobliskiej ławki, a potem na niej usiadła, wydawała się mieć właśnie takie zamiary. Miłosno-kopulacyjne. Seks w miejscu publicznym po południu to rzadkość, nawet na tak odludną część wielkiego miejskiego parku. Zazwyczaj należało zaczekać do wieczora (ale wtedy zdjęcia wychodziły niestety kiepskiej jakości), dlatego Katarzyna nie zdziwiła się, widząc, że wysiłki mężczyzny koncentrują się na ugniataniu piersi swojej partnerki, całowaniu jej i wkładaniu ręki do jej majtek.

Westchnęła ponownie, schowała sprzęt do plecaka i najciszej, jak tylko mogła, zsunęła się z drzewa. Popołudnie powoli przechodziło w fazę zaawansowaną, dlatego postanowiła jeszcze przez chwilę poprzyglądać się z parteru parze tak intensywnie zajętej sobą, starając się jednocześnie nie dopuszczać do siebie myśli, że i u niej samej obserwowanie przebiegu akcji wzbudza przyjemny dreszczyk emocji.

Para była młoda. Kasienda stanęła w dobrze sobie znanym miejscu, na tyle blisko ławki, by móc dostrzec wszelkie niuanse i szczegóły, ale też na tyle daleko, by pozostać osłoniętą przez okoliczne zarośla. Chłopak i dziewczyna, zupełnie nieświadomi obecności wścibskiej obserwatorki, poświęcali sobie nawzajem całą uwagę. Dziewczyna chichotała i rzucała od czasu do czasu jakieś „zwariowałaś, przestań, ktoś zobaczy”, co miało na celu zachęcenie chłopaka do dalszych wysiłków, czemu on poddawał się z godną szacunku domyślnością i robił to, czego od niego oczekiwano. Dziewczyna, niby to strącając jego ręce, wśród chichotania, rozsunęła nogi, by jej adorator miał ułatwione zadanie, z czego on skrzętnie skorzystał i pracował zapamiętale nad wzbudzaniem w swojej partnerce fal przyjemności. Katarzyna, podśmiewając się w duchu, przyłapała się na myśli, że właściwie to nie miałyby nic przeciwko temu, by choć raz znaleźć się w takiej sytuacji, jak obserwowana dziewczyna. Podglądanie trwało w najlepsze, kiedy nagle nad uchem usłyszała szept.

– Właśnie się zastanawiałem, czy cię tu znajduję.

Kaśka krzyknęła.

Para z ławki zerwała się i uciekła wśród wymówek dziewczyny, która mówiła mu przecież, że to niepoważne, bo ktoś zobaczy, a on nie słuchał i teraz, o, proszę, trzeba uciekać.

Tuż za jej plecami stał nie kto inny jak Gregorio. Jakimś cudem zdołał wpakować swoje wielkie ciało w stosunkowo niewielką przestrzeń między zaroślami a najbliższym drzewem i zrobił to na dodatek bez najmniejszego hałasu. No, chyba że to Katarzynę tak bardzo pochłonął kontemplowany przez nią widok, że wszelkie odgłosy umknęły jej uwadze.

Gregorio uśmiechał się przepraszająco, a zroszony potem loczek czarnych jak smoła włosów spadał mu niedbale na czoło. Mokre były zresztą nie tylko włosy, ale i reszta Gregoria, co szczególnie widać było po jego koszulce, zwłaszcza z przodu i w okolicy pach. Chłopak, jakby mając świadomość, że nie da się tego nie zauważyć, jeszcze raz się uśmiechnął i stwierdził:

– Upał nie sprzyja otyłym.

Katarzyna dopiero teraz się odblokowała i ze świstem wypuściła powietrze.

– Co ty tu robisz, na miłość boską?!

– To samo co ty.

– Oj, chyba nie to samo co ja.

– To prawda, nie DOKŁADNIE to samo, ale mniej więcej. Relaksuję się. Spaceruję. Włóczę się niezobowiązująco po parku i tak mnie jakoś tutaj zaniósł. Patrzę, a tu postać ukryta w krzakach. Podchodzę bliżej, a to ty. No więc podążyłem za twoim wzrokiem ciekawy, na co się tak zapatrzyłaś i dlaczego się chowasz. No i już wiem.

Dziewczyna stała bez ruchu z otwartą buzią i nie wierzyła własnym oczom i uszom.

– Gregorio...

– Tak?

– Ty mówisz.

– No pewnie.

– Nie o to chodzi. Ty mówisz dużo. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żebyś tyle powiedział za jednym razem.

– Och wiesz, zazwyczaj dojście do głosu oznacza przedarcie się przez hałas i wyrąbanie sobie przejścia łokciami. Leksykalnymi łokciami. Nigdy nie byłem w tym dobry.

– Nie, to prawda.

– Tutaj zaś jesteś tylko ty, a ciebie trudno nazwać osobą zawłaszczającą przestrzeń słowną.

– Gregorio, ja cię nie poznaję.

– Cóż, ludzie często wydają się inni, niż są w rzeczywistości. Nie każdy ma siłę i chęć zrywać przyklejoną łatkę.

– No tak.

Przez chwilę stali w milczeniu i lekkim zakłopotaniu, nie wiedząc za bardzo, co robić.

– Co teraz? – zapytała w końcu Katarzyna.

– Może się przejdziemy? Idziesz w stronę Grunwaldzkiego?

– Właściwie mogę iść.

– To chodźmy.

I poszli. Po spłoszonej parze nie było już najmniejszego śladu, alejki świeciły pustkami. Gdzieś w oddali dwie matki pogrążone w rozmowie szły krok za krokiem, pchając przed sobą wózki, gdzieś przebiegł też jakiś mocno zdeterminowany biegacz, na którym upał – niesłabnący mimo wieczornej pory – zdawał się nie robić żadnego wrażenia.

Kaśka i Gregorio szli obok siebie, nie odzywając się ani słowem. Wszystko, co niewypowiedziane, wisiało w powietrzu, grożąc nagłym oberwaniem i potokiem skumulowanych myśli.

– Jakieś ciekawe ptaki dzisiaj? – odezwał się w końcu chłopak.

– Och, wiesz, ta para to nie tak, jak myślisz... – gorąco zapewniła Kaśka.

– Ależ spoko, nie o parę pytałem, tylko o zwierzęta.

– Ach, no tak, cóż. Tak, parę fajnych zdjęć będę mieć.

Znów na jakiś czas zapadła cisza.

– Ale z tą parą to w sumie śmiesznie wyszło – podjął ponownie Gregorio.

– Więc jednak ta para...

– To ciekawe, że miłość potrafi człowieka dopaść z najmniej oczekiwanej strony.

– Wiesz, to nie tak, że ja podglądam... – zaczęła Kaśka, ale nagle urwała.

Poczuli, że Gregorio w jakiś sposób ją zrozumie i zapragnęła wszystko mu opowiedzieć, zrzucić z siebie brzemię tak długo noszone pod płaszczem milczenia. Nagle postanowiła mu się zwierzyć, ot tak, po prostu ze swoich rozterek, opowiedzieć mu o poczuciu samotności

i wyobcowania, o wiecznie nieodwzajemnionym zakochaniu, o obecnej sytuacji, w jakiej się znalazła, o potrzebie zwykłej, normalnej relacji między chłopakiem i dziewczyną, bez szaleństwa i uduwnień.

– Nie, zacznę jeszcze raz. Tak, oprócz fotografowania ptaków podglądam ludzi. Mam sporą kolekcję zdjęć pełnych miłości. Dużo miłości jest w moim życiu, ale zawsze dotyczy innych. Bo ja zawsze beznadziejnie się zakochuję. – Umilkła. – Przepraszam, to głupie – dodała po chwili.

– Skąd! Wcale nie głupie! – obruszył się Gregorio. – Czasem jest tak, że miłość jest gdzieś obok, tylko jej nie dostrzegasz. I musi być ten właściwy moment, kiedy ją zobaczysz i zorientujesz się, że to właśnie to.

Katarzyna prychnęła i ze złością kopnęła leżący na ścieżce kamień.

– Nic z tego nie rozumiem, Gregorio. Jakie dostrzegać, jaki właściwy moment?! Zakochałam się kolejny raz bardzo głupio. Tak głupio, że nawet nie wiem, jak wygląda facet, który mi się podoba! On nie chce mi pokazać swojej twarzy, zanim nie będę całkowicie pewna, że chcę się z nim spotkać. Wiesz, komunizm i takie tam bajery. Czy może być coś durniejszego? Czy można zakochać się jeszcze głupiej?!

Gregorio milczał przez chwilę. Właśnie mijali zlokalizowaną, wręcz ukrytą w parku pętlę tramwajową. Motorniczy stał przed kompletnie pustym pojazdem i palił papierosa, odprowadzając ich wzrokiem. Do odjazdu najwyraźniej zostało jeszcze trochę czasu i nie było sensu wygniatać siedzenia w kabinie, nawet jeśli była to klimatyzowana kabina w nowoczesnym wozie firmy Škoda.

– Można zakochać się jeszcze głupiej – odezwał się w końcu Gregorio.

– Och! – zachnęła się Kaśka. – No co ty nie powiesz?! To może ty tak potrafisz. Przebijesz mnie? Powiedz, Gregorio, co ty wiesz o dziwnej miłości? Jesteś w ogóle zakochany?

– Jestem – odpowiedział, puszczając mimo uszu cały ten wybuch.

– No i? – ponagliła Kaśka.

– I on się nigdy o tym nie dowie.

– Jak to „on”? Och...

– Widzisz? – Gregorio uśmiechnął się pod nosem. – Może być jeszcze dziwniej.

Kaśce zrobiło się cokolwiek głupio i zamilkła, unikając patrzenia koledze w oczy.

– Przepraszam, nie wiedziałam.

– Nikt nie wiedział.

– Ale... ale dlaczego miałyby się nie dowiedzieć? Co stoi na przeszkodzie?

Gregorio wzruszył ramionami.

– Po pierwsze, jest hetero. Zapalałem gorącym uczuciem do człowieka, który nigdy go nie odwzajemni. Po drugie, jest żonaty. Uczucie uczuciem, ale zasady zasadami. Nie rozbija się udanych związków, a jego na taki wygląda.

– O rany... – wydusiła z siebie Katarzyna.

Szli noga za nogą, a przygodnie spotkani spacerowicze nie domyślali się nawet burzy emocji rozgrywającej się między tych dwojgiem młodych ludzi.

Zacisze w pełni zasługiwało na swoją nazwę. Stare, przedwojenne wille, w których sto lat temu mieszkała śmietanka Wrocławia, stały na wpół ukryte, jakby przyczajone za rozłożystymi drzewami, ciągnąc za sobą ogrody niczym tren sukni. Niemi świadkowie wydarzeń, zachowujący zdrowy, zbudowany historią dystans. Secesyjne wille, dźwigające na sobie bagaż doświadczeń pierwszej, a zwłaszcza drugiej wojny światowej, której ślady jeszcze tu i ówdzie oparły się wszelkim remontom i zmianom, gdyby mogły, traktowałyby z pobłażaniem tak nieistotną sytuację jak nieszczęśliwa miłość i chwile młodzieńczych zwierzeń. Czymże jest szybsze bicie

serca wobec tego, czego było się świadkiem?

– Znam go? – spytała Kaśka.

– Znasz.

– Kto to jest? Wybacz, że pytam, ale mam szczękę w parterze, rozsadza mnie ciekawość. Gregorio przez chwilę milczał, a Kaśka zaczęła już myśleć, że posunęła się za daleko.

– Powiem ci – odezwał się w końcu. – Ale jeśli komuś wygadasz, to zmiażdżę cię na placek, a wiesz sama, że natura mnie wręcz stworzyła do miażdżenia.

– Nie da się ukryć. Spokojnie, jesteśmy poważni, oczywiście, że nikomu nie powiem – zapewniła szybko Kaśka.

– No dobra. To nasz historyk z liceum.

– Nie!!!

– Tak. Kobieto, zamknij usta, zapraszasz wszystkie komary. – Uśmiechnął się. – Widzisz, jak może być dziwnie? Nic na to nie poradzę. Zafascynował mnie, zauroczył. Lubię myśleć, że... zresztą nieważne, co sobie wyobrażam, wiem, że to uczucie beznadziejne. Czekam, aż minie, bo kiedyś pewnie minie. Czekam na kogoś, kto pokocha mnie z wzajemnością.

– No tak...

– Wiesz, trzeba mieć oczy i uszy otwarte. Czasami, nie, wróc, nie czasami. Często mamy klapki na oczach i spodziewamy się spotkać miłość idealną, jak z książki albo lepiej, jak z jakiegoś głupawego serialu. Czekamy i czekamy, wściekamy się, a tymczasem obok jest ktoś... Widzisz, miłość najczęściej zaskakuje i kiedy się pojawia, jest zupełnie inna niż ta, którą sobie wyobrażaliśmy. Nigdy nie jest doskonała. Dlatego trzeba mieć otwarte oczy i uszy, a przede wszystkim otwarty umysł, żebyśmy mogli dać jej szansę.

– Mówisz jak ksiądz.

– Oj tam, zaraz jak ksiądz, ale przywaliłaś. Mówię, co myślę, i myślę, co mówię.

Opuścili w końcu park.

Hałas ruchliwych ulic dobiegał już do nich od pewnego czasu i nasilał się, w miarę jak zbliżali się do mostu Warszawskiego, gdzie ulica Kochanowskiego płynnie przechodzi w mocno rozciągnięty plac Grunwaldzki. Pokonali serię przejść dla pieszych i przeszli nad jednym z kanałów Odry, po czym odbili w prawo w ulicę Grunwaldzką, po lewej zostawiając słynne akademiki Kredkę i Ołówek oraz budynki Uniwersytetu Przyrodniczego. Jeśli park Szczytnicki jako tako blokował falę gorąca, to w tym momencie uderzyło ono ze zdwojoną siłą. Nagrzane w ciągu dnia stare kamienice teraz ochoczo oddawały zgromadzone ciepło, a kurz wzniesiony przez duży ruch sprawiał, że prawie nie było czym oddychać. Krótco potem znaleźli się na Sienkiewicza i zatrzymali przy skrzyżowaniu z Piastowską, prowadzącą z powrotem w stronę placu Grunwaldzkiego.

– Odprowadzę cię pod dom – zdecydował Gregorio.

– Daj spokój, zwariowałaś? – oburzyła się Kaśka. – To moje tereny, znam tu każdy kamień. Do domu mam już bardzo blisko, jeszcze trochę i będzie plac Bema, a stamtąd dwa kroki. Nawet lepiej będzie, że mnie nie odprowadzisz, muszę sobie parę rzeczy przemyśleć.

– Jesteś pewna?

– Przemyślenia?

– Odprowadzenia.

– Jestem pewna. Spokojnie odbijaj na Grunwald, dam radę. Jest jeszcze jasno.

– No fakt.

Umilkli. Żadne nie chciało się ruszyć. Zapadła nieco kłopotliwa cisza, kiedy nie wiadomo było, co właściwie teraz zrobić lub co powiedzieć.

– Dobra, to ja się zbieram – zdecydowała w końcu Kaśka. – Dzięki za rozmowę. Dała mi

do myślenia.

– Ja też potrzebowałem się wygadać. I też dziękuję.

– To może... na pożegnanie zrobimy „niedźwiedzia”?

– Czemu nie? – Uśmiechnął się Gregorio i zagarnął drobną Kaśkę w swoje masywne ramiona.

Chwilę postali, po czym ona roześmiała się i odeszła, machając mu ręką na pożegnanie. Gregorio odmachął i spokojnym krokiem ruszył w stronę placu Grunwaldzkiego. Kaśka pomyślała, że faktycznie życie potrafi pisać zadziwiające scenariusze. Przyspieszyła kroku, by jak najszybciej dotrzeć do domu i przekonać się, czy jest odpowiedź na ultimatum, które postawiła. Serce biło jej coraz mocniej.

13.



Pewien czterdziestojednoletni dyrektor kreatywny wielkiej korporacji przyszedł tego dnia do pracy jak zwykle uzbrojony w świetnie skrojony garnitur oraz zbiór motywacyjnych przesłań dla podwładnych. Jeszcze w aucie (drogim, luksusowym aucie) powtarzał sobie po raz milion pierwszy, że nadrzędnym celem jego egzystencji jest stałe windowanie słupków sprzedaży.

Ze służbowym uśmiechem na twarzy zdecydowanym krokiem wszedł do swojego gabinetu (jak zawsze punktualnie), gdzie pół minuty później odebrał telefon. Wysłuchał rozmówcy, nie wydobywając z siebie najmniejszego dźwięku, odłożył słuchawkę, a następnie zabrał swoją teczkę i nadal bez słowa opuścił biuro, starannie i delikatnie zamykając za sobą drzwi gabinetu. Minął kilku zdumionych współpracowników, po czym udał się do domu, by w zaciszu czterech ścian zalać się w trupa (czego nigdy do tej pory nie robił).

Właśnie się dowiedział, że po dziesięciu latach sprzedażowej harówki dla firmy, która stała się jego drugim domem, po wywalczeniu odpowiedniej pozycji i stanowiska metodą po trupach, został zwolniony ze skutkiem natychmiastowym, a jego stanowisko obejmie młody, energiczny i zdeterminowany absolwent Harvardu, prywatnie siostrzeniec głównego prezesa.

Pan Stanisław wszystko już w życiu widział i wszystko poznał, a na temat tego, czego nie widział i nie poznał, i tak miał z góry wyrobione zdanie. Siedemdziesiąt pięć lat to wiek, o którym można powiedzieć, że dysponuje się już niejakim życiowym doświadczeniem. W związku z powyższym pan Stanisław był święcie przekonany i po prawdzie dałby sobie nawet za to rękę uciąć, że już nic w życiu go nie zaskoczy, bo wszystko już widział i wszystko poznał, a czego nie poznał... *et cetera*.

Jak co wtorek poszedł do pobliskich osiedlowych delikatesów po chleb i maselko (tylko pamiętaj, Stasińku, to osiemdziesiąt dwa procent, inne to szajs), jak co wtorek zainwestował w jeden zakład totolotka za trzy złote metodą chybił trafił. Do zakupów dołożył jeszcze tanie

piwo, bo coś się, do licha, na tej emeryturze człowiekowi należy.

Przed godziną dwudziestą drugą tego samego dnia jego żona zadzwoniła na pogotowie i dramatycznym, pełnym przerażenia głosem domagała się natychmiastowej interwencji, ponieważ jej mąż obejrzał telewizyjne losowanie totolotka, wyciągnął z kieszeni spodni kupon, spojrział, a następnie z tym kuponem w ręku zemdleł i obecnie leży w przedpokoju. Stało się to trzy sekundy po tym, jak dowiedział się, że stał się posiadaczem trzydziestu ośmiu milionów (lub jakiejś części tegoż, jeśli padnie więcej szóstek).

Kiedy się zostaje ojcem w wieku dwudziestu pięciu lat, to jest przeżycie. Jeśli się człowiek dowiaduje, że będzie się ojcem w sposób zupełnie nieplanowany i z lekka nawet przypadkowy, a już na pewno w sytuacji, kiedy umknęła człowiekowi większa część wieczoru, to przeżycie jest podwójne. Kiedy na USG wychodzi, że dzieci będzie dwoje i będą to córki, świat może się wywrócić do góry nogami, a przynajmniej porządnie, uczciwie zachwiać w posadach.

Dwudziestopięcioletni pan Jakub siedział właśnie przed blokiem operacyjnym i metodycznie obgryzał paznokcie, podczas gdy jego żonie (a żoną była zaledwie od pół roku) wykonywano cesarskie cięcie. Pocieszał się, że ciąża żony przebiegała prawidłowo, dzieci wyglądały na zdrowe, wszystko więc wskazywało na to, że życie się ułoży. Zabieg nieco przedłużał się i po chwili na blok operacyjny galopem wjechała pielęgniarka z inkubatorem, mijając pana Jakuba i nie poświęcając mu ani uwagi, ani nawet jednego spojrzenia.

Pan Jakub drgnął i nieco się zdziwił (przecież inkubatory były już w środku), ale cierpliwie czekał dalej, walcząc z coraz silniejszą chęcią napicia się czegoś, co miałyby procenty.

Pięć minut później drzwi otworzyły się z trzaskiem, personel medyczny wywiózł świeżo upieczoną matkę, wyglądającą na wymiętoloną, ale mimo wszystko szczęśliwą, która spojrzała z miłością na męża, rejestrując jego obecność i zaraz potem odpłynęła w błogi sen. Tuż za łóżkiem z kobietą trzy pielęgniarki wytoczyły trzy inkubatory, kierując się ku oddziałowi neonatologicznemu. Trzy.

Serce pana Jakuba waliło już jak młot, kiedy podszedł do niego anestezjolog i powiedział, że nie wie, kto prowadził ciążę żony i jaki konował robił USG, ale radzi z jego usług więcej nie korzystać, bo tylko skończony kretyn albo totalny pijak mógł przegapić, że ciąża jest trojaczka. Trojaczki, panie Jakubie. Trzy córki. Trzy. Gratulacje. Poklepał młodego ojca po ramieniu i poszedł. Pan Jakub chwilę potem wyszedł ze szpitala i w kiosku naprzeciwko kupił papierosy, po czym głęboko zaciągnął się dymem. Nigdy wcześniej nie palił.

Zaskoczenie dyrektora kreatywnego, pana Stanisława oraz pana Jakuba było niczym w porównaniu z tym, co przeżywała Katarzyna, spoglądając na ekran monitora, na którym właśnie przeczytała wiadomość, że człowiek, w którym się zakochała, zgadza się na spotkanie, proponuje je u siebie w domu i podaje adres: ulica Oleśnicka.

A niech to jasna cholera!

Kaśka zerwała się od komputera i rzuciła w stronę okna. Przecież on mieszka dokładnie naprzeciwko! Co to w ogóle wszystko ma znaczyć? Facet żyje niemalże na wyciągnięcie ręki, w kapciach można go odwiedzić, a nawet w piżamie, pomachać mu z okna, przesyłać liściki w pudełku po cygarach jak w *Dzieciach z Bullerbyn*, migać do niego, zawołać: „Hej, ty, pożycz ze dwie bułki i nie musisz przychodzić, po prostu rzuć przez okno” (zakładając optymistycznie, że ruch tramwajowy i samochodowy na Poniatowskiego nie przytłoczy prośby opasłym cielskiem decybeli), po prostu jest tuż obok i tak strasznie broni swojego wizerunku? Co się dzieje, do diaska?

Katarzyna stała przy oknie i wpatrywała się w rząd kamienic naprzeciwko, próbując dopasować odpowiednie okna do podanego adresu. Prześlizgiwała się wzrokiem po firankach i zasłonach, zatrzymując się na tych, które tłumili zapalone światło i starając się dostrzec ludzkie

sylwetki za nimi.

Ktoś przeszedł przez pokój w mieszkaniu na trzecim piętrze i Katarzyna drgnęła. Mężczyzna. Czy to on? Za mężczyzną przebiegło jakieś dziecko. Nie, więc to nie on. Ale czy na pewno? Skąd w ogóle ma wiedzieć, kim naprawdę jest? Nie ma co, wkopała się koncertowo.

Poczuła, jak przechodzi ją dreszcz. Tak parła na to spotkanie, tak chciała go wreszcie zobaczyć, a teraz, kiedy w końcu słowo ma stać się ciałem, obleciał ją strach. Co ona najlepszego wyprawia? Ma zamiar iść do mieszkania obcego faceta, o którym nie ma bladego pojęcia. A co jeśli będzie na nią czekał on i... kilku jego kolegów? Szybko odpędziła czarne myśli i wróciła do komputera.

Jeszcze raz prześledziła historię wiadomości wymienianych z jej – jak go nazywała – kochanym nieznajomym, starając się wyszukać między wierszami wszystko, co powinno ją zaniepokoić. Nie znalazła. W miarę upływu czasu przejawiająca się w słowach ciekawość drugiej osoby, zainteresowanie nią jako kobietą przyoblekało się w jakiś subtelny, niepojęty i delikatny rodzaj czułości. Trochę niewprawnej, jakby dopiero sprawdzała siłę swojego oddziaływania, jakby nieśmiałej, niepewnej, w którą stronę powinna się skierować, ale szczerzej. Nic nie wskazywało na to, by pod tą warstwą jak pod twardym, acz błyszczącym i efektownym lakierem skrywała się skorodowana blacha pośledniej jakości.

Katarzyna zamknęła laptop i znów zapatrzyła się w okno. Przez pewien czas trwała w bezruchu, aż w końcu energicznie otworzyła komputer ponownie i odpisała:

Zgoda, pasuje mi. Przyjdę do Ciebie jutro po 18. Tymczasem słodkich snów!

Komunikat uzupełniła stosowną emotikonką, starając się, by była jednocześnie serdeczna, ale nie za słodka. Nie można się tak od razu rozpędzać, trzeba sobie zostawić jakieś rezerwy na później... Zaraz, zaraz.

Poddała swoje uczucia szybkiej analizie i stwierdziła, że żar, który czuła wcześniej, nieco przygasł. Tak jakby najbardziej ekscytujące było szukanie króliczej nory, a kiedy już się ją znalazło, wejście do środka nie wydawało się już tak atrakcyjne. Zirytowała się i zganiała samą siebie za takie podejście. Zakochała się, do licha, zakochała. Już jutro wreszcie go zobaczy i powinna ją zalać fala szczęścia, ciepła, euforii, powinna poczuć wszechogarniający spokój i doświadczyć spełnienia.

Powinna, ale jakoś nie doświadcza. Stop! Co za idiotyzm! Co ona sobie właściwie myśli? Euforia i szczęście wcale nie są niezbędne. Cieszy się, no oczywiście, że się cieszy i nie może się doczekać, na wybuch gorących uczuć przyjdzie czas. To tak jak napięcie przed podróżą. Człowiek chce jechać i oczywiście jest, że nie zrezygnuje z wakacji, jednak nagle atrakcyjne staje się zachowanie status quo i niezmiennianie niczego. Nagle chciałoby się zostać we własnych kapciach.

A może to jakiś znak? Nie, nie, stop! Zwariować można! Gdyby tak we wszystkim chciała doszukiwać się znaków, to oszalałaby szybciej niż szybko. Żadnych znaków, same fakty. Jutro się spotkają, koniec, kropka. Ponownie zamknęła laptop i ruszyła do łazienki, by zmyć z siebie zmęczenie dniem i miejski kurz.

14.

A zatem przyjdzie. Przyjdzie. Zgodziła się. Bał się, że się wycofa, kiedy zaproponował spotkanie u niego w domu, ale przystała na to. Odetchnął z ulgą. Randka w innym miejscu byłaby dla niego bardzo problematyczna, przynajmniej na tym etapie.

Powiedział „randka”? Och, no dobrze, nazwijmy rzecz po imieniu. Tak, to jest randka. Spotka się z dziewczyną, która go fascynuje i zwyczajnie po ludzku bardzo mu się podoba. Uśmiechnął się na myśl o jej drobnej sylwetce, zwinnych, wręcz kocich ruchach, krótkich włosach zabawnie podskakujących, kiedy szybkim krokiem zmierzała przed siebie. Zawsze z plecakiem, nigdy z torebką. Raczej w spodniach niż w spódnicy, ale poznał jej hobby i doprawdy ciężko oczekiwać, że będzie się włączyć na drzewa w kieckach i zgrabnych sandałkach. Taki już miała styl. Intrygująca, tajemnicza, inna niż wszystkie.

Zresztą, na miłość boską, co on może wiedzieć o wszystkich? Nic nie wie, to fakt, nic. Nie spotykał się do tej pory z żadną dziewczyną. Ba, z żadną się nawet nie zakolegował, nie dotknął fazy kumpelskiej, co dopiero mówić o przejściu w sferę zainteresowania – jakby to ująć? – cielesno-duchowego. Jest zielony jak wiosenny szczypiorek i jednocześnie ciemny jak tabaka w rogu. Ciekawe, swoją drogą, że można być jednym i drugim naraz.

Relacje damsko-męskie stanowią więc dla niego *terra incognita* i, bądźmy szczerzy, jest to raczej słabe w jego wieku. Ma w końcu dwadzieścia lat. No dobra, byłoby słabe, gdyby nie... gdyby nie okoliczności łagodzące. Zwyczajnie nie mógł, no po prostu nie mógł i kropka.

Wcześniej, w wieku chłopięcym, nie miało to dla niego takiego znaczenia, ot, byli jacyś kumple, choć po prawdzie bardziej nie byli, niż byli, ale powiedzmy, że ktoś tam kiedyś na horyzoncie się pojawiał. Potem te... okoliczności łagodzące nabrały nagle sporego znaczenia, które wkrótce przeistoczyło się w znaczenie kolosalne i sprawę pierwszorzędną, ale cóż, wtedy okazało się, że trudno mówić o jakichkolwiek relacjach z ludźmi, nie tylko z ludźmi płci

żeńskiej. Teraz jednak wreszcie (wreszcie!) miał przeżyć pierwszą randkę w życiu.

Randka, randka! A może lepiej... wycofać się? Odwołać spotkanie i powiedzieć, że to bez sensu? Zachować obecny stan rzeczy bez pchania się w nieznane? W co najlepszego on się władował? I jeszcze ciągnie za sobą tę dziewczynę.

Wariat. Idiota. Nie, zaraz jej napisze, że wszystko nieaktualne, że to tylko żart, że źle go zrozumiała lub tym podobne bzdury. Zrani ją, ale oszczędzi jej gorszych rzeczy. Wypchnie ją na powrót ze swojego życia, zanim zdążyła zagościć w nim na dobre, by poszła dalej swoją drogą i spotkała takiego, który naprawdę będzie jej wart.

Ale czy naprawdę tego by chciał? Nie, nigdy w życiu.

Prawda jest taka, że o niczym innym tak nie marzył jak o spotkaniu się z tą dziewczyną, ale tak strasznie boi się, że ją rozczaruje i zawiedzie, tak bardzo nie chciałby zobaczyć tego niemiłego zdumienia w jej oczach, tego zażenowania, z jakim spotykał się już nieraz, ale nigdy ze strony osoby tak mu bliskiej. Bo stała się bliska, mimo że kontaktowali się wyłącznie przez czat. Poczuł i wiedział, że ona doświadczyła tego samego, tej niesamowitej harmonii podobnego spojrzenia na świat, podobnego myślenia, ideałów, pasji i pragnień. To było... nie, to wymykało się słowom, a określenie „niesamowite” nie oddawało tak naprawdę niczego.

Dobrze, wypije to piwo, którego nawarzył, zmierzy się z rzeczywistością, spotka się z nią i... spędzi z nią miły, fajny wieczór, do licha! Dlaczego miałoby być inaczej? Po prostu się spotkają, ona bardzo na to nalega, a on, choć czuje, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas, że to jeszcze nie ten moment, że powinien jeszcze trochę to odwlec, zgadza się, ponieważ nie chce jej stracić. Będzie, co ma być. Dobrze będzie, do diaska, dobrze. Jak mogłoby być inaczej?

15.



Oczywiście klasycznie nie miała się w co ubrać.

Mogła sobie łązić po drzewach w trampkach i z plecakiem, mogła nie widzieć spódnicy na oczy przez miesiące z rzędu, mogła nosić krótkie włosy, ale, do licha, była kobietą, a teraz stała przed własną, zawaloną ciuchami szafą, i doskonale po kobiecemu stwierdzała, że jednak nie ma się w co ubrać.

Krótką spódniczka została z miejsca odrzucona jako zbyt wyzywająca. W połączeniu z bluzką na ramiączkach stanowiła totalną katastrofę. Szorty wydały jej się jakieś powszednie i nieuroczne, ale z drugiej strony nie szła do opery ani do kościoła i nikt nie wymagał stroju galowego. Na długie jeansy było za gorąco, żadna koszulka z krótkim rękawem nie zdobyła jej uznania, sukienki odpadały już na starcie, bo nie czuła się w nich swobodnie. Jest wystarczająco zdenerwowana i przejęta, nie potrzebuje dodatkowo utrudnienia w postaci ubrania, w którym będzie się źle czuła.

Chwyliła telefon, żeby zadzwonić do Oli, ale rozłączyła się zaraz po wybraniu numeru. Nie, odpada. Nawet nie wiedziała, co miałaby jej powiedzieć, a i obawiała się – kto wie, czy nie słusznie – że Aleksandra jako doświadczona łamaczka męskich serc zbagatelizuje jej problem albo wręcz przeciwnie, niezdrowo się zainteresuje i zacznie drażnić, sępić od niej szczegóły całej historii, a to byłoby ostatecznie, czego Katarzyna by sobie życzyła. Zamiast tego siadła przy laptopie i próbując nie dostrzegać, że jest już siedemnasta, wpisała w wyszukiwarce frazę: „jak się ubrać na pierwszą randkę”.

To był błąd. Otrzymana lawina odpowiedzi zaciemniła obraz, zamiast go rozjaśnić, wprowadziła niuansy i subtelności, których istnienia Katarzyna nawet nie podejrzewała, nie mówiąc już o wprawnym wykorzystywaniu zasad randkowego *dress code*'u. Pierwsze randki wyłonione w Internecie zdawały się zakładać, że schadzka odbędzie się co najmniej w burdelu,

w związku z czym rekomendowany strój wyraźnie korespondował z taką poetyką. Patrząc w ten sposób, ubiór, nad którym zastanawiała się Katarzyna, sugerowałby słodkie chwile w klasztorze kontemplacyjnym podczas leżenia krzyżem.

Siedemnasta trzydzieści. Pół godziny w plecacyku!

Ze złością zamknęła laptop, stwierdziła, że chrzani to wszystko, nie będzie stawała na uszach dla jakiegoś gacha (na miłość boską, dlaczego ona w ten sposób o nim myśli?), pójdzie na kompromis z samą sobą i założy długie jeansy, a co, i do tego czerwoną bluzeczkę na ramiączkach. Można? Można. A jak mu się nie spodoba, to niech spada na drzewo.

Nie, to straszne, co się z nią dzieje, nie powinna sobie pozwalać na takie myśli. Sama, z własnej i nieprzymuszonej woli idzie na spotkanie, na które jasno i wyraźnie nalegała, ba, zastosowała swego rodzaju szantaż, zagroziła daleko idącymi konsekwencjami, jeśli on się nie zgodzi, i on się zgodził. Idzie więc, bo tego chce, chce tego, do licha, i nie musi sama sobie wypisywać tego wielkimi literami, bo chce i koniec. Dlatego niezmiernie irytuje ją to, że tak ją to irytuje. Niech to szlag, błędne koło.

Sięgnęła do kuferka z kosmetykami. Zdecydowała się na dyskretne podkreślenie rzęs i brwi, nic, co szczególnie rzucaloby się w oczy. Żadnych kolorowych cieni do powiek, żadnych kresek eyelinerem. Nic, co mogłoby spłynąć, rozmazać się lub zniekształcić. W końcu upały nie dawały za wygraną, a upał w żadnej postaci i w żadnej szerokości geograficznej nie jest sprzymierzeńcem makijażu. Skończyło się więc na podkreśleniu rzęs, brwi, lekkim muśnięciu policzków różem i zaakcentowaniu kilku miejsc pudrem rozświetlającym. Wystarczy.

Przezesłała włosy szczotką, przyjrzała się sobie krytycznie w lustrze. Czegoś brakowało. Chwilę postąpiła w zamyśleniu, po czym wyjęła z drugiego puzderka wisiołek, ciekawie poskręcany drucik i artystycznie wplecione w niego małe kółeczka zębate, pewnie od zegarka, całość zawieszona na rzemyku. Dostała go w tamtym roku w prezencie na urodziny od ojca (od ojca!) i bardzo lubiła. Był skromny, ale z charakterem, a bliższe przyjrzenie się odsłaniało ogrom pracy, jaką artysta włożył, by nadać swojemu dziełu obraz pozorowanej niedbałości. Stary miał pomysł, nie ma co. Gdzie on coś takiego wynalazł, nie wiedziała, ale trafił w dziesiątkę. Przyszedł zresztą wcześniej i zapytał, gdzie się wybiera, bo zauważył, że wzrokiem próbuje rozebrać wnętrze szafy na atomy.

Skłamała, że umówiła się ze swoją paczką, czyli Olą, Aśką, Patrykiem, Grześkiem i Mateuszem (czyżby głos lekko jej zadrżał, kiedy wymawiała to ostatnie imię?), pójdą gdzieś sobie posiedzieć, pewnie na bulwarach, a ona nie wie, w co ma się ubrać, bo nie wie, kiedy wróci. Ojciec podpowiedział, że najlepsza będzie taka wersja, by nie zgrzała się, ale też nie zmarzła, a ona posłała mu spojrzenie zdolne obrócić człowieka w pył, po czym on słusznie stwierdził, że lepiej nie będzie się wtrącał.

Siedemnasta pięćdziesiąt pięć. No dobrze, to wystarczy, co ma być, to będzie. Zabrała ze sobą portfel i telefon, a ponieważ organicznie nienawidziła torebek, postawiła na najmniejszy i najbardziej torebkopodobny ze swoich plecaczków. Wyszła z mieszkania i zamknęła za sobą drzwi, starając się nie ulec przeciągowi, który za wszelką cenę chciał na niej wymóc spektakularne trzaśnięcie.

Trzeba przyznać, że nie miała daleko. Zatęchły chłód klatki schodowej szybko zastąpiony został przez gorący oddech nagrzanego słońcem ulicy, a ten parę chwil później wycofał się na z góry upatrzone pozycje w zetknięciu z atmosferą klatki schodowej w przeciwległej kamienicy. Domofon był zepsuty, co w tej części Wrocławia nie było niczym niezwykłym. Dziwne by było, gdyby ktoś choć raz w życiu na dłuższy czas zostawił go w spokoju.

Weszła więc do środka, a drzwi zamknęły się za nią ze zgrzytliwym jękiem, ograniczając światło do minimum i zostawiając tylko tyle, ile zdołało się przedrzeć przez mocno zakurzone

szyby. Odniosła wrażenie, że kamienica otwiera swoją paszczę i jak jakieś ogromne, prehistoryczne zwierzę połyka Kaśkę, by następnie przenieść ją do swoich trzewi i sprawić, by już nigdy nie oglądała słońca.

Katarzyna wzdrygnęła się, szybko zlokalizowała włącznik i zapaliła światło. Żarówka o dziwo była sprawna. Teraz pozostało udać się na trzecie piętro. Drewniane schody skrzypiały wyzywająco i niemal z pretensją, że miała czelność zakłócić ich spokój. Ostatnie kilkanaście stopni pokonała naprawdę wolno, a lekko rozdygotana poręcz, której się chwyciła, nie dodała jej pewności siebie. Drzwi numer dziesięć po lewej stronie. Przed drzwiami wycieraczka, stara, ale widać niedawno czyszczona i zadbana jak element mieszkania, do którego człowiek jest się w stanie przywiązać i przypisać mu niemal wartość sentymentalną. Przyjaciółka obuwia.

Katarzyna przywołała się do porządku. Rany boskie, ależ odpłynęła z myślami. Odetchnęła głęboko kilka razy. Tak, to jest ostatni moment, żeby się wycofać, teraz jeszcze ma szansę, może po prostu zawrócić i zbiec na dół, nie bacząc, że schody będą za nią krzyczeć, to ostatnia okazja, by nie zrobić z siebie głupa i nie wpakować się w coś totalnie durnego. Kiedy naciśnie dzwonek, będzie już za późno. Serce waliło jej jak młot, poczuła wąską stróżkę potu spływającą powoli między piersiami i nieśmiało wsiąkającą w biustonosz. To jak? Uciekać? Nie, bez paniki, bez przesady. Skoro powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. Zadzwoń. Zadzwoń.

Za drzwiami rozległy się kroki, które z miejsca wydały się Katarzynie jakieś mało męskie, ale zanim zdążyła zdziwić się na dobre, zgrzytnął przekręcany zamek i w drzwiach mieszkania ukazała się niewysoka, szczupła i na oko pięćdziesięcioletnia kobieta.

Kaśka zbaraniała i chwilę później zdała sobie sprawę, że musi wyglądać przeraźliwie głupio, ponieważ oczy ze zdziwienia z pewnością ma wielkie jak talerze, a w dodatku zuchwa zjechała jej na dół i jakoś nie chce wrócić na swoje miejsce. Widok musiał być zabawny, ponieważ kobieta obrzuciła ją szybkim spojrzeniem od stóp do głów, po czym uśmiechnęła się ciepło. Wokół oczu zagrały zmarszczki, które wydały się stworzone do tego, by podkreślać, że często się pojawiają. Szare tęczęwki wbrew wszystkiemu okazały się przyjazne. Włosy, kiedyś kasztanowe, teraz mocno już zgaszone siwizną, być może nawet przedwczesną, upięte były w niezbyt staranny kok. Czarna, elastyczna koszulka i prosta, ciemnozielona spódnica do kolan oraz klapki na nogach dopełniały całości obrazu.

Katarzyna bezbrzeżnie zdumiona patrzyła na kobietę i uświadomiła sobie nagle, że przecież już wielokrotnie wcześniej ją widziała.

– Tak? – zagadnęła kobieta.

Katarzyna odblokowała się w końcu, choć trzeba było przyznać, że z niejakim trudem.

– Eeee, dzień dobry, czy zastałam Rafała?

Kobieta drgnęła, w oku pojawił się dziwny błysk.

– Rafała? Tak, oczywiście – odpowiedziała i widać było, że chciała dodać coś jeszcze, ale ostatecznie zmieniła zdanie. Zamiast tego otworzyła szerzej drzwi i zrobiła Katarzynie miejsce. – Proszę, wejdź. Jest w swoim pokoju.

Mieszkanie było skromne, ale urządzone ze smakiem. W korytarzu poza szafą wnękową i wieszakami przytwierdzonymi od drugiej strony drzwi wejściowych nie było niczego innego. Pokój chłopaka okazał się pomieszczeniem pierwszym po lewej. Katarzyna zatrzymała się niepewnie i spojrzała na kobietę.

– Wejdź. – Ta uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Wydaje mi się, że czeka na ciebie.

Katarzyna nacisnęła klamkę, zdając sobie sprawę, że spocona dłoń robi wszystko, by się z niej ześlizgnąć, po czym pchnęła drzwi i weszła do środka.

Tak, to był on.

Widziała już go wcześniej, co za ironia losu. Bardzo krótkie blond włosy okalały głowę

o ładnym kształcie. Oczy, jakby przestraszone (nie udało mu się tego ukryć) i szare jak u matki wpatrywały się w nią intensywnie. Wyraźnie zaznaczające się pod krótkim rękawem mięśnie ramion sugerowały, że siła w nich ukryta jest ich właścicielowi bardzo potrzebna. Biała koszulka miała jakiś napis, Katarzyna nie widziała jaki, ponieważ chłopak zgarbił się nieco i litery ugrzęzły w fałdach materiału. Miał na sobie zwykłe, niebieskie jeansy, ani zbyt nowe, ani zniszczone, ot, lepsze z tych codziennych i posiadanych od niedawna. Musiał być wysoki, ale wzrostu nie dało się ocenić na pierwszy rzut oka, ponieważ chłopak siedział.

Katarzyna zatrzymała wzrok na tym, co zdawało się tworzyć całość z jego postacią. Wózek inwalidzki. Matka uśmiechnęła się i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zapadła cisza. Wpatrywali się w siebie i żadne z nich nie było w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa.

– Więc to ty – powiedziała w końcu Kaśka, pokonując irytującą chrypkę.

– To ja – odpowiedział i okazało się, że ma miękki, niski, wręcz radiowy głos, trochę niepasujący do jego sylwetki i wyglądu.

Znowu cisza.

– No cóż – stwierdziła Kaśka. – To wiele wyjaśnia. Właściwie wszystko.

– Nie wiem, co powinienem powiedzieć – bąknął.

– Ja też nie wiem, co powiedzieć. Jestem bardzo zaskoczona.

– Negatywnie?

– Nie. To znaczy i nie, i tak. Nie okazałeś się zbrojcem, który chce mnie napaść, a potem sprzedać do zagranicznego burdelu.

– Za to okazałem się kaleką.

– To nie jest dobre słowo.

– To bardzo dobre słowo. Stwierdzam fakt. Nie da się go pominąć. Liczyłeś na chłopaka, z którym będziesz łączyć po górach albo po... drzewach, tańczyć w dyskotekach czy co tam jeszcze, a rzeczywistość okazała się zupełnie inna od twoich oczekiwań.

– Szczerze mówiąc... tak. Dlaczego, do licha, nie powiedziałeś od razu?

– A zainteresowałabyś się mną, gdybym otwarcie napisał, że poruszam się na wózku?

Katarzyna milczała.

– Właśnie – stwierdził i wydawało się, że zabrzmiało to nieco gorzko.

Przez chwilę znowu nic nie mówili i w pewnym momencie cisza stała się krępująca. Oboje zdawali sobie sprawę, że zmierzają ku nieuniknionemu, że trzeba będzie zająć jakieś stanowisko, określić się wobec zaistniałej sytuacji. Katarzyna poczuła, że narasta w niej irytacja.

– To nie fair – rzekła.

– Co jest nie fair?

– Nie fair jest kogoś oszukiwać i nie mówić o sobie prawdy.

– Nie kłamałem. Po prostu nie powiedziałem ci o kilku rzeczach.

– To jest to samo.

– Ja tak na to nie spojrzałem.

– A ja owszem.

Cisza.

– Kiepska jestem w pomaganiu – rzekła Kaśka, a głos zdrzął jej od tłumionej irytacji.

– Nie chcę od ciebie litości ani pomocy.

– To czego chcesz?

– Jak myślisz, czego? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Ty mi powiedz.

– Wydawało mi się, że mówiłem zupełnie jasno.

– Przedtem, zanim się okazało, że tak wiele... przemilczałeś? – Katarzyna zaznaczyła palcami cudzysłów. – Bo teraz to już nie wiem.

Westchnął i pochylił głowę.

– Mam sobie iść? – spytała Kaśka.

– Sama oceń – odezwał się cicho, tak cicho, że ledwo go usłyszała.

W pierwszym odruchu miała ochotę obrócić się na pięcie i wyjść, przy okazji odpowiednio głośno trzaskając za sobą drzwiami, ale mimo to stała w miejscu, starając się stłumić emocje. Nie, chwileczkę, to bez sensu.

Nie można tak po prostu przekreślić wszystkich słów, które padły między nimi za pośrednictwem komputera. W głębi ducha czuła, że to nie była żadna błąka. Z jej strony na pewno nie, ale i jego nie posądzała o brak szczerości. Faktycznie, gdyby przyznał, że jest niepełnosprawny, nie napisałaby do niego, w ogóle nie poświęciłaby mu najmniejszej uwagi, tak bardzo różnił się od wyobrażeń mężczyzny jej życia albo przynajmniej kogoś, z kim chciałaby chodzić. O, właśnie, chodzić, nomen omen.

Rzeczywistość okazała się krańcowo inna, ale czy to nie ona napierała na spotkanie? Czy on nie pytał, czy aby na pewno chce się z nim zobaczyć już teraz? Czy nie zaznaczał, że chyba jeszcze nie jest właściwy czas? Nie chciał jej oszukać, chciał, by potrafiła zmierzyć się z prawdą i udźwignąć jej ciężar. Czy przerwanie tego wszystkiego w tej chwili ma sens? Czy nie lepiej... sama nie wie... dać mu czy też im dwojgu szansę? Ale po co? Może po to, by po prostu zaryzykować i zobaczyć, co z tego wyniknie, skoro zaszło się już tak daleko? Co zrobić? Westchnęła i rozejrzała się dookoła.

– Mogę usiąść?

Podniósł głowę zaskoczony, jakby nie spodziewał się, że zostanie. Spojrzał na nią przeciągle, a w spojrzeniu wyraźnie zaznaczyła się nadzieja.

– Jasne, przepraszam. Tu jest fotel, siadaj, będzie ci wygodnie. Wiesz, rzadko widuję ludzi, nie mówiąc już o samych dziewczynach i chyba nie za bardzo umiem się zachować.

– Spoko – odparła już nieco raźniej i również zatrzymała na nim wzrok.

Jak mogła nie zauważyć do tej pory, że jest zwyczajnie przystojny? Nie uderzająco piękny, ale jego twarz ma jakiś rys szlachetności i dojrzałości ponad wiek.

– Proponuję zacząć jeszcze raz – powiedziała, kiedy już usadowiła się w fotelu, który faktycznie okazał się wygodny i na tyle szeroki, że mogła zająć ulubioną pozycję, czyli po turecku. – Nie jesteśmy na żadnej randce.

– Nie jesteśmy – zgodził się, nie za bardzo wiedząc, do czego ona zmierza.

– Właśnie się poznaliśmy i postanowiliśmy sobie niezobowiązująco pogadać. Tak wiesz, po kumpelsku. O wszystkim i o niczym, o dupie Maryni.

– Zgoda. – Uśmiechnął się, a ona stwierdziła, że uśmiech też ma ładny.

– Wrzucimy na luz, nie będziemy się niczego po sobie spodziewać, niczego oczekiwać i zobaczymy, co nam z tego wyjdzie. Co ty na to?

– Bardzo mi ta koncepcja odpowiada – wyraźnie się ożywił. – To może ja zacznę. Cześć, jestem Rafał i mam dwadzieścia lat.

Katarzyna roześmiała się i wręcz namacalnie poczuła, jak napięcie z niej odplywa, a atmosfera wyraźnie zyskuje na lekkości. Godzinę później matka Rafała, która w międzyczasie zdążyła wyjść z mieszkania, wróciła i ze zdumieniem stwierdziła, że z pokoju jej syna dobiegają odgłosy ożywionej rozmowy oraz szczerzy, głośny śmiech. Jego śmiech. Nie mogła uwierzyć, że jej syn się śmieje. Robił to po raz pierwszy od kilku lat.

Po raz pierwszy od tych fatalnych wakacji, kiedy to wybrali się na glinianki koło Jelcza-Laskowic, miejsca weekendowych pielgrzymek połowy wrocławian.

Później obwiniała się przez cały czas, że nie zwróciła uwagi na to, że pobiegł gdzieś z kolegami, rozleniwiona upałem nie stanęła na wysokości matczynego zadania, wołała celebrować chwilę spokoju i zatopić nos w książce niż zaniepokoić się dłuższą nieobecnością syna. Oderwała się od czytania, kiedy jakiś chłopak, trzęsąc się cały, z oczami wytrzeszczonymi ze strachu, chaotycznie donosił jej o tym, czego kompletnie nie rozumiała i co nie mieściło jej się w głowie. Coś o skoku na główkę w miejscu poza strzeżonym kąpieliskiem, coś o uderzeniu się w jakiś korzeń czy kamień, coś o tym, że długo nie wypływał, aż w końcu ktoś skoczył mu na ratunek.

Długotrwała rehabilitacja pomogła na tyle, że nie był całkowicie sparaliżowany, a jedynie bezwładny od pasa w dół. I zupełnie przestał się uśmiechać. Do dzisiaj.

Katarzyna wyszła od Rafała przed dwudziestą drugą i Bóg jej świadkiem, że robiła to niechętnie. Nie chciała jednak nadużywać jego gościnności i choć musiała przyznać, że rozmawiało im się fantastycznie, to jednak zasady pozostają zasadami i nie chciałyby być uznana za gościa, którego trzeba wywozić na taczkach.

Uśmiech nie schodził jej z twarzy, na co zwrócił uwagę nawet jej ojciec, kiedy przekroczyła próg własnego mieszkania. Poczula się nieco zmęczona, dlatego poszła do łazienki, rozebrała się, umyła, przebrała w piżamę, nie zwracając uwagi na fakt, że w normalnych okolicznościach godzina dziesiąta wieczorem jest tylko preludium dalszej zabawy, a nie jej kresem.

Kiedy leżała już pod kołdrą, sięgnęła po telefon i zobaczyła, że przyszedł do niej esemes od Rafała. Dziękował za dzisiejsze spotkanie i pisał, że fajnie mu się gadało. Odpisała, że chętnie wpadnie do niego jutro po pracy i przyniesie ze sobą planszówkę, o której mu opowiadała. Będą mogli niezobowiązująco i po kumpelsku pograć.

Nie musiała czekać na odpowiedź. Odpisał prawie od razu, że zupełnie niezobowiązująco i po kumpelsku ją zaprasza i nie ma żadnych planów, nie zamierzał też się ruszać z mieszkania (he, he). Odpisała, że przyniesie ze sobą winogrona i ciasteczka, i co on na te ciasteczka. On na to, że dobry pomysł, a gdyby mogła przynieść dużo ciasteczek, pomysł byłby jeszcze lepszy. Ona odpisała, że w porządku, a teraz to ona już pójdzie spać, bo rano zbiera się do pracy i musi być wypoczęta, żeby nie potłuc talerzy lub coś w tym guście, bo przecież nadal nie uzbierała jeszcze na ten obiekt i nie może sobie pozwolić na to, by ją wyrzucili. On napisał, że w takim razie dobranoc i słodkich snów. Ona też mu odpisała, że dobranoc i dołączyła emoji w postaci uśmiechu i machania ręką. On nie odpisał.

Przez pewien czas liczyła na to, że esemes przyjdzie, ale w końcu stwierdziła, że bez przesady, na dzisiaj nie zostawili żadnych spraw niedopowiedzianych i zwyczajnie spotkają się jutro. Pomyślała sobie, że pozostanie tam u niego i złapanie emocji za cugle było bardzo dobrą decyzją i serdecznie jej sobie pogratulowała. Ze zdumieniem stwierdziła, że cieszy się na jutrzejsze spotkanie i najzwyczajniej w świecie nie może się go doczekać. Kurczę, ale fajnie będzie pograć sobie z nim w planszówkę. Niezobowiązująco i po kumpelsku.

JESIEN

1.

Aniela nie była statystyczną Polką. Statystyczna Polka na pytanie: „Jak leci?“, odpowiada, że jakoś tam, że jest zawałona robotą, że dzieci chorują, że mąż ją wnerwia, wszystko podrożało, a na dodatek strzyka ją w kolanie.

Aniela wbrew wszystkiemu i wszystkim zwyczajnie była szczęśliwa. Co gorsza, wcale nie starała się tego ukryć, by dopasować się poetyką przekazu do malkontenckiej większości. Wprost przeciwnie, rozsiewała optymizm na prawo i lewo, emanowała dobrym humorem, uśmiech nie schodził jej z twarzy, a w kącikach oczu bardzo wyraźnie zaznaczały się kurze łapki, które tylko dodawały jej uroku, bo widać było, że są efektem pozytywnego nastawienia do świata.

Swoją postawą do szału doprowadzała wszystkie sąsiadki, które między sobą nie omieszczały wymieniać kąśliwych komentarzy, że pewnie, że taka to może być szczęśliwa, skoro nie pracuje, nic nie robi, w domu tylko siedzi, a nie to, co one, przedstawicielki ludu pracującego miast i wsi, które od rana do nocy muszą zasuwać w robocie, by mieć na chleb.

Jakby tak Aniela zechciała ruszyć tyłek i utrudzić nieco rączki uczciwą pracą, to dowiedziałaby się w końcu, co to znaczy życie, a ten jej uśmieszek z miejsca by jej z twarzy zmył. I co z tego, że ma pięćdziesiąt pięć lat?! Jeszcze młoda kobieta, spokojnie może podwyższać PKB, starsze od niej do roboty szły. Niechby sobie przynajmniej podojeżdżała codziennie pociągiem do Wrocławia, tak jak one to robią. Niechby się z tej swojej Chabrowej przeszła piechotą na stację Mrozów, bo normalnie nic o świecie nie wie. Nie wie chyba nawet, że

do tej stacji ma półtora kilometra.

Dojazdy, droga Aniela, codzienne dojazdy do centrum Wrocławia z Mrozowa, czyli pierwszej wsi poza granicami miasta, to jest coś, czego koniecznie musisz spróbować, bo ta twoja radość życia działa wszystkim na nerwy. Och, już nie wymagajmy dojazdów do PRACY, wystarczą same dojazdy. Tak, tak, droga Aniela, żeby dotrzeć gdzieś na ósmą, trzeba wsiąść w pociąg o szóstej piętnaście i nie chciałabyś się spóźnić, uwierz, bo następny jest dopiero o siódmej trzydzieści pięć. Życie cię nie doświadczyło, kochanieńka, ulgowo potraktowało, miłosiernie bez uzasadnionej przyczyny, oszczędziło ci tego, czego nie oszczędziło innym i w imię czego, do diabła, bo sprawiedliwość powinna jakaś być, a tu na twoim przykładzie ewidentnie widać, że jej nie ma. Och nie, nie życzymy ci, Aniela, niczego złego, Boże uchwaj, a gdzieżby, ale tak żebyś bardziej do innych ludzi podobna była, toby się od razu lepiej żyło wszystkim. Przynajmniej psychicznie. Bo tak jakoś serce roście, kiedy bliźni ma gorzej.

Aniela nie była więc statystyczną Polką, ale nie oznacza to jednocześnie, by życie miała usłane różami już od kołyski. Co to, to nie.

Dorastała w rozwalającej się i przeludnionej ruderze na Księżu Małym, która niby nie nadawała się już do zamieszkania, ale jakoś nie można było upchnąć gdzie indziej tych, co już się tam zasiedzieli. Jej liczna rodzina złożona z rodziców i czwórki rodzeństwa zajmowała dwa pokoje z kuchnią, dzieląc piętro z klasyczną rodziną patologiczną po lewej (on pił i bił, dzieci latały samopas w brudnych i podartych koszulach) oraz schorowanymi staruszkami po prawej, których pewnego razu postanowili odwiedzić najbliżsi i tak już zostali, nie myśląc się wyprowadzać. Wszystkie rodziny łączyła, oprócz sąsiedztwa, jedna, wspólna, zlokalizowana na półpiętrze toaleta, brudniejsza nawet niż dzieci pijaka po lewej.

Aniela doświadczała ze strony zapijaczanego sąsiada szczególnej uwagi, która swój punkt kulminacyjny miała, kiedy to dziewczyna zaliczała piętnastą wiosnę swojego życia, sąsiad miał trzy razy tyle i jakoś tak przypadkiem niezwykle spotkał ją, kiedy wychodziła z piwnicy. Nie dał jej wyjść do końca, wciągnął z powrotem w dół schodów, przycisnął do ściany i, nie bawiąc się w zbędne wstępy, włożył rękę do jej majtek. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie ojciec Anieli, który tego dnia szczęśliwie skończył wcześniej swoją zmianę w Hydralu zlokalizowanym na drugim końcu świata, czyli na Psim Polu[8], i jeszcze szczęśliwie złapał dobre połączenie komunikacyjne, które jakimś cudem nie posypało się po drodze z powodu jakże licznych wówczas awarii.

Wszedł więc do bramy, usłyszał stłumiony krzyk, głos wydał mu się podejrzenie znajomy, otworzył drzwi do piwnicy i zdążył w momencie, kiedy sąsiad rozpinał rozporek. Aniela niewiele pamiętała z dalszej części dnia, nie zapomniła jednak, że od tej pory sąsiad omijał ją szerokim łukiem, do końca życia prezentując dość istotne braki w uzębieniu, niedosłuch na lewe ucho oraz niedowład ręki. Życie jego zresztą nie trwało wiele dłużej, bo już dwa lata później świat od niego odetchnął i nie wiadomo było, kto ucieszył się bardziej, zmaltretowana żona czy wynędzniałe dzieci.

Dla równowagi ojca Anieli też wkrótce zabrakło w sposób nagły i nieoczekiwany, kiedy poszedł wieczorem do łazienki i już z niej nie wyszedł. Lekarze orzekli, że wylew. Dość powiedzieć, że zdarzenie z zapijaczonym sąsiadem stanowiło najbardziej traumatyczne wspomnienie w młodości Anieli i nic podobnego w późniejszym życiu nie stało się jej udziałem.

Aniela dorastała w zdrowiu, uczyła się dobrze i po ukończeniu z wyróżnieniem ośmiu klas szkoły podstawowej kontynuowała naukę w liceum ekonomicznym na Drukarskiej. Również i tę szkołę zakończyła z sukcesem, po czym od razu rozpoczęła pracę w księgowości, stając się częścią załogi wrocławskiego zakładu elektronicznego Elwro[9].

Co prawda, droga do pracy nie dała się określić inaczej jak horror i wie to każdy,

ktokolwiek usiłował się kiedykolwiek dostać z Księża Małego na drugą stronę Wrocławia (w tym przypadku okolice FAT-u), jednak ani miejsca, ani czasu na wybrzydzenie nie było.

Aniela w naturalny sposób przejęła na siebie rolę ojca, stając się drugą, obok matki, żywicielką rodziny dla czworga młodszego rodzeństwa. Trzeba uczciwie przyznać, że to jej wysiłkom i poświęceniu zawdzięczają wyjście na ludzi. Nie tylko wyjście zresztą, ale nawet wyjazd, bo młodsze rodzeństwo jak jeden mąż wybrało emigrację i pomimo bardzo młodego wieku rozjechało się po świecie od Kanady po Australię. Wiodło tam żywot stateczny i spokojny, dorabiając się powoli, acz sukcesywnie dóbr materialnych, a Anieli dane było nawet odwiedzić młodszą siostrę w Kanadzie i młodszego brata w krainie kangurów, postawiła też nogę na szwajcarskiej ziemi, gdzie dwaj pozostali bracia bliźniacy postanowili sprawdzić się w branży turystycznej i z sukcesami, trzeba im przyznać, prowadzili hotelik niedaleko Zurychu (Polak potrafi).

Aniela kibicowała rodzeństwu, uczciwie cieszyła się ich sukcesami, kolekcjonowała przysyłane zdjęcia z różnych okazji i uroczystości, pogodnie godząc się z faktem, że w miarę upływu czasu zdjęcia przychodzą coraz rzadziej i rzadziej. W międzyczasie starszankowie po prawej stronie klatki schodowej w końcu zmarli, a zasiedziała tam rodzina odetchnęła z ulgą i ostatecznie zajęła mieszkanie do ostatniego kąta. Rodzina patologiczna po lewej została zubożona o matkę dotkniętą niezwykle agresywnym nowotworem i o najstarszego z rodziny, który poszedł odsiadywać wyrok za morderstwo i jakoś tak dookoła zrobiło się luźniej.

Aniela pracowała w tym swoim Elwro, wiodła życie spokojne i pozbawione wszelkich zawirowań, aż nadszedł dzień, kiedy w drodze do pracy los ją zetknął z przyszłym administratorem jej życia osobistego.

Dzięki niech będą i chwała wrocławskiej komunikacji, która straciła ostatecznie jeden ze swoich wysłużonych autobusów akurat gdzieś w okolicach placu Wróblewskiego. Tłum ludzi, klnąc i złorzecząc, wylał się na przepelniony przystanek, by czekać na autobus awaryjny, a Aniela, westchnąwszy cichutko, pogodziła się z myślą, że nie zdąży do pracy, i zajęła jedyne wolne na chodniku miejsce tuż przy młodym człowieku w garniturze i z teczką.

W pewnym momencie tłum zafalował, na człowieka tegoż brutalnie ją wepchnięto, ona sploniwszy lico, z miejsca go przeprosiła, on oderwał wzrok od trzymanej w ręku gazety i spojrzał na Anielę.

Jak spojrzał, tak przepadł bez reszty. Jak stał, tak się zakochał.

Nie wiadomo, co tak naprawdę go urzekło. Czy były to kręcone włosy o naturalnym, niepoprawianym farbami odcieniu dojrzalego zboża, czy były to wielkie, okolone przedługimi rzęsami oczy ciemnostalowszare jak Morze Bałtyckie, czy był to straszliwie niemodny sweterek zarzucony na ramiona, zadbany jednak i czysty, czy też – nie bójmy się tego powiedzieć – niezwykle okazały biust, obiekt westchnień kolegów z pracy i źródło zawstydzenia dla samej Anieli? Nie wiadomo.

Wiadomo natomiast, że dla Anieli awaria komunikacji miejskiej zapoczątkowała zupełnie nowy rozdział jej życia. Jeszcze tego samego dnia odbyła swoją pierwszą w życiu randkę i otrzymała z męskiej ręki pierwsze w życiu kwiaty. Dwa tygodnie później przeżyła pierwszą w życiu ekstazę na wąskim łóżku w akademiku Dwudziestolatka (udostępnionym grzecznościowo przez kolegę, który dyskretnie wyniósł się na piwo), starając się nie słuchać miarowego i przeraźliwie głośnego skrzypienia sprężyn wprawianych w ruch przez wytrwałe, regularne i jakże sprawne starania kochanka, który jednocześnie ugniatał olbrzymie piersi dziewczyny, sprawiając wrażenie, że ma zamiar to robić do końca życia, tak mu dopomóż Bóg. A propos, kochanek miał na imię Henryk.

Dwa miesiące później Henio awansował z amanta na męża, bo jeśli się czegoś chce, to

dlaczego z tym czekać, zwłaszcza że i tak nie ma widoków na to, by w najbliższym czasie zamajaczyły na horyzoncie jakiegokolwiek pieniądze.

Pudroworóżową sukienkę do ślubu cywilnego Aniela uszyła sobie sama, sukienkę do ślubu kościelnego z pomocą matki (schorowanej już wtedy i niedołącznej, ale tylko ona wiedziała, skąd zdobyć dobrej jakości i tani, biały materiał), wesele, spontaniczne i kameralne, odbyło się w mieszkaniu Aniela na Księżu Małym. Wiele wypito, trochę pośpiewano, zerwano dwie struny przy jakiejś gitarze, ktoś się z kimś pobił, ktoś zasnął pod stołem i trzeba go było wynosić, ot, jak to zwykle bywa na zwykłych weselach.

Aniela zmieniła nazwisko z Koziągłowej na Tworkowską, zamknęła drzwi do panińskiego etapu swojego życia, po czym ostatecznie i nieodwracalnie wyrzuciła klucz.

Henryk Tworkowski, świeżo upieczony absolwent Politechniki Wrocławskiej, rozpoczynający karierę w intensywnie rozwijającej się branży energetycznej, był człowiekiem z głową na karku. Ścieżka awansu nie ścieżką była dla niego, a zgoła autostradą, prostą jak strzełił i prowadzącą bezpośrednio do celu, czyli przez kolejne, coraz to wyższe stanowiska. Wraz z rozwojem osobistym następował postęp ekonomiczny. Pieniądz comiesięczny ze skromnego robił się okazańszy.

Henrykowi pozwoliło to wyremontować mocno podupadłe mieszkanie żony i wyposażyć w łazienkę z prawdziwego zdarzenia, z ogrzewaniem i glazurą, dzięki czemu nie musieli już więcej odwiedzać zimnej, zaniedbanej toalety umiejscowionej na korytarzu i współdzielonej z sąsiadami. Dwa pokoje otrzymały nowy wygląd, co podniosło komfort życia zarówno państwu młodym, jak i dobiegającej przedwcześnie końca swoich dni matce Aniela.

Rok później matka umarła (pani Aniela, nic nie możemy zrobić, rak spustoszył organizm, a przerzutów jest zbyt wiele), zdążywszy się jeszcze dowiedzieć, że w łonie jej córki dojrzewa przedstawiciel kolejnego pokolenia Tworkowskich, nie doczekała jednak dnia porodu, do którego było skądinał daleko.

Pogrzeb był piękny. Jesień, zawsze we Wrocławiu niezwyklej urody, tym razem pobiła swój własny rekord, zaścielając miasto grubym dywanem ognistej żółci, pomarańcza, czerwieni, a nawet fioleto, obficie przeplatając te barwy i podkreślając je promieniami październikowego słońca, jako bonus dokładając prawie dwudziestostopniowe temperatury.

Był to jedyny moment, kiedy to rodzeństwo Aniela ściągnęło do Polski z Kanady, Australii i Szwajcarii, a Henryk miał okazję spotkać się z nimi osobiście. Nigdy potem się już nie zobaczyli, ale ten jeden dzień i raczej nieszczęśliwe okoliczności wystarczyły, by zdążyli się polubić. Szczególnie dobrą relację Henryk nawiązał z bliźniakami, którzy pomimo bardzo młodego wieku wykazali się ogromnym potencjałem oraz najwyraźniej posiadali jakiś przemycony przez pokolenia gen biznesu, ponieważ szwajcarski hotelik funkcjonował znakomicie, a sprawa wydawała się bardzo rozwojowa.

Henryk przez kilka dni po rozmowie z nimi chodził głęboko zamyślony i jakby nieobecny, czym wzbudził niepokój u swojej ciężarnej małżonki, ale wkrótce jego samopoczucie wróciło do normy. Wydawało się też, że od momentu pogrzebu kariera Henryka nabrała dodatkowego rozpędu, bo pieniądze, już wcześniej nie najmniejsze, zaczęły płynąć jeszcze szerszym strumieniem.

Inżynier Tworkowski zmienił branżę. Z energetyki przeszedł do zarządzania odpadami i recyklingu, wykorzystując wiatr historii i kierunek zmian gospodarczych. Idea ponownego wykorzystania i w ogóle sortowania śmieci zaczęła się na dobre zakorzeniać w społeczeństwie będącym w przededniu poważnych zmian ustrojowych.

Był rok 1986, Aniela skończyła właśnie dwadzieścia cztery lata, on sam sięgnął trzydziestki, a za kilka miesięcy, na wiosnę, miał się narodzić ich pierworodny syn. Szeroko

pojęta branża recyklingu stała właśnie u progu intensywnego rozwoju. Henryk wyczuł pismo nosem, ustawił żagiel swojego życia tak, by złapać w niego jak najwięcej wiatru, po czym wypłynął na szerokie wody. Z ekonomicznego punktu widzenia, jak się okazało, decyzja była jak najbardziej słuszna.

Życie Anieli nabrało nowego wymiaru. Za namową męża zrezygnowała z pracy zawodowej i poświęciła się całkowicie wychowywaniu syna. Pieniędzy było wystarczająco dużo, by Henryk jako głowa rodziny wziął na siebie wyłączne staranie o zapewnienie wszystkim wikt i opierunku.

Aniela, zakwitnawszy po raz pierwszy jako zakochana, młoda dziewczyna, zakwitwała teraz ponownie jako matka, sprawdzając się w nowej roli wyśmienicie. Macierzyństwo wydobyło z niej wszystko, co najlepsze, wzmocniło zalety, przytłumiło wady i to właśnie ono w głównej mierze zadecydowało o jej optymistycznym spojrzeniu na rzeczywistość, tak irytującym w późniejszym czasie sąsiadki. Wierzyła głęboko, że otrzymała od losu niezwykle prezent, nie pozostaje jej zatem nic innego, jak cieszyć się tym podarunkiem, póki jej starczy sił, najlepiej dzień po dniu, od poniedziałku do niedzieli.

Wspólnie z Henrykiem ustalili, że Aniela rezygnuje z pracy tylko na jakiś czas, ale czas ten przeciągał się i przeciągał, synek rósł i rósł, a powrót do życia zawodowego coraz bardziej odchodził za horyzont, aż w końcu przestał być czymś, o czym się mówi, myśli, do czego się dąży i czemu poświęca jakąkolwiek uwagę. Aniela świadomie i całkowicie zdała się na męża i przeistoczyła w etatową kurę domową, doprowadzając pełnią przez siebie funkcję do prawdziwej perfekcji.

Nikt nie gotował lepiej w promieniu dziesięciu kilometrów, nikt nie rozpieszczał męża i syna tak, jak potrafiła to robić Aniela. Mało który dom funkcjonował tak sprawnie, mało które dziecko cieszyło się tak wielką uwagą swojej rodzicielki, mało która kobieta okazałaby się tak sprawną menedżerką swojego czasu i życia w ogóle.

Dla Henryka rozpoczął się najlepszy okres jego życia. Ochoczo czerpał profity z roli, jaką wzięła na siebie jego małżonka, delektując się w porze posiłków wyśmienicie smakującym jedzeniem, a w każdej możliwej innej porze dnia i nocy wyśmienicie smakującym, wciąż młodym i jędrnym ciałem swojej połowicy, z którym ciąża obeszyła się niezwykle łagodnie, praktycznie nie pozostawiając po sobie śladów, poza – och, ach! – dalszym przyrostem biustu. W chwilach uniesień, kiedy jej mąż przeprowadzał ją przez bramę rozkoszy, błędząc rękami po jej nieco pulchniejszym niż wcześniej ciele, dziękowała Niebiosom za to, że dały jej to, czego się nie spodziewała i na co, jak sądziła, kompletnie nie zasługiwała.

Lata mijały w spokoju i coraz bardziej zaznaczającym się dobrobycie, spokoju ze wskazaniem na monotonię rodzinnego życia, w którym wszystko ma swoje miejsce i jedno po drugim następuje według planu. Monotonię Aniela witała z otwartymi ramionami i nie miała nic przeciwko jej dalszemu trwaniu, była bowiem stanem krańcowo innym od tego, czego doświadczyła wcześniej. Kiedy więc myślała, że już nic jej w życiu nie zdziwi i nie zaskoczy, że otrzymała już wszystko, co mogła otrzymać, a magazyn Opatrzności od tej pory świecić będzie pustkami, bo wyzbył się wszelkich towarów, Henryk postanowił wybudować dom.

Był rok 2000. Świat jeszcze nie zdążył otrząsnąć się z grozy po widmie spustoszenia, jakie miała narobić pluskwa milenijna i jakie poszczególni prorocy nakreślali przed społeczeństwami, które nie wiedziały, czego się spodziewać po tak dziwnie wyglądającej dacie w kalendarzu. Tragedii nie było, pluskwa okazała się co najwyżej inspiracją jednego czy drugiego opowiadania science fiction, a ludzie, straciwszy zainteresowanie, poświęcili uwagę zwykłym sprawom, czyli zwyczajowym rzucaniem sobie kłód pod nogi, podkradaniem mężów czy żon oraz zagładaniem do sypialni celebrytów.

Rewolucja i ogólnoplanetarny wstrząs w postaci mediów społecznościowych był jeszcze pieśnią przyszłości, Mark Zuckerberg nie zaprzętał na razie uwagi żadnych ludzi poza swoimi rodzicami, a w Polsce bardzo nieśmiało kiełkował Internet. Dwa lata wcześniej Aniela urodziła swoje drugie dziecko, a ponieważ – w odróżnieniu od pierwszego razu – ciężę znosiła wyjątkowo ciężko, a i poród okazał się kilkunastogodzinnym horrorem, stanowczo oznajmiła mężowi, że przyjście na świat ich córki zakończyło plany reprodukcyjne Tworkowskich. Ona już więcej nie chce i kropka.

Henryk, zwolennik licznej rodziny, westchnął, bo cóż innego mógł zrobić. Do tanga wszak trzeba dwojga. Kłamstwem jednak byłoby stwierdzenie, że cierpiał niebotycznie i rwał włosy z głowy. Nie rwał. Włosy zresztą przedwcześnie same wzięły i wyszły, zostawiając bezwstydnie obnażoną skórę górnej części czaszki. Henryk nie zhańbił się konstruowaniem zaczesek czy noszeniem tupecików, uznając je za kompletnie niemęskie. Wolał sprawnym ruchem ujednoczyć wizerunek i pozbyć się tego, co nie zdążyło samo wylecieć.

Czterdziestodwuletni Henryk był więc łysy jak kolano, co wbrew jego obawom bardzo spodobało się jego żonie, która powtarzała nie raz i nie dwa, w jak istotny sposób podkreśliło to jego męskość. Wizerunek samca alfa przydawał mu się również na gruncie zawodowym.

Określenie „potentat złomiarstwa” nie było może szczytem prestiżu, ale oznaczało spore pieniądze, takie, dla których niejedynemu znajomy zgodziłby się na niejedno.

Aniela podziwiała obrotność męża i jego klarowną ścieżkę kariery, wiodącą od szeregowego pracownika jednego z działów w przedsiębiorstwie zarządzania odpadami po prezesa całej firmy. Henryk, kiedy już prezesem został, udowodnił wszem wobec, że złom ma przyszłość, zwłaszcza jako intratne źródło dochodów.

Anieli to pasowało. Miło było mieć świadomość, że problem, jak przeżyć do pierwszego, nie był już tym, co spędzało jej sen z powiek, i nic nie wskazywało na to, by miało się to zmienić. Co prawda, czasami dziwiła się, że można w tej branży zarabiać aż tak dobrze, ale w końcu prezes dużej firmy to prezes dużej firmy, a poza tym ona, od lat już odłączona od rynku pracy, czuła się głęboko niekompetentna w ocenie sytuacji. Sprawą najważniejszą wydała jej się budowa domu (ani grosza kredytu, wszystko za gotówkę), urządzenie go, a następnie przeprowadzka.

Miejscem docelowym okazały się najbliższe okolice Wrocławia, pierwsza stacja kolejowa poza granicami miasta w kierunku Środy Śląskiej, właśnie odkrywana sypialnia wrocławskiej klasy średniej i wyższej, czyli Mrozów. Nowych domów nie było wtedy jeszcze imponująco dużo, ale systematycznie wyrastały jak grzyby po deszczu i tempo rozwoju wydawało się przyspieszać z roku na rok.

Ich dom, który był pierwszym domem przy nowo powstałej ulicy Chabrowej, w szybkim czasie doczekał się sąsiedztwa, a dzieci Anieli towarzystwa. Życie pani na włościach – jak sama o sobie mówiła, nie bez nutki sarkazmu – toczyło się jednostajnie, spokojnie i cudownie przewidywalnie. Henryk zmieniał samochody na coraz to lepsze, ogród piękniał z roku na rok, młode jabłunki przeobraziły się w zupełnie przyzwoite jabłonie, warzywa w warzywniku (samo dobro, ekologiczne, niepryskane!) rosły i cieszyły kubki smakowe całej rodziny zarówno w letniej porze, jak i zimowej.

W ciągu kilkunastu kolejnych lat syn zdążył ukończyć szkołę podstawową, średnią, pójść na studia (budownictwo), skończyć te studia, poznać przemiałą, skromną dziewczynę i ożenić się (ach, cóż to był za ślub!), a następnie przeprowadzić do mieszkania, które w prezencie ślubnym młoda para otrzymała od Henryka. Mieszkanie zresztą w pełni zasługiwało na westchnienia zachwytu, zarówno pod względem lokalizacji (tuż za Dworcem Głównym, niedaleko instytutu pedagogiki przy ulicy Dawida, ale jeszcze kawałek od niezbyt pięknych i bezpiecznych Hub), jak

i standardu (apartamentowiec, nie ma to tamto). Siedemdziesiąt metrów kwadratowych rozplanowane na trzy pokoje i aneks kuchenny zostało oczywiście kupione za gotówkę i do głowy nikomu nie przyszło, że mogłoby być inaczej. Prezes to prezes i kropka.

Córka z małego dziewczątka przeistoczyła się w nastoletnią podfruwajkę, która uparła się, by zamiast do Środy Śląskiej, gdzie było bliżej, uczęszczać do wrocławskiego liceum numer jeden przy ulicy Poniatowskiego. Podkochiwała się w skrycie w niejakim Mateuszu, o którym zupełnie otwarcie rozmawiała ze swoją matką, jako że łączyły je relacje szczere i serdeczne, pełne zrozumienia i poszanowania.

Aniela była dumna ze swoich dzieci i nieraz dawała temu wyraz zupełnie otwarcie, co stworzyło kroplę przepełniającą kielich sąsiedzkiej zawiści. Świetne relacje ze znakomicie sobie radzącym w życiu synem, przyjaźń z własną córką i ta doza zaufania, która sprawiła, że młoda dziewczyna po zdaniu matury przeprowadziła się do – jakżeby inaczej – własnego mieszkania, bo i jej ojciec sprawił taki prezent.

Aniela więc, mimo że swoją karierę zawodową zakończyła już dawno, dni miała wypełnione po brzegi, już to utrzymywaniem własnego domu w stanie permanentnej perfekcji, już to dopieszczaniem kulinarnym swego zapracowanego męża, już to urządzaniem niewielkiego mieszkania własnej córki (we współpracy z tąż), już to czymś innym. Cały jej świat sprowadzał się do jej rodziny, sens jej istnienia zawarty był w jej najbliższych. Żyła dla nich, oddychała dla nich, ich sprawy były jej sprawami, ich troski brała na siebie. Była stale obecna i stale w gotowości, sobie pozostawiając niewielki margines. I była szczęśliwa, po prostu szczęśliwa. Nie pragnęła niczego więcej, jak tego, by ten stan trwał.

[8] Hydral kojarzy się z wodą, lecz wbrew pozorom był zakładem produkującym broń na potrzeby bratnich narodów socjalistycznych. Przykrywką była naprawdę niezła, do dziś wielu myśli, że poświęcano tam czas i siłę roboczą rurom, wodociągom, kanalizacji i tego typu sprawom. Ponieważ Hydral i pobliski Polar (tak, tak, produkujący AGD, tu żadnej ściemy nie było) zlokalizowane były na straszliwych rubieżach Wrocławia (dziś te rubieże są przesunięte o wiele dalej), niedaleko obu zakładów na początku lat osiemdziesiątych wybudowano osiedle, na którym większość mieszkańców stanowili pracownicy obydwu zakładów. Autorka niniejszej książki, tak się składa, na owym osiedlu mieszkała lat dwadzieścia z górką.

[9] Tak, tak, to właśnie z niego wychodziły pierwsze w Polsce komputery. Czapki z głów.

2.

Serial się skończył, a Aniela odstawiła żelazko na deskę do prasowania. Krytycznie przyjrzała się kołnierzykowi mężowskiej koszuli i nie znalazła niczego, do czego mogłaby się przyczepić. Tak samo uważnie otaksowała wzrokiem rękawy, przód i tył, po czym doszła do wniosku, że koszula wygląda właśnie tak, jak powinna wyglądać koszula człowieka na wysokim stanowisku. Jest wysokiej jakości oraz bardzo zadbana. Odwiesiła koszulę do szafy razem z dziesięcioma innymi. Poświęcała im uwagę przez ostatnią godzinę, jednym okiem śledząc losy bohaterów, w których życiu, zdaniem producentów, częstkę siebie miały odnaleźć zwyczajne kobiety.

Zdaniem Anieli małe były na to szanse z racji tego, że sami producenci, pływając na co dzień jako ryby w morzu „szołbizu”, wydawali się na tyle oderwani od rzeczywistości statystycznego Kowalskiego, że nie mieli o niej bladego pojęcia. Cóż, film jednak wciągał i to trzeci rok z rzędu, Aniela więc nie opuszczała żadnego odcinka, spychając na margines świadomości fakt, że fabuła była naciągana, głupawa i... właściwie brak słów, jaka jeszcze.

Podeszła do przeszklonego wejścia na taras i spojrzała na ogród. Wrzesień zaczął już odznaczać się na ogrodowej roślinności. Zieleń jabłoni, grusz i śliw wyraźnie była zmęczona i przykurzona latem, a pierwsze, ciepłe jeszcze dni jesieni traktowała jako przygotowanie do przejścia w stan zimowej hibernacji. Grządki warzywnika pozbyły się plonów i skopane czekały na pierwsze przymrozki. Na te się jednak nie zanosilo. Po niezwykle upalnym lecie, jak rzadko w tych szerokościach geograficznych, nastąpiła ciepła, przyjemna, spokojna jesień. Temperatura oscylowała wokół dwudziestu stopni i co prawda poranki oraz wieczory bywały już typowo wrześnieowe, nie wyłączając przejmującego chłodu i snujących się nisko mgieł, to jednak w ciągu dnia świat szybko się nagrzewał, a bezchmurne niebo pozwalało panoszyć się promieniom słonecznym po sam daleki horyzont.

Pierwsze liście już zaczęły opadać na wypielegnowany trawnik, a to oznaczało, że niedługo czeka Anielę polka z grabiami. Uwielbiała to, jak wszystko, co wiązało się z domem. Kochała ogród, a wiedziała, że żeby związek kwitł, należy go odpowiednio pielęgnować. Dlatego uparcie sprzeciwiała się radom syna i córki, by zatrudnić kogoś do pomocy w oporządzaniu obejścia, sama zakasywała rękawy i traktowała pracę w ogrodzie jako rodzaj sportu oraz niezbędną dawkę ruchu na świeżym powietrzu.

Mąż jej nie pomagał. Mąż w ogóle późno zjeżdżał na włości, nie pokazując się w progu przed godziną dziewiętnastą. Aniela już dawno zaakceptowała ten fakt, zdając sobie sprawę, że jeśli już ktoś wziął na siebie ciężar utrzymania rodziny, to wymaga to nakładów czasowych i sił. Zwłaszcza jeśli mieszka się poza Wrocławiem, a miejsce pracy znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie miasta. Mężowie sąsiadek wracają do domu wcześniej, ale tak się składa, że mężowie sąsiadek nie mają tak odpowiedzialnych stanowisk. Aż tak odpowiedzialnych. I nie zarabiają tylu pieniędzy. Aniela oderwała wzrok od ogrodu i skierowała się do stołu w salonie.

Spojrzała na wyświetlacz leżącej tam komórki i stwierdziła brak jakichkolwiek znaków życia od swojego męża. Ani połączenia telefonicznego, ani esemesa. To oczywiście nie było niczym niezwykłym, Henryk pracował bardzo intensywnie i rzadko kiedy znajdował czas, żeby zadzwonić do domu, a nawet jeśli, to miał tyle spraw na głowie, że zwyczajnie wylatywało mu to z pamięci.

Aniela nie protestowałaby, gdyby od czasu do czasu, częściej niż teraz, „dryndnął” czy też napisał z pytaniem, jak ona się ma, ale skoro jest, jak jest, to nie ma co się zżymać. Sięgnęła po telefon.

Misiaczku, czeka na ciebie pieczeń wołowa, taka, jak lubisz – napisała.

Irytował się, kiedy nazywała go misiaczkiem, ale teraz zrobiła to ze zwykłej przekory. Ot, tak.

Wybiła siódma. Wybiła całkiem dosłownie, bo zabrał się za to bogato rzeźbiony i wyglądający na antyk zegar stojący w rogu salonu. Antykiem zapewne był, a swego czasu przytargał go do domu właśnie Henryk, mówiąc – bez marnowania czasu na wdawanie się w szczegóły – że go zdobył i że była okazja.

Okazja bywa słowem niezwykle pojemnym znaczeniowo, ale Aniela postanowiła nie wnikać. Nie wnikała zresztą z zasady, przyjmowała do wiadomości to, co jej oznajmiano, i nie miała zwyczaju grzebać w półsłówkach, analizować półtonów i doszukiwać się treści pomiędzy słowami. Uważała, że życie jest zbyt krótkie, by marnować czas na takie bezsensowne analizy, które jedyne, co dają, to więcej siwych włosów w krótszym czasie i bardziej napięte nerwy. Nie. Prowadzenie śledztw powierzyła innym, detektywistyka z całą pewnością nie była jej powołaniem.

Zegar wybił więc siódmą, wahadło miarowo i monotonicznie robiło to, co do niego należy, a w serce Anieli wkradł się lekki niepokój. Sama zresztą nie wiedziała dlaczego, ponieważ dzisiejszy ranek nie zapowiadał niczego nadzwyczajnego.

Jak zwykle Henryk o szóstej wstał, a ona tuż po nim. Jak zwykle on na dwadzieścia minut zniknął w łazience, a ona w tym czasie szykowała dla niego jego ulubioną jajecznicę z pomidorami, gotowała dwa serdelki, smarowała ciemny chleb grubą warstwą masła (chrzanić miążdżycę) i parzyła mocną kawę. Takie właśnie śniadania lubił. Potem on, w podkoszulce i bokserkach zajmował miejsce przy stole w kuchni i jadł, a ona wybierała dla niego z szafy koszulę, szykowała krawat i zdejmowała ostatnie niewidzialne cząsteczki kurzu z jego marynarki. On kończył śniadanie, wstawiał talerz do zlewu i szedł się przebrać, a ona zmywała pozostawione naczynia (przez całe życie uparcie sprzeciwiała się zakupowi zmywarki). Potem on zabierał swoją teczkę, całował Anielę w policzek i mówił „pa, kochanie”, ona zamykała za nim

drzwi i szła do łazienki, by szybkim prysznicem zacząć nowy dzień.

W planach miała jak zwykle telefon do córki i telefon do syna. Obydwa przed dziesiątą rano. Zawsze tak robiła, a utrzymywanie dobrych i bliskich relacji z dziećmi było dla niej priorytetem. Resztę czasu zajmowało jej wszystko, co można zmieścić pod pojęciem zajmowania się domem. Mniej więcej o dziewiętnastej Henryk wracał, czasem trochę wcześniej, czasem trochę później, spędzali wieczór razem, potem szli do łóżka (och, nie, nie o to chodzi, już nie o to, niestety), zasypiali, a rano wszystko zaczynało się od początku, bez żadnych niespodzianek.

Fakt, że była już siódma wieczorem, a jej męża jeszcze nie było, nie powinien więc jej dziwić, bo w końcu bywało różnie, a i jazda przez Wrocław wiadomo, jaka jest, ale gdzieś tam podskórnie i podświadomie nie mogła się pozbyć wrażenia, że tym razem jest inaczej, że ewidentnie jest coś nie tak.

W telewizji zaczęły się Fakty, kreując przed widzami swoją wizję rzeczywistości, a Aniela wiedziała, że za pół godziny dla równowagi zmieni kanał, by z kolei Wiadomości wykreowały dla niej obraz zgoła odmienny. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do córki i zapytać, czy przypadkiem ojca u niej nie ma, ale po namyśle stwierdziła, że nie będzie robić paniki, bo on zapewne lada moment pojawi się w drzwiach. Jak zawsze.

Godzinę później prezenter kończył Wiadomości i zapraszał widzów na dalszy ciąg audycji informacyjnej na innym kanale, a Henryka nadal nie było.

Aniela zdecydowała się zadzwonić do niego, ale telefon nie tylko nie odpowiadał, ale po prostu był wyłączony. Duży dom stał się nagle za ciasny. Zdając sobie sprawę, że serce bije jej coraz szybciej, podlała wszystkie kwiatki, choć tego nie wymagały, nastawiła pranie, choć sporo brakowało do wypełnienia pralki, zmyła olśniewająco czystą podłogę w kuchni, dokładnie wyczyściła sterylnie czysty ekspres do kawy, ale mimo wszystko nie zdołała wyplenić z serca uczucia narastającego niepokoju, które stopniowo i coraz szybciej ewoluowało w stadium galopującej paniki.

O dwudziestej pierwszej złamała się i zadzwoniła do córki. Henryka tam jednak nie było.

– Nie no, w ogóle dzisiaj z nim nie rozmawiałam – odpowiedziała tamta na pytanie, czy kontaktował się z nią w jakiegokolwiek sprawie. – A co, nie ma go?

– No, nie ma – potwierdziła Aniela.

– Z pracy nie wrócił? – dopytywała Paulina, która otrzymała imię po rezydującej w Kanadzie dalekiej kuzynce ciotecznej babki Anieli od czasu do czasu przysyłającej pocztówki precudnej urody. Ścisłych kontaktów nigdy nie nawiązano, Aniela nawet nie widziała tej kuzynki na oczy, ale piękno kanadyjskich widoczków zrobiło swoje.

– A dzwonił? Mówił, że się spóźni?

– Nie dzwonił właśnie.

Paulina zastanowiła się chwilę. Cała ta sytuacja była jej wybitnie nie na rękę. Wyciągała właśnie z kuchennej szafki kolejne opakowanie chipsów oraz butelkę coca-coli i jednym uchem słuchała matki, a drugim wesołych głosów dobiegających z pokoju. Pierwsi goście już przyszedli. Superważna i najlepsza we wszechświecie impreza klasowa z gatunku „spotkanie po latach” już się rozpoczęła i choć najbardziej oczekiwany gość jeszcze nie przyszedł, Paulina nie wątpiła, że wkrótce się pojawi. Przecież nie można teraz wszystkiego rzucić, wyprosić znajomych, bo ojciec nie zjawiał się w domu tak jak zwykle! Raz w życiu przyszło mu do głowy przełamać schemat i matka wpadła w panikę. Nie dajmy się zwariować. Nie można jednak zostawić rodzicielki samej z jej niepokojem, dlatego... Tak. Jakie to szczęście, że jest ktoś taki jak starszy brat.

– A do Pawła dzwoniłaś?

– Nie dzwoniłam.

– To zadzwoń.

Telefon do syna potwierdził najgorsze przypuszczenia Anieli. Henryk do niego nie dzwonił, Paweł nie dzwonił do Henryka, choć w przypadku Pawła trudno się było temu dziwić. Ostatnio cały jego świat zamykał się w ciągle rosnącym brzuchu jego żony, która wkrótce miała wydać na świat przedstawiciela kolejnego pokolenia Tworkowskich.

Więc nie, ojciec nie dzwonił, nie kontaktował się, nie był, a skoro w domu nie ma go też i teraz, to Paweł proponuje zaczekać jeszcze pół godziny i dać znać. Wtedy on przyjedzie, zabierze matkę i zrobią to, co w takich sytuacjach zwykle ludzie robią, czyli rundkę po szpitalach.

Po szpitalach!

Aniela zbladła, czym prędzej pożegnała się z synem, sprawdziła, czy nie ma nieodebranych połączeń (nie było) i siadła w fotelu. Zadzwoiła do Henryka, ale jego telefon nadal był wyłączony. Dwudziesta pierwsza trzydzieści.

Aniela spojrzała na zegar, stanęła na równe nogi i poszła zrobić to, co zrobiłaby na jej miejscu każda spanikowana kobieta, czyli wyszorować umywalkę w łazience. Wyszorowała. Wymyła też lustro, usuwając niewidoczne smugi i już miała zabrać się za toaletę, ale stwierdziła, że, na miłość boską, dość tego wariactwa, nie będzie tu czekać nie wiadomo ile i nie wiadomo na co. Czas działać. Rzuciła szczotkę kibelkową (rzuciła! Szok i niedowierzanie!), energicznym krokiem wróciła do pokoju i zerknęła na zegar. Dwudziesta druga. O proszę, akurat minęło pół godziny. Zadzwoiła do Pawła.

– I co? – zapytał.

– Przyjedź po mnie, ojca nie ma.

– Dobra, daj mi chwilę, już jadę. Bądź gotowa.

– Bardziej gotowa nie będę!

– No dobra, dobra, tylko nie wariuj. Żegnam się z Natalką i już do ciebie lecę.

Ciężarna naczelnia bogini Natalia pozwoliła swemu oddanemu czcicielowi oddalić się na czas jakiś, wyrażając przy tym autentyczną troskę i przestrach. Wyznawca Pawełek zabronił jej denerwować się, kazał położyć się i poczytać coś relaksującego, on zaraz wróci, bo to z pewnością jakaś pierdoła. Poważne wypadki wbrew pozorom zdarzają się bardzo rzadko. Czy on użył słowa „wypadek”? Och, użył, ale nie chciał, nie wypadek miał na myśli w znaczeniu wypadkowym, a zwłaszcza komunikacyjnym, tylko zdarzenie. Losowe zdarzenie. Losowe poważne zdarzenia to rzadkość. Dlatego właśnie są losowe, do diabła. On teraz jedzie do mamy, żegna Natalkę i niedługo wróci. Baj, baj.

Z piskiem opon zahamował przy domu na Chabrowej i nie zdążył wysiąść z samochodu, kiedy Aniela wystrzeliła na zewnątrz i w mgnieniu oka zajęła miejsce obok kierowcy.

– Zabrałam jego zdjęcia – powiedziała. – Tak na wszelki wypadek. Jakby nie miał dokumentów czy coś.

– Myślę, że to nie będzie konieczne – odpowiedział syn, którego lekko zmroziło po słowach rodzicielki. – Ale dobrze zrobiłaś.

– Nie wiem, czy nie lepiej najpierw podzwonić...

– Myślisz, że ktoś tam będzie odbierał telefony? Nie, szybciej będzie, jak pojedziemy.

– To gdzie najpierw? – zapytała Aniela i przy okazji zawiązała dokładnie na szyi apaszkę, ponieważ na zewnątrz panowała typowo wrześnie aura, charakteryzująca się dużą amplitudą temperatur między środkiem dnia a wieczorami i porankami.

– Najpierw spróbujmy tam, gdzie najbliższej, czyli do szpitala przy Kosmonautów.

Aniela energicznie pokiwała głową i pojechali.

Szpital przy Kosmonautów został zbudowany w tempie istic nieszpitalnym i wprawiającym w zdumienie. Wrocławianie, spodziewający się powtórki z rozrywki jak

w przypadku szpitala przy Borowskiej, który rodził się w bólach, mękach i potwornie długo, z niedowierzaniem skonstatowali fakt, że już po trzech latach karetki na sygnale raz po raz przedzierały się przez wiecznie zakorkowaną ulicę Kosmonautów, a helikoptery ratownicze niczym olbrzymie ważki siadały na przyszpitalnym lądowisku.

Paweł wjechał więc na sporych rozmiarów parking przyszpitalny, zaparkował, wysiedli i udali się na SOR.

Z miejsca odnieśli wrażenie, jakby znaleźli się w samym środku serialu paradokumentalnego. Tuż przy wejściu do szpitalnej izby przyjęć wydzierał się jakiś rozhisteryzowany czterolatek, a jego nie mniej zdenerwowana matka robiła właśnie karczemną awanturę facetowi, który stał przed nią z rentgenowskim zdjęciem w ręku. Dwie osoby minęły Anielę i Pawła, pchając przed sobą łóżko, gdzie leżał ktoś, kogo twarzy nie zdołali zobaczyć, bo skryta była pod maską tlenową, a jeden z kierujących łóżkiem trzymał wysoko kroplówkę. Przez korytarz szybkim krokiem przeszedł lekarz, a poły białego fartucha sfrunęły za nim jak peleryna Supermana.

Aniela nie zdążyła go zaczepić, bo zniknął w dyżurce. Rozejrzeli się razem z Pawłem po korytarzu. Ludzi było mnóstwo, jęczeli, płakali, krzyczeli, siedzieli cicho jak skamieniali, narzekali, zerkali co rusz na zegarki, wachlowali się zdjęciami rentgenowskimi, chodzili tam i z powrotem, stali pod ścianami, wpatrując się bezmyślnie w jakiś punkt, biegli gdzieś lub dla odmiany wlekli się noga za nogą. Tłum był nieprzebrany, jakby cały Wrocław umówił się, by właśnie dzisiaj doznać rozmaitych, szeroko pojętych zdarzeń losowych.

– I co teraz? – spytała Aniela, rozglądając się bezradnie dookoła.

– Trzeba kogoś złapać i zapytać – odparł Paweł. – Daj to zdjęcie, mamo.

Aniela podała mu trzymaną w dłoniach fotografię. Paweł ruszył w stronę pomieszczenia, do którego, jak zauważył, raz po raz wchodzili i wychodzili ludzie. Stał pod drzwiami i spojrzał na kolejkę. Kolejka odpowiedziała mu spojrzeniem, w którym jarzyło się podejrzenie, że intruz zapragnie wepchać się bez kolejki, a następnie będzie okupował gabinet mniej więcej do jutra rana.

– Przepraszam państwa, chcę się tylko zapytać, czy przywieziono tu mojego ojca. Mogę wejść?

Gdyby wzrok mógł zabijać, Paweł zostałby właśnie metodycznie rozszarpany na drobniutki kawałeczki.

– Zapytać, zapytać – odezwał się głos gdzieś z końca. – Każdy tak mówi.

Kolejka udzieliła milczącego wsparcia, ten i ów kiwnął głową.

– Ale ja naprawdę tylko zapytam – odpowiedział Paweł i na dowód prawdziwości swoich słów wyciągnął przed siebie zdjęcie Henryka, a tłum wlepił w nie żarłoczne spojrzenia.

– Ostatnio takiego przepuściłem – ciągnął głos z końca. – Godzinę siedział. Też ze zdjęciem stał.

Przez kolejkę przeszedł pomruk grozy.

– Ludzie, dajcie spokój – zirytował się Paweł. – Ojciec zaginął, jeżdżę po szpitalach, bo może gdzieś leży. Wejść, zapytam, czy go tu przywieźli i tyle.

Kolejka zaczęła wrzeć i gotować się do wybuchu jak wulkan, ale w tym momencie drzwi się otworzyły, jeden z pacjentów opuścił pomieszczenie z plikiem recept i zdjęciem rentgenowskim i tę właśnie chwilę wykorzystał Paweł, by wślizgnąć się do środka.

Wślizgnąłby się, gdyby nie zaprawiona w bojach kolejka, która zareagowała błyskawicznie i rzuciła się ku intruzowi jak wielogłowy potwór. Chwycili Pawła za sweter i zaczęli wyciągać. Ten szarpał się i miotał.

– Ludzie, co wy! Dajcie spokój! Tylko zapytać chcę, do diabła! Panie doktorze! – rzucił,

widząc w głębi pomieszczenia mężczyznę w białym fartuchu, siedzącego za biurkiem. – Panie doktorze, chcę zapytać o ojca!

Lekarz oderwał wzrok od papierów i popatrzył na niego niewidzącym spojrzeniem, po czym znowu wrócił do przeglądania dokumentów.

– Czy przywieziono tu Henryka Tworkowskiego?! – krzyknął Paweł, ale kolejka już go chwyciła i zaczęła siłą wypychać z gabinetu.

– Panie, widzisz pan, co się dzieje. Proszę poczekać na swoją kolej – rzucił lekarz zmęczonym i zrezygnowanym głosem.

Kolejka wydała ze zbiorowej gardzieli ryk triumfu, a Pawła przed zdeptaniem lub rozszarpaniem na strzępy uratowało tylko wycofanie się na z góry upatrzoną pozycję.

– Chodźmy – powiedział do trzęsącej się matki. – Jedźmy do innego szpitala, a tu wrócimy, jeśli będzie trzeba.

Aniela zgodziła się i pojechali. Zajrzeli na Koszarową, ale bez rezultatu, Henryka tam nie było. Potem udali się na Borowską, do największego szpitala w mieście, potem pojechali na drugi koniec miasta do szpitala przy Kamińskiego, następnie zahaczyli o ulicę Traugutta i to, co zostało jeszcze ze szpitala imienia Marciniaka, a dalej ponownie ruszyli na Krzyki, by sprawdzić szpital wojskowy przy Weigla. Bez skutku. Wszystko wskazywało na to, że muszą wrócić na Kosmonautów.

Serca zabiły im mocniej w szpitalu wojskowym, bo owszem, przywieziono jednego Henryka. Tworkowskiego. Czy na pewno? No, chwileczkę, sprawdzą, skoro państwo się tak upierają przy sprawdzeniu. A rzeczywiście, bardzo przepraszają, Henryka Tarnowskiego tu przywieziono. Tworkowskiego nie było.

Była czwarta rano, komórka Henryka uparcie milczała, a oni, nieprawdopodobnie zmęczeni, bez słowa zmierzali w kierunku Leśnicy. Paweł w odpowiednim momencie skręcił w prawo z pustej o tej porze ulicy Kosmonautów[10] i ponownie wjechał na parking przy szpitalu.

Zamknęli drzwi auta i, nie spiesząc się już tak jak za pierwszym razem, udali się na SOR. O dziwo SOR był pusty. No, może nie całkiem wyludniony, ktoś tam od czasu do czasu przeszedł gdzieś i zniknął, ale nie było kolejki do gabinetu na izbie przyjęć, z którego kilka godzin wcześniej wywleczono Pawła siłą i o mało nie zlinczowano[11]. Podeszli więc pod drzwi, spojrzeli na siebie i zapukali, a ponieważ nie doczekali się żadnego odzewu, nacisnęli klamkę i weszli.

W środku na kozetce leżał ten sam lekarz, który kilka godzin wcześniej przerzucał na biurko pokazną stertę papierów. Drzemał.

Spojrzeli po sobie, nie wiedząc w pierwszej chwili, co robić, aż w końcu Paweł znacząco chrząknął. Żadnej reakcji. Chrząknął więc na tyle energicznie i wymownie, że można by go było posądzić o wzorcową symulację przewlekłej obturacyjnej choroby płuc. Wysilek się opłacił, ponieważ lekarz uchylił jedno oko, chwilę namierzał otoczenie, skojarzył ruch na swojej drugiej, po czym powoli usiadł na kozetce i przetarł dłońmi twarz.

– Słucham państwa... – sapnął i lekko zakołysał się w przód i w tył, jakby dopiero testował siłę grawitacji.

– Szukamy ojca – rzekł Paweł.

– I męża – dodała Aniela.

– Czy może pan nam powiedzieć, czy przywieziono tutaj Henryka Tworkowskiego? – zapytał Paweł.

– O, tak wygląda – powiedziała Aniela i podstawiała lekarzowi zdjęcie pod nos.

Lekarz przez chwilę tępo wpatrywał się w zdjęcie, po czym przeniósł wzrok ponownie na

stojącą przed nim parę.

– Cóż – sapnął. – Dzisiaj przewinęły się tutaj chyba tysiące. Mógł tak wyglądać, a mógł nie wyglądać wcale. Sprawdzę w komputerze, twarzy nie kojarzę zupełnie. Ale sam siebie nie poznaję po tym dyżurze, więc to jeszcze nic nie oznacza – dodał, widząc przerażenie na twarzy Anieli.

Podniósł się z leżanki, krokiem, na którego widok zombie jęknęłyby z zazdrości, poczłapał do komputera, siadł sztywno na krześle i przygotował palce nad klawiaturą.

– Imię i nazwisko poproszę.

– Henryk Tworkowski – odpowiedzieli chórem.

– Pesel państwo znają?

Znali. Podali. Lekarz wpisał cyfry i jakby się nieco rozbudził.

– No, proszę. Jest.

– Jest!!! – ryknął Paweł.

Aniela ciężko przysiadła na leżance w miejscu, które wcześniej zajmował lekarz.

– A kim państwo są dla pacjenta? – Lekarz odwrócił się i otaksował ich wzrokiem posiadającym zapewne jakieś przyczajone promienie rentgenowskie.

– Ja jestem synem – odparł Paweł.

– A ja żoną – dodała Aniela.

Lekarz zatrzymał dłużej wzrok na Anieli, potem popatrzył w komputer, potem znowu na Anielę i podrapał się po przedwcześnie łysiejącej głowie.

– No, no, to pan Henryk na szczęście do żon. Albo pecha, zależy, jak spojrzeć. Jedna już tu była.

W gabinecie zapadła cisza, którą można było kroić siekierą.

– Przepraszam... kto był? – wykrztusił wreszcie Paweł.

– Żona – służył odpowiedzią lekarz. – Żona tu była.

– Ale to ja jestem żoną! – Aniela podniosła głos, który pod koniec zdania jednak jakoś się załamał i zająknął, jakby zamierzał się przekształcić w preludium szloch.

– Żona go przywiozła – stwierdził znowu lekarz.

– Ale dlaczego przywiozła?! – zawołał Paweł.

– Ale jaka żona?! – krzyknęła równocześnie z nim Aniela.

Lekarz westchnął, jeszcze raz spojrzął w monitor i już całkiem odwrócił się do nich na obrotowym krześle.

– Zanim powiem coś więcej, poproszę o jakieś dokumenty tożsamości. Państwo rozumieją, tajemnica lekarska.

Obydwoje w mgnieniu oka wyciągnęli dowody osobiste, przy czym Aniela ręką zdecydowanie bardziej drżącą. Lekarz przyjrzał się obydwu dokumentom, które nie wyglądały na podróbki i ewidentnie potwierdzały, że rozmawia z autentyczną rodziną.

– Aktu ślubu nie mam ze sobą, zapomniałam – pokornie i z rosnącym przerażeniem stwierdziła Aniela.

– No coś takiego... – Lekarz zacmokał i znów odwrócił się do komputera.

Przez chwilę rozlegało się stukanie w klawiaturę. Gdyby w gabinecie latała jakaś mucha na nocnej zmianie, słychać by było jej bzyczenie.

– Pani mąż miał wypadek samochodowy.

– Jezus Maria!!! – ryknęła Aniela. – Żyje?!

– Spokojnie! Moment! – przerwał lekarz. – Proszę się uspokoić. Żyje. Nawet nie jest jakoś szczególnie poważnie ranny. Stan średni. Złamana ręka i noga, stłuczenia organów wewnętrznych, ale nieznaczne. Kilka krwiaków w płucach. Nie ma zagrożenia dla życia. Leży na

ortopedii.

– Idę do niego! – Zerwała się Aniela.

– Nie!!! – ryknął dla odmiany lekarz i też się zerwał. – Teraz nie – powtórzył już ciszej. – Teraz nie można. Proszę przyjść rano, po obchodzie. Obchód będzie około dziewiątej. Sala dwieście trzydzieści, drugie piętro. Winda po prawej od wejścia.

– No ale zaraz, zaraz – wtrącił się Paweł. – Co z tą żoną?

Lekarz po raz nie wiadomo już który zerknął w monitor.

– Pani Beata.

– Co pani Beata?

– Pani Beata podała się za żonę pana Henryka i przywiozła go tutaj. To znaczy, przyjechała karetką razem z nim. Samochodem jechali wspólnie. Jej nic się nie stało. Opatrzyliśmy lekkie zadrapanie i puściliśmy do domu.

– I nikt nie sprawdzał, czy to faktycznie żona? – zdziwił się Paweł.

Lekarz spojrzał na niego przeciągle.

– Pan widział, co się tu dzisiaj działo? To pana wyciągali z tego gabinetu wcześniej, prawda? Panie, to co się pan dziwisz. Tu nie policja, tu nie ma śledczych. Tu się życie ratuje, nie żon docieka.

Paweł zamilkł i wlepił wzrok w ziemię.

– Jak wyglądała? – odezwała się nagle Aniela i widać było wyraźnie, że budzi się w niej bojowy duch.

– A skąd ja mam wiedzieć? – oburzył się lekarz. – Nie pamiętam, jak sam wyglądam, co dopiero czyjaś żona – powtórzył swoje ulubione zdanie.

Na chwilę znowu zapadło milczenie, nikt się nie odzywał.

– Dobra, mam – westchnął w końcu Paweł. – Teraz nic nie zdziałamy. Wrócimy tutaj po dziewiątej i zobaczymy się z ojcem.

Aniela jakby na moment się zablokowała i potrzebowała czasu, by dotarło do niej to, co syn mówi. W końcu schowała do torebki dowód osobisty i zdjęcie męża, zgarbiła się i przygasała, jakby niedawna bojowość była zaledwie chwilowym złudzeniem, po czym odwróciła do wyjścia.

– Masz rację – odparła w końcu. – Dziękujemy, panie doktorze.

I poszła. Paweł ruszył za nią.

Lekarz wstał i odprowadził oboje wzrokiem. Czuł, że był świadkiem rozgrywania się czegoś więcej niż wypadek samochodowy i nawet zakiełkowało w nim współczucie i zrozumienie, ale był tak zmęczony, że już dwie minuty później ponownie leżał na leżance, wydzierając dobie skromne chwile snu. Chrapał. I to naprawdę głośno.

[10] Poruszający się nocą przez ulicę Kosmonautów mieszkaniec Wrocławia przeżywa prawdziwy szok. Brak korków na tej ulicy jest zjawiskiem tak niezwykłym i tak nieprawdopodobnym, że zupełnie zwyczajna wydaje się rozmowa, w której jedna osoba stwierdza: „Wiesz, jechałem do Leśnicy i nie było korków”, a druga odpowiada: „No nie gadaj! Serio żadnych korków?! Musiało coś się stać!”. Korek na ulicy Kosmonautów o godzinie 22 w niedzielę to norma. Poważnie.

[11] Najbardziej agresywnym i niebezpiecznym gatunkiem fauny na naszej planecie nie jest wbrew pozorom żarłacz ludojad, tylko „homo hospitalus”, a zwłaszcza ta jego odmiana, która żeruje w poczekalniach.

3.

Z pewnością żaden dotychczasowy świt w niewielkim (choć wysokim) mieszkaniu w starej (choć pięknie odremontowanej) kamienicy na ulicy Norwida nie przypominał tego, który niedługo miał nadejść. Żaden dotychczasowy wieczór nie zakończył się bowiem tak huczną imprezą jak ta, którą zorganizowała Paulina w ramach klasowego „spotkania po latach”. Co prawda od matury nie lata minęły, ale kilka miesięcy, ale ona i tak miała wrażenie, jakby ludzie, z którymi przez trzy ostatnie lata siedziała w jednej sali, oddalali się od niej jak statki wypływające z portu na morze życia.

Mogła więc obserwować, jak z każdym dniem rozluźniają się relacje niczym cumy wciągane na pokład, a ten i ów zdążył już zniknąć za linią horyzontu. Niektórym spokojnie dałaby odpłynąć i życzyła pomyślnych wiatrów oraz stopy wody pod kilem, ale był ktoś, kogo za wszelką cenę chciała zakotwiczyć na dłużej. I o niego właśnie chodziło.

Cała ta impreza była tak naprawdę zasłoną dymną, pretekstem, by go po pierwsze znowu zobaczyć, po drugie podjąć działania, które z oczywistych przyczyn były dotąd niemożliwe.

Paulina nie wyznawała zasady, że cel uświęca środki, i nie miała natury bezwzględnej zdobywczyni (jak na przykład Olka, och, Olka to się w ogóle nie certoli), nie umiała owijać sobie chłopaków wokół palca i manipulować ich emocjami (jak na przykład Aśka, która była w tym, zdaniem Pauliny, absolutną mistrzynią), dlatego w zawalonej kłódami drodze do ukochanego pozostawało jej tylko jedno: zaczekać, aż przeszkoda usunie się sama.

Przeszkoda była na tyle uprzejma, że faktycznie wzięła i usunęła się stosunkowo zresztą niedawno, bez pamięci zakochawszy się w jakimś niepełnosprawnym chłopaku poznanym w Internecie. Kaśka, jak już wpadła tak kompletnie po uszy, tak już ostatecznie, że miłość po grób i nie ma przebaczyć, była na tyle uprzejma, że podzieliła się swoją radością z całym światem, a zatem wieść dotarła i do tego, który się w niej skrycie podkochiwał (przynajmniej on uważał,

że skrycie, a wszyscy o tym wiedzieli), a w którym z kolei skrycie podkochiwała się Paulina.

Paulina zresztą gorąco kibicowała Kaście Małopolskiej, trzymała kciuki za wybranka jej serca, by wytrwali w swoim związku, bo dzięki temu droga do Mateusza wreszcie stanęła otworem.

Oczywiście on sam nic nie wiedział o drobiazgowo zaplanowanej strategii, która miała na celu otworzenie mu oczu na to, że oto tuż obok jest ktoś, kto do niego wzdycha, i ten ktoś byłby prawdziwie wniebowzięty, gdyby to wzdychanie odwzajemniono. Paulina cierpliwie przeczekała czas rozpacz Mateusza po utraconej Katarzynie, bacznie śledziła jego profil na Facebooku i Instagramie, a kiedy wydawało jej się, że nadszedł ten właściwy moment, kiedy obiekt jej uczuć jako tako wylizal swoje rany i stał się w miarę otwarty na nowe rozwiązania, postanowiła zorganizować imprezę.

Znajomi z klasy dopisali ilościowo, bawili się naprawdę świetnie, wypili nie wiadomo ile piw i nikt tego nie liczył, bo najpierw nie widział w tym celu, a potem nie był w stanie. Tak gdzieś w okolicach drugiej w nocy zaczęli się w końcu powoli wykruszać i rozchodzić, ku radości i uldze sąsiadów, bo chociaż mury kamienic są grube i są w stanie sporo wytłumić, to jednak sporo nie znaczy wszystko. Na końcu został jedynie Mateusz w stanie nienadającym się na żadne randki, za to potwornie zmęczony.

Paulina zaproponowała wówczas (a starała się to robić głosem lekkim i od niechcienia, Bóg jeden wie, ile ją to kosztowało), żeby został u niej i przespał się o tu, na tej oto kanapie, którą ona, o proszę, uprzejmie rozłoży. Nie będzie musiał się nawet rozbierać i, do licha, nie o to chodzi, tylko o to, że ona nie ma męskiej piżamy, niech więc po prostu położy się, a ona nakryje go kocem, bo przecież gdzie będzie się włóczył w poszukiwaniu nocnych autobusów, które jeżdżą raz na dwie godziny i to jeszcze potwornie dookoła. On bardzo rozsądnie, acz nie do końca przytomnie się zgodził.

Teraz więc Paulina przeżywała chwile pełne upojenia, kiedy na rozłożonej kanapie w jeansach i T-shircie leżał on, wybranek jej serca, Mateusz, i spał, a nawet pochrapywał (och, on nawet pochrapywał pięknie, Boże!), a obok leżała ona i myślała sobie, że mogłaby tak leżeć i niczego więcej do szczęścia nie byłoby jej potrzeba. Życzyła sobie jedynie, by ta chwila trwała jakieś trzysta lat.

Wtedy właśnie tę kruchą nirwanę rozdarł brutalnie dźwięk dzwonka do drzwi. Do drzwi! Rany boskie, o tej porze?! Dzwonek do drzwi po piątej rano brzmiał tak absurdalnie, że Paulinie w pierwszej chwili wydawało się, że się przesłyszała. Namolne brzęczenie rozległo się jednak ponownie i wtedy stało się już jasne, że o żadnych halucynacjach słuchowych nie mogło być mowy.

Paulina niechętnie podniosła się z kanapy, stanęła pod drzwiami wejściowymi w przedpokoju i spojrzała przez wizjer. Ciemno. Ktokolwiek dzwonił, nie zapalił światła na klatce schodowej, dlatego teraz nie było wiadomo, z kim ma się do czynienia.

– Kto tam? – zapytała cicho i jakby z lękiem.

– Ja – odpowiedział męski głos.

– Czyli kto?

– Twój brat, do diabła, Paweł. Otwórz!

Paulina z jednej strony z nieskrywaną ulgą, że to nie policja i nie sąsiedzi, z drugiej jednak z irytacją, że zakłócono jej stan dopiero co osiągniętej nirwany, otworzyła drzwi. Za nimi rzeczywiście stał Paweł, który szybko wszedł do mieszkania.

– Zbieraj się, jedziemy do mamy.

– Zwariowałaś?! Co się stało?!

– Ech, stało się tak dużo, że łatwiej powiedzieć, co się nie stało. Opowiem ci po drodze.

O, nawet jesteś gotowa, lekko się ogarnij i jedziemy.

– Ale o co chodzi, do diabła?! Mów!

Paweł zniecierpliwiony przewrócił oczami.

– Krótko: ojciec miał wypadek, ale na szczęście żyje, jest teraz w szpitalu. To i tak tylko część nowin. Resztę opowiem, jedziemy.

Paulina oklapła i pomyślała z rozpaczą, że to, co tak misternie zaplanowała, obraca się właśnie w perzynę za sprawą jej rodzzonego brata. Postanowiła zawalczyć.

– Nie mogę.

– Co?!

– Nie jestem sama.

– A kto z tobą jest? – Paweł zastrzygł uszami i rzucił spojrzenie, które próbowało prześwietlić ściany lepiej niż promienie Roentgena.

– Chłopak. Kolega.

– O!

– Ale spokojnie, jest ubrany.

– Już się ubrał?

– W ogóle się nie rozbierał, to nie tak.

– Aha. A co teraz robi?

– Śpi.

– No to obudź go, podrzucimy go po drodze do domu.

Paulina załamała rękę.

– Daj spokój, jak to „obudź”. Nie mogę! I co ja mu powiem?

– Że się zbieramy, bo musisz jechać, ważna sprawa wypadła. Jezu, Paulina, nie stwarzaj problemów! Ja pogadam z gościem, jak ty nie chcesz.

– Nie! – zawołała szybko Paulina, ale i tak zbyt późno, bo jej brat zaskakująco zwinnie wyminął ją i wszedł do pokoju.

Mateusz spał i chrapał nakryty kocem. Paweł usiadł na brzegu kanapy.

– Przystojniak – rzucił do Pauliny i uśmiechnął się pod nosem.

– Przestań! – syknęła.

– Widzę, że impreza była – stwierdził, rozglądając się dookoła.

– Była, była, potem ci opowiem. – Paulina machnęła ręką.

Paweł, nie marnując czasu, obudził Mateusza, z pewnym trudem zresztą, i nie wdając się w zbędne szczegóły, przedstawił, jak się sprawy mają. Mateusz mrugał raz po raz, powoli i z oporem przyswajając treść, a Paulina stała obok z nieszczęśliwą miną. W końcu ku zdumieniu obydwójga zaskakująco przytomnie oznajmił, że oczywiście, jak najbardziej, jak najszybciej należy jechać, to absolutny priorytet i niech sobie nie zwracają głowy odwożeniem go, on sobie sam pojedzie, bez przesady. Okazało się jednak, że mieszka po drodze, dlatego dwie minuty później cała trójka siedziała w samochodzie Pawła i mknęła przez Wrocław, bo to była ta krótka pora, kiedy przez stolicę Dolnego Śląska dało się mknąć, a nie poruszać tempem w najlepszym wypadku żółwim.

Pięć minut później Paweł zatrzymał się w zatoczce autobusowej i włączył światła awaryjne, a Mateusz wygramolił się z niedużego auta.

– Zadzwon do mnie, daj znać, jak się sprawy mają – rzekł, pochylając się jeszcze i zaglądając do środka.

Paulina otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Eee, ja?

– Bo wiesz... – Chrząknął i czknął. – Jeśli będziesz potrzebować wsparcia, to ja jestem.

– Zadzwoń – powiedziała szybko Paulina i gorliwie pokiwała głową. – Dziękuję.
Mateusz znów się uśmiechnął, zamknął drzwi auta i pomachał im ręką na pożegnanie.
Widziała we wstecznym lusterku, jak chwilę stał na przystanku, a potem przeszedł przez ulicę i zniknął za zakrętem.

– Wyczuwam silne emocje – zamruczał Paweł.

– Przestań! – zirytowała się Paulina. – Nie mieszaj się.

– Nie nastawiałbym się zbytnio optymistycznie. Jakiś on dla mnie taki... nie z tej planety.

Słabo połączony z rzeczywistością.

– Dzięki za troskę – warknęła. – A teraz zamknij się i jedź. A właściwie jedź i opowiadaj, o co tam chodzi.

Paweł westchnął i powiedział. Zanim zaparkował w Mrozowie przy domu na Chabrowej, Paulina została już wtajemniczona i z niedowierzaniem kręciła głową.

4.

Z pewnością żaden dotychczasowy świt w Mrozowie niczym nie przypominał tego, który właśnie nastał. Słońce wychynęło optymistycznie zza lasu, niosąc nadzieję, że ten dzień nie będzie taki jesienny, jak poprzedni, że gdzieś tam jeszcze nieśmiało tli się wspomnienie lata. Promienie wzięły w ramiona całą okolicę, dbając o złożenie pocałunku na każdym, nawet najdrobniejszym szczególe. Śmiało zaglądały przez szyby, biorąc w posiadanie wszystko, czegokolwiek zdołałyby dotknąć.

W domu przy Chabrowej zawładnęły częścią dywanu w salonie i coraz śmielej sobie poczynając, zdecydowanie, choć niespiesznie, zmierzały w kierunku mebli. Trzy osoby siedzące w milczeniu przy stole nie wyglądały na takie, na których radosne harce promieni jesiennego słońca zrobiłyby jakiegokolwiek wrażenie. W ich postawie wyraźnie odbijało się zmęczenie i poczucie rezygnacji.

– Nadal nic nie rozumiem – odezwała się w końcu Paulina, przerywając ciszę. – Jak to „druga żona”?

– O rany, nic ci się nie nasuwa? – westchnął Paweł z wyraźną irytacją.

– No... nasuwa mi się, oczywiście, że mi się nasuwa, nie jestem taka durna, ale... jakoś mi to wszystko... w głowie się nie mieści. Że niby ojciec?!

– Jakby tak spojrzeć z pewnej perspektywy – zaproponował Paweł. – To okaże się, że zawsze tak długo pracował, a przynajmniej przez kilka ostatnich lat...

– Przecież wszystko dla domu robił! – odezwała się milcząca dotąd Aniela.

– Oczywiście, oczywiście – zapewnił szybko Paweł. – Równie dobrze może być jakieś inne wytłumaczenie niż takie, no, trywialne, że ma na boku jakąś inną babę.

Cała trójka ponownie zamilkła, a nad nimi niczym miecz Damoklesa zawisły coraz to większe wątpliwości i nieprzekonanie do wersji wydarzeń innej niż właśnie ta trywialna.

– Tak czy inaczej, wobec takiej nagłej i rewolucyjnej zmiany w naszym życiu... – zaczął Paweł.

– Litości... – jęknęła jego siostra.

– ...nie pozostaje nam nic innego, jak zapytać u źródła – ciągnął niezrażony. – Musimy iść do ojca do szpitala.

– Bez względu na wszystko byśmy do niego poszli – wtrąciła Aniela. – Ale teraz musimy do niego iść... podwójnie.

– Mamy podwójną motywację?

– No właśnie. Zaczekamy do dziewiątej i Paweł nas zawiezie. I obyśmy dowiedzieli się czegoś więcej.

– W przeciwnym wypadku czeka was rozwód? – zapytała Paulina.

Aniela poderwała się z krzesła i zaczęła nerwowo przemierzać salon w tę i z powrotem.

– Rozwód, rozwód! – zawołała, z irytacją wymachując rękami. – Wszyscy od razu rozwód! Jeszcze nic nie wiemy, zdarzył się wypadek i... jakieś nietypowe okoliczności dodatkowe. Najpierw musimy poznać prawdę, a potem zastanowimy się, co robić. Czy ty sobie wyobrażasz, że można ot tak po prostu wykreślić ponad trzydzieści lat wspólnego życia? Rozwód to nie jest pigułka, którą się łyka i żyje się dalej jak gdyby nigdy nic. Jakby nastąpiło cudowne uzdrowienie. Nic nie wiemy, do licha!

– Dobrze, już dobrze, nie irytuj się.

– Która godzina? – spytała Aniela wojowniczym tonem.

– Siódma.

– To jeszcze mamy czas. Napijemy się kawy, zjemy śniadanie i zrelaksujemy się nieco.

– Zrelaksujemy? – spytał zdumiony Paweł.

– Oczywiście, że zrelaksujemy – potwierdziła jego matka. – Panika czy zdenerwowanie nikomu nie pomogą, a już zwłaszcza nie nam. Niczego nie wyjaśnią i nie wytłumaczą, a tworzenie sobie rozmaitych scenariuszy prowadzi tylko i wyłącznie do rozstroju nerwowego. Jeśli mamy stawić czoła rzeczywistości, bez względu na to, jaka ona jest, musimy być w formie. Kto chce kawy? Bo ja sobie zrobię.

Punktualnie o dziesiątej samochód Pawła po raz kolejny stanął na przyszpitalnym parkingu przy ulicy Kosmonautów. Cała trójka wysiadła z niego i udała się prosto do budynku. Na portierni na wszelki wypadek upewnili się, gdzie jest oddział ortopedyczny (skoro lekarz na dyżurze nie poznawał sam siebie, mógł też nie orientować się dostatecznie dokładnie w topografii szpitala), po czym bez zbędnej zwłoki udali się tam.

Dotarli na drugie piętro i szli przed siebie, mijając kolejne drzwi, w poszukiwaniu sali dwieście trzysta. Była na samym końcu. Przez oszklone do połowy drzwi zobaczyli dwa łóżka, z których tylko jedno było zajęte. Człowiek na nim leżący miał włożoną w gips i grubo obandażowaną nogę, nieco podniesioną na wysięgniku, i nie mniej grubo zagipsowaną i obandażowaną rękę. Twarz pokrywały liczne zadrapania, głowa również owinięta była bandażem, ale i tak nie mogło być wątpliwości.

To był Henryk. Leżał z głową skierowaną w stronę okna i wydawał się spać. Aniela wzięła kilka głębszych oddechów, zebrała się w sobie, wysunęła do przodu obfita pierś i bez

namysłu weszła do sali.

Henryk momentalnie się odwrócił.

Przez chwilę patrzył na żonę i dzieci, jakby zupełnie ich nie poznawał, potem przez moment w jego spojrzeniu zagościł popłoch w czystej postaci, który szybko ustąpił radości. Trudno było powiedzieć, czy była szczerą, pewnie tak, w każdym razie wokół oczu mężczyzny wyraźnie zaznaczyły się zmarszczki mimiczne, pojawiające się głównie w sytuacjach zdecydowanie pozytywnych.

Aniela sięgnęła po stojące pod oknem krzesło i przysunęła je do mężowskiego łóżka, po czym usiadła i wbiła wzrok w twarz mężczyzny. Dzieci stanęły za matką i tak samo bez słowa zapatrzyły się w ojca, przez co całą trójką przypominali szefową wszystkich szefów i jej dwójkę młodych ochroniarzy.

– O... cześć, kochanie – wychrypiał Henryk z wyraźnym trudem. – Witajcie, dzieci.

Paweł odburknął zduszonym głosem pozdrowienie, a Paulina uległa nagromadzonym emocjom i wybuchnęła płaczem, nie artykułując ani jednego słowa. Aniela wzięła głęboki oddech.

– Heniu, na miłość boską, co się stało?!

Henryk, gdyby mógł, przestąpiłby z nogi na nogę, szukając jak najlepszej odpowiedzi. Nie mógł, zamiast tego więc niespokojnie pokręcił się na łóżku, w stopniu, na jaki pozwalała mu unieruchomiona ręka i noga. Uśmiechnął się niepewnie.

– Ekhm, miałem wypadek, ale, jak widzisz, nic się takiego nie stało. Żyję, jest dobrze.

Paulina rozbeczała się na dobre, Paweł założył ręce na piersi i wlepił wzrok w ojca jeszcze intensywniej niż do tej pory. Gdyby spojrzenie mogło chłostać, Henryk wiłby się w męczarniach.

– Heniu, tak, widzę – ze stoickim spokojem ciągnęła Aniela. – Ale co się stało dokładnie? Skąd ten wypadek? Dlaczego? Jak?

Henryk zrozumiał najwyraźniej, że nie wykręci się od odpowiedzi w żaden sposób, dlatego na chwilę zamknął oczy, głęboko westchnął, po czym spojrzał na żonę wzrokiem skruszonego spaniela.

– Jechałem... ekhm... jechaliśmy obwodnicą...

– Autostradą?!

– Nie, nie, obwodnicą śródmiejską, tam wolniej się jedzie. Wjechałem na lewy pas, a facet przede mną też nagle wjechał, bo chyba coś omijał na swoim pasie, i jeszcze nagle zwolnił. Ja nie zdążyłem wyhamować i wjechałem mu w du... no, w tył.

Aniela nabrała silnego przekonania, że gdyby właśnie nie siedziała, to nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa.

– Ktoś jeszcze ucierpiał? – wtrącił Paweł.

– Nie... To znaczy, nie wiem. Wygląda na to, że straciłem przytomność. Ocknąłem się tutaj, w szpitalu. Nie wiem, jak ten facet, nie wiem, jak... inne osoby. Nic nie wiem.

Aniela odwróciła się do dzieci.

– Zostawcie mnie, proszę, na chwilę z tatą sam na sam. Chciałabym z nim porozmawiać. Zaczekajcie na korytarzu.

Paweł i Paulina popatrzyli po sobie, przenieśli wzrok na rodziców, po czym bez słowa opuścili szpitalną salę i wyszli na korytarz. Matka odprowadziła ich spojrzeniem, a następnie skupiła się na mężu. Przez pewien czas panowała cisza jak makiem zasiał.

– Długo się zastanawiałam, jak zadać to pytanie, ale doszłam do wniosku, że zrobię to najprościej, czyli bezpośrednio. Kim ona jest?

– K... Kto?

– Ta, która tu z tobą przyjechała i przedstawiła się jako twoja żona.
– Co? Jako żo...? A niech to jasna cholera. Naprawdę tak powiedziała?
– Tak stwierdził lekarz i tak zapisali w papierach.
– Nie jest moją żoną.
– No domyślam się, w końcu to ja nią jestem – warknęła Aniela. – Bigamia nie jest dozwolona.
– Jest moją... – urwał Henryk.
– Ech, a ja myślałam, że to nie okaże się takie trywialne i oczywiste.
– A jednak. Niestety.
– Od dawna?
– Od kilku lat.
– Lat?! Na miłość boską!
– Wiem, wiem. – Henryk zamachał rękami. – To nie tak, jak myślisz... To znaczy nie, to jest tak, jak myślisz, tylko nie do końca. Ona się nie liczy, nie kocham jej. Kocham ciebie.
– Och, daruj sobie! – zachnęła się Aniela.
– Wiem, że mi nie wierzysz i sam słyszę, jak to brzmi. Ona jest związana z jednym z... kontrahentów.
– Związana? – zdziwiła się Aniela.
– Związana zawodowo. Pracuje dla niego.
– I w ten sposób wasze drogi się zetknęły, co? – spytała kąśliwie.
– Aniu, błagam...
– Nie no, litości, a jakiej reakcji się spodziewałeś? Daj spokój, Heniu, wszystko w porządku?
Henryk próbował nieco zmienić pozycję na łóżku i syknął z bólu. Aniela już miała się poderwać, żeby mu pomóc, ale w porę przypomniała sobie, że przecież właśnie występuje w roli zdradzanej żony, zdradzanej od lat, która nagle i w sposób zupełnie dla siebie nieoczekiwany dowiaduje się prawdy, z którą, co tu kryć, nie wie, co zrobić. Pozostała więc na krześle i zdusiła w sobie kielkujące altruistyczne odruchy.
– Wiem, jak to wygląda – podjął znowu Henryk i wyglądało na to, że zamierza stosować taktykę zdartej płyty. – Nie oczekuję, że mi uwierzysz, powiem ci tylko, jak to jest. Tak naprawdę.
– Zamieniam się w słuch... – burknęła Aniela.
– Ona naprawdę się nie liczy. Pracuje u jednego z moich głównych kontrahentów czy też dostawców, jak go tam zwał.
– Jest sekretarką? – Wbrew sobie zainteresowała się Aniela.
– Raczej kimś w rodzaju gońca, pośrednika. To ona dostarcza mi informacje i dyrektywy...
– Dyrektywy? – zdumiała się.
– ...od swojego szefa. – Henryk przeszedł ponad jej zdumieniem, umyślnie je lekceważąc. – Koncepcje, no, strategiczne.
– Koncepcje strategiczne?!
– Strategie działania. – Henryk z lekka zaczął się pocić. – Sama zaczęła pchać się do mnie...
– Jeszcze nie słyszałam mężczyzny, który by mówił inaczej – przerwała z sarkazmem, przywołując w pamięci swoje bogate doświadczenie ukute na bazie obejrzanych seriali.
– Poważnie mówię. Sama zaczęła się pchać i zasugerowała, że jest... Jakby to ująć? Dodatkiem do transakcji. Jej szef to potwierdził.

Aniela z otwartymi ustami wpatrywała się w męża.

– Dodatkiem do transakcji?! Czy ty sam siebie słyszysz?! Kim jest ten kontrahent, do diabła?!

Henryk głęboko westchnął i jednocześnie jakby zadrzał, a raczej zadrzałby i byłoby to widoczne, gdyby nie gips i bandaż, które pokrywały dość sporą część jego ciała, przynajmniej tego wystającego spod kołdry. Ukryta reszta wzdrygnęła się z pewnością.

– To jest właśnie to, czego nie mogę ci powiedzieć.

– Nie możesz mi powiedzieć?! – Aniela nie posiadała się ze zdumienia. – W coś ty się wplątał?!

– Powiedzmy, że sprawy nieco się skomplikowały i że nie tak to miało wyglądać na samym początku, a potem było już za późno, żeby się wycofać. Wy nic do tego nie macie. To znaczy ty i dzieci.

– Co nie mamy? Jak nie mamy? Mamy wspólnotę majątkową, zapomniałeś? Łamałeś prawo czy co?

Henryk wyglądał na udręczonego.

– Niczego nie łamałem, bądź spokojna. Zaufaj mi, wszystko będzie dobrze.

Aniela sapnęła ze złością i na pewien czas zamilkła. Zapatrzyła się w okno, nie skupiając się na tym, co widzi na zewnątrz.

– A zatem – podjęła już znacznie spokojniejszym tonem. – Skorzystałeś z okazji i na boku rznąłeś sobie dodatek do transakcji. Oczywiście zupełnie niezobowiązująco.

Henryk zamknął oczy i jeszcze raz głęboko westchnął.

– Zdaję sobie sprawę, że zraniłem cię i oszukałem. Żałuję tego, naprawdę. Jest mi strasznie przykro, że okazałem się taki słaby. I wiem, że zepsułem nasz związek, podkopałem twoje zaufanie. I wiem też, jak głupio to brzmi.

– Och, zamknij się, do diabła! – syknęła Aniela. – Nie będziemy teraz tego roztrząsać. Jesteś ranny, połamany i leżysz w szpitalu. Wyjdiesz, zobaczymy, co będzie, i wtedy porozmawiamy.

– Czy jest jakiś cień szansy, że mi wybaczysz? – Henryk spojrział na nią z nadzieją.

– Wszystko będzie zależało od ciebie – odparła. – Teraz nie chcę mówić o żadnych szansach. Teraz ważne jest twoje zdrowie. Wszystko inne musi zejść na dalszy plan.

– Nie będę już jej... wykorzystywał. Tej sytuacji.

– Cóż, w obecnej chwili byłoby to cokolwiek skomplikowane. Dodatek do transakcji będzie musiał poczekać.

– Nie będzie już żadnego dodatku do transakcji, przysięgam. To koniec. Nie chcę cię stracić. Nie mogę.

– Dość – przerwała Aniela, wstając. – Nie będziemy o tym rozmawiać. Twoje dzieci tu są i też chcą zamienić z tobą parę słów.

W oczach mężczyzny zagościła panika.

– Ale co ja mam im powiedzieć?

– Do licha, a skąd ja mam to wiedzieć? Może po prostu prawdę?

Aniela podniosła się z krzesła, popatrzyła przeciągle na męża, zabrała torebkę i skierowała się ku drzwiom.

– Anielu! – zawołał za nią Henryk.

– Tak? – odwróciła się.

– Dziękuję – powiedział cichym głosem.

Uśmiechnęła się i wyszła. Do sali weszły jej dzieci, które już od dłuższego czasu nerwowo przemierzały szpitalny korytarz tam i z powrotem i z niepokojem zaglądały przez szybę

w drzwiach.

5.

Przez kilka następnych dni właściwie nic się nie działo. Słońce uparcie wylaniało się zza pobliskiego lasu, przez krótki moment starało się ogrzać wychłodzone powietrze, ale nieodmiennie za jakiś czas wywieszało białą flagę w obliczu chmur, które brały je w niewolę i skrywały przed światem. Wrzesień stał się wyjątkowo zimny i deszczowy.

Aniela jak co rano wstawała jeszcze przed świtem, choć nie musiała nikogo wyprawiać do pracy, bo jej mąż nadal zajmował szpitalne łóżko na oddziale ortopedycznym. Mimo wszystko zaczynała dzień od kawy i utrzymywania domu w stanie idealnym. Każda kobieta wie, że najlepszym remedium na kłopoty jest mycie okien lub szorowanie podłóg, a ponieważ kłopoty Anieli należały do gatunku tych większych, jej dom lśnił czystością od podłogi po dach. Starła się, by sprawy biegły swoim torem i choć pozornie wszystko było jak dawniej, uśmiech znikł z jej twarzy, co niezwykle ucieszyło jej sąsiadki. Zaczęły wykazywać wzmożone zainteresowanie i pod byle pretekstem przychodzić, by zapytać, czy wszystko jest w porządku.

Aniela niezmiennie odpowiadała, że jak najbardziej, czemu mowa jej ciała całkowicie przeczyła, co z kolei budowało morale sąsiadek, które po raz pierwszy odczuły, że teraz one mają lepiej. Nie chodzi bowiem o to, by samemu miało się lepiej, tylko by ten drugi miał gorzej, i jeśli więc ma gorzej, to wszystko jest w porządku. Sąsiadki odniosły wrażenie, że porządek jest wręcz wzorcowy, co mogło oznaczać tylko jedno – spokój Anieli runął jak domek z kart.

Codziennie przyjeżdżał do niej syn i codziennie wspólnie odwiedzali Henryka w szpitalu, a druga „żona” ku wielkiej uldze Anieli nigdy się nie pojawiła. Najwidoczniej Henryk postanowił dotrzymać raz danego słowa. Jego stan poprawiał się i choć lekarze nie spieszyli się z wypisywaniem go ze szpitala, a poza tym czekała go długa rehabilitacja, można było uznać, że najgorsze ma już za sobą.

Aniela opowiadała mu, co się dzieje w domu, a właściwie co się nie dzieje, bo po

prawdzie nie działo się nic szczególnego, poza tym, że opadające z drzew liście uparły się, by opanować cały trawnik przed domem i codziennie trzeba było je grabić. Wrzesień powoli przechodził już do historii, nadciągał październik i nic nie zapowiadało, by miała w końcu nastać złota polska jesień. Pogoda uparła się być chłodna i deszczowa.

Paulina dopytywała się matki, co dalej będzie z nią i z ojcem, a konkretnie co dalej będzie z ich małżeństwem, ale Aniela uparcie odsuwała zajęcie się tematem, mówiąc, że najpierw jej szanowny mąż musi opuścić szpital, potem sobie porządnie porozmawiają, a potem jeszcze zobaczą, co z tego wszystkiego wyniknie.

Wyglądało więc na to, że wszystko pomału jakoś się unormuje, a jeśli nie unormuje, to chociaż stanie się bardziej do zniesienia, niż było w tym momencie, ale wtedy nastał wtorek. Wtorek zaczął się zresztą zupełnie przyzwoicie, co prawda na zewnątrz zacinął lodowaty deszcz i dał silny wiatr, a w dodatku było ciemno jak o zmierzchu, ale przynajmniej pod względem emocjonalnym wtorek był całkiem w porządku.

Aniela wstała wcześniej, ogarnęła siebie i dom, sprawdziła, czy nie ma jakichś esemesów od męża (nie było), zakręciła się koło tego i owego i już, już miała zbierać się do sklepu, kiedy zobaczyła, że pod jej domem parkuje samochód. Bardzo drogi samochód, duży, z przyciemnionymi szybami, dający do zrozumienia, że właściciela obowiązują zapewne alternatywne przepisy ruchu drogowego i sugerujące, by raczej nie zwracać mu uwagi, gdy na przykład zaparkuje przed sklepem na trzech miejscach parkingowych jednocześnie.

Po stronie kierowcy otworzyły się drzwi i wysiadł osobnik mniej więcej dwóch metrów wzrostu, o szerokich barach i najwyraźniej cierpiący na schorzenie zwane ABS[12]. Osobnik odziany był w garniak, który z miejsca zdradzał profesję jego właściciela.

Sprawnym ruchem otworzył wielki, czarny parasol i przeszedł na stronę pasażera, otworzył tylne drzwi i ochronił od deszczu wysiadającego mężczyznę, wręczając mu parasol. Następnie w dwóch susach przeniósł się na drugą stronę auta, uchylił inne tylne drzwi i otworzył drugi parasol, a przy okazji połączył go niejako ze swoją masywną sylwetką, tworząc zarówno daszek, jak i parawan. Z samochodu wysiadła kobieta.

Aniela nie widziała jej nóg godnych gazeli, ale po reszcie sylwetki mogła wnioskować, że właśnie takie są – warte zatrzymania na nich spojrzenia i stwierdzenia, że sięgają aż do samej ziemi.

Kobieta podniosła kołnierz przy prochowcu – zapewne bardzo drogim – na przedramieniu zawiesiła ucho dość sporej, czarnej torebki (Aniela niezbyt orientowała się w torebkowych trendach, należało jednak założyć, że w tym przypadku chodzi raczej o wyznaczanie nowych szlaków niż podążanie nimi), poprawiła kapelusz (tak! Kapelusz!) i łaskawie pozwoliła się doprowadzić do czekającego po drugiej stronie mężczyzny. Razem zbliżyli się do drzwi wejściowych, a kierowca-ochroniarz starał się wspiąć na wyżyny profesjonalizmu i stawić odpór atakowi deszczu i wiatru, jego dwóm głównym przeciwnikom.

Postacie zniknęły z widoku i parę sekund później rozległ się dzwonek do drzwi. Aniela zamarła i serce podskoczyło jej do gardła. Niby nie było ku temu żadnych powodów, bo w końcu, do licha, to tylko auto, dwóch facetów i jakaś babka, ale coś kazało jej myśleć, że ten dzień nie skończy się tak sympatycznie, jak się rozpoczął. Z gigantycznym trudem pokonała siłę grawitacji, która uparła się, by przygwoździć ją do ziemi, a następnie na miękkich nogach ruszyła ku drzwiom.

– Dzień dobry. Pani Tworkowska, jak myślę – raczej stwierdził, niż zapytał mężczyzna. – Możemy wejść?

Nie czekając na odpowiedź, przepuścił przodem kobietę, która śmiało weszła do przedpokoju i wzięła go we władanie za sprawą dość silnego, choć – nie da się ukryć – pięknego

zapachu perfum. Mężczyzna sprawnie wsunął się za nią, a ochroniarz dla odmiany zwinął parasole i ku zdumieniu Anieli wrócił do auta.

– Kim państwo są? – bąknęła Aniela.

– Zaraz wszystko się wyjaśni – lekkim głosem odpowiedział mężczyzna. – Może wejdziemy do salonu?

Znów nie dając szansy na reakcję, wyminął Anielę, a przy okazji omiótł ją szybkim i profesjonalnym spojrzeniem, mniej więcej sekundę dłużej zatrzymując wzrok na jej potężnym biuście. Nimfa przepłynęła zaraz za nim i zanim Aniela weszła do pokoju, obydwójce zajmowali już fotele ustawione przy stoliku do kawy. Pytanie z ust Anieli padło niejako automatycznie:

– Napiją się państwo kawy?

Wściekła się sama na siebie za ten brak samokontroli, ale słowa już padły i teraz należało grać kartami, jakie miało się w rękach.

– A owszem, poprosimy – odparł mężczyzna, po czym podkreślił i tak już zakręcony czarny wąsik. Wyglądało na to, że podkreślał go od czasu do czasu raczej nieświadomie, w jakiś sposób upodobniało go do gangstera z czasów amerykańskiej prohibicji. – Ja piję czarną, a pani Beatka z kapką mleka.

Aniela spojrzała na kobietę, a pani Beatka w odpowiedzi prawie niezauważalnie wygięła kąciaki ust, co miało zapewne znamionować uśmiech, bez niebezpieczeństwa powstania zmarszczek mimicznych. Tworowska wycofała się do kuchni i, czując narastającą wściekłość, ruszyła do ekspresu. Dwie minuty później postawiła przed gośćmi parujące filiżanki, a koło filiżanek ustawiła ciasteczka. Niech to szlag, była idealną gospodynią w każdych okolicznościach.

– Co państwa do mnie sprowadza? – spytała, siadając na skraju kanapy, jakby czaiła się do skoku.

Mężczyzna w odpowiedzi przyłożył filiżankę do ust, zaczerpnął łyk czarnej ambrozji i wbił w Anielę spojrzenie jak sztylet.

– Z pani mężem łączą mnie interesy – odparł wreszcie.

– Henryk jest w szpitalu – bąknęła Aniela. – To nie może poczekać?

– Niestety nie – odpowiedział mężczyzna, odstawiając filiżankę. – Rzecz w tym, że za sprawą tego pobytu w szpitalu interesy wiążą nas szczególnie mocno. Mówiąc „nas”, mam na myśli mnie, pani męża i panią.

– A co ja mam do tego? – oburzyła się Aniela, odzyskując nieco rezonu. – I kim pan w ogóle jest? Nie słyszałam, żeby się pan przedstawił.

– Och, gdzie moje maniery! – Mężczyzna teatralnym ruchem powstał z fotela i podszedł do Anieli. – Pani pozwoli, jestem Jan Kowalski.

– Jan Kowalski? – powtórzyła po nim zdumiona Aniela.

– Prawda, jakie to zabawne? Połączenie najpopularniejszego imienia z najczęstszym nazwiskiem. A wyglądam, jakbym nazywał się Ewaryst, czyż nie?

– Nooo... – zaczęła Aniela, ale nie dane jej było skończyć.

– Ja jestem więc Jan Kowalski, a to jest pani Beatka.

Pani Beatka minimalnie uniosła z fotela kształtne pośladki, posłała Anieli kolejny minimalistyczny uśmiech i resztę uwagi poświęciła swojej filiżance.

– No i co w końcu państwa do mnie sprowadza? – Aniela powtórzyła zadane wcześniej pytanie.

– Pani Anielo... Mogę tak mówić, prawda?

– Yyy...

– Pani Anielo więc. Przypuszczam, że mąż nie wtajemniczał pani w swoje sprawy

zawodowe.

– Nooo, nie – przyznała Aniela.

– Mąż, pełniąc odpowiedzialne i kierownicze stanowisko, nawiązywał kontakty biznesowe. Te kontakty pociągały za sobą pewne zobowiązania, dla obu stron zresztą. Waga zobowiązań zależała od skali kontaktów, a ja akurat jestem kimś, kogo pani mąż mógł określić mianem głównego kontrahenta.

Aniela zbladła.

– Nie słyszałam, żeby...

– Owszem, słyszała pani. O moim istnieniu mąż już panią poinformował w szpitalu.

I wtedy Aniela sobie przypomniała. Faktycznie, ten błysk, zaraz, zaraz, strachu? Tak, strachu w oczach Henryka, faktycznie mówił coś o głównym kontrahencie, a ona była tak przejęta i tak zmęczona, że nie zwróciła na to należytej uwagi. Już wtedy powinno jej coś zaświtać i powinna mocniej pociągnąć męża za język.

– Dostrzegam w pani oczach zrozumienie. – Główny kontrahent jakby odczytał jej myśli.

– Skala transakcji między mną, czy też, ściślej rzecz biorąc, moją firmą a firmą pani męża była szczególnie duża. Zresztą, mój Boże, nasza współpraca jest wieloletnia, budowaliśmy relację naprawdę długo. Prawie jak małżeństwo. – Wąsacz roześmiał się, jakby to, co powiedział, wydało mu się szczególnie zabawne.

Pani Beatka posłała mu mikrouśmiech, ułamała ze trzy w porywach do czterech atomów z najbliższej leżącego ciasteczka (pewnie obsesyjnie dbała o linię, harpia jedna) i przytuliła usteczka do filiżanki z kawą.

– Jak... Jak długo pan współpracuje z Henrykiem? – wykrztusiła Aniela.

– Och, nawiązaliśmy kontakty, zaraz jak pani mąż został kierownikiem złomowiska. Król-złom, ha, ha, ha. – Kowalski odchylił się w fotelu i najwidoczniej bawił się świetnie. – Najpierw się poznawaliśmy wzajemnie, obwąchiwaliśmy, można powiedzieć, stopniowo coraz bardziej zaczęliśmy sobie ufać, aż w końcu po iluś tam latach wypłynęliśmy na suchego przestwór oceanu.

Aniela wpatrywała się w niego bez słowa.

– Och, słusznie, Mickiewicz jest tu nie na miejscu. Tak czy inaczej, od pani męża, jak i od innych moich, ekhm, partnerów oczekuję tego samego. Zawsze tego samego. Wie pani czego?

– Niech pan powie.

– Uczciwości względem mnie, lojalności i... wywiązywania się z zobowiązań. Niezręcznie zabrzmiało to ostatnie, ale tak się składa, że jest najważniejsze.

– A co... – zająknęła się Aniela – a co jeśli ktoś się... nie wywiąże?

Jan Kowalski energicznie poruszył się w fotelu.

– O, i tu, pani Aniela, przechodzimy do celu naszej wizyty. Pani mąż jakiś czas przed wypadkiem zobowiązał się do przyjęcia ode mnie... mniejsza z tym, co miał przyjąć, grunt, że mieliśmy umowę. Ja ze swojej strony inwestowałem w naszą transakcję spore pieniądze. Bardzo duże pieniądze. Oczywiście pani mąż, jak zwykle zresztą, miał otrzymać na koniec stosowne do skali wynagrodzenie. W tym wypadku szczególnie wysokie. Musiałem jednak się zabezpieczyć na wypadek niewywiązania się z zadania. Tak się zdarzyło, że pani mąż się nie wywiązał.

– Przecież on jest w szpitalu!

– Jest, pani Aniela, jest, ale to go naprawdę, proszę mi wierzyć, nie usprawiedliwia. Miał czas, żeby o wszystko zadbać.

– Mówi pan jak gangster – zachnęła się Aniela. – I co? Zabije go pan?

Kowalski ryknął śmiechem i przez dłuższy czas nic nie mówił, chichocząc z cicha.

– Droga pani Aniela, skąd! Czy ja wyglądam na mordercę? Muchy bym nie skrzywdził!

Muszę jednak, zgodnie z umową, dociągnąć wszystko do końca. Inaczej mówiąc, odebrać, co moje, bo poniosłem ogromne koszty, których nikt mi nie wyrówna. Przyszedłem po zadośćuczynienie.

– A co jest tym zadośćuczynieniem? – spytała szeptem Aniela, czując, że wie, że niestety, niech to szlag trafi, wie, co ten gość ma na myśli.

Kowalski spoważniał w ułamku sekundy i wbił w nią wzrok, który, gdyby mógł, zmiotłby z powierzchni ziemi wszystko w promieniu kilometra, niczym miniaturowa bomba nuklearna.

– Dom. Zadośćuczynieniem jest dom.

– Mój?

– Nie, nie pani.

– Całe szczęście.

– Nie zrozumiała mnie pani. Owszem, ten dom. Tylko że on nie należy do pani.

– Pan chyba jest śmieszny – prychnęła Aniela. – Oczywiście, że należy! Należy do mnie i do mojego męża!

– Co do pani męża, to pełna zgoda – ciągnął zupełnie niezrażony Kowalski. – Pani mąż jest jedynym właścicielem nieruchomości. Tylko on.

Aniela patrzyła na niego bez słowa.

– Nie wiedziała pani? Och, to całkowicie zrozumiałe, tyle miała pani na głowie. Dzieci, zakupy, sprzątanie, gotowanie, dom. Mogło umknąć, w końcu miała pani zaufanie do męża, nie musiała pani monitorować wszystkiego, prawda? Jakoś tak się zdarzyło, że tylko mąż widnieje jako właściciel nieruchomości.

Jan Kowalski wyjął z nesesera leżącego na stole jakiś dokument, wstał z fotela i podszedł szybkim krokiem do Anieli. Ta dopiero teraz zobaczyła, że stoi przed nią wysoki i mocno zbudowany mężczyzna, w którego spojrzeniu trudno byłoby doszukiwać się sympatii czy łagodności. Przeszedł ją dreszcz.

– To, co trzymam w ręce, pani Anielo, to umowa zawarta w obecności notariusza między mną a pani mężem. I ta umowa stanowi, że jeśli pani mąż nie wywiąże się ze swojego zadania i ja poniosę przez to straty, a poniosłem, przypominam, i ich skala z pewnością by panią zdumiała, to dom staje się moją własnością jako rekompensata. Jego wartość nie zaspokaja, rzecz jasna, mojego roszczenia pod względem materialnym, bo straty są wyższe niż wartość domu, ale tu chodzi o, jakby to ująć, wyrównanie moralne. Pani sobie teraz siądzie, pani Anielo, i dokument przestudiuje. A przede wszystkim niech pani sprawdzi pieczęcie. A jeśli nadal nie będzie pani dowierzać moim słowom, proszę skontaktować się z wymienioną w umowie kancelarią. Najlepiej osobiście. Notariusz ma pisemną zgodę moją i pani męża, że w szczególnych okolicznościach może przekazać pani wszystkie informacje. To są właśnie szczególne okoliczności. Daję pani czas, powiedzmy, do czwartku.

Wepchnął Anieli do ręki umowę i wrócił na swój fotel. Potem spokojnie sięgnął po kawę i zagryzł ciasteczką. Aniela wpatrywała się w dokument i nie była w stanie przeczytać ani słowa. Litery w szalonym tańcu przepływały jej przed oczami, linijki tekstu zlewały się ze sobą i zapętdlały. Nie pomagało serce, które waliło w piersi jak szalone, sprawiając wrażenie, że jeszcze kilka uderzeń i rozerwie klatkę piersiową, a potem zwali się krwawą masą na stół kawowy, chlapiąc krwią na wszystkie strony w rozpaczliwych, agonalnych uderzeniach.

– Nie może pan tak po prostu odebrać tego domu – odezwała się Aniela po dłuższej chwili milczenia. – Henryk całe życie mu poświęcił, za własne zbudował, ani grosza kredytu nie wzięliśmy. Wszystkie pieniądze na to szły.

– Zatrzymajmy się przy tym – odpowiedział Kowalski. – Ani grosza kredytu, dom zbudowany za własne pieniądze, mimo tego, że pani przecież nie była aktywna zawodowo.

Nigdy nie zastanowiło pani, jakim cudem jest to możliwe?

– Nooo, Henryk przecież dobrze zarabiał...

– Nad wyraz dobrze. Nad podziw. Niespotykane wysoką pensję miał. Nigdy nie zainteresowała się pani tym, jakie są średnie zarobki na tego typu stanowisku? Nie wydawało się pani nietypowe, że można kupić działkę i postawić spory, wręcz okazały dom oraz utrzymać rodzinę z jednej tylko pensji? Nie wiem, pani Aniello, jak to nazwać, bezgranicznym zaufaniem czy totalnym zaślepieniem. Nie, nie, proszę nie oponować. Pani mąż, spieszę wyjaśnić, miał dwie pensje. Jedną oficjalną. A drugą ode mnie. I to dzięki niej możliwe było dokonanie tego wszystkiego. – Kowalski roztoczył ręką dookoła. – Więc tak naprawdę to mnie pani zawdzięcza istnienie tego domu. Gdyby nie współpraca pani męża ze mną, nadal zajmowałaby pani dwupokojową norę w tej ruderze na Księżu Małym. Tak, tak, jak pani widzi, współpracujemy już od dłuższego czasu. To sprawia, że mój stosunek do tego domu wygląda w tym świetle nieco inaczej, prawda?

Aniela milczała ze wzrokiem utkwionym w dokumentach.

– Panią Beatkę zabrałem, by była świadkiem naszej rozmowy – odezwał się nagle Kowalski nadspodziewanie pogodnym głosem, jakby dzielił się najnowszymi ploteczkami z wyższych sfer. – Pani Beatka – nie obrażę jej, oczywiście, jeśli to powiem, bo ona świetnie to rozumie – jest, jakby to rzec, dodatkiem do transakcji. Wie pani, co mam na myśli.

Aniela gwałtownie podniosła głowę znad papierów. Dodatek do transakcji! A więc to ona! To ta długonoga pinda z fascynującą figurą, odstawiona jak hollywoodzka aktorka zabrała jej męża! To ją wiozł tego dnia, kiedy miał wypadek! Faktycznie, teraz, gdy się jej dobrze przyjrzała, zobaczyła, że starannie ułożoną fryzurą stara się zasłonić mocne zadrapanie na czole u nasady włosów, które mogło powstać, kiedy uderzyła o coś głową. Zapewne zadziałały poduszki powietrzne, ale mimo wszystko trochę jej się oberwało. Perfekcyjny makijaż zamaskował sińce. No proszę, więc to ta kobieta.

Aniela bez słowa wpatrywała się w panią Beatkę, ku wyraźnemu rozbawieniu Kowalskiego, a pani Beatka, najpierw odwzajemniła się jej wyniosłym i władczym spojrzeniem samicy alfa, ale w obliczu nieustającego świdrowania wzrokiem jej zgrabnej osoby zaczęła najwyraźniej odczuwać lekki dyskomfort, gdyż zaczęła intensywnie wpatrywać się w filiżankę kawy, musnęła ją ustami i skupiła uwagę na telefonie. Aniela spuściła oczy i westchnęła głęboko.

– Niech pan już idzie – odezwała się cicho.

– Oczywiście, oczywiście. – Kowalski natychmiast energicznie podniósł się z fotela, a wraz z nim to samo uczyniła pani Beatka, wkładając telefon do torebki, a tę wieszając na przedramieniu. – Nie będziemy nadużywać pani gościnności. Do czwartku proszę potwierdzić autentyczność umowy. Zgodnie z jej zapisami od momentu przejęcia własności, a to nastąpiło właśnie dzisiaj, ma pani tydzień na opuszczenie domu. To oznacza, że wprowadzam się tutaj w następnny wtorek. Może pani, oczywiście, wytoczyć mi sprawę sądową, ale zapewniam, że na pani miejscu trzy razy zastanowiłbym się przed podjęciem takiego kroku. W końcu, jeśli już decyduję się na takie umowy, należy zakładać, że cieszę się odpowiednim wsparciem we właściwych kręgach, czyż nie? Beatko, chodźmy. Pani musi sobie to i owo przemyśleć. Ten egzemplarz umowy jest, rzecz jasna, dla pani, pani Aniello. Ja mam drugi.

To powiedziawszy, Kowalski razem ze stukającą obcasami niebotycznych szpilek Beatką skierowali się do wyjścia i opuścili dom bez słowa pożegnania. Tuż za drzwiami, jak się okazało, zwarty i gotowy czekał ochroniarz-kierowca, uzbrojony w dwa parasole, które momentalnie roztoczył nad wychodzącą parą. Cała trójka bez zbędnej zwłoki wsiadła do czekającego auta i odjechała.

Deszcz lał strumieniami. Strumyczki wody ściekające z rynny na chodniku zmieniały się

w prawdziwe potoki. Po porannej mżawce nie było śladu, zastąpił ją rozsierdzony nie na żarty deszczowy potwór. Wychłostane deszczem opadłe liście, całkowicie bezbronne wobec tej nawałnicy, z rezygnacją przyjmowały grad ciosów, który sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie miał się skończyć.

Aniela pomyślała, spoglądając przez okno, że sama jest właśnie jak te liście. Zastanawiała się, ile jeszcze zdoła znieść i czy przypadkiem ulewa splucze ją w jakieś miejsce, z którego nie będzie wyjścia i w którym utknie na dobre. Najpierw wiadomość o wypadku samochodowym męża, potem odkrycie, że nie ona jedna dzieliła z nim łóżko, a teraz wiadomość, że jej dom nie należy do niej i że nie ma szans, by kiedyś zaczął, bo ostatecznie mają go jej odebrać. Na dodatek jej mąż okazuje się od lat umoczony po uszy w jakichś ciemnych interesach z facetem, który co prawda zapewnia, że muchy by nie skrzywdził, ale na pierwszy rzut oka widać, że w stosunku do człowieka już taki miłosierny by nie był. Ba, nie tylko by skrzywdził, ale jeszcze uczynił to w sposób niezwykle twórczy i bolesny.

Na miłość boską, jak mogła być taka głupia? Co za szaleńcza nieroztropność z jej strony, by bezgranicznie zaufać mężczyźnie, nie pozostawiając sobie żadnego planu B i podporządkowując całe życie jego planom i wizji?

Kowalski ma rację, na dobrą sprawę nigdy nie zadała sobie pytania, jak to możliwe, że jedynie z pensji męża udało się postawić taką chałupę, wychować dzieci, jeździć na wakacje, nie biorąc przy tym grosza kredytu. Problem, jak przeżyć od pierwszego do pierwszego, poza pierwszymi latami małżeństwa, zawsze był jej zupełnie obcy. Skupiała się na swoich obowiązkach, na tym, żeby być perfekcyjną panią domu, a całą resztę przyjmowała za dobrą monetę. Tymczasem tuż pod jej nosem rozkwitła bujnie przestępczość zorganizowana. No bo jak to nazwać?

Mój Boże, dlaczego to wszystko musiało się zwalić naraz? Nie można było jakoś dawkami? Rozciągnąć to w czasie, żeby było bardziej strawne dla człowieka? Och, okrutny losie! O niech to jasna cholera.

Aniela spojrzała jeszcze raz na umowę, którą ciągle trzymała w rękach, i stwierdziła, że jeśli nie wie, co robić, to w pierwszej kolejności zrobi to, co jej się wydaje najprostsze i najbardziej oczywiste. Zadzwoi do syna i do córki.

[12] Absolutny brak szyi.

6.



Wizyta u notariusza, którą Aniela odbyła razem z Pawłem i Pauliną, potwierdziła najgorsze przypuszczenia. Kancelaria była autentyczna, a co gorsza, umowa też. Pieczętki, podpisy i tego typu sprawy wszystko było właściwe na właściwym miejscu.

– Można by się załamać – powiedział Paweł. – Tylko że my nie możemy.

– Ale dlaczego nie możemy? – zaproponowała Paulina. – Weźmy się i porządnie załammy, kto nam zabroni, co? Co jak co, ale prawa do wywieszenia białej flagi nikt nam odebrać nie może.

– Uspokójmy się – zaproponowała ich matka.

Stali wszyscy na korytarzu starej, ale pięknie odremontowanej kamienicy niedaleko Narodowego Forum Muzyki, już po wyjściu od notariusza. Na spotkaniu jasno i dobitnie zostało im pokazane, że o ile etyczny wydzwitek umowy pozostawia wiele do życzenia (ale przecież to nie notariusz jest od etyki, a ksiądz), o tyle z punktu widzenia prawa nie został naruszony żaden paragraf. Umawiać się można na różne rzeczy i jeśli jedna ze stron zobowiązała się pokryć straty drugiej strony własną nieruchomością, w przypadku, gdyby zawałiła sprawę, to przecież kto bogatemu zabroni? Świadek urzędowy tych poczynań jest, legalny, poczytalny i nadzwyczaj trzeźwy, a ponadto nic nie wskazywało na to, by nie był taki w momencie dopinania umowy. Niech to jasna cholera. Wzięli i rach-ciach stracili dom.

– Jak mógł? – zapytał po dłuższej chwili milczenia Paweł. – No żeż rany boskie, jak on mógł coś takiego zrobić?!

– To przykre dowiadywać się po tylu latach, że własny ojciec jest idiotą – dodała Paulina.

– Nie wiem, czy jest idiotą, czy miał zaćmienie umysłowe, czy po prostu nie miał wyjścia. Muszę z nim porozmawiać – powiedziała Aniela ze smutkiem.

– Och, ty go zawsze bronisz! – oburzyła się córka. – Jedźmy do szpitala, nie byłaś tam

dwa dni. Pewnie usycha z tęsknoty. Chociaż nie, pewnie przyniosła mu ukojenie ta długonoga siostra miłosierdzia.

– Nie o to chodzi, że go bronię czy nie bronię – zmęczonym głosem odpowiedziała Aniela. – Tylko kompletnie nie umiem rozeznaczyć sytuacji. Widziałam tego „głównego kontrahenta” – nakreśliła palcami cudzysłów – i zapewniam cię, że to nie było miłe spotkanie.

– No ja myślę...

– Nie chodzi o to. To... jakby to ująć? To morderca. W białych rękawiczkach. Nie zdziwiłabym się, gdyby miał czyjeś życie na sumieniu.

– No cóż, co jak co, ale twoje już ma – wtrącił Paweł. – Może nie w kontekście ustania funkcji życiowych organizmu, ale wszystko inne runęło w diabły.

Paulina zerwała się na równe nogi.

– Chodźmy na policję! Dlaczego nikt z was o tym nie mówi?! Chodźmy, do licha, na policję!

– I co im powiemy? – zastopował ją brat. – Masz jakieś dowody albo chociaż poszlaki czegoś, co nie jest zgodne z prawem? Podpisali umowę? Podpisali. Trzeźwi byli i normalni? Byli. Co chcesz im przedstawić?

– No ale przecież z niczego się taka umowa nie bierze – piekliła się dalej Paulina. – Przecież jest wcześniejsza, jak to określiliście, współpraca. Wieloletnia nawet, jak się okazuje. Przecież tam wały jakieś odchodziły gigantyczne! Nie mówcie, że tego nie widzicie?

– Powtórzę jeszcze raz – odparł Paweł ze stoickim spokojem. – Masz jakieś dowody? Jasne, że to był wałek, ale myślisz, że trzymali transparent „Uwaga! Tu się przewala pieniądze!”? Myślisz, że o to nie zadbali?

– Ojciec na pewno nie zadbał – mruknęła Paulina i zapatrzyła się w dal przez piękne, secesyjne okno.

Jak na złość pogoda była przepiękna. Złota polska jesień pokazała w końcu, na co ją stać i październikowe, zaskakująco ciepłe promienie słoneczne bawiły się w berka ze swobodnie opadającymi z drzew liśćmi. Wzdłuż ściany Narodowego Forum Muzyki szybkim krokiem przechodzili ludzie, ukradkiem spoglądając w swoje sylwetki odbijające się w szklanej ścianie. Tramwaje dostojnie sunęły po szynach, a w niedalekim parku matki pchały wózki z dziećmi, ze wzrokiem zatopionym w ekrany smartfonów.

Paulina doszła do wniosku, że właściwie większość z tych ludzi, których widzi przemierzających się w różnych kierunkach, trzyma w ręku telefon.

– Cywilizacja, niech to szlag – mruknęła do siebie i odwróciła się od okna. – To co robimy? Trzeba coś postanowić. Nasza mama nagle stała się bezdomna. Jak to niewiele trzeba, co nie? Wystarczy głupio wyjść za męża.

Aniela westchnęła głęboko i ściągnęła z ramienia torebkę, czegoś w niej szukając.

– Dziecko drogie, bardzo nie lubię uderzać w te tony, ale wierz mi, że inaczej świat wygląda, kiedy ma się lat dziewiętnaście, a inaczej, jak się ma pięćdziesiąt pięć. I wierz mi, że gdyby człowiek wiedział, że upadnie, toby usiadł. Nic na tym świecie nie jest czarno-białe, wszystko to odcienie szarości. Życie przytępia radykalizm osądów.

Wreszcie znalazła to, czego szukała, wyciągnęła paczkę papierosów i zapalniczkę, zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem. Rodzeństwo z szeroko otwartymi oczami spojrzało najpierw na siebie, potem na swoją matkę.

– Przecież ty nie palisz! – wyrzuciła z siebie Paulina.

– Teraz palę – odparła jej matka. – I nie chcę słyszeć słowa komentarza. No, to kto przygarnie bezdomną kobietę?

Zbaraniałe rodzeństwo wpatrywało się w matkę. Pierwsza otrząsnęła się Paulina.

– Ja! W ogóle co to za pytanie i jak można się nad takim czymś zastanawiać? Zamieszkaś ze mną. Przynajmniej póki ojciec jest w szpitalu, bo potem to zobaczymy, co zrobić.

– I rzeczywiście trzeba coś zrobić – wtrącił się Paweł. – Zacznijmy od najprostszego. Jedziemy do ojca.

7.



Komisarz Borewicz naprawdę nazywał się Borewicz, co od wielu lat stanowiło źródło radości całej wrocławskiej policji. Kiedy Borewicz pojawiał się w jakimś towarzystwie, gdzie go jeszcze nie znano, i kiedy się przedstawiał, to właściwie odliczał czas od momentu podania nazwiska do padającego żartem „zero siedem, zgłoś się”. Padało zawsze, czasem wcześniej, czasem później, najczęściej wystarczyły dwie minuty.

Przyzwyczał się, trudno było zresztą o coś innego, skoro ksywka Zero Siedem przylgnęła do niego na mur--beton zaraz po zasileniu szeregów służb mundurowych. Zasilenie to nastąpiło zresztą jakiś czas temu, bo komisarz wkroczył był już w wiek zwany średnim tudzież załapał się na drugą młodość, taką poczwierdziestkową i jakieś już doświadczenie zdążył zebrać. Doświadczenie to kazało mu mówić, że im większa skala przekrętu, tym trudniejszy i wymagający większych wysiłków proces dochodzenia do prawdy.

Dlatego z niedowierzaniem, wręcz osłupieniem przyjął informację, że oto ni stąd, ni zowąd pojawił się tajemniczy, pragnący zachować anonimowość informator, który uprzejmie doniósł, że w przedsiębiorstwie miejskim zajmującym się recyklingiem i zbiórką odpadów, a konkretniej jeszcze złomu, dochodzi do szemranych transakcji, podczas których ma miejsce handel towarem newralgicznym wielce.

Całe szczęście towar nie jest żywy i Borewicz, któremu już przed oczy pchały się nachalnie najczarniejsze scenariusze, jakie doceniłiby autorzy horrorów, odsunął od siebie straszne wizje i w lot zrozumiał, że towarem jest nielegalnej proweniencji złom.

Złom mianowicie jest rabowany i to w sposób już to niezwykle kreatywny, już to wybitnie upierdliwy dla otoczenia. Informator mówił o fragmentach trakcji kolejowej, studzienkach kanalizacyjnych, płotach, rowerach, a nawet lampach ulicznych i samochodach (starych, bo te naprawdę wartościowe po kradzieży lądowały gdzie indziej, z tym że nie

wchodziły już w sferę zainteresowań Borewicza). To wszystko miało trafiać do przedsiębiorstwa, choć nie powinno, bo „złomiarnie” miały zakaz przyjmowania tego typu „darów”. Trafiało jednak, w związku z tym ktoś ewidentnie brał w łapę i przymykał oko, by tak się działo.

Tak mówił informator i podpowiadał dodatkowo, że za całym procederem stoi dyrektor przedsiębiorstwa i on jest największym beneficjentem tego układu. Mało tego, donosił uprzejmie usłużny obywatel, dyrektor nie od tej wiosny i nie od poprzedniej rozwija swój lewy interes, tkwi w tym od lat, co więcej, tego tkwienia nie da się określić inaczej jak po uszy. Słowem, mówił informator (a właściwie nie tyle mówił, ile pisał), są na to dowody i proszę bardzo, on uprzejmie władzy te dowody podaje. W czynie społecznym, rzecz jasna, z potrzeby serca i ku chwale ojczyzny.

Informator, stwierdził z niebotycznym zdumieniem Borewicz, pisał tak dużo i tak składnie, że pachniało to wszystko zaciemnianiem prawdziwego obrazu rzeczywistości, ale ze służbowego obowiązku komisarz pochylał się nad podsuwanymi pod nos dowodami i ze zdumieniem jeszcze większym niż poprzednio stwierdził, że nie są one sfabrykowane. A przynajmniej nic na to nie wskazuje.

Całość okazywała się prosta jak konstrukcja cepa. Głowa tej złomiarskiej ośmiornicy, czyli dyrektor przedsiębiorstwa, Henryk T., wyrastał na diabła wcielonego i wilka z Wall Street w jednej osobie. Sam pozyskiwał, nie wiadomo od kogo, złom nielegalnego pochodzenia, brał, nie wiadomo od kogo, pieniądze za przyjęcie trefnego towaru, był alfą i omegą tego procederu i najwyraźniej świetnie na tym wyszedł. Co więcej, okazał się kompletnym idiotą, a zebrane dowody (głównie dostarczone przez informatora, ale też po części złożone do kupy przez organy ścigania) obciążały wyłącznie jego.

Borewicz, który już niejedno widział, bez trudu dostrzegł grubość nici, którymi szyty był ten materiał, ręce na razie miał jednak zupełnie związane i mógł uchwycić się tylko tego, co najbardziej wystawało. Czyli dyrektora. Ewidentnie jakaś szajka o znacznie większym zasięgu i znacznie większej sile wnikania w głąb pozbywała się najslabszego ogniwa.

Borewicz widywał już podobnych dyrektorowi odstawianych do odstrzału. Najwidoczniej swoje już wyciągnięto i oczywiście reszta ośmiorniczego cielska pozostaje czysta jak łąza. Nie no, bez przesady, jakiego cielska? Istnieje tylko ta głowa. Tajemnicą też pozostawała tożsamość informatora, wiadomo było tylko, że to kobieta, bo się człowiekowi wzięło i wymsknęło to i owo podczas aktu donosu. Czy wymsknęło się przypadkowo, czy specjalnie, tego nie wie nikt, ale też nikt specjalnie nie drążył, mając tak pięknie podane, tak łatwo dostępne i tak smacznie pachnące danie na talerzu.

Rzecz jasna zapach należało traktować w ujęciu metaforycznym, bo Borewicz, stojąc na korytarzu szpitalnym i wpatrując się w przeszklone drzwi sali dwieście trzystaście, wciągał w nozdrza zapach mało piękny, a bardzo – jakby to ująć? – profesjonalny i medyczny. Profesjonalizm medyczny pachniał środkami do dezynfekcji pomieszczeń, bandażami, gipsem, lateksowymi rękawiczkami i zgrają lekarzy, którzy właśnie robili obchód. Lekarze pachnęli nawet przyjemnie.

Borewicz stwierdził to wbrew sobie i westchnął, ubolewając po raz nie wiadomo który nad cechą, która niezwykle utrudniała mu jego policyjną pracę. Dysponował mianowicie znakomitym węchem, kiedy więc zdarzało się, że odnajdowano zwłoki i zwłoki te dzielił od czasu zgonu czas niebagatelny, Borewicz cierpiał straszliwie, o wiele bardziej niż jego współpracownicy i wysyłał pełne zrozumienia fluidy dla policyjnych owczarków, współczując im jeszcze bardziej niż sobie samemu.

Stał więc Borewicz na szpitalnym korytarzu, patrzył to w przeszklone drzwi, to w szybę korytarzowego okna i zastanawiał się, ile jeszcze potrwa wizyta lekarska, ponieważ on co prawda

zwykł rzetelnie wykonywać swoje zawodowe obowiązki i, jeśli musi, to zaczeka, ale na miłość boską, ileż można gapić się w gips?!

Stałby może jeszcze dłużej i nudził się jeszcze bardziej, gdyby nie ciekawa grupka, która wyłoniła się z windy na końcu korytarza i dziarskim krokiem zmierzała w jego stronę. Grupka składała się z dwóch młodych osób i jednej, na pierwszy rzut oka, pokolenie starszej, przy czym pomimo różnicy wieku wszyscy byli mniej więcej w tym samym stopniu wkurzeni. Stanęli jak wmurowani przed salą dwieście trzystaście, omietli Borewicza niepewnym i raczej nieprzyjaznym wzrokiem i zajrzeli przez przeszklone drzwi.

– Wizyta jeszcze trwa – zauważył chłopak.

– To poczekamy – dodała młoda dziewczyna.

Zacząli nerwowo przestępować z nogi na nogę, a Borewicza nagle i niespodziewanie zaswędziało nos, co było nieomylnym znakiem, że coś jest na rzeczy i ludzie, którzy przyszli, muszą mieć wiele wspólnego ze sprawą, którą właśnie się zajmował. Doszedł do wniosku, że ma przed sobą rodzinę podejrzanego, z którym chciał właśnie porozmawiać.

– Pani Tworkowska? – zapytał, odklejając się od parapetu.

Pięćdziesięcioparoletnia, zadbana i zupełnie ładna jak na swój wiek, kobieta odwróciła się w jego stronę.

– Tak – odpowiedziała nieco przestraszonym głosem. – Kim pan jest?

– Jestem z policji. Nazywam się Aleksander Borewicz.

Nastąpiło to, co musiało nastąpić i do czego Borewicz był przekonany, że nadejdzie. Facet prychnął śmiechem, po czym szybko zmytygował się i speszony wlepił wzrok w podłogę. Pięćdziesięciolatka stropiła się mocno i już wyraźnie przerażona wpatrywała się w Borewicza.

– W jakiej sprawie pan tu jest, panie komisarzu? Przepraszam, nie wiem, jak się pana tytułuje.

– W porządku. Jestem tutaj, ponieważ chcę przesłuchać pani męża. Później będę chciał porozmawiać z panią i pani dziećmi. Jak myślę, mam przed sobą wszystkich.

Wszyscy wymienili się spojrzeniami i nie odezwali ani słowem.

– A o czym będzie chciał pan ze mną porozmawiać? – spytała kobieta.

– O pani mężu, oczywiście, i o tym, w co się wplątał.

– Oj tam, zaraz wplątał – wtrącił mężczyzna.

– Myślę, że nie ma sensu zaprzeczać faktom – westchnęła pięćdziesięciolatka. – Wiemy, że w coś się wplątał, nie wiemy za bardzo, w co i musi mi pan uwierzyć na słowo, że dowiedziałam się o kłopotach męża ostatnia, na dodatek w bardzo nieprzyjemnych okolicznościach.

– Wierzę – odparł poważnie Borewicz, bo naprawdę wierzył. – Będę go jednak musiał i tak przesłuchać, a następnie, wszystko na to wskazuje, przedstawić zarzuty.

– A o co jest oskarżony?

– O malwersacje finansowe, działanie na szkodę przedsiębiorstwa, którym kieruje, najprawdopodobniej też o pranie brudnych pieniędzy.

– Pranie brudnych pieniędzy? – wykrzyknęła młoda dziewczyna. – Nawet jeśli, to pan chyba nie myśli, że robił to sam?!

– Oczywiście, że nie myślę – odparł ze stoickim spokojem Borewicz. – Ale na tym etapie śledztwa dowody obciążają jedynie pani ojca. Liczę na to, że dowiem się czegoś więcej i jego zeznania doprowadzą nas głębiej i dalej.

Za przeszklonymi drzwiami zaczął się wzmożony ruch wskazujący na to, że obchód lekarski miał się już ku końcowi, przynajmniej dla tej sali.

– Pozwoli pan, że najpierw ja porozmawiam z moim mężem. Są rzeczy, o których musi

się dowiedzieć, bardzo istotne dla nas wszystkich.

– Przykro mi, ale istnieje ryzyko mataczenia. Wiem, jak to brzmi, ale niestety najpierw ja muszę tam wejść, bez względu na to, co ma pani do zakomunikowania mężowi. Zresztą ja też bardzo chętnie o tym usłyszę, tylko, jak pani widzi, kolejność ma znaczenie.

Aniela chciała coś odpowiedzieć, ale w tym momencie grupa lekarzy ostatecznie postanowiła opuścić pomieszczenie i jeden za drugim pojawiali się na korytarzu. Nie poświęcili czekającej czwórce szczególnej uwagi, ledwo zarejestrowali ich istnienie i pochłonięci analizą przypadków medycznych, zatopieni we wzajemnych rozmowach skierowali się kierunku przeciwległego końca korytarza, zapewne do pokoju lekarskiego, jako że sala dwieście trzysta była ostatnią z tych, które należało odwiedzić.

Borewicz uśmiechnął się do Anieli i jej dzieci, zsalutował jej od niechcienia, choć był ubrany po cywilnemu, i wszedł do sali. Pozostała trójka odprowadziła go ponurym wzrokiem.

8.

Aniela wróciła do domu i powiesiła torebkę na wieszaku. Westchnęła głęboko. Jej nowy dom był niezwykle korzystnie ulokowany w centrum Wrocławia, co sprawiało, że w wiele miejsc mogła udać się na piechotę. Na przykład na komisariat policji, gdzie właśnie złożyła zeznania (po raz kolejny) i skąd wróciła z w miarę już pełnym obrazem sytuacji. W ogóle jej się ten obraz nie podobał. Nic a nic.

Nowy dom był tak naprawdę mieszkaniem jej córki, a jej córka, ukończywszy liceum i zaliczywszy swój pierwszy, poważny zawód miłosny w postaci kompletnie nieodwzajemnionego, acz gwałtownego uczucia do niejakiego Mateusza[13], próbowała obecnie swoich sił w pierwszej w życiu pracy na stanowisku młodszego doradcy klienta na infolinii jednego z banków. I dobrze. Może pozna tam jakiegoś normalnego chłopaka i zapomni o źle ulokowanym uczuciu, które już, już wydawało się, że zostanie odwzajemnione, ale niestety nadzieje Pauliny okazały się płonne. Mateusz, owszem, Paulinę bardzo lubił, kumpłował się z nią chętnie, ale nic poza tym. Ona wreszcie zrozumiała, że z tej mąki chleba nie będzie, a nowa praca i w ogóle nowy rozdział w życiu pojawiły się w samą porę i nie pozwoliły jej popaść w jakąś kompletnie nieracjonalną rozpacz. Obiekt uczuć córki, zdaniem Anieli, zupełnie niewart był załamania. Rok akademicki już się rozpoczął miesiąc temu, ale Aniela była dumna ze swojego dziecka, dumą uczciwą, szczerą, prawdziwie matczyną, że młode pokolenie, które wydała na świat i wychowała, chce być samodzielne i samowystarczalne. Skoro córka uznała, że sobie poradzi, łącząc pracę i studia, to niech próbuje. Aniela wróciła więc do pustego domu, bo Paulina zaraz po zajęciach na uczelni pognęła od razu na popołudniową zmianę.

Jej nowy dom. Jej-nie-jej. Jej nowy, tymczasowy dom. Tymczasowe przytulisko. Schronisko. Aniela skarciła się za kierunek myśli i otrząsnęła, czując, że w przeciwnym wypadku po prostu usiadzie i się rozplacze. Nie mogła sobie pozwolić na płacz. Nie teraz, kiedy musiała

być naprawdę silna, żeby udźwignąć wszystko, co na nią spadło do tej pory i co spadało nadal, a końca nie było widać. Od czasu pamiętnej wizyty w szpitalu, kiedy po raz pierwszy zetknęła się z komisarzem Borewiczem, minął już miesiąc. W międzyczasie dom w Mrozowie ostatecznie przestał być jej domem.

Aniela przy pomocy swojego syna Pawła zabrała z niego najniezbędniejsze rzeczy osobiste, coś ze sprzętów, dokumenty i parę pamiątek, tylko tyle i aż tyle, będąc ograniczoną zapisami zawartymi w umowie podpisanej między Kowalskim a jej mężem, po czym przeniosła się do dwupokojowego lokum. Dziecko jak najbardziej było kochanym dzieckiem, ale tak czy inaczej, na początku wspólnego mieszkania występowały tarcia, które pojawiają się zawsze, kiedy pod wspólnym dachem razem znajdują się na dłuższy czas osoby już przyzwyczajone do mieszkania osobno.

Trzeba więc było być silną, żeby to wszystko udźwignąć.

Henryk, szanowny małżonek i przyczyna całego zamieszania, opuścił był już szpital, podleczonej jako tako i na tyle sprawny, by móc być osadzonym na trzy miesiące w areszcie. Areszt, jak argumentowano, był niezbędny, ponieważ istniało duże prawdopodobieństwo matactwa.

Aniela nie wiedziała, kto i jak miałby mataczyć, bo Kowalski *et consortes* rozplynęli się we mgle wydarzeń i nie dawali znaku życia, a na horyzoncie nie pojawiały się żadne nowe typki, których można by podejrzewać o bycie ramionami ośmiornicy. Wyglądało to wszystko tak, jakby reszta cielska zabrała się i poszła, wycofała na z góry upatrzone pozycje, na placu boju pozostawiając jedynie głowę i nie przyznając się do tego, żeby kiedykolwiek ją posiadała.

Henryk bezpośrednio ze szpitala został więc odwieziony do aresztu i to w kajdankach, stając się przy okazji wydarzeniem miesiąca na oddziale ortopedycznym, a śledztwo toczyło się dalej w trybie dla siebie charakterystycznym, czyli inaczej mówiąc, ślimaczyło się przepotwornie. Nic nie wskazywało też na to, że nagle ruszy z kopyta, raczej wyglądało na to, że wszystkim, zarówno cielsku ośmiornicy, jak i policji, odpowiada taki stan rzeczy. Jest podejrzany? Jest. Są dowody? Są. I wystarczy.

Tylko Henryk i jego rodzina nie byli zachwyceni takim obrotem spraw, ale też nikt jakoś szczególnie nie przychylił się, by spojrzeć na wszystko z ich perspektywy.

Minął więc miesiąc, Aniela zamieszkała u córki, a córka popadała w coraz większą irytację.

– Na co jeszcze czekasz? – pytała. – Odetnij kończyne, zanim zginie cały organizm. Zostaw go! Zobacz, jak nas urządził!

Zostaw go.

Aniela z przerażeniem zaczęła zdawać sobie sprawę, że czy chce tego, czy nie chce (a raczej nie chce), stoi w obliczu ważnej decyzji. Najprawdopodobniej jednej z największych w swoim życiu. Czy powinna się rozwieść? Jej młodsze, acz pełnoletnie dziecko gorąco optowało za taką decyzją, argumentując, że matka wtłoczona została w rolę kury domowej, całe lata była oszukiwana i okłamywana, ten, który powinien być dla niej wsparciem i siłą, okazał się oszustem i to na dodatek – co już było szczególnie upokarzające – zdradzającym ją oszustem, a na koniec, kiedy kłamstwo ujrzało światło dzienne, pozbawił ją wszystkiego, co posiadali. Pozbawił, co prawda, wbrew swojej woli, ale jednak pozbawił.

Aniela, która przez lata nie pracowała, zajmując się domem i pozostając na mężowskim utrzymaniu, musiała w trybie pilnym znaleźć pracę, ponieważ źródelko pieniędzy nagle i nieodwołalnie wyschło. Cóż mogła znaleźć kobieta w wieku lat pięćdziesięciu pięciu z marnym doświadczeniem zawodowym? Rynek pracy nie pozostawiał wątpliwości i Aniela rozpoczęła karierę jako szeregowa pracownica firmy sprzątajacej. Zarobek był marny i to przez pół roku na

umowę zlecenie, ale na horyzoncie widniała obietnica umowy o pracę, a szefowa wydawała się rozsądna, konkretna i znająca życie.

Aniela cieszyła się, że jakiś własny grosz zabrzęczy jej w kieszeni i czekała na dalszy rozwój wydarzeń.

No właśnie, czekała. Sęk w tym, że wszyscy dookoła przekonywali, że czekać nie można. Że działać trzeba, teraz i nagle, bo potem będzie za późno. Metaforycznemu wystawieniu męzowskich walizek przyklaskiwał też starszy syn. Nie tak zapalczywie i radykalnie jak jego siostra, bo i też uniesienia wczesnej młodości raczej już miał za sobą, będąc pochłoniętym wchodzeniem w rolę ojca swojego pierworodnego dziecka, ale przebąkiwał raz i drugi, że on tutaj jakichś szerszych perspektyw nie widzi i radzi sterować w inną stronę.

Tylko w jaką? Wyglądało na to, że jedynym alternatywnym kierunkiem jest droga samodzielności życiowej i – Aniela bała się do tego przyznać – samotności. Kryminalna wpadka Henryka odbiła się oczywiście szerokim echem po najbliższym otoczeniu małżeństwa. Zawistne sąsiadki płakały ze szczęścia w ukryciu, a w świetle dziennym współczuły gorąco i tuliły do piersi swej kobiecej. One pierwsze zresztą odsunęły się na bezpieczną odległość. Z racji poświęcenia całego swojego życia (czytaj: wolnego czasu też) rodzinie, Aniela nie nawiązała jakichś szczególniejszych relacji przyjacielskich i teraz w obliczu wydarzeń została sama jak palec. Nie licząc dzieci, rzecz jasna, ale dzieci, no właśnie, to po prostu dzieci, nawet jeśli były już dorosłe.

Ku oburzeniu własnej córki nie zaprzestała regularnych odwiedzin w areszcie. Pytała nawet męża – Paulina przyjęła to ze zgrozą – czy czegoś mu nie przynieść, czy upiec ciasto lub coś w tym guście. Henryk podczas tych wizyt był osowiały i wycofany, z trudem nawiązywał kontakt, wydawał się przebywać w innym świecie i nie poświęcać nadmiernej uwagi temu, który go otaczał. Nie chciał nic mówić o swoich jeszcze nie tak dawnych interesach z „głównym kontrahentem”, utrzymując, że im mniej żona wie, tym dla niej bezpieczniej. Pytany o to, jak jest traktowany w areszcie, niezmiennie odpowiadał, że przyzwoicie, ale nie rozwijał tematu.

Aniela musiała przyznać, że z kolejnych wizyt wracała coraz bardziej poirytowana.

– Co mówi obrońca? – spytała dzisiaj.

– O czym? – odpowiedział.

Aniela sapnęła ze zniecierpliwieniem.

– O twoich szansach w procesie. Jak wygląda sytuacja?

– Wiesz, jak wygląda.

– Wiem, ale czy wygląda jakoś inaczej niż od ostatniego widzenia?

– Nie.

– Czyli?

– Czyli wiesz, jest szansa na dziesięć lat. Tyle się średnio dostaje za przestępczość zorganizowaną.

– A z kim byś się miał organizować, tylko ciebie mają!

– No to za pranie brudnych pieniędzy też jest dziesięć lat.

I tak w koło Macieju.

– Nie zapytasz o dzieci?

– Co u dzieci?

Aniela miała dość. Odnosiła wrażenie, że rozmawia z odpowiednio zaprogramowaną maszyną.

Próbowała wziąć sprawy we własne ręce. Ku jej zdumieniu żaden adwokat nie zgodził się zająć sprawą domu, prokuratura nie chciała przyjąć doniesienia o popełnieniu przestępstwa, a policja – w osobie dopiero co poznanego komisarza Borewicza – uśmiechała się

z politowaniem.

Prawdę mówił Kowalski. Konstruując taką umowę, wiedział, że może liczyć na odpowiednie wsparcie. Wyglądało więc na to, że Henryk pójdzie siedzieć i nie znajdzie się żadna siła, która go z tego wyciągnie, a ona po wielu latach szczęśliwego życia, po odchowaniu dzieci i doczekaniu się wnuka, na stare lata zostanie żoną kryminalisty. Znów strząsnęła z siebie myśli, które obsiadły ją jak stado wron. Zresztą jakie stare lata, na miłość boską?! Na stare lata ma jeszcze czas!

To co robić?

Zacznij żyć – mawiała Paulina. – Zostaw go w diabły – dodawała. – Straciłaś wszystko przez niego, odwrócili się od ciebie znajomi i przyjaciele (zaraz, zaraz, przecież na dobrą sprawę nigdy nie miałaś żadnych SWOICH przyjaciół), przepadł dom, pracujesz jako sprzątaczką i pewnie nie będziesz miała emerytury. Wszystko przez niego! Odetnij się, zawalcz o siebie, zostaw to wszystko i uciekaj, póki możesz.

No tak, ale czy można po prostu jednym pstryknięciem palców, jednym podpisem na odpowiednim dokumencie przekreślić trzydzieści lat wspólnego życia? Czy jedna jakaś baba, o której on mówi, że nic nie znaczyła, a Aniela wierzy, że on naprawdę tak myśli, ważyłaby tyle samo, co wspólnie spędzane dni w zdrowiu i chorobie? Czy właściwą karą dla człowieka, który zrobił to, co Henryk, jest zostawienie go samemu sobie? Czy ona, Aniela, jest odpowiednią osobą do tego, by wymierzyć sprawiedliwość? A wreszcie czym, do licha, jest ta sprawiedliwość i co byłoby sprawiedliwe, a co nie? Co dalej, krzyczało życie, co dalej?

Aniela nie wiedziała co, a skoro nie wiedziała, doszła do wniosku, że nie będzie wymyślać scenariuszy na siłę. Rzeczywistość na pewno tak się poukłada, że wkrótce będzie już wszystko jasne. Nie ma się co spinać i rwać włosów z głowy. Zawsze jest jakieś wyjście. Do diabła, jak nie drzwi, to okno!

Aniela westchnęła głęboko, odwiesiła płaszcz do szafy w przedpokoju, wypięła pierś i dziarskim krokiem wkroczyła do kuchni z zamiarem usmażenia kotletów schabowych. Co jak co, ale o jej schabowych z ziemniakami mogłyby powstawać pieśni, a jak!

[13] ...o którym Aniela nie miała najlepszego zdania, ale ponieważ zdanie wyrobiła sobie na podstawie raczej stronicznych doniesień własnej córki, zachowywała odpowiedni dystans.

9.

Właściwie to nie było przyjemne miejsce. No dobrze, nie było przyjemne samo w sobie, bo to w końcu areszt, tu nie ma mowy o przyjemnościach i nie taki cel ma ten przybytek, ale jakby odseparować pomieszczenie od jego przeznaczenia, to widok i tak nie był zachwycający.

Ściany w kolorze brudnej bieli wydawały się zawstydzone tym, że tak je pomalowano i przepaszając tu i tam odłupywały z siebie farbę (najwyraźniej kiepsko położoną), odsłaniając niczym strupy jeszcze brudniejsze miejsca (których kolor trudno było określić). Nie wiadomo, czy faktycznie taka była intencja, by je tą brudną bielą machnąć, czy też miało się do czynienia z imponującą ekspansją brudu i kurzu.

Aniela doszła do wniosku, że właściwie nie ma to znaczenia. Efekt, tak czy inaczej, był ten sam. Pomieszczenie widzeń wysysało jakąkolwiek energię z osób odwiedzających aresztantów, brutalnie i bez litości dokonywało egzekucji na przyczajonych gdzieniegdzie pozytywnych emocjach. Człowiek po takim widzeniu wychodził dwadzieścia lat starszy i potrzeba było czasu, żeby wrócił do wcześniejszego stanu emocjonalnego. Stanu sprzed przekroczenia murów aresztu.

Aniela starała się nie poddawać inwazji ponurych myśli. Siedziała i czekała na Henryka, którego zaraz mieli przyprowadzić. Obiecała sobie, że spróbuje zrobić tak, żeby w końcu jakoś normalnie ze sobą porozmawiali. Co prawda „normalność” w takich, a nie innych okolicznościach dopominała się predefiniowania, ale, do licha, czy naprawdę nie było możliwości na moment oderwać się, jeśli nie fizycznie, to chociaż umysłem, od tego, w czym się tkwiło po uszy?

Aniela potrzebowała wreszcie wiedzieć, na czym stoi, poczuć twardy grunt pod nogami, nawet jeśli miałby to być wypalony do cna ugór. Jeśli już człowiek wie, gdzie się znajduje, będzie mógł obrać jakiś kierunek działań, będzie umiał określić się w przestrzeni. Nawet

najdłuższa podróż zaczyna się od punktu wyjścia, mówiło przysłowie. Czy coś w tym guście.

Henryk wszedł i usiadł naprzeciwko niej. Aniela ze zgrozą stwierdziła, że dorobił się fioletowej obwódki wokół prawego oka, w które ktoś mu ewidentnie przyłożył. Dodatkowo miał zadrapanie na skroni i cały zmalął, skurczył się, zwinął w sobie, jakby przeproszał, że żyje, i życzył sobie, by go z łaski swojej nie zauważano i traktowano jak powietrze.

Spojrzał na swoją żonę ze wstydem i zażenowaniem, jakby mówił, że nie miał w planach wyglądać tak, jak właśnie wygląda, po czym zdobył się na namiastkę uśmiechu, która wykazywała bliskie pokrewieństwo z bolesnym grymasem. Usiadł na krześle, spuścił głowę i znieruchomiał.

– Na litość boską, co się stało?! – zaczęła Aniela, choć wcale nie tak chciała zacząć, a to sprawiło, że cały jej misterny plan skutecznego zagajenia konstruktywnej rozmowy odszedł w dal.

Henryk w odpowiedzi tylko machnął ręką i nadal siedział ze spuszczoną głową.

– No mów, do diabła! – zirytowała się Aniela, gładko od sfery boskiej przechodząc ku piekielnej.

– Standardowa odpowiedź w takiej sytuacji brzmi, że się spadło ze schodów – odburknął jej mąż.

Aniela aż się zapowietrzyła.

– Pobili cię? – spytała. – Pobili cię! – odpowiedziała sama sobie. – A ty to tak spokojnie, tak... bezradnie przyjmujesz?!

– A co twoim zdaniem powinienem zrobić?

– Powiedzieć strażnikom!

Henryk roześmiał się i widać było, że naiwność jego żony szczerze go rozbawiła.

– Chyba na głowę upadłaś.

Zapadło milczenie.

– To co można zrobić?

– Nic. Przeczekać. Mają mnie przenieść, bo jakiś idiota umieścił mnie z grypsującymi. Już niedługo.

Znowu cisza. Aniela nie wiedziała, co powiedzieć ani jak zacząć to, co sobie zaplanowała. Rzeczywistość rozpadała jej się w rękach, nadszła poczucie wszechogarniającego chaosu, takie charakterystyczne przy spotkaniach z jej mężem. Miała wrażenie, że w głowie zamiast mózgu ma kłęb waty i ciężko jej złożyć słowo do słowa, myśl do myśli. Pustka, bałagan i wichura. Nie znosiła tego uczucia.

– Sernik ci przyniosłam – odezwała się, by coś powiedzieć, i od razu zdała sobie sprawę, w jak idiotycznej sytuacji się znajdowała. Sernik! Masakra.

– Zostaw mnie.

– Dobra, nie ma problemu, nie musisz go jeść – powiedziała szybko.

– Nie o to chodzi, Aniu. Zostaw mnie. Zupełnie. Odejdź.

– Mam sobie pójść?

– Odejdź ode mnie. Zostaw mnie. Rozwiedź się ze mną.

– Heniu... – szepnęła spłoszona.

– Nie przerywaj. Myślałem o tym i nie widzę innej możliwości. Skrzywdziłem ciebie i dzieci, oszukiwałem cię. Zamknąłem w czterech ścianach... Nie przerywaj! – niemal zawołał, widząc, że ona nabiera głębszy oddech, by zaprotestować. – Zamiast mieć coś z życia, prowadziłaś dla mnie dom. Prałaś, gotowałaś, sprzątałaś, wszystko było na twojej głowie, kiedy ja... zarabiałem pieniądze. A zarabiałem je nieuczciwie, widzisz sama zresztą. Teraz, zamiast cieszyć się życiem, sprzątasz, bo zostawiłem cię bez pieniędzy i bez widoków na emeryturę. Idę

do więzienia, to już wiadome. Dostanę dziesięć lat, właściwie nawet nie ma się nad czym zastanawiać, wszystko jest tak oczywiste. Główny... kontrahent wystawił mnie do wiatru na zasadzie, że Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Wyjdę, jak będę miał siedemdziesiąt jeden lat. Przez ten czas ułożysz sobie życie. Daj mi dokończyć! Znajdź sobie kogoś, rozpocznij na nowo. Jesteś atrakcyjną kobietą, jesteś... piękna. Bądź z dziećmi, żyj, baw się, masz jeszcze szansę doświadczyć tego, czego nie doświadczyłaś, bo ja ci to uniemożliwiłem. Chcę naprawić to, jak tylko jestem w stanie. Dlatego zostaw mnie, odejdz, zrób to jak najszybciej, najlepiej zaraz.

To powiedziawszy, podniósł się z krzesła i skierował ku wyjściu, zostawiając za sobą oniemiałą żonę.

– Siad!!! – ryknęła Aniela strasznym głosem, aż stojący niedaleko strażnik spojrzał na nią z głębokim niepokojem, a Henryk cały się zatrzęsł. – Wracasz tu i siadasz! To ja zadecyduję, kiedy skończymy! Teraz ja będę mówić, a ty mnie wysłuchasz.

Henryk pokornie wrócił i usiadł, wpatrując się w swoją żonę, jakby ją widział pierwszy raz na oczy. Aniela stała z ogniem w oczach, rozwianym włosom i falującą piersią. Wyglądała jak Atena, bogini wojny, brakowało jej tylko odpowiedniego oręża, a siłę wyrazu jej bojowości wbrew własnym intencjom osłabiał leżący nieopodal serniczek. Serniczek, gdyby mógł, uciekłby z wrzaskiem, ale nie mógł, dlatego starał się po prostu spoczywać w pudełeczku cichy i bezwonny.

– Mówisz, żeby cię zostawić, tak? Że nie mam z tobą przyszłości? To prawda, nie mam. Że mnie oszukiwałeś? To prawda, oszukiwałeś. Rypałeś na boku tę długonogą blondynę, jakbym ja ci nie wystarczała. Och, nie patrz tak, czasami się wyrażam, a teraz jest na to dobry moment. Fakt, zasuwałam w domu, nie jeździłam do pracy, nie robiłam kariery, nie zbudowałam przyjaźni, a zamiast tego urodziłam dzieci, wychowałam je i wszystko poświęciłam rodzinie. Ale wiesz co? Tak chciałam. To był mój wybór. Mój. Spuść trochę z tonu, z łaski swojej, i nie przypisuj sobie takiej roli sprawczej. Nie jesteś takim samcem alfa, jak ci się wydaje. Zrobiłam to dla dzieci i dla nas, bo uznałam, że to jest słuszne. I wiesz co jeszcze? Byłam szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa. Zdziwiony? No proszę, jak rzeczywistość może się różnić od naszych wyobrażeń na jej temat, prawda?

– Aniu...

– Zamknij się i słuchaj dalej! Wybrałam takie życie, rozumiesz? Wybrałam. Ja. Ja wybrałam. Nie ty dla mnie. Ja wybrałam dla ciebie, dla siebie, dla nas i naszych dzieci. I nie czułam się ograniczana w żaden sposób. To prawda, że rozczarowałeś mnie i zraniłeś, to prawda, że oszukałeś, wplątałeś się w jakieś głupoty, choć nie musiało, bo załóżę się, że miałeś wybór i po prostu wybrałeś źle. Mówisz, że nie mam z tobą przyszłości? Być może, ale mam przeszłość. Rozumiesz? Mam z tobą przeszłość, ponad trzydzieści lat przeszłości, to nas łączy i tego nie da się tak po prostu przekreślić, zapomnieć, odłożyć *ad acta* i otworzyć nową teczkę. Nie da się, rozumiesz? Wiąże mnie z tobą nie tyle nić, ile lina okrętowa. Przeżyłam z tobą całe życie i wiesz co? Wiem, że pomimo wszystkiego, co zrobiłeś, jesteś dobrym człowiekiem. Dlatego nie zostawię cię, jak sobie tego życzysz, bo uważam, że tak naprawdę wcale tego nie chcesz. I ja nie chcę. Słyszysz? Nie chcę. I to znów jest, wyobraź sobie, moja decyzja. Wyłącznie moja, tak samo, jak ta poprzednia. Nie zostawię cię, bo tak chcę i koniec. Wprost przeciwnie, będę przy tobie. I wiesz co? Tylko ja ci zostałam. Tylko ja. Straciłeś dom, pieniądze, kochankę, pracę, zdrowie, wolność, nawet dzieci są przeciwko tobie. Ale masz mnie. Tylko mnie. Skończyłam. Teraz możesz zareagować.

Tworkowski wpatrywał się w nią oniemiały z otwartymi ustami, zastygły tak doskonale, że żona Lota poczułaby ukłucie zazdrości. Promień słońca wpadający przez zakratowane okno

osiadł miękko na jego łysinie, część twarzy tym samym chowając w cieniu. Po oświetlonym policzku powoli zsunęła się pierwsza łza. Po chwili podążyła za nią druga, a ramiona Henryka wyraźnie zatrzęsły się, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

Aniela była poruszona. Nigdy nie widziała swojego męża płaczącego, a tymczasem on zanosił się szlochaniem coraz bardziej i bardziej, jakby wyrzucał z siebie wszystko, co się przez ten cały czas w nim nagromadziło. Łzy przeciekały mu przez palce jak życie i skapywały na stół. Z nosa mu się lało.

Aniela nieśmiało podsunęła mu chusteczkę higieniczną, ale jej nie zauważył. Cały zdawał się przeciekać. Aniela ponownie podsunęła mu chusteczkę i tym razem włożyła mu ją do rąk, wziął więc ją odruchowo i wytarł nos. Kilka minut później był już wyraźnie spokojniejszy, oddychał powoli i głęboko. W końcu popatrzył wreszcie na swoją żonę, jakby otrząsnął się po długim letargu, jakby spadła z niego grupa skorupa wyrzutów sumienia i poczucia żalu.

– Tylko ty mi zostałaś – powiedział ciepło.

Aniela wzięła w swoje dłonie jego kompletnie mokre ręce.

– Wszystko, co mieliśmy, przepadło, ale nadal jesteśmy my. My. Nie zostawię cię i będę przy tobie. Zaczekam na ciebie. Pójdiesz do więzienia, a ja cierpliwie zaczekam, aż wyjdiesz. A kiedy wyjdiesz... wtedy coś wymyślimy. Ale nadal będziemy razem.

– Mam tylko ciebie – powtórzył.

– Masz tylko mnie, a więc masz wszystko. Wszystko, co niezbędne, by przetrwać, wytrzymać. Przetrwaj więc i wytrzymaj. Dla mnie. Dla nas.

– Wytrzymam – powtórzył posłusznie.

– Wytrzymasz – przytaknęła. – Jak wyjdiesz, zaczniemy żyć jeszcze raz. Razem. A tymczasem przeczekamy. Będę do ciebie przychodzić, odwiedzać cię i opowiadać o wszystkim. Przygotujemy się na twoje wyjście. Po prostu.

– Po prostu.

– Tak, po prostu. A teraz weź ten pierdolony serniczek – powiedziała miękko Aniela i roześmiała się szczerze, widząc minę Henryka.

Czy w areszcie może narodzić się nowe życie? Każde miejsce jest dobre, żeby zacząć od nowa. Nie ważne, skąd się wychodzi, ważne, że wiadomo, w jakim kierunku pójść. Oni wiedzieli. Wśród łez i silnych emocji, w tak nietypowy sposób ponownie zostali mężem i żoną. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem zupełnie odmieniony wewnętrznie Henryk, choć zewnętrznie nie zmienił się ani o jotę, zabrał pudełko z sernikiem i wrócił do swojej celi.

Wkrótce odbyła się rozprawa i tak, jak przypuszczano, Henryk dostał dychę. Nikt nie rozumiał, dlaczego na sali sądowej od czasu do czasu się uśmiechał. Potraktowano to jako bezczelność i naigrzanie się z wymiaru sprawiedliwości. Uśmiechała się również jego żona, co dobitnie wskazywało na fakt, że zapewne razem nachapali się forsę, którą ulokowali na szwajcarskich kontach. Cóż to jest dziesięć lat w obliczu opływania w luksusy po wyjściu z więzienia? Nie ma sprawiedliwości na świecie.

ZIMA

1.

Magda wyskrobała starannie słoiczek, perfekcyjnie wylizała łyżeczkę, bez litości rozprawiając się z każdym atomem dobra, i sięgnęła po kolejne opakowanie nutelli.

Czekolada nie pyta, czekolada rozumie. A jeśli da się ją łatwo wyjadać łyżeczką, to w oczywisty sposób rozumie jeszcze bardziej. Magda bardzo potrzebowała bratniej duszy, nawet jeśli oznaczało to pięćset kalorii za sto gramów, bo powód był naprawdę dużego kalibru.

Oto, kiedy właśnie dopiero co skończyła czterdzieści lat, normalnie dwa tygodnie temu skończyła, na początku lutego, jej życie wykonało *salto mortale* i wcale nie skończyło się to kocim upadkiem na cztery łapy. W takim momencie stracić pracę?! Szlag by to trafił. No dobra, nie stracić tak dosłownie, bo nikt jej oficjalnie nie zwolnił, zmieniono jej jednak zakres obowiązków z sekretarki (czytaj: asystentki prezesa) Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodno-Kanalizacyjnego (czytaj: spokojna posadka w miejskiej spółce z o.o.) na pracownika magazynu w tejże firmie.

Magazynu! Litości! Oczywiście doceniamy panią, pani Magdo, pani od piętnastu lat pracuje z nami, pani Magdo, bez pani, pani Magdo, to już nie będzie tak samo, ale sytuacja tego wymaga, sytuacja, pani Magdo, i musimy, pani Magdo, musimy ulokować panią w magazynie[14] oraz obniżyć pensję.

Sytuacja, jak się szybko okazało, miała dwadzieścia pięć lat, cud-figurę, którą umiejętnie umiała eksponować przez ołówkowe spódnice (zdecydowanie za krótkie!) i bluzki z głębokim dekoltem, nogi od ziemi do raju, przy czym z ziemią łączyły się za pomocą niebotycznie wysokich szpilek. Sytuacja (a Anka jej było na imię) patrzyła na człowieka spod wachlarza sztucznych rzęs wzrokiem nieskalanym głębszą analizą, otwierała pełne, jakże ponętne, psia mać,

usta, odrzucała blond włosy do pasa i mówiła:

– Ale Madziu, a te koperty to do tej przegródki, bo nie wiem...

Mimo że już jej trzy razy odpowiednią przegródkę wskazywano.

Magda, obrzucając wzrokiem swoją rywalkę i zabornicę jej dotychczasowego miejsca, ze zgrozą łapała się na tym, że wyobraża sobie, jak też Anka może wyglądać nago, dlatego zupełnie nie dziwi fakt, że prezes stracił dla niej głowę. A prezes stracił dla niej głowę w sposób zorganizowany, zatrudniając ją od razu na czas nieokreślony z pensją wysokości wprost proporcjonalnej do wdzięków nowej asystentki. Wróble ćwierkały, że ich relacja rozwijała się bujnie nie tylko na gruncie zawodowym, ale to oczywiście niczego nie zmieniało.

Magda została więc zdegradowana i odesłana pomiędzy półki, co było zawodowym odpowiednikiem zamaszystego kopniaka wymierzonego w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

Mniej więcej w połowie słoiczka nutelli rozważyła myśl, czy zaistniały stan jest do zaakceptowania i szybko doszła do wniosku, że zdecydowanie nie. Coś trzeba było postanowić, coś ze sobą zrobić, bo zostać tam się nie dało. Upokorzenie swoją drogą, ale dreptanie wypchnionego nadmiernie prezesa wokół Anki było po prostu nie do zniesienia.

– Nasza pani Ania – mówił prezes, pożerając wzrokiem blond boginię i mając w oczach zachwyty jak pies na widok fabryki parówek. – Tak cudownie parzy kawę, że ja poproszę od razu dwie.

– Och, panie prezesie – wzdychała Anka, wypinając jednocześnie biust i zadek, obydwa jędrne i apetycznie zaokrąglone. – Dla pana zawsze, już podaję.

Magda już miała na końcu języka, że skoro Ania tak cudnie parzy, to może niech od razu zrobi całe wiadro, by kofeinowa ekstaza sięgała pod niebiosa, ale zamiast tego dokonała w wyobraźni brutalnego mordy na szefie i jego nowej protegowanej. A kiedy już ściągnęła zakrwawiony fartuch i pozbyła się zwłok, to – jak w amerykańskich filmach – spakowała do pudła swoje duperelki i przeprowadziła się do magazynu. Tymczasowo oczywiście. Teraz należało opracować jakiś plan awaryjny, zanim dowie się matka.

Matka Magdy dysponowała bowiem zdolnościami nadprzyrodzonymi i zrobiłaby błyskotliwą karierę w CIA, wyciągając z podejrzanych o terroryzm informacje nie torturami, a niezwykle umiejętnym praniem mózgu.

Ponure rozmyślenia Magdy przerwało pomrukiwanie przypominające stłumiony silnik Harleya-Davidsona i czarny, puszysty kształt otarł się o jej nogi, po czym wskoczył na wersalkę i usadowił się na kolanach w sposób sugerujący, że robi to niezobowiązująco i od niechcenia.

– Ach, Draniu, żebyś ty wiedział... – westchnęła.

Drań wyprężył grzbiet, przedreptał w kółko i zamruczał, jakby mówił, że wbrew pozorom widział już wiele, a rozumie jeszcze więcej, więc niech się Magda uprzejmie nie krępuje i mówi dalej, a on wysłucha.

Ona jednak, zamiast mówić, zaczęła głaskać mięciutką sierść swojego domownika, myśląc, że nic dziwnego, że tak lubi przesiadywać u niej na kolanach, skoro ma na nich tyle miejsca. Spojrzała na swoje uda ukryte w spodniach w rozmiarze czterdzieści osiem i westchnęła. Drań Draniem, ale Zołza i Frytka też się spokojnie zmieszczą. Dla całej trójki swoich kotów może stanowić naprawdę wygodne legowisko.

To nie jest tak, że Magda mieszkała z trzema kotami, bo miała czterdzieści lat, a jedyny trwały związek, w jakim była, to ten z czekoladą. Kot wystarczyłby jeden, ale po pierwsze powszechna prawda głosi, że dwa koty sprawdzają się znacznie lepiej niż jeden, a trzy koty funkcjonują jeszcze lepiej niż dwa, a po drugie, jeśli już miała zemścić się na swojej matce, to tak, by nie pozostawiało to żadnych wątpliwości.

Matka bowiem nie cierpiała kotów. Gwoli ścisłości nie cierpiała żadnych zwierząt domowych, od psów i kotów po patyczaki. Oczywiście chętnie pogłaskała jakiegoś czworonoga, pochwaliła ślicznego pieska czy miłego kotka, pod warunkiem, że działo się to u kogoś, a piesek i kotek nie z nią dzielili cztery kąty i dach nad głową. Zwierzak był dobry na odległość, ale żeby samej o niego się troszczyć – co to, to nie. Stwierdzała, nie bez racji zresztą, że zwierzę to odpowiedzialność i że kotek czy piesek nie może być kaprysem chwili, który bardzo szybko z malutkiego szczeniaczka transformuje w wielki kłopot.

Problem, zdaniem Magdy, polegał na tym, że matka nie dawała nikomu szansy, by z poczucia obowiązku mógł się wywiązać. Każda rozmowa na temat poszerzenia rodziny o jakieś cztery łapy kończyła się tak, jak z góry należało się spodziewać jeszcze przed jej rozpoczęciem. Działania partyzanckie polegające na przynoszeniu do domu bezpańskich kotów czy psów nieodmiennie skutkowały karczemną awanturą i ewakuacją kandydata na milusińskiego do wrocławskiego schroniska, które jeszcze wtedy znajdowało się przy ulicy Skarbowców i gdyby ktoś miał problem, by tam trafić, wystarczyłoby, żeby głębiej wciągnął powietrze. Lokalizacja schroniska doskonale dawała się wyczuć nawet dla rozpieszczonego ewolucyjnie homo sapiens.

Którejś wiosny, kiedy mała Madzia złapała jakieś typowe dla tej pory roku przeziębienie, matka wybrała się z nią do przychodni. Tam po przebadaniu, osłuchaniu i zajrzeniu do gardła Madzia została wyproszona z gabinetu z przykazem zaczekania na korytarzu, a matka dołączyła do niej po kilku minutach z marsową miną.

– Kochanie, wygląda na to, że masz alergię.
– Przecież jestem przeziębiona!
– Tak, ale oprócz przeziębienia masz alergię, tak powiedziała pani doktor – stwierdziła stanowczo matka. – Jesteś uczulona.
– Ale na co?
– Na sierść zwierząt, skarbie. To niebezpieczne, bo może skończyć się astmą. Nie możemy mieć ani kotka, ani pieska, ani nawet chomika.

Madzia zapłakała rzewnie nad brakiem sprawiedliwości na świecie, poprzysięgła zemstę i dozgonną nienawiść uwarunkowaniom genetycznym, a jednocześnie była zbyt mała, by dopatrzeć się w matczynych rewelacjach pewnych nieścisłości medycznych i nabrać słusznych podejrzeń. Topór wojenny odwiesiła na kołku i z biegiem czasu pogodziła się z losem, wierząc w matczyne słowa, co po raz kolejny potwierdziło goebbelsowską zasadę, że tezy powtarzane odpowiednio często stają się prawdą.

Na autonomiczny ruch pozwoliła sobie dopiero wtedy, gdy przeprowadziła się w wieku lat trzydziestu na swoje własne trzydzieści pięć metrów kwadratowych rozłożonych na dwa pokoje, łazienkę i kuchnię, na siódmym piętrze bloku epoki późnego Gierka przy ulicy Ślicznej (nazwa ulicy stoi w drastycznym kontraście z urodą budynków przy niej stojących).

No, swoje własne to może za dużo powiedziane. Spory udział w tej własności miały pieniądze ciulane przez całe życie przez rodziców, którzy wytrwale odkładali na „posag” dla jedynej córki, a która – ku spokojnej akceptacji ojca i głębokiemu rozczarowaniu nadwrażliwej matki – do tej pory nie wyszła za mąż. Tak naprawdę własny był jej kredyt, który uzupełnił kwotę brakującą do zakupu upatrzonemu mieszkaniu i na szczęście swoją wysokością nie groził zarżnięciem spłacającego. Przeprowadziła się więc i z głupia frant wyłożyła grosz na testy alergiczne. Wynik był negatywny.

To, że przy następnym spotkaniu rodzinnym nie było ofiar w ludziach, zakrawało na cud. Karczemna awantura zawstydziłaby najbardziej ortodoksyjne pijackie burdy w melinach, zasoby talerzy i kubków zostały nieco uszczuplone, a sąsiedzi, chcąc nie chcąc, stali się biernymi uczestnikami procedury wzajemnego wylewania hektolitrów wieloletniego żalu, co na długo

zapewne pozostało w ich pamięci. Betonowe ściany gierkowskiego bloku na osiedlu Krzywoustego zapewniały bowiem doskonały brak jakiegokolwiek prywatności w każdej dziedzinie życia, zwłaszcza w tej szczególnie burzliwej.

Ojciec, którego każda ze stron chciała zwerbować w swoje szeregi, na padające z obu stron wezwanie „No weźże coś powiedz!” zareagował klasycznym Dulskim, czyli oznajmił, że on swoje zdanie wyraził już dawno, a teraz niech się łaskawie Magda z mamą dogadają we własnym zakresie. Skończyło się energicznym wyjściem i trzaśnięciem drzwiami oraz chwilę wcześniejszą zapowiedzią, że skoro tak, to ona, Magda, od tej pory będzie robić to, co jako osoba dorosła ma prawo.

Konsekwencją tego postanowienia tydzień później stała się Zołza, czyli ślepa na jedno oko kotka zabrana z wrocławskiego schroniska, które w międzyczasie zdążyło zmienić swoje położenie (i mieszkańcy ulicy Skarbowców zaczęli głębiej oddychać). Zołza miała wtedy dwa lata, wzrok straciła w okolicznościach niewyjaśnionych, a mankamenty natury fizycznej nadrabiała podwójną dawką wigoru. Broiła jak wściekła i Magda – zasięgnąwszy opinii osób biegłych w kocim temacie – czym prędzej dokooptowała jej towarzystwo w postaci Frytki, malutkiego, również schroniskowego kociaka.

Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, ponieważ Zołza nagle odkryła w sobie pokłady troskliwości, traktując Frytkę jak swoje kocie dziecko. Przestała demolować mieszkanie, całą uwagę poświęcając dorastającej pannicy, z którą już na zawsze stworzyła nierozzerwalny duet. Pięć lat później do Zołzy i Frytki dołączył Drań, czarny jak noc, którego żalosne pomiaukiwania doszły do uszu Magdy pewnego późnojesiennego wieczoru, kiedy wybrała się do pobliskiej hali na zakupy. Tuż przy rozsuwanych drzwiach stało zamknięte, kartonowe pudełko z mocną sugestią kota w środku. Magda zbliżyła się, otworzyła je i wtedy jej oczom ukazało się małe, czarne i przerażone nieszczęście, siedzące na brudnej szmatce. Na ścianie pudełka umieszczono informację „Miska w pakiecie” i faktycznie, obok zwierzęcia stało naczynie, które mogło uchodzić za miskę, a było opakowaniem po twarożku.

Magda bez namysłu schowała za pazuchą kociaka, który popatrzył na nią zaropiałymi oczami, po czym, mentalnie wygrażając całemu światu pięścią, pognęła do domu.

Drużyna pierścienia składała się więc z dwunastoletniej Zołzy, dziesięcioletniej Frytki i pięcioletniego Drania. Magda czuła, że wraz z nastaniem trzeciego kota akt zemsty dopełnił się i topór wojenny można zakopać. Poczucie satysfakcji psuła nieco matka Magdy, która momentalnie zwariowała na punkcie Drania i choć nigdy w życiu nie przyjęłaby go pod swój dach (miłość miłością, ale są pewne granice), nie przestawała zasypywać go pieszczotami, gdy tylko przekraczała próg mieszkania przy Ślicznej. Drań przyjmował dowody miłości z godnością i łaskawie pozwalał sobie usługiwać. Matka, co ciekawe, podczas nielicznych, wakacyjnych wyjazdów swojej córki, przyjeżdżała codziennie z Psiego Pola, by napełniać kocie miski, przy czym nie widziała w tym najmniejszej sprzeczności z reprezentowaną przez siebie postawą życiową *pets no more*.

Magda pogładziła czarną, miękką sierść Drania, dokończyła słoiczek nutelli, po czym wlepiła tępy wzrok w ciemne oblicze wyłączzonego telewizora. Nie tak powinna wyglądać sobota. Nie tak powinien wyglądać wieczór, nie tak powinien wyglądać weekend, nie tak powinno wyglądać życie.

Odruchowo sięgnęła po smartfon i weszła na prowadzony przez siebie na Facebooku fanpage swoich kotów. Przynajmniej tutaj myślą o niej lepiej niż ona sama o sobie. No dobrze, o kotach myślą, o kotach, ale koty, jak wiadomo, mają służących, czyli logiczne więc jest to, że ktoś im musi te zdjęcia trzaskać. A zdjęcia Magdy cieszyły się ogromnym uznaniem, to fakt.

Fanpage prowadzony od dwóch lat w mgnieniu oka i ku bezbrzeżnemu zdumieniu jego

administratorki stał się niezwykle popularny. Fani nadciągali szerokim strumieniem, zdjęcia Frytki, Zołzy i Drania oraz memy tworzone przez Magdę zbierały wodospady „lajków”, posyłano je dalej z prędkością światła i siłą schodzącej lawiny i wszystko zdawało się coraz bardziej nabierać tempa. W krótkim czasie początkowa skromna grupka rozrosła się w sześćdziesięciotysięczne wojsko, zaangażowane emocjonalnie, wierne i gotowe na każdy sygnał.

Magda weszła na ów fanpage i stwierdziła, że grono sympatyków jej kotów powiększyło się o kolejne sto osób. To miłe. Spojrzała na komentarze pod najnowszymi zdjęciami. Kilka wyznań miłości, kilka zapewnień wierności po grób, kilka „co ja bym bez ciebie zrobiła”, lawina „ochów” i „achów”, „zajłdam tylko tutaj”, „uwielbiam twoje koty”. Nawet jeśli większość stanowiła puste pochlebstwa, to i tak zrobiło jej się ciepłej na sercu, a i morale jakby wzrosło. Odruchowo przesunęła ręką po miękkiej sierści Drania, a on odwdzieczył się mručeniem donośnym jak warkot silnika. Magda westchnęła i odłożyła smartfon.

– No to nam się, kocie, wszystko posypało. Niech to szlag. Powiedz, że jutro nastąpi cudowna odmiana i wszystko wróci do normy.

Drań się przeciągnął i mruknął na znak, że nie obiecuje, ale w życiu, jak to w życiu, nigdy nic nie wiadomo.

[14] Ale tam nie jest źle, pani Magdo kochana, niech pani sobie nie myśli.

2.

O siódmej rano półki w magazynie tak jak i dzień wcześniej, kiedy objęła swoje nowe stanowisko, stały przed nią szpalerem, a nierówno poukładane pudełka sprawiały wrażenie, jakby wszystkie naraz chciały ją zobaczyć.

Magda powiesiła płaszcz na wieszaku stojącym zaraz przy drzwiach, a na stoliku, który wyglądał tak, jakby przeproszał, że nie można się więcej po nim spodziewać, ale oferować może bardzo niewiele, położyła swoją torebkę. Omiotła wzrokiem pomieszczenie.

Ściany pomalowane na zniechęcający przez nią odcień pruskiej zieleni z lamperią w kolorze – Hospody, pomyśl! – sraczkowatego brązu. Jarzeniówki mrugające pod sufitem, jakby nie mogły się zdecydować, czy na pewno mają się zapalić, czy jednak nie, nosiły na sobie takie zbiory kurzu, że groziło to nagłym i nieoczekiwanym zejściem pyłowej lawiny. Zacienione kąty zdawały się skrywać drobne tajemnice, ale po uważniejszym spojrzeniu szybko dokonywało się odkrycia, że tajemnica oznacza zużyte pojemniki po farbie i rozpuszczalnikach oraz stare, zniszczone krzesła.

Magda zerknęła na swoją popielatą spódnicę długości midi, kozaki oficerki i kaszmirowy sweterek w kolorze écreu okrywający wydatny biust.

– Niech to jasna cholera – powiedziała głośno. – Nawet nie wiem, jak mam się ubrać. I co ja właściwie mam tutaj robić?!

– Pani Stasia to segregowała te pudełka – odpowiedział męski głos za nią.

Odwróciła się gwałtownie.

– A to pan, panie Włodku. Ale mnie pan przestraszył!

Sześcioletni pan Włodzimierz, który, jak na ochroniarza przystało, mógł się poszczycić posiadaniem pierwszej grupy inwalidzkiej, oparł się o ścianę na korytarzu i jedyną sprawną ręką sięgnął do kieszeni uniformu po papierosa. W następnym momencie zrezygnował

i zamiast tego zaczesał dłonią wyjątkowo bujne jak na jego wiek, choć całkowicie posiwiałe włosy.

– Ech, zapaliłby sobie człowiek, ale tu nie można – powiedział i wskazał zgromadzone w kątach magazynu przedmioty, które Magda zauważyła już wcześniej.

– Ale jak to segregowała pudełka, niech pan powie.

– No normalnie, pani Madziu. Wyciągała, sprawdzała, co w nich jest, układała, porządkowała i odstawiała pudełka z powrotem. A i półki wycierała z kurzu.

Faktycznie, półki były wytarte. I jakby się teraz przyjrzeć, część pudełek stała równiutko jak ofiary galopującej pedanterii.

– A tamto? – spytała Magda i wskazała na kąty.

– A tego to kazali nie ruszać.

– Dlaczego?

– A kto ich tam wie? Nie kazali, to nie ruszała.

– A gdzie pani Stasia tak w ogóle?

Pan Włodek westchnął głęboko i spojrzał krytycznie na swą rozmówczynię.

– To pani nic nie wie?

– No, nie.

– Nasza pani Stasia się odmeldowała – westchnął ponownie i wymownie spojrzał w górę. Magda potrzebowała chwili, by przyswoić treść wypowiedzi starszego ochroniarza.

– Matko Boska, czy to znaczy, że...

– To znaczy, że – potwierdził pan Włodek.

– Ale jak...?

– Zwyczajnie. Zawał.

Magda popatrzyła na niego tępo.

– Co za niezwykły zbieg okoliczności. Proszę nie zrozumieć mnie źle – dodała, widząc minę ochroniarza. – Teraz wiem, dlaczego mnie tu przenieśli. Biedna pani Stasia. Rok przed emeryturą.

Włodzimierz ponownie sięgnął po papierosy, ponownie zrezygnował, ponownie przeciągnął ręką po siwej czuprynie.

– Ano biedna. Z moją się bardzo lubiły. Przychodziła. Ciasto przynosiła. Pani wie, jakie ona ciasto piekła? Pani Madziu! Niebiosa by stawały w kolejce z talerzykiem! – Pomilczał chwilę. – To i pozazdrościli.

Zapadła cisza. Magda jeszcze raz rozglądnęła się po magazynie, nie wiedząc, co powiedzieć.

– A panią to tutaj dali? – zagadnął pan Włodek.

– Tutaj, tutaj. Zła tylko jestem, że przez to całe zamieszanie pani Stasia mi umknęła i teraz od pana dowiaduję się, co się stało.

– No to gabinet ma pani duży, nawet prezes takiego nie ma – zażartował ochroniarz. – Pani się nie przejmuj, pani Madziu, dobrze będzie. Zdrowo pani wygląda, ręce i nogi ma pani całe, a i praca jest nadal. Młoda pani jest, całe życie przed panią.

– Panie Włodek, ja mam czterdzieści lat...

– No to przecież mówię, że młoda! – Uśmiechnął się. – No, pani Madziu, my tu gadu, gadu, a robota czeka. Obchód muszę zrobić i w dyżurce posiedzieć. Zajrzę tu jeszcze do pani pod koniec dnia. Miłej pracy!

Zasalutował, jakby nosił rogatywkę, odwrócił się i poszedł.

Magda odprowadziła go wzrokiem i usiadła na stołku, który w reakcji na to złowieszczo zaskrzypiał. Zdrowo wygląda, powiedział. Jasne, że zdrowo. Dorodnie wręcz. Dorodnie jak

przecudnie wyrosnięta drożdżówka, obiekt westchnień każdego cukiernika.

Zerknął też pan Włodek na nią na odchodnym w sposób bardzo charakterystyczny dla podstarzałych mężczyzn, którzy mają zwyczaj mówić, że lubią, kiedy kobieta ma krągłości. Prawda jest jednak taka, że byliby zachwyceni, gdyby ciepłej spojrzęła na nich jakakolwiek, nawet taka o figurze, przy której szczypiorek miałby kompleks nadwagi.

No dobrze, to sprawdźmy, co tu mamy, a w międzyczasie można się zastanawiać, co dalej robić. Jeśli najlepszym lekarstwem na frustrację jest porządne mycie podłóg i okien, to i przeglądanie zawartości pudeł magazynowych może na człowieka wpłynąć inspirująco.

Magda rozejrzała się za jakimś fartuchem i dostrzegła takowy, z niewiadomych powodów zawieszony na gwoździu na wewnętrznej stronie drzwi zamiast na wieszaku. W niczym się on jednak nie przydał, ponieważ pani Stasia drobniutkiej postury była i takąż zachowała do końca, pomimo wagonów wypieczonych ciast.

Podciągnęła zatem rękawy sweterka i ściągnęła z półki pierwsze z krzywo stojących pudełek. Ledwo je otworzyła, na korytarzu rozległ się odgłos szybko stukających obcasów.

Jak zwykle była piękna, niech to jasna cholera. Jak zwykle na niebotycznie wysokich szpilkach (Czyżby mignęła czerwona podeszwa? Czyżby w takim razie Louboutin?!) utrzymywała równowagę, której pozazdrościłby linoskoczek. Jak zwykle jędrny biust podkreślony dekoltem (który sugerował, że jest go znacznie więcej, niż się wydaje) robił wrażenie, jak zwykle cud-figura wywoływała jedynie słuszne uczucie na sam jej widok, czyli pragnienie mordy. Jak zwykle wachlarz rzęs wzbudził huragan, kiedy nimi zamrugęła, jak zwykle doskonale wykrojone, karminowe usta ułożyły się w dzióbek i słodki głosik zawołał:

– A, tu jesteś, Madziu. Madziu, ty tak się dobrze na tym znasz, chyba najlepiej tutaj. – (No chyba!) – Powiedz mi, proszę – ciągnęła, podsuwając Magdzie pod nos jakiś dokument. – Do czyjej przegródki mam to włożyć? Zupełnie się pogubiłam...

Znów trzepot rzęs, który zgodnie z prawem efektu motyla gdzieś tam, na drugiej półkuli, powodował właśnie zagładę małej wyspy, cześć jej pamięci. No nie można było się oprzeć, nie można. Nawet jeśli miało się pełną świadomość, że osłabiająca niezaradność i – co tu gadać – głupota są zwyczajnie udawane w celu osiągnięcia jak największych korzyści jak najmniejszym kosztem własnym.

Och, Magda doskonale znała ten typ ludzi, którzy tak potrafili się zgrywać ofiary losu, by to inni całą robotę odwalili za nich. Znała i wręcz gotowała się na myśl, że mimo pełnej świadomości daje się na to nabierać. Zawsze tak było. Widocznie stanowi przypadek beznadziejny i nierokujący, a poczucia klęski wcale nie łagodzi fakt, że ma do czynienia z wytrawnym graczem. Asertywność pomachała Magdzie na pożegnanie.

– Pokaż to. No tak, to do działu inwestycji.

Odpowiedzią było spojrzenie bardzo precyzyjnie obrazujące gigantyczny znak zapytania.

– No dobrze, pójdę z tobą, pokażę ci, gdzie to dać.

Trzepot rzęs, być może nastały ostatnie dni Filipin.

– Och, Madziu, dziękuję ci bardzo, zawsze można na ciebie liczyć. Chodźmy, chodźmy!

– zatrajkotała piękna Anna. – A wiesz, kochanie – (Magda nienawidziła określenia „kochanie” padającego z ust innej kobiety w sposób ewidentnie sugerujący wyższość tamtej) – popatrz, buciki sobie kupiłam. Pan prezes dał mi premię. Louboutin – (A nie mówiłam!) – to znaczy, oczywiście, szpilki są Louboutin, bo przecież pan prezes ma na imię Janusz.

Nieprzerwany potok słów niczym joyce'owski strumień świadomości towarzyszył Magdzie aż do drzwi sekretariatu.

3.

– Aaa, tu jest nasza pani Ania. – Dźwięczny i donośny bas należący do kompatybilnego z nim mężczyzny przywitał je w progu. – Pani Aniu, pięć minut pani nie ma, a my tu wszyscy już tęsknimy. Pan wiceprezes potwierdzi, prawda Mareczku?

Wiceprezes Mareczek wychylił się ze swojego gabinetu z aktówką w rękach, nic nie odpowiedział, ale zsunął na nos okulary, uśmiechnął się półgębkiem i posłał Ance znad szkieł spojrzenie pełne nostalgii i nieutulonej tęsknoty. Spojrzenie mówiło, że pięć minut to wieczność, on cierpi katusze już po milisekundach. Anna zrewanżowała się olśniewającym uśmiechem i trzepotem rzęs. Wiceprezes Mareczek otarł się o zawał, jeszcze raz wymownie spojrzął i zniknął w gabinecie. Istnienia Magdy nie zarejestrował.

– Już jestem, panie prezesie – odpowiedziała Anna. – Już zabieram się do pracy, tylko jeszcze tutaj z Madzią przedyskutujemy pewne kwestie.

Aha. Zatem pokazanie paluchem, co do czego, urosło do rangi dyskusji.

– Oczywiście, pani Aniu, oczywiście – zadudnił właściciel basa, a guzik w jego zapiętej marynarce mężnie znosił siły naprężeń. – Ach, dzień dobry, pani Madziu – rzucił mimochodem, a guzik w marynarce ani drgnął, uznawszy, że nie ma dla kogo prężyć mięśni, nawet jeśli jest to mięsień piwny. – To panie sobie podyskutujcie, a potem, pani Aniu, pani robi kawkę. Pani wie jaką.

Anna wyduła usta i zatrzepotała rzęsami, a gdzieś na drugiej półkuli niewielka wyspa zniknęła z powierzchni oceanu z powodu zupełnie nieoczekiwanego tsunami.

– Oczywiście, panie prezesie, jak zwykle.

Prezes dokonał wzrokowego porównania Anny i Magdaleny, i gdyby to był ring, Anna wygrałaby przez nokaut. Odwrócił się i skierował w stronę swojego gabinetu mieszczącego się naprzeciwko gabinetu wiceprezesa Mareczka, ale zatrzymał się w drzwiach.

– Pani Aniu, jeszcze jedno. Pani umie czarować. Pani ma, nie wiem, jak to ująć, jakieś

pole magiczne, bo pani zmienia rzeczywistość. Tak, tak. Odkąd pani tu jest, nawiązujemy znacznie lepsze relacje biznesowe, podpisujemy korzystniejsze kontrakty. Och, nie ma się co wstydzić – rzucił, gdy Anka spuściła wachlarz rzęs w perfekcyjnie udawanej skromności. – Mówię, jak jest. – Prezes pożerał boską Annę kawałek po kawałeczku i delektował się każdym kęsem. – No niech nam pani wywróży sukces, bo za dwie godziny przychodzi człowiek z ministerstwa i będziemy poruszać ważne tematy. Przedsiębiorstwo może wjechać na zupełnie nowe tory prowadzące wyłącznie do świetlanej przyszłości. Tak na marginesie – zamruczał jak kocur adorujący dorodne i smakowite udko z kurczaka. – Pani zapewni oprawę tego spotkania.

Nadobna Wenus zarzuciła blond włosom i niby niechcący wyeksponowała zgrabną nogę, stawiając tym samym kropkę nad i.

– Pan wie, że ja przepowiadam wyłącznie dobrą przyszłość – dodała szeptem, a każda sylaba ociekała seksapilem.

Prezes przelknął ślinę.

– I tego się trzymajmy – rzucił i zamknął za sobą drzwi gabinetu.

Magda stała i nie wierzyła własnym oczom. Oto w jej obecności rozegrała się scena wyuzdanego seksu spojrzeń, gestów i wymiany obszernych treści pracowicie przemycanych między słowami. Atmosfera w pomieszczeniu przeszła w stan wrzenia i groziło nawet zainicjowaniem reakcji termojądrowej, kiedy tymczasem za oknem utrzymywało się słabe, typowo wrocławskie pięć stopni na plusie i deszcz. No, no, cokolwiek wcześniej usłyszała o zawłościach relacji między Anką a prezesem, wszystko wskazywało na to, że zawłościami nie tu nie ma żadnych i wszystko jest proste jak droga na Gdańsk oraz jasne jak dwustuwatowa żarówka.

– Dobra, pokaż te koperty – powiedziała, by ukryć zmieszanie. – Poukładamy je i spadam do siebie.

– Oczywiście, oczywiście. – Anka porzuciła pozę godną posągu Wenus i wróciła do Magdy. – Zresztą Janusz zaraz będzie mnie potrzebował.

– Ekhm, Janusz?

– Och, no Janusz, Janusz, jesteśmy na ty. – Anka powiedziała to tonem tak naturalnym, jakby kupowała kilo ziemniaków.

Magda postanowiła dalej nie drażnić tematu.

– No, a o co chodziło z tym czarowaniem? Pasjanse układasz czy jak?

– Pasjanse w Windowsie już dawno straciły na aktualności. Teraz są gierki w smartfonie. Wiesz, to tylko taki żart. Wczoraj przed jednym spotkaniem z władzami miasta powiedziałam, że wyczuwam sukces i widzę wyraźnie, tak powiedziałam, że wyraźnie widzę, jak przedstawiciel miasta wyciąga do Janusza rękę i mówi, że załatwione. I wiesz co? Dokładnie tak zrobił. Ciekawe, co nie?

– No, bardzo.

– Odtąd Janusz bez przerwy mówi o czarowaniu i że ludzie tego potrzebują.

Magda poczuła jakby uderzenie młotem w potylicę. Wskutek tego dwa kółka zębate pod czaszką, do tej pory w małym stopniu mające ze sobą coś wspólnego, znalazły się bliżej siebie, zazębiły i uruchomiły proces, którego sama jeszcze nie była w stanie objąć w całości, ale czuła, że nie da się go zatrzymać.

– Ludzie potrzebują dobrych wiadomości i szerokich perspektyw – odezwała się niemal szeptem.

– Ty wiesz? Janusz powiedział dokładnie tak samo.

Magda zdawała się przenosić do alternatywnej rzeczywistości i tylko jedną ręką trzymała się tej, w której przyszło jej istnieć.

- Potrzebują wiedzieć, że będzie dobrze.
- No tak. I on...
- Potrzebują, żeby im ktoś powiedział, że naprawdę dużo znaczą.
- Oj, no bez przesady, to tylko takie gadanie.
- Tak właśnie, gadanie. I ono zmienia rzeczywistość.

Anka przewróciła oczami i zaczęła oglądać własne paznokcie.

- To co z tą korespondencją?

– Z jaką ko... a tak, to tu, do E4, to tu, do A5, a to tutaj, a to do księgowości, im trzeba zanieść osobiście. W zębach. Nie no, żartowałam, nie patrz tak. Zrobione, a teraz wybacz, muszę wracać do siebie.

- Przecież jesteś u siebie!

- Innej siebie, tam w magazynie. Dasz sobie radę, cześć!

I już jej nie było.

4.

– Pani Madziu, czy wszystko w porządku? – zapytał ochroniarz Włodek około godziny piętnastej, kiedy zszedł do magazynu i zastał Magdę siedzącą nieruchomo przy stoliku i wpatrującą się w rzędy regałów.

Być może nie przejąłby się jakoś szczególnie – każdemu ma prawo się system zawiesić – gdyby nie to, że wcześniej zaglądał tu jeszcze dwa razy, wchodził i wychodził zupełnie niezauważony, a jego oczom ukazywał się dokładnie taki sam widok. Zadał zresztą wtedy to samo pytanie i dokładnie tak jak teraz odpowiedziała mu cisza. Przełamał się w końcu, ostrożnie zbliżył się do Magdy i dotknął jej ramienia. Drgnęła i podniosła na niego nieobecny wzrok.

– Czy wszystko w porządku, pani Magdo, pytałem, bo pani tak siedzi...

Potrzebowała dłuższej chwili, by nawiązać kontakt z rzeczywistością, ale w końcu w spojrzeniu pojawił się błysk zrozumienia.

– Panie Włodku, pan wie, że mam kota?

– No... nie. Nie wiedziałem.

– Czarnego, panie Włodku.

– Och, no to tego, to fajny musi być. – Ochroniarz stał wyraźnie zagubiony, nie wiedząc, jak nawigować na tym kompletnie nieznanym sobie terenie i mając poczucie ciągnięcia w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Jest fajny. Nazywa się Drań.

Dla pana Włodka sytuacja zdawała wreszcie się klarować. Wypiął pierś i zakasał rękawy, co nie było takie proste, kiedy się nie miało jednej ręki.

– Pani Magdo – powiedział uroczyście. – Jeśli ktoś panią skrzywdził i dlatego pani tak teraz, to ja przysięgam, że złapię sukinsyna i tak mu złożę dupsko, że przez dwa lata, zanim usiądzie, będzie pytał krzesło o pozwolenie. Nawet gdyby to miał być sam prezes.

Magda się uśmiechnęła.

– Ależ nie, panie Włodku kochany, nikt mi nic nie zrobił. To znaczy owszem, przeniesiono mnie tutaj i szczerze powiem, że niezbyt mi ta koncepcja przypadła do gustu, ale przyszedł mi do głowy pewien pomysł i właśnie go gruntownie przemyśliwam.

Ochroniarz znów się zaniepokoił.

– Pani Magdo, czy pani myśli o... Niech pani nie robi niczego szalonego!

– Ależ panie Włodku! Spokojnie! Nie zamierzam nikogo zabić. Nie o zemście myślę. Wściekła byłam jak diabli, jestem nadal, ale właśnie odkryłam, co chcę dalej robić ze swoim życiem.

Pan Włodek przestąpił z nogi na nogę, nie wiedząc, czy ma się dalej obawiać, czy już niekoniecznie.

– A co takiego pani wymyśliła?

Magda popatrzyła mu głęboko w oczy.

– W życiu by pan nie zgadł.

5.



– Czyś ty zwariowała?! – Matka zakrztusiła się biszkopcikiem, który metodycznie, jedynie słusznym sposobem moczyła w mleku. – Będiesz wróżką?!

– Na litość boską, mamó, spójrz na to jak na zawód. Praca jak każda inna.

– Dziecko drogie, nie gadaj głupot! Praca jak każda inna to nauczyciel, policjant czy pani w sklepie. Albo sekretarka.

– Sekretarką już byłam, chciałam zauważyć, i właśnie mnie wysiudano.

– Ale to nie powód, żeby rzucać się w otchłań szaleństwa! – Wulkan matczynej emocji właśnie eksplodował, co jej samej nie przeszkadzało cierpliwie wyławiać z miseczki szczątków nieszczęsnego biszkopcika.

– Żadna otchłań żadnego szaleństwa. To gruntownie przemyślane posunięcie. Zresztą wróżką będę na razie po godzinach, póki nie nabiorę pewności, że interes się rozkręci.

Matka pokręciła sceptycznie głową i sięgnęła po kolejne ciasteczko.

Siedziały przy stole w kuchni, co dowodziło prawdy starej jak świat, że kuchnia to miejsce, gdzie najlepiej się ludziom rozmawia.

Ta, znajdująca się w pogierkowskim bloku na osiedlu Krzywoustego, mniej więcej dziesięć lat temu straciła swój peerelowski charakter wraz z przeprowadzonym w niej generalnym remontem, obejmującym wymianę wszystkiego, z podłogą włącznie.

Wysłużone gumoleum zastąpiły ładne kafle, choć zdecydowanie nie z tych najdroższych. Szafki z Ikei objęły tron zwolniony przez komplet mebli kuchennych wystany cierpliwie przez czterdzieści osiem godzin w kolejce (w ramach rodzinnej sztafety) na początku lat osiemdziesiątych. Słowem, jeśli wcześniej kuchnia nadawała się do tego, by w niej przesiadywać, to teraz nadawała się podwójnie. I gdyby przeprowadzić sondę wśród Polaków, okazałoby się, że na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy ważne życiowo sprawy omawiali w salonie.

– Ciekawe, co ojciec by na to powiedział.
– Mamo, ojciec od pięciu lat już niczego nie powie. Ale gdyby żył, to powiedziałby, żebym poszła za głosem serca. A potem, żeby mu dać święty spokój, kiedy już zaczęłybyśmy się kłócić.

Na chwilę zapadła cisza, a potem matka westchnęła głęboko.

– No dobrze, rozumiem twoją frustrację, kiedy cię przenieśli do tego magazynu. Każdy by to odczuł jako kopniak w zadek, ale przecież jest tyle normalnych – tu pokazała palcami cudzysłów – zajęć. Dlaczego nie poszukasz czegoś mniej, jakby to powiedzieć, niecodziennego?

– Po pierwsze, dlatego że już to robiłam. Po drugie, mam czterdzieści lat, mamo, i właśnie, jak już wspomniałam, zostałam wykopana z normalnego zajęcia przez dwudziestopięciolatkę. Myślisz, że to odosobniony przypadek? Bo ja nie sądzę. Raczej potwierdzenie pewnego zjawiska. Po trzecie, sama mi mówiłaś, że byłabym dobrym psychologiem, bo umiem słuchać ludzi, szybko wchodzę w relacje i, no, jak to było?

– Bezbłędnie wyczuwasz nastroje.

– No widzisz! Wróżka to taka pani do wysłuchania ludzkich zwierzeń, tylko że słucha za pieniądze.

– I myślisz, że będziesz im mogła po tym całym wysłuchaniu powiedzieć, co mają robić?

Magda uśmiechnęła się.

– Sami sobie odpowiedzą. Jak już tylko zwerbalizują to, czego naprawdę chcą. Bo najczęściej zwyczajnie nie mają czasu albo nie wpadnie im do głowy, że jakby tak usiąść i się zastanowić, rozwiązanie znajdą w zasięgu ręki. I możliwości, rzecz jasna. No to u mnie sobie siądą i się pozastanawiają. Uwolnią umysł. Zostawią u mnie swoje problemy. No i oczywiście pieniądze.

Matka westchnęła głęboko, co ewidentnie wskazywało na wchodzenie w stadium, którego naturalną konsekwencją zwykle okazywała się karczemna awantura i trzaskanie drzwiami.

– A Franek wyjechał do Stanów...

– Jaki Franek? Ach, Franek...

– Do Doliny Krzemowej, wyobrażasz sobie? Taka dobra praca! Takie pieniądze!

– No i co z tego? Po co mi to mówisz? – spytała Magda, choć oczywistym było, dlaczego właśnie teraz Franek został wyciągnięty jak królik z kapelusza, a i cel matczynych wspomnień nie byłby bardziej zauważalny, gdyby stanął w samych gaciach na wrocławskim rynku i machał wielgachnym transparentem.

– No bo gdybyś wtedy ty i Franek...

– Mamo! – zirytowała się Magda. – Nigdy nie było żadnego „ja i Franek”! Ani z mojej strony, ani tym bardziej z jego. Poza tym, jeśli już Franek tak ci bliski i skoro mówisz, że wyjechał, to na pewno nie uszło twojej uwagi, że z trzecią żoną!

– Żona została tutaj...

– O właśnie! – Magda już krzyczała. – Najlepsza z matczynych rad, kurza stopa, żeby mnie pchać w łapy kogoś, kto towarzyszy życia częściej niż skarpetki. Już sobie pewnie czwartą znalazł, tylko ta trzecia jeszcze o tym nie wie! Czy ty myślisz, że ślepa jestem? O czym przed chwilą rozmawialiśmy?!

– O Jezu, dziecko, nie irytuj się. Ja tylko chciałabym, żeby raz w życiu coś potoczyło się zwyczajnie i normalnie. I nie dość, że ojciec... Że go tak nagle zabrakło, po cichu, jak to on miał w zwyczaju, to jeszcze nie mam najmniejszych widoków na zwyczajne, pospolite, męczące i upierdliwe niańczenie wnuków.

Magda z trzaskiem odłożyła do zlewu talerzyk po cieście.

– Ha! Czyli to moja wina!

Matka zdecydowała się odstawić mleko i nie moczyć kolejnego biszkopcika, ponieważ rozmowa definitywnie wkraczała w fazę decydującą.

– Ależ nikt tu nie mówi o winie! Mówię o tym, że można się czasem rozejrzeć wokół siebie, a nie tylko trzaskać zdjęcia kotom i siedzieć w Internecie. Koty są, owszem, urocze, ale przecież...

– Przecież co? No powiedz to, bo widzę, że bardzo chcesz.

Matka przez moment milczała, jakby zastanawiała się nad wyborem odpowiedniego kalibru dla pocisku.

– U nas w przychodni od niedawna pracuje teraz taki fajny, młody lekarz...

Magda zerwała się ze stołka.

– Dość! Przestań wreszcie bawić się w swatkę! Znasz się na tym jak świnia na interesach. Idę sobie, wracam do moich kotów. I tak wiem, co zaraz usłyszę – rzuciła już w przedpokoju, gdzie wkładała buty i sięgała po kurtkę. – A słyszeć tego nie chcę.

W kuchni do zlewu runął z impetem kolejny talerzyk.

– Nic z tego życia, cholera, człowiek nie ma! Nic! Na starość sam jak palec! – Donośny głos matczyny sygnalizował brak afirmacji dla zastanej rzeczywistości, nie dając się zagłuszyć przez strumień odkręconej wody.

– Będą owczarki? – zapytała Magda samą siebie, owijając się jednocześnie długim szalikiem.

– Cholera, samotny, stary człowiek! – perorowała matka zupełnie niezrażona brakiem odpowiedzi. – I kiedyś, cholera, w końcu umrę i mnie zeżrą owczarki!

Magda postanowiła nie wstrzymywać dłużej napierających emocji. Szybkim krokiem ruszyła do kuchni i stanęła przed matką.

– Zżarłyby, gdybyś je kiedyś w ogóle wpuściła za próg, ale na to nie ma najmniejszych szans, prawda? A nawet gdyby, to wystarczyłoby, żebyś się odezwała. Zwiałyby stąd natychmiast i jeszcze podkuliły ogony.

6.



Szklaną kulę bez trudu znalazła na Allegro. Biorąc pod uwagę cenę, wyraz „szklana” należałoby wziąć w cudzysłów, ale przecież miała być tylko elementem pomieszczenia i zapewniać nastrój. Na miłość boską, jeśli chce się być wróżką, można mieć laptop, można być wręcz przyspawanym do smartfona czy komputera, ale nie można nie mieć szklanej kuli! To tak jakby ksiądz odprawiał mszę w dresie, nie dbając o obecność sutanny. Msza pewnie byłaby ważna, ale pozostałby pewien niedosyt natury estetycznej.

Z kartami też problemu nie było.

Zaopatrzywszy się w jedno i drugie, Magda przystąpiła do przemieniania jednego z dwóch posiadanych przez siebie pokoi w gabinet. Długie godziny spędziła w Internecie, wybierając kolor farby do ścian. Miał być ciemny, by zapewniać nutkę tajemniczości, ale jednocześnie nie sugerować nagłej potrzeby kupowania wieńca pogrzebowego. Miał uspokajać, ale nie przytłaczać. W rezultacie zdecydowała się na zgaszony, zimny brąz przełamany dla kontrastu elementami turkusowego.

Za okrągłym stolikiem, który byłby nieco retro, ale bez gwałtownej podróży w czasie, schodziła pół Wrocławia. Ratunkiem okazało się miejsce, od którego właściwie powinna zacząć, czyli odbywający się co niedzielę pchli targ na Dworcu Świebodzkim.

Nie ma takiej rzeczy, której nie dałoby się tam kupić, legalnie lub nielegalnie. Poszukiwacze staroci ściągają tam stadami, słusznie przekonani, że ich popyt zostanie zrównoważony przez jakże różnorodną podaż. Władze miejskie co jakiś czas wpadały na genialny pomysł adaptacji terenów dworca, z przywróceniem jego dworcowego, ortodoksyjnego charakteru włącznie, fakt jednak pozostaje faktem, że niedzielny targ istnieje i ma się dobrze. Stolik więc został nabyty za śmiesznie niską cenę pięćdziesięciu złotych i po pracowitym popołudniu spędzonym pod hasłem „Zrób to sam” uzyskał oczekiwany wygląd.

Na klientów w nowym gabinecie czekał jeszcze głęboki i bardzo wygodny fotel, który jako zupełnie zbędny i niepraktyczny w oczach matki, a idealny zdaniem Magdy, został przetransportowany z ulicy Kiełczowskiej na Śliczną, co samo w sobie jest czynem heroicznym i nie lada wyzwaniem ze względu na odległość i mankament polegający na przebijaniu się przez najgorsze korki, o czym wie każdy mieszkaniec stolicy Dolnego Śląska.

Och, jest parę przedsięwzięć, które są w stanie wywołać większe palpitacje serca, na przykład podróż z Psiego Pola na Leśnicę albo z Jagodna na Pracze Odrzańskie (tu już zaliczamy rozległy zawał), tak czy inaczej, transport wielgachnego fotela z Psiego Pola na Krzyki budził respekt, szacunek i kiedy Magda z dwoma tragarzami opanowała wreszcie (metodą prób, przekleństw i błędów) sposób transportu mebla windą (Ratunku! Nie wchodzi!) na swoje siódme piętro i kiedy ci tragarze po otrzymaniu zapłaty wreszcie sobie poszli (klnąc jeszcze podczas zjeżdżania na dół), poczuła się zobligowana do otwarcia butelki wina w geście triumfu. I celebrowała zwycięstwo do ostatniej kropelki, co miało swój finał w postaci kamiennego snu na dopiero co przytarganym meblisku.

Drugi fotel znajdujący się w pokoju nie był już tak okazały ani tak niebiańsko wygodny i nie przypominał owocu związku kozetki u analityka z łóżkiem wodnym, ale wystarczył dla niej jako prowadzącej seans. To gość miał się czuć jak w bezpiecznym kokonie. Ona miała po prostu umiejętnie wtapiać się w scenerię i zminimalizować czynniki mogące rozpraszać uwagę, tak swoją, jak i klienta.

Wyprawa do podwrocławskiej Ikei oznaczała zwiększenie pogłowia gustownych poduszek, świeczek i świeczników, a także dodatkowe dwie lampki. W rezultacie pokój zmienił się w niezwykle przytulne i zaciszne miejsce, w którym prosta w formie nowoczesność umiejętnie współżyła z elementami retro, co kreowało atmosferę tajemniczości zakorzenionej w teraźniejszości, ale z wyraźną sugestią mocnego doświadczenia wyniesionego z przeszłości.

Istotne miejsce w pokoju zajmował niewielki regał z książkami, gdzie swoją przystań znalazły pozycje, po które Magda zazwyczaj nie sięgała i których nie darzyła szczególną sympatią (znakomita większość książek znajdowała się w drugim pokoju, czyli tak zwanym salonie). Przez jakiś czas zastanawiała się, czy nie dokonać wśród nich przemeblowania i zmienić repertuar przez, dajmy na to, zainwestowanie w jakieś książki z dziedziny psychologii, rozwoju czy po prostu wróżbiarstwa, wszystko na wypadek, gdyby wzrok klienta zbłądził ku tytułom i stwierdził istnienie *Słownika poprawnej polszczyzny* lub *Wzorów listów w języku niemieckim*, co równałoby się ostatecznej zagładzie z trudem wypracowywanego nastroju (tak sądziła).

Wreszcie machnęła jednak ręką, tu i ówdzie pozasłaniała książki zdjęciami swoich kotów, postawiła kilka figurek i ze dwa ładne pojemniki na ogrzewacze, po czym porzuciła ideę większych zmian. Ważne jest, że, tak czy inaczej, pokój zmienił się nie do poznania, uzyskał akceptację kotów, które nader chętnie wzięły w posiadanie nowy fotel, a także aprobatę matki, która przybyła, zobaczyła i wydała opinię pozytywną (puściwszy w niepamięć wcześniejszą kłótnię).

Pozostawało najważniejsze, czyli coś niecoś wiedzieć na temat samego wróżenia oraz odpowiednio rozreklamować swoje usługi.

Tu Magdalena pozostała optymistką. Skoro jest tak, że ministrem gospodarki może zostać historyk i wcale nieźle sobie radzić, skoro jakiś tam Józek może sprawdzać się w biznesie, a jedyną jego kwalifikacją jest to, że jest synem brata ciotki córki szwagra z rodziny mamy, i świat się jakoś nie wali, to, na miłość boską, wróżką może zostać sekretarka! No dobrze, była sekretarka, obecnie pracownica magazynu, ale to niczego nie zmienia.

Ważne są – wierzyła w to głęboko – tak zwane kompetencje miękkie, a tych jej nie brakowało. Istniał też koci fanpage, który zamierzała wykorzystać do rozreklamowania swojego

nowego biznesu. No bez przesady! Ponad sześćdziesiąt tysięcy fanów leży odłogiem, spora ich część mieszka zapewne w tym samym mieście co Magda, jeszcze większa część w najbliższej temu miastu okolicy, grzech się do nich nie zwrócić!

Wystarczyło opracować odpowiednią strategię, przygotować grunt pod, ekhm, inwestycję. Odpowiednie memy, posty i po prostu zdjęcia miała już przygotowane. Od niedawna zdjęcia pokoju w jego nowej odsłonie wrzucała na Instagram (dbając o to, by zdjęcie było dopełnione przez co najmniej jednego kota) i kolekcjonowała pojawiające się w komentarzach „ochy” i „achy”. Och, jaka metamorfoza, a te poduszki to gdzie kupiłaś, a jaki cudny fotel, a koty, och, och, och, koty są boskie, figurki są boskie, wszystko boskie.

Magda przyjęła, biorąc odpowiednią poprawkę na czcze pochlebstwa, że coś musi być na rzeczy, estetyczny egzamin należało uznać za zdany i potencjalny klient (a potencjalnym będzie tylko przez moment, bo szybko przejdzie w stadium jak najbardziej realnego) poczuje się dobrze w tak zaaranżowanej scenerii (co zaowocuje dochodami, tak jej dopomóż Bóg). Teraz należało po prostu przejść od słów do czynów.

A nie, chwileczkę, wypadaloby jednak przeczytać kilka książek. Magda zainwestowała więc w tytuły w stylu *Jak układać tarota i w dwa tygodnie zarobić milion dolarów*, *Sukces zapisany w kartach*, *Horoskopy – wszystko, co musisz wiedzieć, żeby sporo zarobić*, po czym – znów niezwykle optymistycznie – uznała się przygotowana do podjęcia się nowego zadania. Pozostało tylko założenie działalności gospodarczej, zapędzenie kocich fanów z Facebooka i Instagrama do roboty i można było rozpoczynać nowy rozdział w życiu.

Tymczasem jednak niezmiennie przychodziła na siódmą rano do pracy, tak jak zawsze kładła torebkę na rozwalającym się stoliku w magazynie (zdążyła wypracować właściwy sposób ubierania się, by był kompatybilny z pomieszczeniem, w którym przyszło jej przebywać, a jednocześnie nie dokonywał mordu na poczuciu estetyki), do piętnastej porządkowała półki, wydawała lub przyjmowała różne przedmioty, skrupulatnie prowadziła formularze i... ach tak, co rusz podpowiadała Ance, do którego działu przypisać określoną korespondencję.

Prezes Janusz jak co dzień prężył tors, a jego dorodny i wypielęgowany mięsień piwny zawsze wysuwał się na plan pierwszy, co raz po raz narażało guzik marynarki na pokazywanie prawom fizyki środkowego paluszka (a, jak wiadomo, nie można tego robić bezkarnie). Wiceprezes Mareczek, drobny i cichy, jak co dzień przewracał oczami na widok Anki, ciężko wzdychał, ostatnim wysiłkiem powstrzymywał serce przed wyskoczeniem z wątlej piersi i chował się w gabinecie. Jak co dzień główna księgowa Kazimiera uprzykrzała innym życie, jak to tylko główne księgowe robić potrafią, czyli profesjonalnie, szybko i tak, żeby bolało.

W ogóle życie w Miejskim Przedsiębiorstwie Wodno-Kanalizacyjnym przebiegało bez większych zmian, od spotkania do spotkania, od imienin prezesa (impreszka z cateringiem, popołudnie dla wszystkich wolne), do urodzin księgowej (bankiet i tony kwiatów), stabilnie, jak tylko stabilnie potrafi być w spółce z dominującym udziałem władz miasta w jej strukturze finansowej. I nikt zupełnie się nie spodziewał, że lada moment miał nastąpić grom.

7.



Jeśli ktoś uważa, że kodowanie jest nudne, nigdy w życiu nie był informatykiem. Co więcej, nigdy w życiu nim nie zostanie, ze względu na podstawowy i nie do przeskoczenia brak ku temu odpowiednich predyspozycji polegających głównie na lubieniu kodowania. Jeśli po kilku godzinach patrzenia w rozmaite rodzaje klamerek, nawiasów i szlaczków czujesz zmęczenie i irytację, nie brnij w to dalej i otwórz warzywniak. Z pewnością nie zarobisz więcej, ale ocalisz zmysły.

Arturowi otworenie warzywniaka nie groziło. On zanurzał się po uszy w tym, co zwykłemu śmiertelnikowi wydaje się irracjonalne i bez sensu, czuł się jak delfin przemierzający oceany Javy, wyskakujący od czasu do czasu na powierzchnię i łapiący kontakt ze światem istniejącym poza monitorem komputera (na przykład po to, by zamówić pizzę), po czym zanurzał się znowu i podążał w sobie tylko wiadomym kierunku.

Artur był zdolny. Już jako student Politechniki Wrocławskiej, na którą dostać się było cholernie trudno, a jeszcze trudniej na niej utrzymać, świetnie sobie radził, brał udział w rozmaitych projektach i jeszcze zanim przed jego nazwiskiem ostatecznie zadomowił się „mgr inż.”, poszczególne firmy kusiły go stabilnym zatrudnieniem i odpowiednią pensją. Ponieważ rzecz miała miejsce około roku 2000, mógł z czystym sumieniem uznać, że złapał Pana Boga za nogi, zwłaszcza że Bóg obiecał nieźle płacić. Nie było to takie oczywiste.

W tamtych dzikich czasach, w okresie panowania Windowsa 95, w okresie pierwszych sygnałów wysyłanych do ludzkości za sprawą systemu Unix, w dobie początków Internetu i pierwszego nim zachwyty poprzez fanatyczne i pożerające czas uczestnictwo w rozmaitych grupach dyskusyjnych, gdzie połała się pierwsza wirtualna krew i gdzie po raz pierwszy sięgnięto po cyfrowe widły i kłonicie, fakt, że ktoś jeszcze jako student otrzymywał propozycję pracy, należało nagrodzić oklaskami i winem Sophia (straszny sikacz, ale tani).

Studenci kierunków ścisłych Uniwersytetu Wrocławskiego mieli na tym polu znacznie mniejsze szanse, jako że w tamtym czasie brakowało odpowiednich programów wsparcia i współpracy uczelni z potencjalnymi pracodawcami. Politechnika wyprzedzała swoją epokę, co okazało się bardzo szczęśliwym zbiegiem okoliczności dla Artura i jego kolegów z roku.

Artur wkroczył więc w życie zawodowe mocnym, wojskowym krokiem, a problem, jak przeżyć do pierwszego, był mu organicznie obcy. Przyznać też trzeba po prawdzie, że sprawa upływniania zarobionych pieniędzy nigdy nie budziła w nim szczególnych emocji, a oszczędny tryb życia sprawił, że w szybkim czasie mógł to i owo odłożyć.

To nie jest tak, że jedyne okna, w które Artur spoglądał, miały rozmiar 1500 × 600 px. Od czasu do czasu łąpał kontakt z rzeczywistością, kiedy jeszcze jako student wyciągany był przez swoich kolegów (często siłą) do ulubionej jaskini żaków różnej maści, czyli do klubu Alibi mieszczącego się tuż koło najśłynniejszych wrocławskich akademików, Kredki i Ołówka. Trochę tych imprez zaliczył, był też w stanie zamienić parę zdań z osobnikami płci przeciwnej, którym było zupełnie wszystko jedno, co mówił, byle słowa kierował do nich.

Artur jako urodzony informatyk kompletnie nie zdawał sobie sprawy ze swego – jakby to ująć? – niezwykle atrakcyjnego interfejsu, wobec którego Brad Pitt czy Leonardo DiCaprio mogli uchodzić co najwyżej za wstęp do urody. Tradycyjna metoda podboju stosowana przez płęć przeciwną polegała na zaaplikowaniu Arturowi odpowiedniej ilości alkoholu, która w rezultacie najpierw nieco rozluźniała więzy językowe, potem zwalniała blokadę odzieżową, skutkiem czego obiekt damskich westchnień niejednokrotnie budził się w czyimś łóżku, nie do końca sobie uświadamiając, jak się tam znalazł. To było, owszem, przyjemne, lecz niekoniecznie z jego strony angażujące.

Jego serce nieco szybciej zabiło przed piątym rokiem studiów podczas wakacyjnego, studenckiego wypadu do Białego Dunajca. Nawiązał tam owocną i rokującą pozytywnie wymianę myśli i poglądów z pewną pulchną brunetką, która towarzyszyła mu na tatrzańskich szlakach (towarzyszyła zaskakująco sprawnie pomimo swojej tuszy). Wtedy po raz pierwszy odniósł wrażenie, że ktoś go rzeczywiście słucha, a nie tylko udaje słuchanie w nadziei na sprowadzenie konwersacji na nieco inne, mniej intelektualne tory. Zadawała nawet rzeczowe pytania, zwyczajnie chciała dowiedzieć się więcej, co sprawiło, że poczuł, że być może przeceniał swoją wiedzę na temat płci niewieściej.

Do tej pory kobiety dzielił na te, które chcą go zaciągnąć do łóżka, oraz na te, które udają, że nie chcą tego zrobić, ale w rezultacie i tak dopinają swego. Teraz trafił na kogoś, kogo zdawał się pociągać wyłącznie jego intelekt. To było inne i... inne. Ze zdziwieniem odkrył, że znajduje w tych rozmowach przyjemność, ba, sam do nich dąży. Mało tego, on jest tą stroną, która odzywa się częściej, by nie powiedzieć: peroruje, podczas gdy ona zamieniała się w słuch. Och, jakże się przemieniała! Człowiek mógł nawijać bez przerwy, rosła w nim wręcz potrzeba mowy wiązanej, rączym klusem zmierająca w stronę rasowego trzynastozgłoskowca. Człowiek spowiadał się wręcz i wydawało mu się to zupełnie naturalne. Cudowne uczucie. Przynosiło autentyczną wolność, nawet jeśli tematyka ocierała się o całki. Może nawet zwłaszcza wtedy?

Co było dalej? Cóż, dwa tygodnie minęły, jak z bicia strzelił, obóz studencki dobiegł końca, a on zachował się jak kompletny idiota. Na dworcu we Wrocławiu pożegnał się z nią, jakby mieli się zobaczyć następnego dnia na piwie, zupełnie jak z jednym ze swoich kumpi. Dopiero później uświadomił sobie, że nie zapytał jej ani o adres, ani o numer telefonu. Wiedział tylko, co studiuje (polonistyka) i na którym roku (tak jak on wchodziła w ostatni rok studiów), nic więcej. Chciał się czegoś dowiedzieć, poszukać jej. Co za problem pójść na uniwersytet, popytać, a nawet nie trzeba pytać, tylko przejrzeć wywieszony na korytarzu w gablocie ogłoszeń listy seminarzystów i w ten sposób ją znaleźć.

Wszystko to chciał zrobić, ale pewnego razu kumple znów zaciągnęli go do Alibi i tam poznał Karolinę. A kiedy ją poznał, już dalej nie szukał. Właściwie to krótko potem nie do końca rozumiejąc, jak to się stało, stanął na ślubnym kobiercu, przysiągł, że nie opuści jej aż do śmierci, a potem do domu weselnego odjechali absolutnie cudowną syreną w jedynie słusznym odcieniu écru, z napisem „Młoda Para” w miejscu tablicy rejestracyjnej. Była huczna impreza do białego rana, zespół rwał struny i zmieniał gitary w drzazgi, pary wywijały na parkiecie do upadłego, wszyscy gratulowali młodemu, że tak się idealnie dobrali i wieszczyli im długie, długie lata wspólnego życia w szczęściu i zdrowiu.

Pięć lat później byli już po rozwodzie. Okazało się, że mimo połączenia węzłem małżeńskim potrafilo sobie zbudować dwa zupełnie niezależne wszechświaty. On, wzięty i coraz więcej zarabiający informatyk pracował nad coraz to bardziej zaawansowanymi projektami, co sprawiało, że i w pracy, i po pracy tkwił z nosem w monitorze, zupełnie głuchy na sygnały wysyłane przez żonę. Ona z kolei chciała pogadać, wyjść gdzieś, rozerwać się, spotykać, tworzyć coś wspólnie. Coraz częściej on zostawał w domu, gdy ona wychodziła z przyjaciółmi. Najpierw byli to ich wspólni znajomi, potem okazało się, że ma własnych, o których on nic nie wie. W końcu pewnego dnia powiedziała mu, że odchodzi. Pojawił się inny mężczyzna.

Nie klócił się, nie robił problemów, nie drażył. Zostawił jej mieszkanie na Gądownie kupione na kredyt, który zobowiązał się spłacać, tak jak dotąd to robił, i postanowienia cały czas dotrzymywał. Sam przeniósł się z Wrocławia do Warszawy, gdzie w mgnieniu oka znalazł pracę, bo i po prawdzie szukać jej wcale nie musiał. Po prostu nawiązał kontakt z firmą, która już od dawna chciała go do siebie ściągnąć. Tam więc żył, spłacał kredyt (nawet przed czasem, ze względu na swoje wysokie zarobki), mieszkał sam w wynajętym mieszkaniu i miał mnóstwo czasu, by zastanowić się, co zrobił nie tak.

Kiedy w końcu zrozumiał, co poszło źle i czego nie robił, a powinien, czego nie dawał, a miał dawać, nawiązał kontakt z byłą żoną, licząc na odbudowanie relacji. Cóż, miło, że chciał, ale ona była już wtedy w drugiej ciąży i wydawała się szczęśliwa jak nigdy dotąd. Nie chciał naruszać jej spokoju. Zresztą i tak byłby na z góry przegranej pozycji. Odpuścił i przez następne lata nie związał się z nikim, choć to nie oznaczało, że każdą noc spędzał samotnie. Zdarzało się, owszem, że gościł u siebie kobiety albo sam był goszczony u którejś z nich, nie zaowocowało to jednak żadnym trwalszym uczuciem. Raz już spróbował. Wystarczy.

8.

W jednej z firm rezydujących w Mordorze na placu Dominikańskim poniedziałek zaczął się jak co dzień. Ludzie powoli stawali się coraz bardziej kompatybilni z rzeczywistością, stojąc w kolejce do ekspresu do kawy. Nowy i, co tu kryć, udany architektonicznie biurowiec stał od niedawnego czasu w ścisłym centrum, co go czyniło niezwykle atrakcyjnym jako miejsce pracy i dojazdu. Bardziej w sercu miasta jest tylko rynek, a rynek mamy przecież rzut beretem od placu Dominikańskiego, można by się wybrać w kapciach.

Pracownicy korporacji rezydujących w Mordorze, by zaistnieć w świadomości społecznej, z kolorowych karteczek samoprzylepnych wykleili na szybach budynku gigantycznego pac-mana, co zrobiło prawdziwą furorę w mediach społecznościowych i fotki dokumentujące ten wiekopomny czyn przez długi czas przewijały się przez Internet.

Jeśli więc ludzie są duszą miasta i poszczególnych budynków, to ten wszem wobec oznajmił, że zaczął żyć, działać i ma się świetnie. Po tak typowo, zdaniem wrocławian, korporacyjnym zagranium budynek zyskał miano Mordoru na wzór swojego odpowiednika przy Domaniewskiej w Warszawie.

Tydzień zaczął się więc jak zwykle, a do ludzi powoli docierał mniej lub bardziej bolesny fakt poniedziałku. Nastroju nie poprawiała typowa wrocławska zima objawiająca się deszczem, błotem, siedmioma stopniami na plusie oraz permanentnym brakiem czegokolwiek przypominającego śnieg.

Artur, nie spiesząc się, szedł ulicą Świdnicką w stronę placu Dominikańskiego. Nie był we Wrocławiu już od prawie dwunastu lat. Oddelegowano go tutaj dwa tygodnie temu, by trzymał pieczę nad uruchamianiem systemu informatycznego dla strategicznego klienta z branży ubezpieczeń, szczególnie ważnego dla jego firmy. Kontrahent ten właśnie otworzył kolejną filię, ulokował ją we Wrocławiu, a miejscem idealnym wydawał się Mordor. I słusznie.

Artur zaczynał więc swój drugi poniedziałek w mieście, z którym wiązało go tak wiele wspomnień, i tych pozytywnych, i tych bolesnych, z kulminacją w postaci rozwodu. Przez pewien czas wahał się, czy zadzwonić do Karoliny (ciągle miał jej numer telefonu), ale zamiast tego wyszukał jej profil na Facebooku, a ponieważ wszystkie swoje posty bardzo nierozsądnie (jak większość Polaków) publikowała ze statusem publicznym, przez co mógł je zobaczyć każdy, przekonał się, że dzwonić nie ma sensu. Kwintesencja rodzinnego szczęścia, dzieci, pies, ogródek, domowe wypieki i tego typu sprawy. Choć rozstali się w zgodzie, szybko i oszczędzając sobie bólu, uznał, że teraz wtargnąłby w jej spokój życiowy i być może nieco go zburzył. A nie miał do tego prawa.

Mijał właśnie Starą Pączkarnię, kiedy słodki zapach zaczął go przyzywać niczym syreni śpiew. Nie było sensu walczyć, dlatego poddał się szybko przeważającym siłom wroga, stanął w kolejce i pięć minut później szedł dalej, dzierżąc łupy w postaci dwunastu pachnących i ciepłych sztuk, kryjących w sobie karmel, budyn i nadzienie bananowe. Dwunastu. Kupować w Starej Pączkarni jednego pączka to zbrodnia. Zresztą, jak przypuszczał, zaraz po wejściu do biura opadnie go zgraja złoczyńców, którzy nie cofną się przed niczym, by porwać to, za czym tak cierpliwie stał w kolejce.

Nie mylił się. Już w windzie ludzie zaczęli się do niego szerzej uśmiechać, a dwie kobiety jakby przysunęły się bliżej, co było oczywiste, gdyż nie ma większego afrodyzjaka niż nieziemsko przystojny facet trzymający pachnące pączki.

Trzy sekundy później znacząco bliżej przysunęli się też dwaj mężczyźni, co dowodziło potężnej siły rażenia cudownego zapachu drożdżowego dobra. Wysiadł na szóstym piętrze i skierował się do gabinetu, który został mu udostępniony na czas jego pobytu we Wrocławiu. W biurze trwała poranna krzątania, a największe stężenie człowieka na metr kwadratowy wydawało się występować w kuchni.

– A gdybym się kiedyś zatrudnić miał znów, to tylko w Mordorze! – ryczał przy ekspresie do kawy informatyk Maciuś soczystym barytonem, włączając nowe słowa w znaną melodię.

– Gdzie się orze o każdej porze! Rano i o wieczorze! – zawtórował tenor z okolic lodówki.

– Ależ co bluźnisz, człowieku! – oburzył się Maciuś. – Gwałt czynisz na rymie i rytmie brutalny. Nie godzi się w poniedziałki!

– No przecież się rymuje! – oponował tenor. – Odkąd tu z tobą pracuję, coraz lepiej rymuje!

– Maciuś ci wszystko wybaczy, smutek zamieni ci w śmiech – zaintonowała Zuza z marketingu, sięgając do szafki po puszkę z herbatą.

– Maciuś tak pięknie tłumaczy deadline i asap, i grzech – podjął tenorek.

Ten właśnie moment wybrał Artur, żeby wejść do kuchni i się przywitać.

– Cześć, ludzie. Co słychać?

– Och, nic takiego. Piotrek od rana obraża sztukę – oznajmił Maciuś. – Dzień jak co dzień.

– Co?! Dzień jak co dzień? Obraża sztukę? – oburzył się Piotrek, który zdecydował się wreszcie zamknąć lodówkę. – Polska nie znała takiego wieszca, co trwa uwięzion w pracy kleszczach! Widzisz? Idzie mi coraz lepiej.

– Coś czuję... – wtrąciła Zuza i pociągnęła nosem.

– Co czujesz? – zainteresował się Maciuś.

– Jakby... coś słodkiego. Coś pięknie pachnie. Tak pięknie, że chce mi się zaśpiewać: „bo we mnie jest seks gorący jak samum”, tralalalala, któż oprzeć się ma mu.

Artur się uśmiechnął.

– A tak, to efekt pączków. Kupiłem po drodze.
Pracownicy korporacji spojrzeli na niego żarłocznie.
– Niebiosa nam cię zesłały, dobry człowieku! Jakież duch podpowiedział ci nad wyraz słusznie i rozsądnie, żeby w poniedziałek przynieść tu pączki! – zagrział Maciuś.
– Och, to był impuls. Wiecie, szedłem sobie Świdnicką...
– STARA PĄCZKARNIA! – zawył Piotrek, niczym Rejtan rozdzierając flanelową koszulę w kratę, pod którą ukazał się podkoszulek z napisem „Nie wiem, nie znam się, nie orientuję się, zarobiony jestem”.
– No tak – potwierdził Artur, zdejmując spod wylotu ekspresu filiżankę z kawą. – Dobra, to wy się organizujcie, zaraz zaczynamy. Idę do siebie.
– Nieeee! Nie możesz teraz odejść! Jestem rozpalonym lodem! – huknął Maciuś, a Hanna Banaszak pozazdrościłaby mu talentu i ekspresji.
– Ależ mogę, ruszam w drogę – roześmiał się Artur.
– O nie! Za tak okropne nieposzanowanie stylu, za totalne rozminięcie się z nastrojem, za haniebne rymy w poniedziałek rano należy się karny pączek! – zawyrokował informatyk.
– Dla mnie to oczywiste, ale dla Maćka też – powiedział szlachetnie Piotrek.
– I dla Zuzi – dodała Zuza.
Artur był na to przygotowany.
– No dobrze, ale tylko wy. Chodźcie ze mną. I cicho, bo inni się rzucą i mi wszystko zeżrą.
I wyszedł.
– Dobra, chodźcie, *carpe diem* – powiedział Piotr i zabrał talerzyk ze swoim śniadaniem.
– No, idziemy, idziemy. My jesteśmy tanie dranie, dranie tanie niesłuchanie – zamruczał Maciuś i cała trójka uwolniła przestrzeń kuchenną od swojej obecności.

9.

Pół godziny później biedniejszy o siedem pączków Artur nadal nie wiedział, co zrobić ze swoim poniedziałkiem. Robota się nie kleiła. Nie kleiła, to i tak zbyt wiele powiedziane, ona zupełnie jeszcze nie zdążyła zaistnieć, a nawet zamajaczyć na horyzoncie jako obietnica najbliższych ośmiu godzin (teraz już siedmiu i pół). Ależ owszem, do zrobienia było sporo, nawet więcej niż sporo, ale Artura ogarnęła kompletna niemoc, szare komórki ogłosiły strajk i jedyne, na co było go stać, to uruchomienie strony Facebooka, by następnie bez używania funkcji myślenia przeglądać to, co zamieszczali inni.

A na innych zawsze można było liczyć. Przed oczami przewijały mu się głupawe gify i śmieszne filmiki z udziałem rozkosznych zwierzątek lub bardzo brudnych dzieci. Pięć osób poinformowało resztę świata o ciąży jakiejś znanej wszystkim i niezwykle popularnej celebrytki, o której on nigdy w życiu nie słyszał. Spora grupa wydała się na skraju samobójstwa lub w trakcie podejmowania decyzji o natychmiastowej emigracji z powodu wrocławskiego smogu, kilka narzekało na zimę w ogóle i zimę w wydaniu typowo wrocławskim.

Na szczycie zainteresowań jak zwykle tkwiły korki, komuś sąsiad zniszczył płot i ten ktoś głośno krzyczał, co na to rząd (wiadomo co: stoi, patrzy i nic nie robi), ktoś oznajmił *urbi et orbi*, że właśnie zjadł jajecznicę na boczku i chrzanić fit-życie, ktoś inny przejechał trzy kilometry na rolkach i poczuł, że nie zazna spokoju, póki nie poinformuje o tym reszty świata. Normalne problemy wirtualnej rzeczywistości.

W pewnym momencie przestał bezwiednie przewijać stronę i zatrzymał się na informacji, którą zamieściła jedna z jego znajomych. Aśka. Ostoja racjonalizmu, szkiełko i oko współczesności, doskonałe przeciwieństwo czucia i wiary. Wyznawczyni fizyki kwantowej, czcicielka chemii organicznej i nieorganicznej, świetna matematyczka, dla której jedyna akceptowalna święta trójca składała się z mikroskopu, teleskopu i komputera.

Artura połączyło z nią jakiś czas temu kilka mniejszych projektów i nawet próbował testować na niej siłę swojego uroku osobistego, Aśka dysponowała jednak niezdożytą twierdzą zbudowaną z cegieł, której bram broniły uzbrojone po zęby logarytmy. Wstęp do twierdzy miały jedynie koty i to im pośrednio poświęciła swój ostatni facebookowy wpis.

Nie byłoby w tym, rzecz jasna, nic dziwnego, nie pierwsze i nie ostatnie koty na portalu społecznościowym, sęk w tym, że kotu, który wyglądał tak, jakby przyszedł na świat z wbudowaną opcją profesjonalnego pozowania do zdjęć, towarzyszyła treść niebezpiecznie ocierająca się o rejony metafizyki, co z osobą Aśki tworzyło oczywistą sprzeczność. Jego ortodoksyjnie naukowa koleżanka stwierdzała mianowicie, że była z wizytą u wróżki. Kot o sierści w odcieniu wzorcowej czerni właśnie do tej wróżki należy, a Aśka najwyraźniej sama sobą zdumiona informowała świat, że wcale nie chodziło o szatańskie czary-mary, tylko o wysłuchanie i rozmowę w miłym towarzystwie. Oraz odpowiedź na pytanie, co powinna zrobić.

I ona tę odpowiedź otrzymała. I ona już wie. Szok i niedowierzenie.

Aśka uprzejmie podpowiadała, co to za niezwykła persona tak wstrząsnęła jej światem, a on, dogłębnie poruszony, kliknął podany odsyłacz. Przez chwilę miał wrażenie, jakby znajdował się w samym centrum wszechświata zbudowanego wyłącznie z kotów, gdzie ich ilość wydawała się dążyć do nieskończoności, ale w końcu udało mu się z całej tej zgrai wyłonić ich właścicielkę.

Spojrzał na zdjęcie pulchnej brunetki przytulającej czarne wcielenie kociej dostojności. Spojrzał raz jeszcze i niebo runęło mu na głowę.

10.



– Nie jest dobrze – powiedział Maciuś podczas przerwy śniadaniowej, kiedy stała ekipa obiegała kuchnię, najważniejsze pomieszczenie w korporacji, zaraz po gabinecie prezesa.

– Nie jest – potwierdził Piotrek, jak zwykle kontemplując zawartość lodówki.

– Poszedłem do niego – ciągnął Maciuś – i z głupia frant zapytałem, czy odda mi pozostałe cztery pączki, bo mam na nie ochotę. Tak mu powiedziałem. Dokładnie tak. Że mam na nie ochotę.

– I co powiedział? – zaciekała się Zuza.

– Że nie ma sprawy i mogę brać.

– Nie wierzę! – Zuza wyglądała jak rażona gromem.

– No mówię ci! Siedział blady jak ściana i gapił się w monitor.

– Może dostał maila od zarządu? – zasugerowała Kaśka.

– Nie – powiedział Piotrek.

– A niby czemu jesteś taki pewien, co?

– Bo ja też tam poszedłem. Gapił się na koty.

– Jakie koty?! Drapieżne?!

– O Jezu, jakie tam drapieżne. Normalne. Dachowce.

– A co w nich takiego szokującego?

– Nie mam pojęcia, ale pierwszy raz widziałem, żeby ktoś był tak wstrząśnięty, kiedy zobaczył zwyczajne zwierzę domowe.

– No i co, Maciek, zabrałeś te pączki?

– Jasne! Taka okazja może się nie powtórzyć. Zuzka, spoko, zostawiłem ci jednego, nie patrz tak na mnie.

– A ja się go zapytałem, co teraz będzie robić. No bo tak patrzę, jak on się lampi w te koty – dodał Piotrek.

– I co powiedział?

Piotrek i Maciek wymienili spojrzenia.

– Coś dziwnego powiedział. Że sobie powróży. Czy coś.

11.



Wprowadzenie rezerwacji terminów przez formularz dostępny w Internecie okazało się strzałem w dziesiątkę. Szybko, łatwo i dyskretnie, bez niejakiego zażenowania towarzyszącego rozmowom telefonicznym, klienci wskakiwali w okienka kalendarza jak dobrze dopasowane puzzle. Cudownie. Tak miało być.

Magda piła mocną kawę i zacierała ręce. Pierwsze sesje (lubiła określać swoje rozmowy z klientami mianem sesji, to było takie, no, trochę w jakby freudowskim stylu i kojarzyło się z wygodną kozetką oraz stanem relaksu) wypadły zaskakująco dobrze i po sieci rozchodziły się już opinie jak kręgi na wodzie. A kręgi niosły w świat peany i słowa zadowolenia. Kalendarz więc szybko się zapełnił i wyglądało na to, ach, naprawdę na to wyglądało, że lada moment będzie można zastosować odpowiednik zabrania torebki i wyjścia ze studia telewizyjnego w trakcie programu, czyli ostatecznego rzucenia magazynu w diabły.

Pieniądze przeznaczone na metamorfozę pokoju w gabinet i szczegóły dopełniające wizerunku już zdążyły się zwrócić. Drań robił prawdziwą furorę i trzeba było mu przyznać, że umiał szybko nawiązywać ciepłe relacje. Byli tacy, którzy, zanim się zorientowali, mówili już nie do niej, a do kota, a ten siedział na kolanach i chłonał zwierzenia jak gąbka, głębokim mručeniem dopraszając się o jeszcze.

Zośka i Frytka też znakomicie sprawdzały się w swoich rolach i dbały o odpowiednią atmosferę dyskretnego zakocenia rzeczywistości, drzemiąc spokojnie na półkach lub powoli, majestatycznie i bardzo po cichu przechadzając się po pokoju.

Wbrew wszelkim obawom klientom przypadł do gustu mocno empatyczny charakter spotkań, podczas których karty i szklana kula tworzyły jedynie tło wydarzeń, dając sugestię odpowiedniego przygotowania merytorycznego (nie może być, do licha, zbyt nowocześnie), a cała reszta rozgrywała się, no cóż, między słowami.

Magda po prostu słuchała. Umiejętnie nakierowywała odpowiednio postawionym pytaniem i znów słuchała. Przyjmowała zwierzenia, dokonywała ich parafrazy, zadawała pytanie, po czym słuchała. Pod koniec niespełna godzinnej sesji gość opuszczał jej gabinet pełen werwy i animuszu, zmotywowany do działania i, co najważniejsze, wiedzący dokładnie, co ma dalej robić. Gdzieś tam po drodze umykało mu, że właściwie sam sobie udziela odpowiedzi na pytania, które przytargał ze sobą jak wielki ciężar. Wychodził z poczuciem lekkości, przekonany, że wolność kocha i rozumie. Dostawał, co chciał, był zadowolony, a co najważniejsze – wszystko się potem sprawdzało.

Nie pozostawało nic innego, jak polecić wróżkę znajomym, co bezzwłocznie czynił. Kolejni goście wiedzieli już, czego się spodziewać i Magda z rasowej wróżki stopniowo ewoluowała we wróżkopodobnego pojemnika na zwierzenia, na co najwyraźniej było zapotrzebowanie. Życ, nie umierać.

Gros klientów stanowiły kobiety, ale od czasu do czasu trafiał się jakiś mężczyzna. Tak było i tym razem. Przez formularz internetowy zarezerwował sesję niejaki pan Artur, a zapytany przez esemes, czy potwierdza spotkanie, powiedział, że owszem i że będzie punktualnie o dziewiętnastej. Dziesięć minut wcześniej Magda miała już wszystko przygotowane, kula i karty spoczywały w dyskretnym oddaleniu od stolika stojącego między fotelami, pozostając jednakowoż w zasięgu wzroku, koty dostojnie zajmowały swoje stanowiska (Drań na fotelu), świece tworzyły atmosferę przytulności i zaufania, a ona w luźnych, czarnych spodniach i długiej koszulowej, czarnej bluzce, ze sporym, orientalnym wisiosem na szyi dolewała wodę do czajnika, by w odpowiedniej chwili zaparzyć herbatę, gdyby takie było życzenie klienta.

Rozległ się dzwonek domofonu, a ona, nie podnosząc słuchawki, nacisnęła guzik otwierający bramę. Nie sprawdzała, kto idzie. Po kilku pierwszych spotkaniach i pełnych zażenowania „Eeee, ja do wróżki...”, które słyszała w słuchawce, czuła się głupio i niezręcznie, a i gość nie wyglądał na szczególnie rozluźnionego. Teraz po prostu otwierała.

Dzwonek do drzwi oznajmił, że klient dotarł na siódme piętro i szczęśliwie winda się nie zacięła. Magda przyglądała koszulę, znalazła sekundę, by stanąć przed lustrem i szybkim ruchem poprawić kok w stylu artystyczny nieład, po czym uzbrojona w ciepły uśmiech otworzyła drzwi. I o mało nie umarła.

Czas przestał płynąć. Sekundy zrobiły sobie wolne, minuty poszły za ich przykładem. Rzeczywistość rozpadła się na najdrobniejsze kawałeczki. Dźwięk przybrał postać pulsującej ciszy, a bicie serca Magda odczuwała jak uderzenie młotem. To on. To musiał być on.

Człowiek, którego poznała ponad piętnaście lat temu na studenckim obozie, w którym się w ciągu niespełna dwóch godzin beznadziejnie zakochała, z którym przemierzała tatrzańskie szlaki i wydawało jej się – ach, jakże była głupia – że on też coś do niej czuje. Nie w takiej skali jak ona, nie przesadzajmy, ale myślała, po prostu miała nadzieję, tak jakby nieśmiało czuła podskórnie, że nie jest mu do końca obojętna.

A potem obóz się skończył, a on nie dał znaku życia. Klasyka gatunku. Była koncertowo ślepa i naiwna, nie ma co. Nie miała odwagi zapytać go, gdzie mieszka, wstydziła się iść na politechnikę, zaczekać na niego i spotkać go przypadkiem (cha, cha), kiedy będzie kończył seminarium. Myślała o nim cały czas, układała najprzeróżniejsze scenariusze wydarzeń, czasem tak nieprawdopodobne, że twórcy telenowel popłakaliby się ze wzruszenia, po czym przyszliby na czworakach, by błagać o prawa autorskie. Zawsze na końcu ona i on spotykali się, a potem żyli długo i szczęśliwie w niepokalanym szczęściu i miłości olśniewającej swym blaskiem cały świat.

Życie, jak to zwykle bywa, zarządziło własną, niekonsultowaną z nikim wersję wydarzeń. On nigdy nie nawiązał kontaktu, a ona z biegiem czasu była na siebie coraz bardziej wściekła za

naiwne myślenie godne dziewiętnastowiecznej pensjonarki. Po dłuższym czasie otrząsnęła się i rozpoczęła etap raczej nudnej, lecz stabilnej egzystencji, bez emocjonalnych wzlotów, ale i bez upadków. Wszelkie porywy serca bezlitośnie dusiła w zarodku, szybsze bicie zmuszała do zwolnienia tempa, a myśli kierowała na bezpieczne tory w obawie przed ponownym przeżyciem gorzkiego rozczarowania.

I teraz on się zjawia! On! Teraz! Teraz, kiedy było tak dobrze, kiedy rozpoczęła w życiu coś swojego, coś wartościowego, coś, co daje jej i innym ogromną satysfakcję, teraz, kiedy już sobie wszystko poukładała, no dobrze, przynajmniej zaczęła układać i nieźle jej to szło, on staje w jej drzwiach. No, na litość boską! I jeszcze nie wiadomo, czy ją pamięta.

– Dobry wieczór. To znaczy... cześć – rzekł on, dając do zrozumienia, że owszem, pamięta.

– Cz... cześć – wyjąkała i był to prawdziwy cud, że jakiegokolwiek słowo wydobyło się z jej gardła, biorąc pod uwagę niebosiężne przeszkody, które musiało na swojej drodze pokonać, z siłą woli w fazie agonii i stuporem włącznie.

– Pamiętasz mnie? – on znów zapytał, a ona nie słyszała nigdy w życiu głupszego pytania.

Czy go pamięta? Czy pamięta?! Ty idioto! Ty matole patentowany! Ty ciapciaku... Ach, już nie wiadomo było nawet, jak go nazwać. No jasne, że pamięta, sporo się napracowała, by go wreszcie ze swojego umysłu wykopać, bo zaparł się rękami i nogami i nie chciał się ruszyć. Ba! Pamięta, o czym rozmawiali, słowo w słowo pamięta i nawet dzisiaj mogłaby to powtórzyć. To jest chore, tak pamięta, ot co!

– Nooo... zdaje się, że chyba się kiedyś spotkaliśmy... Na studiach?

Uśmiechnął się nieznacznie i wyglądał na lekko zbitego z tropu. A więc dobrze poszło.

– Na obozie studenckim. Na piątym roku. W Tatrach.

– Ach, no tak, tak, rzeczywiście. No proszę, jaki świat jest mały. Wejdz, proszę, wejdz...

Adamie?

– Arturze. Umawiałem wizytę.

– Oczywiście, jasne, że umawiałeś, no tak, wybacz, pokręciło mi się. Ach, cały czas stoimy w progu, wejdz do środka, tu jest wieszak, powieś kurtkę.

W przedpokoju trwała chwilowa, niezgrabna krzątanina dwóch speszonych osób.

– Napijesz się czegoś? Herbaty? Kawy? Przepraszam, na kawę jest może za późno.

– Na kawę nigdy nie jest za późno. Mogę pić w każdych ilościach i o każdej porze.

– To tak jak ja. W takim razie wejdz do gabinetu, rozgość się. Z mlekiem? Z cukrem?

– Z cukrem, mocną i bez mleka. Który fotel jest dla gości?

– Wszystko jedno, wybierz ten, który wydaje ci się wygodniejszy. Za chwilę wracam.

On wszedł do pokoju, ona ruszyła do kuchni. W ostatniej chwili dosięgła stołka i to ją uratowało przed dalszym oglądaniem świata z pozycji horyzontalnej. Zupełnie miękkie nogi odmówiły jej posłuszeństwa, po plecach spływała strużka potu. Jasna cholera, teraz będzie speszona i spocona, jakby jednego było mało.

Trzęsącymi się rękami wyjęła z szafki filiżankę i o mało jej nie stłukła. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie we własnym mieszkaniu jest jej własny cukier i jej łyżeczki. Wyparowały, wyemigrowały, uciekły, niech to szlag! Są! Boże, przecież patrzyła na nie i nie widziała.

Ekspres do kawy zasygnalizował, że trzeba dosypać ziaren, dosypała więc, po czym rzuciła się po śmietniczkę, bo kawa zupełnie nieoczekiwanie opanowała połowę podłogi w kuchni. W końcu maszyna zaczęła robić swoje, po pomieszczeniu rozchodził się już powoli boski aromat, a ona zastanawiała się, jakim cudem doniesie do pokoju filiżankę kawy

i cukierniczkę. To jakieś trzysta lat świetlnych odległości. Wnieście i wyleje mu na kolana, na bank! Nie było sensu przedłużać tego w nieskończoność.

Wzięła więc kilka głębszych oddechów, postawiła na tacy filiżankę i cukierniczkę, po czym ostrożnie ruszyła do gabinetu. No tak, cały czas tam siedział. Nie wyszedł. I wcale przez te lata nie zrobił się mniej przystojny, wręcz przeciwnie. Niech to jasna cholera! Zajął fotel dla gości, a na jego kolanach siedziały wszystkie trzy koty, nawet nieufna Zołza, a Frytka dawała wzrokiem do zrozumienia, że jeśli ktoś każe jej iść sobie, to ona owszem, pójdzie, ale razem z kawałkiem tych fajnych spodni. Magda zbaraniała. Powolutku postawiła kawę na stoliku i podsunęła cukier.

– Fajne masz zwierzaki.

– Jak widzisz, jestem kociarą. To chyba nieuleczalne. Ale wiesz co, one nigdy tak nie robią. Zazwyczaj łasi się Drań, to ten czarny, a Frytka i Zołza trzymają się z boku. Ciebie obsiadły.

– Lubię koty. – Artur się uśmiechnął. – Koty. Koty są... miłe.

Magda drgnęła.

– Czytasz Pratchetta?

– Widzę, że ty też czytasz Pratchetta. – Uśmiech nie schodził mu z ust.

Grunt znów zaczął usuwać jej się spod nóg i proces niebezpiecznie przypominał zejście lawiny. Postanowiła położyć temu kres, wymierzyła sobie mentalnie kilka soczystych policzków i przekierowała rozmowę na zdroworozsądkowe tory.

– To co cię do mnie sprowadza?

Przez chwilę milczał i wydawał się całkowicie pochłonięty kawą.

– Była u ciebie moja koleżanka.

No jasne, mogła się tego domyślić. Zawsze na horyzoncie musi pojawić się jakaś koleżanka. *Deus ex machina*.

– Właściwie to nawet nie wiedziałem, że u ciebie. To znaczy, wiedziałem, ale nie wiedziałem, że ty... to ty.

– Nie bardzo rozumiem...

– Moja koleżanka, ostoja racjonalizmu dla tej planety, szkiełko i oko współczesności, napisała na Facebooku, że była u wróżki. Co więcej, wyszła bardzo zadowolona.

– Och, chyba wiem, o kim mówisz. Tak się składa, że to moja sąsiadka. Rzeczywiście rozmawialiśmy.

– Nie wiedziałem, że zajmujesz się wrózeniem.

A o czym w ogóle wiedziałeś, idioto!

– Cóż, moje usługi, jakby to powiedzieć, ochoczo wymykają się definicji wrózenia.

Znów się uśmiechnął, tym razem szerzej. Mógłby tego, do licha, tak pięknie nie robić.

– Tak też to odebrałem. Koleżanka podlinkowała twoją stronę. Zajrzałem tam, obejrzałem mnóstwo kotów, trafiłem na twoje zdjęcie i stwierdziłem, że cię znam. Pomyślałem sobie, że skoro kiedyś się spotkaliśmy i dobrze nam się rozmawiało, to może mógłbym cię odwiedzić.

– Mówisz, że rozmawialiśmy? – Gdyby podłączyć Magdę do wykrywacza kłamstw, ten natychmiast rozleciałby się z przeciążenia.

– Nooo tak, nawet wiele razy. Ale jakoś się nie złożyło, żeby to rozwinąć.

– Bo po obozie po prostu nie dałeś znaku życia – wyrwało się Magdzie, a ona z miejsca poczuła palącą potrzebę schowania się pod dywan lub wejścia do szafy.

Milczał. Mieszał cukier w kawie i milczał.

– Przepraszam, głupio to zabrzmiało, nie chciałam...

– Wiesz – przerwał jej. – Mam głębokie przekonanie, że pamiętasz mnie dużo lepiej, niż

to okazujesz.

– Ja... to jest... Nie no, to głupie jest. Głupia sytuacja.

– Racja, głupia – zgodził się. – Źle zaczęliśmy. Zróbmy teraz reset i spróbujmy raz jeszcze. Przyszedłem tutaj, żeby po prostu pogadać. Oczywiście zapłacę ci za twój czas.

– Nie no, przestań! Nie wygłupiaj się! – zachnęła się Magda. – Teraz zresztą jest jeszcze gorzej. I tak jesteś moim ostatnim gościem na dzisiaj, możemy więc przyjąć, że nie przyszedłeś do mnie jako wróżki, tylko do mnie jako... do mnie.

– Zgoda. No to... co u ciebie słychać?

Magda westchnęła.

– Od czego mam zacząć, żeby nie odpowiedzieć, że dziękuję i wszyscy zdrowi?

– Najlepiej od tego, co porabiałaś po obozie w Tatrach.

– Wiesz co, to chwileczkę zaczekaj. Ja też sobie zrobię kawę. I przyniosę ciasteczka, zupełnie o nich zapomniałam.

Kawę dla siebie zrobiła już całkiem spokojnie. Przyniosła ciasteczka. Atmosfera nieco się rozluźniła, a Magda czuła się, jakby zrzuciła ciężki plecak po wędrowce na szczyt i chociaż nadal była zziębnięta, to jednak można mogła rozejrzeć się wokół i podziwiać widoki. Zaczęła opowiadać i ku jej zdumieniu szło to całkiem sprawnie. Nigdy nie była dobra w nadawaniu słów, raczej je odbierała. Prześlizgnęła się po końcówce studiów i pracy, znacznie więcej uwagi poświęciwszy kotom.

– Och, wybacz, o kotach mogłabym w nieskończoność.

– Nic nie szkodzi, opowiadaj. Zresztą masz bardzo miły głos i dobrze się ciebie słucha.

– Naprawdę? Cóż, wiele do słuchania nie będzie, bo to już właściwie koniec. Jak widzisz, nie działa się wiele.

– Wprost przeciwnie, działa się bardzo wiele. I jakby się zagłębić bardziej, okazałoby się, że działa się jeszcze więcej.

– Jasna sprawa, trudno nie mówić ogólnikami, kiedy się kogoś spotyka po raz pierwszy od... Właściwie od ilu lat? Chyba szesnastu lub siedemnastu, co nie?

– Siedemnastu. Ależ ten czas leci.

– No dobrze, teraz ty. Jak tam twoja miłość do komputerów? Teraz programowanie pewnie wygląda inaczej niż kiedyś.

– Och, zupełnie inaczej – roześmiał się Artur.

– No to powiedz, jak to dzisiaj wygląda, jestem bardzo ciekawa.

Opowiadał, a ona robiła to, co umiała najlepiej, czyli zamieniła się w słuch. Od czasu do czasu wtrącała jakieś pytanie, a on odpowiadał. Ani się obejrzał, a z zawziętości programowania przeszedł płynnie do tego, co porabiał przez te wszystkie lata.

Opowiedział o Karolinie i o rozwodzie. O tym, że wie, że popełnił błąd i gdzie go popełnił, i że z refleksym godnym szachisty na urlopie zorientował się w sytuacji o wiele za późno. O tym, że pojawiały się w jego życiu inne kobiety, ale zawsze kończyły swoją zawrotną karierę na etapie epizodu i nic nieznaczących przygód. Zwierzył jej się nawet z poczucia samotności i tego, że próbuje zaklinać rzeczywistość, uciekając w pracę, i sam nie mógł uwierzyć, że mówi to, co mówi.

A potem zaczęli żartować, potem rozmawiać na tematy doskonale błahe, poruszali kwestie cudownie nieistotne. Wypili jeszcze po kawie, Magda otworzyła wino. Zjedli wszystkie ciasteczka, zabrali się za paluszki, orzeszki i wszystko, co znalazła w kuchni. Potem spojrzeli na zegarki i okazało się, że jest druga w nocy, ale jakoś tak głupio było zakończyć spotkanie.

W końcu ociągając się bardzo (Magda nie miała odwagi nadal go zatrzymywać), Artur wstał z fotela, a z kolan wcześniej wyeksmitował wszystkie koty, nie bez oporu zresztą z ich

strony. Spojrzał na spodnie całe w sierści, zaśmiał się i machnął ręką. W przedpokoju zabrał swoją kurtkę, podziękował za spotkanie i powiedział, że się odezwie. W końcu tym razem zna jej numer telefonu, a ona jego, to nie powinno być problemu, by ponownie się skontaktować. W progu zatrzymał się, spojrzął na nią jeszcze raz, jakby chciał coś powiedzieć, w ostatniej chwili widocznie jednak się rozmyślił, bo posłał jej jeden z tych swoich obezwładniających uśmiechów (chyba naprawdę nie zdawał sobie sprawy, co one robią z ludźmi) i ruszył w stronę windy.

Magda chętnie potowarzyszyłaby mu do jej przyjazdu, w końcu wjazd na siódme piętro oznaczał jeszcze około pełnej minuty bycia razem, uznała jednak, że będzie to wyglądać głupio, pożegnała się więc ostatecznie i zamknęła drzwi. Posprzątała, umyła się, rozścieliła kanapę w salonie (jak nazywała większy z pokoi w jej mieszkaniu), przebrała się w piżamę, po czym stwierdziła, że zupełnie nie chce jej się spać. Była zbyt rozemocjonowana i by uspokoić szalejące emocje, stanęła przy oknie wychodzącym na ulicę Armii Krajowej, która jej blok oddzielała od „właściwego” osiedla Gaj, a jamnikowaty czteropiętrowiec stojący tuż przy niej nie zasłaniał widoku.

Gaj spał.

Ruch na Armii Krajowej zmaleł niemal do zera. Od czasu do czasu jakieś samotne auto przemknęło szybko i zupełnie nie wiadomo było, po co się tak spieszy. W gierkowskich dziesięciopiętrowcach na Gaju paliły się pojedyncze światła, ale trzecia w nocy w środku tygodnia to martwa pora. Ostatni imprezowicze zakończyli już balangi, a robotnicy rannej zmiany mieli jeszcze trochę czasu do nieubłaganego dźwięku budzika.

Na dobrą sprawę nie wiadomo było, dlaczego nazwano Gajem miejsce, gdzie przez długi czas wśród betonowych prostokątów nie rosło ani jedno drzewo. Pewnie z tego samego powodu, co miejscowość Stolz, którą po umieszczeniu Dolnego Śląska w granicach Polski Ludowej przetłumaczono na Stolec, czyli albo z głupoty, albo dla jaj.

Magda stała przy oknie, ogarniała wzrokiem nieruchomy, nocny krajobraz wrocławskiego blokowiska i – ależ tak – piła kawę. No co, na kawę zawsze jest dobra pora, nawet środek nocy. Piła więc, a w kontraście ze śpiącym miastem w jej umyśle następowała kotłowanina myśli i uczuć.

Spotkanie z Arturem stało się bodźcem do decyzji, którą powinna podjąć już jakiś czas temu, i kiedy mijały minuty, a w wieżowcach przybywało rozświetlonych okien, kiedy rozszczękały się psy wyprowadzane na poranny spacer, Magda pomyślała, że wie, co ma robić i czas już nadszedł. I, niech to szlag, raz się żyje. W końcu kiedyś trzeba zacząć żyć naprawdę.

12.



– Ale że jak to, Madziu, złożyłaś wypowiedzenie?! – Anka nie posiadała się ze zdumienia, kiedy tak stała oparta o framugę drzwi do magazynu ubrana zgodnie z charakterystycznym dla siebie *dress code*m, czyli w króciuteńką spódniczkę mini, niebotycznie wysokie, czerwone szpilki, zakieciak z rękawami trzy czwarte, który niby to zasłaniał, niby to odsłaniał przepastny dekolt koszulowej bluzki, rozpiętej tak głęboko, jak się tylko dało.

– No, normalnie – odparła lapidarnie Magda.

– Ale dlaczego?! – Oczy Anki przypominały już nie spodki, a obiadowe talerze.

– Och, dlaczego, dlaczego – Magda zniecierpliwiła się. – Nadejszła wiekopomna chwila, staliśmy na skraju przepaści i zrobiliśmy duży krok naprzód. Rozumiesz?

– Nie.

– To taki żarcik był. Po prostu postanowiłam sprawdzić się na innym polu. Sprawdzam się zresztą już od pewnego czasu i dobrze mi to wychodzi. Postanowiłam więc postawić wszystko na jedną kartę i to jest właśnie ten moment.

– A co ty właściwie robisz? – zainteresowała się Anka.

– Jakby to ująć? Nietypowo i kreatywnie rozmawiam z ludźmi. Dam ci namiary na moją stronę, może komuś podpowiesz – uśmiechnęła się Magda.

Anka wydawała się niepocieszona.

– No dobrze, skoro taka jest twoja decyzja, to trudno. Na szczęście wiem, że pracujesz tu długo, dlatego jeszcze przez trzy miesiące będę mogła liczyć na twoją pomoc. – Anka posłała jej spojrzenie, którego pozazdrościłby jej słodziutki kociak i wznieciła huragan trzepotem długąśnych, sztucznych rzęs.

– Niezupełnie. Prezes zgodził się, bym odeszła za porozumieniem stron i bez konieczności świadczenia stosunku pracy. Tak to się ponoć fachowo nazywa. Dzisiaj jest czwartek, jestem więc tutaj do jutra.

Powiedzieć, że Anka zamarła w krańcowym zdumieniu, to nic nie powiedzieć. Kamienna rzeźba wyglądałaby przy niej jak obiekt z galopującym ADHD. Wydawało się, jakby cząstki elementarne zaprzestały wszelkich drgań i gdyby dotknąć Anki, ta rozleci się w pył.

– To zostanę tu... sama? – przemówiła wreszcie, a głos dobiegał niejako z zaświatów.

– Z pewnością nie sama, a poza tym na pewno sobie poradzisz. Jestem o tym przekonana.

Anka milczała przez chwilę, kręcąc nogą, jakby nieskończenie długim obcasem chciała wywiercić dziurę na głębokość kilometra. W końcu westchnęła i poprawiła zakieciik.

– Niech cię szlag. Co jak co, masz jaja.

13.



Artur, przemierzając plac Dominikański, nieuchronnie zbliżał się w stronę Mordoru. Przemierzał go zresztą, jakby lekko unosząc się nad ziemią, zdawał się sunąć przez rzeczywistość jak łódka po spokojnych falach, mających tylko niewielką i powierzchowną styczność z kadłubem. Kompletnie odizolowany mentalnie od świata zewnętrznego dotarł do drzwi wejściowych biurowca.

Ktoś pomachał mu na powitanie, ale on tego nie zauważył. Dwie czy trzy kobiety obejrzały się za nieprzyzwoicie przystojnym i tajemniczo uśmiechniętym czterdziestolatkiem, jedna zaryzykowała nawet powłóczyście spojrzenie, które pozostało zupełnie niezauważone. W windzie do nieobecnego spojrzenia i uśmiechu dołączyło ciche nucenie pod nosem, co trzem niepomernie zdumionym współtowarzyszom podróży na górę kazało oderwać wzrok od smartfonów, w których zdążyli już zatonać bez pamięci. Ku powszechnej uldze Artur w końcu wysiadł i krokiem odważnie ewoluującym w stronę stepowania ruszył do swojego gabinetu. Od kuchni odprowadziło go spojrzenie stałej, trójosobowej ekipy.

Piotrek ocknął się pierwszy.

– Powiedźcie mi, że mam halucynacje.

– Jeśli ci to pomoże – pocieszyła go Zuza. – To przyjmij, że to omamy zbiorowe.

– On naprawdę nucił? – zapytał Maciek.

– I stepował – dodał Piotrek.

– Niemożliwe, sam mówił kiedyś, że w tańcu dysponuje talentem i dynamiką drewnianej kłody.

– Wiesz, ja też nie wierzę w to, co widzę, ale to widzę, a jestem przytomny i trzeźwy, nie mogę więc temu zaprzeczać – stwierdził Maciek i trudno było się oprzeć logice jego wyводу.

– Z tą trzeźwością to ja bym nie była taka pewna. – Zuza zasiała ziarenko wątpliwości.

– No bez przesady – oburzył się Maciek. – W końcu pić to trzeba umieć, a ty wiesz, że ja umim.

– Wim, wim – westchnęła Zuza.

Nucenie i krok nad wyraz taneczny, jakim Artur zwrócił na siebie uwagę, stanowiły wierzchołek w górze lodowej jego emocji. Choć „lodowa” byłoby niezbyt trafnym określeniem. Stanowiły widoczny wierzchołek wulkanu, który dla zmylenia przeciwnika zdawał się tlić niezobowiązująco i dymić od niechcienia, a w środku skrywał ocean wrzącej lawy.

Artur płonął. Płonął wewnętrznie od poczucia nieskończonego błogostanu. W życiu nie doświadczył czegoś podobnego, nawet w swoim małżeństwie i nawet w tym jego okresie, który można było uznać za szczęśliwy. Endorfiny powodowały gwałtowne spięcia między synapsami, a on siedział przed komputerem rozradowany, z uśmiechem od ucha do ucha i gdyby nie te uszy, to uśmiech rozciągnąłby się pewnie dookoła głowy. Przelotny i postronny obserwator mógłby pomyśleć, że Artur słabo dzisiaj rokował na gruncie pracowniczym, jednak nic bardziej błędnego. Poczucie szczęścia podziało jak katalizator i jego umysł pracował nad wyraz sprawnie i szybko. Do południa uwinął się z pracą, która zwykle zajmowała mu czas do szesnastej, czym niepomiernie zaskoczył Maciusia.

– A może bym tak raporcik za wczoraj dostał, co? – zapytał, zaglądając do pokoju informatyków (a nie było tak prosto tam zajrzeć, ponieważ jak w każdej szanującej się korporacji pokój informatyków był doskonale zakamuflowany na końcu korytarza pomiędzy pomieszczeniem gospodarczym a archiwum, którego nikt nigdy nie otwierał).

– Co takiego?! – Maćkowi oczy wyszły z orbit.

– Raporcik – powtórzył Artur nieco dobitniej i uśmiechnął się promiennie.

– Yyyy, to jest tego, wiesz. Jakby ci to... Bo widzisz... Raport jest jeszcze w stadium embrionalnym. To właściwie nawet nie raport i nie raporcik, a raporciunio.

– Raporciunio za piętnaście minut na moim biurku. Jakkolwiek by nie wyglądał.

Maciek (zwany również Maćkiem Pierwszym Brodatym) po wyjściu Artura trwał przez moment w stanie wskazującym na głęboki szok.

– Mój Boże, ile w tym człowieku dzisiaj ciepła i miłości. Do tej pory były tylko raporty, bilanse i zestawienia. To ponad moje siły. To nie jest normalne!

Punktualnie o siedemnastej Artur zrobił coś, co wcześniej nie mieściło się w ramach szeroko pojętego prawdopodobieństwa, czyli wyłączył swój komputer. Pukającej dziesięć minut później do jego gabinetu Zuzannie odpowiedziała głucha cisza, a szybki rzut okiem po pomieszczeniu potwierdził brak oznak życia innych niż objająca się o szybę jakaś przedwcześnie obudzona mucha.

Artur prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu nie został po godzinach. Po raz pierwszy praca nie okazała się najważniejsza, a teraz szedł sobie spokojnie w stronę ulicy Świdnickiej, nie zważając na oznaki typowo wrocławskiej zimy, czyli zimny, mocny wiatr i zacinający w twarz deszcz. Szedł ze smartfonem przy uchu i wsłuchiwał się w sygnał oczekiwania na połączenie.

– Tak, słucham? – W telefonie rozległ się głos Magdy, który wydał mu się jakby lekko drżący. Odtrącił prędko tę myśl, zrzucając ją na karb swojej nieumiejętności czytania w znakach niewerbalnych.

– Cześć. To ja.

– Wiem, że to ty. Cześć.

Zapadła nieco krępująca cisza, podczas której żadna ze stron nie wiedziała, jak zacząć, by ta druga strona nie wykonała czegoś, co byłoby odpowiednikiem ucieczki z wrzaskiem.

– Wypałaś się?

– Szczerze mówiąc nie, w końcu na siódmą miałam być w pracy.

- O, kurczę...
- Ależ nie, nie! Spokojnie! Nic się nie stało.

Znów krępująca cisza, kiedy jedno nie miało odwagi zapytać, po co dzwoni to drugie, a drugie nie miało odwagi wyjawic przyczyny niepytane. Pierwszy przełamał się Artur.

- Wiesz, pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę na spacer po Wrocławiu.
- Spacer po Wrocławiu?
- Tak.

- No, ogólnie to chętnie, ale wyjrzałeś przez okno?
- Fakt. Okoliczności przyrody trudno uznać za miłe. To może kino?

Cisza w słuchawce i jakby przyspieszony oddech.

- Mam dzisiaj kilka umówionych spotkań... Za parę minut przyjdzie kolejna osoba.
- Jasne, przepraszam. Zapomniałem, że ty też podwyższasz PKB.

– Ale poczekaj, bo może... może... Widzisz, mam ciasto... Koty polują na nie od godziny, na razie bezskutecznie...

Artur odetchnął głęboko, a poczucie ulgi jego samego zaskoczyło.

- Przyniosę wino.
- Dobry pomysł. Zrobię kawę. Mocną.
- W sam raz na wieczór.
- Właśnie.
- To może o ósmej?
- Pasuje.
- No to... do zobaczenia.
- Do zobaczenia. Pa!

Za to „pa” Magda tuż po odłożeniu telefonu palnęła się kilka razy w czoło i zwymyślała się od patentowanych idiotek, ale na szczęście Artur nie miał o tym bladego pojęcia.

Fakt, że powiedziała mu „pa” jak do dobrego znajomego, nastroił go jeszcze bardziej optymistycznie i sam się dziwiąc swoim przemyśleniom, dziarsko zmierzał do domu. Trochę czasu zajął mu wybór wina i mniej więcej po trzystu latach spędzonych przed półką sklepową, kiedy już personel zdążył z rozpaczki na zmianę wyłysieć i zzielenieć, Artur przekroczył próg swoich czterech kątów uzbrojony w węgierski tokaj. Pozostawało poczekać. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. W dalszym ciągu nie rozumiejąc sam siebie, przeglądnął własną garderobę i stwierdził, że nie ma się w co ubrać, co zszokowało go niepomiernie. Do tej pory nie istniało coś takiego jak nieodpowiedni ubiór. Jeśli nie miał dziur, plam po kawie lub spaghetti, był w porządku.

Zdecydował się w końcu na kraciastą koszulę i jeansy, a wcześniej wziął kąpiel, stwierdziwszy, że chyba mu odbiło totalnie, bo przecież idzie tylko pogadać. No jasne, że pogadać, bo po co innego? W miłej atmosferze, przy cieście i winie, ale pogadać. No bez przesady! W odpowiednim momencie uczesał się, włożył kurtkę, zarzucił kaptur, bo ciągle wiało i padało, zabrał wino i wyszedł.

Tylko i wyłącznie umówione spotkania uratowały Magdę przed utratą zmysłów. Rozmawiając z ludźmi, a raczej stosując tę metodę rozmowy, w której była tak dobra, czyli nie odzywając się prawie ani słowem i zamieniając się w słuch, siłą rzeczy uwolniła umysł i nie pozwoliła sobie na panikę. Ponieważ Artur miał przyjść po ostatnim spotkaniu, czasu starczyło jedynie na tyle, by ustawić ciasto na stoliku w salonie, przygotować kieliszki i zadbać o ekspres do kawy. Szybko poprawiła makijaż i przypudrowała twarz, a ledwie to zrobiła, rozległ się dzwonek domofonu.

Właściwie na początku wszystko potoczyło się tak jak za pierwszym razem, pomijając

element bezgranicznego zaskoczenia. On zawiesił kurtkę na wieszaku i podał jej wino, ona stwierdziła, że tokaj to jest coś, co lubi najbardziej (po nutelli, rzecz jasna, ale tego mu nie powiedziała). Potem zaprosiła go do salonu, gdzie, zanim Artur ostatecznie się rozgościł i oboje poczuli się swobodniej we własnym towarzystwie, podszedł do okna i popatrzył na rozświetlony, wieczorny Gaj.

Zaczęli rozmawiać o wielkiej płycie, o jej fenomenie, czyli niezwykle intrygującej brzydocie, o tym, jak się w wielkiej płycie mieszka i że „w domach z betonu nie ma wolnej miłości”, a Casanova wybiera miejsca o zdecydowanie gorszej akustyce, co sprzyja poczuciu bycia we dwoje i nie ma się wrażenia, że w randce biorą udział sąsiadki z lewej, z prawej i jeszcze na dwóch sąsiednich piętrach. Oboje w wielkiej płycie mieszkali, jedno z nich mieszka do tej pory, wiedzą więc, o czym mówią. Patrzyli już przez okno oboje i choć po prawdzie niewiele szczegółów dało się zaobserwować, bo przecież mrok spowijał ziemię, to jednak widok zapalonych, licznych świateł w niedalekich wieżowcach sprzyjał temu, by zawiesić oko na betonowych okolicznościach przyrody. Mówili o tym, jak Wrocław się zmienił w ostatnich dziesięciu latach, zwłaszcza dla Artura, którego ta zmiana ominęła.

– Nie wiem, czy ci o tym powiedziałem, ale mieszkam teraz w Warszawie.

– Naprawdę? Och. Czyli we Wrocławiu jesteś właściwie przejazdem?

– Właściwie to nie do końca, jestem tu przez jakiś czas, nadzoruję projekt dla strategicznego klienta.

Atmosfera jakby się zwarzyła, co Artur, wbrew swojej naturze informatyka, zauważył i od razu zareagował.

– Ale zostawmy terminy, pomówmy o czymś innym. Mamy sporo do obgadania.

Gadali. Przegadali stare dzieje, sięgnęli pamięcią do obozu studenckiego i powspominali co zabawniejsze sytuacje. Ona słuchała, on mówił, co było dla niego sytuacją niecodzienną, choć ze zdziwieniem odkrywał, że z minuty na minutę właśnie przy niej coraz lepiej się czuje w roli opowiadacza.

Potem on słuchał, a ona opowiadała, co też ją niepomierne zaskoczyło, bo odkryła, że po pierwsze potrafi skonstruować dłuższy komunikat, po drugie robi to z sensem. O dziwo, zupełnie nie czuła skrępowania, kiedy wprowadzała Artura w swoje życie, dzieliła się spostrzeżeniami do tej pory zarezerwowanymi tylko dla siebie, zwierzała z planów na przyszłość (plany to może za dużo powiedziane, plan wyglądał tak, żeby robić dalej to, co się właśnie zaczęło). Żartowali i wybuchali oboje głośnym śmiechem, przeskakiwali z tematu na temat i zapominali, o czym mówili, z minuty na minutę stawali się sobie coraz bliżsi i coraz lepiej się rozumieli. Odkryli, że w wielu sprawach myślą tak samo, zdarzało się, że drugie wymawiało to, co pierwsze miało na myśli. Słowem, wina ubywało, a przybywało bliskości. Ani się obejrzel, a bliskość umysłów przeszła gładko w bliskość ciał.

W pewnym momencie Artur, sam nie wiedząc, co robi, pochylił się i pocałował Magdę wcale nie od niechcenia i zdecydowanie nie byle jak. Była zaskoczona i przez chwilę nie wiedziała, jak ma się zachować, ale on spojrzął na nią z czułością i to był ostatni atak taranem na wrota nieśmiałości. Spadły wszelkie okowy skrępowania i Magda stwierdziła (a właściwie poczuła, gdyż jej umysł przekazał całą władzę w ręce podświadomości), że niech się dzieje, co chce.

Ach, jak cudownie by było, gdyby człowiek mógł być wirtuozem słowa i oddać wspaniałą harmonię tego, co rozegrało się zaraz potem! Gdybyż tak mieć taką wprawę, by odmalować feerię barw emocji i uczuć, gdybyż jak za sprawą czarodziejskiej różdżki zmienić w słowa wszystkie czułe szepty i westchnienia, gdybyż... No, gdybyż można było wypowiedzieć to, co niewypowiedziane, zamknąć w zdaniach ulotność i niepowtarzalność chwili, zmieścić

niemożliwe w ramach możliwości, podporządkować niewyobrażalne wyobrażeniom, dotknąć niedotykalnego, osiągnąć niedosięgalnego, pojąć i zrozumieć to, co niepojęte!

Nie da się! Człowiek rozkłada bezradnie ręce, stając przed swoim słownym warsztatem, bo to tak, jakby za pomocą kilofa próbował stworzyć na wpół przezroczystą filiżankę z porcelany. Przez szacunek dla porcelany nie brnie w to dalej i nie podejmuje próby.

Dość powiedzieć, że jakiś czas potem dwoje czterdziestoletnich ludzi leżało obok siebie zupełnie nagich i miało wrażenie, jakby kaprys losu kazał im przez prawie dwadzieścia lat przygotowywać się do tej chwili. Artur oparł się na ręce i odgarnął kosmyk włosów z twarzy Magdy.

– Jesteś piękna – powiedział. – Byłem idiotą – dodał zaraz potem, a Magda wybuchnęła śmiechem.

– Będziesz idiotą, jeśli znowu znikniesz bez śladu. – Uśmiechnęła się.

– Nie zniknę. Ponowne zniknięcie byłoby grzechem śmiertelnym. – Delikatnie ją pocałował. –

Spotkasz się ze mną jutro?

– Już jest jutro.

– Faktycznie. To spotkasz się ze mną dzisiaj?

– Możesz zostać, będziemy mieli kolację ze śniadaniem.

– Jesteś urocza, ale muszę wrócić do siebie. Nie zrozum mnie źle, naprawdę muszę. Przyjdę do ciebie wieczorem, zabiorę cię gdzieś. Tyle lat straciłem, muszę nadrobić zaległości.

– No to zabierz mnie gdzieś wieczorem. Może być kino, nie jestem wymagająca. I spokojnie, mamy mnóstwo czasu.

Artur uśmiechnął się i pomyślał, że wcale nie mnóstwo, wprost przeciwnie, czasu jest skandalicznie mało, z uwagi na to, że... ale zamiast dokończyć myśl, wołał ją pocałować.

14.



Wyciszony telefon poinformował dyskretnym bzyčeniem o nadchodzącym połączeniu telefonicznym. Magda spojrzała na wyświetlacz, westchnęła i odebrała.

– Cześć, mamó.

– No cześć, kochanie, wydzwaniam i wydzwaniam, a tutaj głucha cisza. Zupełnie nie można się z tobą skontaktować. Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje. Pracuję.

– Przecież wiem, że pracujesz. – Matka wydawała się lekko dotknięta. – Wiem, że masz swoje, ekhm, rozmowy i klientów, ale zaharujesz się na śmierć. Dzwoniłam też około dziewiętej.

– Byłam w kinie.

– Ach, no w kinie, to wszystko w porządku. Naturalnie, że w kinie. Jak to w kinie? Sama?

– Mamó, na litość boską, mam czterdzieści lat, nie czternaście. Nie, nie sama.

– To z kim byłaś?

– Z kolegą.

– Znam go?

– Mamó, daj spokój. Nie znasz, ale nie musisz znać. Od pewnego czasu jestem pełnoletnia, a to po prostu kolega. – Magda uparła się zakończyć łągarstwem rozmiarów Mount Everestu.

W słuchawce na krótką chwilę zapadła cisza.

– A jak tam koty?

– Koty? Ach, koty wyśmienicie. Nie wiem, czy koty kiedykolwiek miały gorzej niż wyśmienicie.

– Wiem, wiem. Dobrze, skoro wszystko w porządku, to... to w porządku. To ja będę kończyć. I pamiętaj, że zawsze możesz do mnie zadzwonić.

– Ależ mam, daj spokój, wiem – westchnęła Magda. – Idź już spać, ja też się kładę. Jest pierwsza w nocy.

Matka odłożyła słuchawkę. Magda pomyślała z uśmiechem, że gdyby wiedziała, że jej czterdziestoletnia córka dziesięć minut wcześniej wymieniała w bramie godne nastoletniej podfruwajki gorące pocałunki z przystojniakiem, który też jakoś szczególnie dorośle się nie zachowywał, nie wiedziałyby, co zrobić najpierw, zemdleć widowiskowo czy załamać rękę.

15.



– No, bracie, będziesz zadowolony – oświadczył Maciuś, dziarskim krokiem wkraczając do gabinetu Artura i zdecydowanym ruchem kładąc mu na biurku kilka kartek papieru.

Artur podniósł wzrok znad klawiatury.

– Co to jest?

– Jak to „co to jest”?! – zachnął się Maciuś. – Raporcuniu. Właściwie to raporcziszcz. Ostateczne raporcziszcz. Gotowe. Już bardziej gotowe nie będzie.

Artur patrzył na niego i zdawał się nie rozumieć.

– Bracie, cała robota zrobiona. I to jak zrobiona! Na cacy. Cud, miód i orzeszki. Można zanieść zarządowi na srebrnej tacy i wyciąć oberaska z przytupami. – Maciek nie miał żadnych oporów, by zaprezentować oberaska, po czym szybko zebrał z podłogi świeżo przyniesione raporcziszcz i znów położył przed swoim zwierzchnikiem.

Artur nadal spoglądał na niego nieobecny wzrokiem. Informatyk westchnął.

– Chłopie, do Warszawy możesz wracać z czystym sumieniem. *Game over. The end. Sdielano.* Robota skończona. Wszystko hula, gra i buczy. System marzenie, sobie bym lepszego nie zrobił. Cały marketing szczytuje ze szczęścia, naprawdę. Wejdz do nich. Albo nie, lepiej nie wchodzić, tego się nie powinno oglądać na trzeźwo. Dział sprzedaży idzie wieczorem na wódkę.

Artur milczał.

– Halo, tu ziemia! – Maciek wydawał się co najmniej rozczarowany. – Ja rozumiem, że ekstaza to może zbyt wiele, ale oczekiwałem chociaż szcążkowej radości. Wiesz, coś w stylu „dobra robota” i takie tam. Sam rozumiesz.

– I to już zupełnie koniec?

– No kurde, raczej, bracie, raczej. Grubo przed terminem. Jesteśmy bogami! – zakończył informatyk ekstatycznie i wyrzucił ręce w górę.

– Czyli mogę panu prezesowi zameldować wykonanie zadania – stwierdził Artur,

a Maciek ze zdumieniem wyczuł w jego słowach nutkę nostalgiczną i jakby ponurą.

– Zameldować. I upomnieć się o nagrodę. Dla całego zespołu oczywiście, ze szczególnym uwzględnieniem pokoju informatyków, którzy bohatercko spięli poślady i sprawili, że ich szef może wcześniej, niż myślał, przestać tulać się po wynajmowanych norach.

– No już bez przesady z tymi norami...

– Dobra, dobra, wiesz, o co mi chodzi. No. To ja paszoł wio. Do swoich wracam. My też idziemy na wódkę. Jest co oblewać.

– Oj jest, jest. Gratulacje, chłopaki, sprawiliście mi niezłą niespodziankę. Oklaski na stojąco.

– Ja myślę! – zakończył dumnie Maciek i wyszedł z pokoju.

Dotarcie do znajdującego się na samym końcu korytarza pokoju informatyków zajęło mu trochę czasu. Kiedy wszedł, koledzy oderwali się od monitorów.

– No i co? – zapytali niemalże zgodnym chórem.

– No i już. Przyjął do wiadomości.

– Ale coś więcej? – zapytał Piotrek. – Jakiś zawał ze szczęścia, jakieś „chłopaki, już zaczynam walczyć dla was o czterdzieści tyś na łebka”? Może „panowie, już załatwiam wam te Seszele”?

Maciek westchnął.

– No, nie. To zastanawiające, ale w życiu nie przypuszczałem, że sukces tak potrafi zmartwić człowieka.

16.



Właściwie nie wiadomo było, jak to opisać, gdyby ktoś za opisanie w ogóle chciał się zabierać. Sen byłby pojęciem zbyt płytkim, trans nieoddającym meandrów rzeczywistości, przygoda sugerowałaby charakter epizodyczny, szal (dziki szal)... no cóż, właściwie ciężko mówić o czystym szaleństwie w przypadku czterdziestolatków, choć właściwie nagłe rzucenie się bez opamiętania w wir uczucia zasługiwałoby na określenie kroku wybitnie ryzykownego.

Słowem Magda i Artur czerpali garściami z tego, co los im sprezentował, zanurzali się po szyję w nagle odkrytym uczuciu, tkwili przemoczeni do suchej nitki pod wodospadem miłości i ani myśleli się stamtąd ewakuować. W obojgu narastało przekonanie, że przez ostatnie kilkanaście lat przygotowywali się na siebie nawzajem. Rozumieli się świetnie, dogadywali na wszelkich płaszczyznach, a ponieważ dysponowali praktycznym balastem w postaci życiowego doświadczenia, nie było niebezpieczeństwa, że szybując na skrzydłach miłości, podzielą los Ikara. Żyć, nie umierać. Chyba nie ma nic lepszego niż pierwsza, prawdziwa miłość po czterdziestce.

Przez kilka ostatnich dni spotykali się wieczorami i mylili się ten, kto by pomyślał, że za każdym razem lądowali w łóżku. Czasem woleli po prostu obejrzeć wspólnie film, pogadać czy nawet pójść na spacer, chociaż pogoda sprzyjała wyłącznie zdeterminowanym i nieprzemakalnym, bo wrocławskie zimy, z ich siąpiąco-siekącym deszczem i temperaturami na plusie, trudno zaliczyć do romantycznych.

Okoliczności przyrody z krajobrazem, w którym dominowała klockowa zabudowa epoki późnego Gierka, też są gdzieś na przeciwległym biegunie uroczej przejażdżki gondolą po kanałach weneckich. Dla nich jednak wcale nie okazało się to przeszkodą. Wprost przeciwnie, kiedy wszelkie istoty żywe, nawet te wyposażone w parasole, starały się jak najszybciej znaleźć w czterech ścianach i przemykały chodnikami, postawiwszy na sztorc kołnierze, oni,

niespecjalnie się spiesząc, choć bardzo moknąc, przemierzali osiedlowe uliczki na Gaju. Rozmawiali albo dla odmiany milczeli, ale nawet milczenie było ich milczeniem wspólnym.

Spotkanie, w którymkolwiek punkcie Wrocławia by się nie zaczynało, koniec swój miało zawsze w mieszkaniu Magdy. Tym razem wszystko wskazywało na to, że naturalną kontynuacją zjedzonej wspólnie kolacji będzie rozpoczęcie dnia i śniadanie również we dwoje. Magda leżała z głową wspartą na piersi Artura, a on gładził jej włosy. Nie odzywali się, oddychali głęboko po dopiero co przeżytym gorącym porywie miłosnym, najbardziej udanym ze wszystkich dotychczasowych.

– Coś cię trapi – odezwała się w pewnym momencie Magda.

Artur westchnął.

– Dlaczego tak myślisz?

– Mam nosa do takich spraw. Pamiętaj, że jestem przewrażliwiona. Czerwone światelko mrygało, mrygało i właśnie się przepaliło, a alarm wyje od pół godziny. Coś jest nie tak.

Milczał, jak na mężczyznę przystało. Mężczyźni mają to do siebie, że w sprawach niewygodnych uczuciowo, trudnych do wyrażenia słowami i wymagających opowiedzenia, co właściwie jest nie tak, milczą jak zakłęci, a kobiety zmuszone są wyciągać z nich zeznania za pomocą tortur lub szantażu.

– Powiesz mi czy nie?

Milczał, ale westchnął głęboko i pocałował ją w czoło.

– Jestem wiedźmą, pamiętaj. Nie zmuszaj mnie, bym sięgnęła po narzędzia ostateczne. Zawsze mogę przynieść kota z drugiego pokoju. Mam trzy, ale Drań najbardziej drapie, a ty jesteś nagi. Nic nie mówisz? Dobra, to idę – zakończyła i zaczęła się podnosić.

Artur zatrzymał ją i ponownie rozdzierająco westchnął, jakby chciał wchłonąć porcję tlenu potrzebną do życia połowie planety.

– Wbrew temu, czego się spodziewałem i zupełnie nieoczekiwanie dla mnie zakończyliśmy zlecenie dla klienta przed terminem. Zakończyliśmy ostatecznie i z sukcesem, to ważne. Jutro wracam do Warszawy.

Teraz to Magda milczała przez dłuższy czas, po czym wstała i zaczęła się ubierać.

– Czyli co? Po prostu stało się? Zaistniał kolejny epizod? – zapytała, naciągając na siebie koszulkę i skrywając pod nią swój wydatny biust.

Artur zerwał się gwałtownie.

– Nie! Nic z tych rzeczy. Żaden epizod. Nie, to nie tak. To nie może być tak. Nie będzie – powiedział stanowczo.

– No to jak ty sobie to wyobrażasz? Ja we Wrocławiu, ty w Warszawie i co? Będziemy się dalej poznawać jak osioł ze smoczyką w *Shreku*? Spróbujemy jeszcze raz, pomalutku, może korespondencyjnie? Twoim zdaniem jak długo można to tak ciągnąć?

– Jedź ze mną...

– Tylko mężczyzna mógł wpaść na coś takiego! – zachnęła się Magda. – Zostawiam pracę, którą właśnie udało mi się rozkręcić, że tak przypomnę mimochodem, mieszkanie, koty, matkę, po prostu wsiadam w auto i już mnie nie ma. Albo jeszcze lepiej, dosiadam miotły. Nie no, spoko, zadzieram kiecę i lecę.

– Mówię poważnie, jedź ze mną. Jutro o szesnastej mam pendolino, peron trzeci na Dworcu Głównym.

– Masz bilet, tak? – Magda rozzłościła się nie na żarty. – Czyli nie dowiedziałeś się tego dzisiaj, ale wiesz już od jakiegoś czasu i tak po prostu zapomniałeś mi o tym powiedzieć?!

Artur podniósł się z łóżka i również zaczął się ubierać. Magda podeszła do niskiej ławy, na której stała butelka wina i dwa kieliszki, po czym zdecydowanym ruchem naląła sobie resztę

trunku, a następnie niemal cały kieliszek opróżniła duszkiem.

– Wiem od przedwczoraj. Przedwczoraj dostałem końcowy raport i okazało się, że robota była tak dobrze zrobiona, że nie było czego poprawiać. Zarząd zaraz mnie wezwał, poinformowali mnie o zakończeniu mojej delegacji, powiedzieli, że premię za robotę tutaj wypłacą za dwa tygodnie, a do mojej firmy dali znać, że wracam. I nawet zarezerwowali mi pociąg. Szybko się uwinęli, czas to pieniądz – dodał z lekką goryczą w głosie. – Nie denerwuj się, kochanie.

– Nie denerwuj się?! Nie denerwuj?! – Magda wpadła w furję. – Jak mam się nie denerwować?! Kilka razy spałeś ze mną, a teraz zawiniesz się do tej swojej cholерnej Warszawy i tyle cię widzieli?! To może ty zostaniesz, co?

– Wiesz, że nie mogę – tłumaczył Artur pokornie i głosem skruszonym. – Tam mam stałą pracę, mieszkanie, no wiesz, zapuściłem korzenie.

– Zapuściłeś korzenie! Ja, wyobraź sobie, zapuściłam korzenie tutaj! Od czterdziestu lat zresztą zapuszczam je sukcesywnie, a teraz myślisz, że tak po prostu wezmę się i przesadzę?!

– Nie mam prawa tego od ciebie oczekiwać – przyznał ze smutkiem.

– Właśnie!

– Wiem jednak, że nam się uda i będziemy szczęśliwi.

Magda chwyciła się za głowę.

– Och, dość, dość, przestań! Jak w ogóle możesz gadać takie rzeczy?! Jak dobrze mnie znasz? Bo ja ciebie praktycznie wcale. Myślisz, że te kilka czy nawet kilkanaście dni coś zmienia? Mam tak po prostu zwinąć interes i wyjechać z gościem, którego poznałam prawie wczoraj?!

– Możesz działalność prowadzić dalej, w Warszawie... – podsunął nieśmiało Artur nieco przestraszony jej wybuchem.

– Co takiego?!

– No wiesz, to nawet większy rynek.

– Boże, ty to widzisz i nie grzmisz! Nic nie rozumiesz. Wykorzystałeś mnie...

– To nieprawda! – wtrącił Artur.

– ...zabawiłeś się moim kosztem – kontynuowana zupełnie niezrażona Magda i przy okazji nakręcała się coraz bardziej. – Jestem jeszcze jednym trofeum w twojej bogatej kolekcji. Pojawiłeś się nagle, wywróciłeś moje życie do góry nogami i teraz po prostu znikniesz. Zresztą tak jak wtedy, tylko że teraz jest jeszcze gorzej!

Artur podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

– Madziu! Jedź ze mną! Zaryzykuj! Wiem, jak to zabrzmiało, ale wierzę, że mieliśmy się spotkać i jesteśmy sobie pisani.

Magda strząsnęła z siebie jego dłonie.

– Mam czterdzieści lat i właśnie rzuciłam jedną robotę, by rozkręcić drugą. Widzisz tu jakiś margines dla jeszcze większego ryzyka?

Milczał i patrzył na nią. Ona również milczała ze wzrokiem wbitym w ziemię i przed oczami miała swoje własne, raczej grubawe stopy i paznokcie, z których zaczął już powoli odchodzić czerwony lakier. Nigdy dotąd nie malowała paznokci u stóp, a już na pewno nie na czerwono, ale kiedy Artur się pojawił, wydobył z niej nieznaną jej wcześniej pokłady kobiecości. Spojrzała więc na stopy, znakomitą reprezentację reszty siebie i powiedziała to, co wydało jej się głęboko słuszne i oczywiste.

– Jest północ. Pociąg masz jutro o szesnastej. Dlatego najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdiesz.

– Madziu...

– Jak najszybciej. Wyjdź.

Odwróciła się do okna i spojrzała na spowity mrokiem Gaj, w którym jak gwiazdy w odległej galaktyce świeciły zapalone światła w poszczególnych mieszkaniach. Chwilę później usłyszała zamykanie drzwi.

17.



Artur zjechał windą na parter, wyszedł z bramy i ruszył ulicami Wrocławia, który na dobrą sprawę właściwie już spał albo przynajmniej zasypiał.

Na początku czuł wściekłość, ale szybko zmieniła się ona w zwyczajny smutek i rezygnację. W głębi ducha wiedział, że Magda miała rację. Sam zainicjował spotkanie, które nieoczekiwanie zrodziło głębokie – co do tego nie miał wątpliwości – uczucie.

No dobrze, ale przecież od samego początku należało się spodziewać, że po jakimś czasie powstanie ważny problem natury geograficznej. Ona we Wrocławiu, on w Warszawie. Szaleństwem było oczekiwanie, że ona nagle rzuci wszystko, by z nim jechać, skoro przecież on sam do analogicznego kroku się nie palił. Szczerze mówiąc, nawet nie brał pod uwagę (co przyznawał z lekkim wstydem), że to on mógłby rzucić pracę w stolicy i po prostu z dnia na dzień wrócić na Dolny Śląsk.

Oczywiście, można było się widywać raz na jakiś czas, jeździć do siebie co tydzień, ale tak naprawdę było to tylko sztuczne przedłużanie stanu tymczasowego i odkładanie w czasie decyzji, którą i tak prędzej czy później trzeba byłoby podjąć.

Artur był gotów się założyć, że byłaby taka sama, jak podjęta dzisiaj. Jak można tworzyć udany związek, żyjąc na co dzień w dwóch różnych światach bez żadnych punktów wspólnych? Opcja niedzielnego kochanka nieszczególnie mu odpowiadała. Rozmowy chociażby przez Skype'a, telefon, maile, esemesy – wszystko to za jakiś czas weszłoby w stadium „A jaka u ciebie pogoda?” lub „Co tam u ciebie?”, „Dziękuję, dobrze, a u ciebie też, tak? No to pa”.

Nie, Magda miała rację. Żadne z nich nie zdecydowało się na radykalny krok, a zatem nie było sensu dłużej tego ciągnąć i trwać w zakłamaniu. Chyba rzeczywiście była w jego życiu kolejnym epizodem, szlag by to trafił. Znowu poczuł wściekłość na jej bojaźliwość i niechęć do – jak to określali na szkoleniach prowadzonych w jego firmie – wyjście ze strefy komfortu. Znowu

gniew minął mu, jak ręką odjął i znów został zastąpiony przez przygnębienie.

No cóż, jutro rano przekaze ostatnie dyspozycje, choć po prawdzie nie ma już za wiele do przekazywania, bo zespół Maciusia spisał się wzorowo (niech to jasna cholera), pracownicy firmy zostali przeszkoleni i zapoznani z nowym systemem, wszystko hula, gra i buczy, a jedyne, co pozostało mu zrobić, to oddać kartę, która umożliwiała wejście przez bramki w Mordorze i poruszanie się windą, oraz identyfikator, którym posługiwał się podczas delegacji. Pójdzie więc rano, zda wszystko, pożegna się z zespołem, po raz ostatni kupi im pączki (a co im będzie żałował), powie *adieu* zarządowi firmy strategicznego klienta, a potem pójdzie gdzieś, gdzie przed odjazdem wrzuci coś na ząb. Przed szesnastą wsiądzie do pociągu „niebylejkiego” i... żegnaj, Wrocławiu, Warszawo, witaj. Tak to się potoczy. I tyle.

Dotarł do wynajmowanego mieszkania na piechotę (nie było sensu czekać na komunikację nocną), rozebrał się i wziął prysznic. Ponieważ zupełnie nie chciało mu się spać, spakował walizkę, by nie zostawiać tego na drugi dzień, a ponieważ niewiele było do pakowania, szybko uwinął się z tym zadaniem. Spojrzał na komórkę – żadnych nieodebranych połączeń, żadnych esemesów. No, tak. Tego należało się spodziewać, prawda? Wyciszył smartfon, upewnił się, że budzik został zaprogramowany, podpiął komórkę do ładowarki, po czym rzucił się na łóżko. Wydawało mu się, że nie zmruży oka do samego rana, ale po dziesięciu minutach spał jak niemowlę.

18.



Pierwsze, co zrobiła Magda, kiedy usłyszała odgłos zamykanych drzwi, to natychmiast odeszła od okna, przemknęła do przedpokoju i przykleiła oko do wizjera. Artur stał przy windzie. Łudziła się, że zawróci, chociaż zapuka (ona oczywiście udałaby, że zmierza gdzieś ze strasznie daleka, po czym łaskawie otworzyłaby mu drzwi), ale on jak na złość trwał przy tej windzie, a kiedy nadjechała, po prostu do niej wsiadł, nie oglądając się za siebie (nie oglądając się, drań!) i zjechał na dół.

Usiadła na szafce na buty i czekała przy domofonie, gotowa natychmiast podnieść słuchawkę, gdyby tylko zdecydował się nacisnąć guzik. Nie zdecydował się jednak, więc po prawie pół godzinie, wyrzucając sobie totalnie skretynienie, naiwność, galopujący debilizm i durnobabskość, wróciła do pokoju. Uprzątnęła ślady ucztowania (choć wino i chipsy trudno nazwać wystawną ucztą), wstawiła naczynia do zmywarki, a następnie poszła do łazienki i długo stała pod prysznicem.

A to drań. Wyskoczył jak filip z konopi, zawrócił jej w głowie, rozkochał w sobie na zabój, a teraz powiedział, że wyjeżdża. No dobrze, doskonale wiedziała, że był tutaj w delegacji, a delegacja nigdy nie oznacza stanu permanentnego. Łudziła się, że jak każda prowizorka i ta okaże się rzeczą najtrwalszą we wszechświecie, niestety los zgotował jej głębokie rozczarowanie.

Zresztą, na miłość boską, należało tego oczekiwać. Nawet nie przypuszczała, by on, taki przystojny i świetnie zarabiający facet, do którego kobiety zapewne czekają w kolejce, dzierżąc transparent „Weź mnie do łóżka”, mógłby zrezygnować z pracy i życia w Warszawie dla niej. Dla niej! Grubej czterdziestolatki z trzema kotami i odpadającym, czerwonym lakierem na paznokciach. Zgroza! Co ona sobie w ogóle wyobrażała? Naskoczyła tak na niego, brutalnie sprowadziła go na ziemię, ale prawda jest taka, że to sobie samej podczepiała balast. No bo jak inaczej? Wszelkie statystyki wskazują, że związki na odległość mają marne szanse na

przetrwanie. Nie oszukujmy się. Szanse na przetrwanie związku cud-urody mężczyzny i zakociałej grubaski byłyby jeszcze mniejsze.

A jednak żal. Żal jak jasna cholera.

Tak cudownie się rozumieli, niemalże czytali sobie w myślach. Podobne zainteresowania, podobny sposób myślenia, wartości i priorytety. Oboje samotni i szukający bratniej duszy, oboje uciekający w pracę. Czekali na coś przez kilkanaście lat, trwając w pozorach udanego życia, kiedy nagle odkryli, że czekali właśnie na siebie. Czy to naprawdę musi się tak skończyć? Taka szansa na wielką miłość. Kto wie? Może gdyby któreś z nich zdecydowało się porzucić swój wszechświat i wszystko, co się w nim znajduje, okazałoby się, że stworzą cudowną parę i niezwykle udane – nie bójmy się tego słowa – małżeństwo.

Tylko co właściwie można by zrobić? Jak ona miałyby zostawić dopiero co rozpoczętą i świetnie się zapowiadającą karierę wróżki przepowiadającej inaczej? No dobrze, w Warszawie też mogłaby działać, ale jak to tak nagle? A koty? Co z kotami? Co z wszystkimi bibelotami i manelami? Co z mieszkaniem? Co ze znajomymi? A formalności prawne? Na miłość boską, czy czterdziestoletnia kobieta może zachować się tak ryzykownie i nieodpowiedzialnie jak dwudziestoletnia młódka? Nie może. Oczywiście, że nie może. W żadnym wypadku. To nie do pomyślenia. Nie wchodzi w grę. Nigdy, nigdy, nigdy! Tylko że... Och, Boże, miało być pięknie, wyszło jak zawsze. Co robić, co robić? Idiotka, wiadomo, co robić. Nic nie robić. Zawsze najbezpieczniej jest nic nie robić. Nie stanie się nic złego, bo po prostu nic się nie stanie. Będzie tak samo, jak było. Tak samo jak było. Tak samo. Tak samo. Tak samo. Już zawsze...

Magda zerwała się z wersalki na równe nogi i rzuciła do telefonu. Wybrała odpowiedni numer i uzbroiła się w cierpliwość. Po chwili w słuchawce rozległ się mocno zaspany głos.

– Dziecko, na miłość boską, jest druga w nocy. Co się stało?

Magda wzięła głęboki oddech.

– Nic się nie stało. To znaczy nie, nieprawda, stało się bardzo dużo, wszystko się stało. Wiem, że nigdy tego dotąd nie robiłam, ale sytuacja jest szczególna. Mamo, teraz coś ci opowiem, a ty nie będziesz się odzywać, póki nie skończę. A potem powiesz mi, co o tym myślisz.

– Ale, dziecko, co się...

– Mamo!

– No dobrze, już milczę – westchnęła matka. – Wal.

– Yyy, chwileczkę, powiedziałas „wal”? Ty nigdy tak nie mówisz.

– Ale sytuacja jest szczególna, prawda? No to wal, kochanie, zamieniam się w słuch.

Magda milczała i wydychała powietrze w mikrofon telefonu, właściwie nie za bardzo mając pomysł, z której strony nakreślić sytuację. Istniało niebagatelne ryzyko, że jej rodzicielka, wysłuchawszy, w co wpakowała się czterdziestoletnia córka (czyli nie taka już znowu podfruwajka), od której należałoby oczekiwać powagi i racjonalnych decyzji, w najgorszym wypadku padnie na zawał, a w najlepszym po prostu przedstawi długie i emocjonalnie intensywne wykład o tym, co wolno, a czego nie wolno „w tym wieku”.

Magda ani na jedno, ani na drugie nie czuła się specjalnie przygotowana, choć gdyby miała się zastanowić nieco głębiej, doszłaby do wniosku, że łatwiejszy do zniesienia byłby jednak ten zawał. Zgromiła się natychmiast w myślach i przywołała do porządku. Słyszała w słuchawce równomierny oddech matki i nic poza tym. Poczwała, że teraz najzwyczajniej jest jej wdzięczna za to cierpliwe oczekiwanie, aż ona wreszcie łaskawie weźmie się w garść. Westchnęła głęboko. Cóż, jeśli nie wiadomo, jak się zachować, najlepiej zachować się przyzwoicie, a jeśli nie wiadomo, co powiedzieć, najlepiej powiedzieć prawdę. Całą prawdę i tylko prawdę. No, to do boju.

– Bo widzisz, mammo... Pamiętasz, zadzwoniłaś, nie zastałaś mnie, a ja ci potem mówiłam, że byłam w kinie z kolegą?

– Pamiętam. To nie był kolega, prawda?

– Tak. To znaczy nie. Nie kolega. Ktoś... ktoś znacznie ważniejszy niż kolega.

– Mhm – mruknęła matka zachęcająco.

– Tak. I teraz... O Boże, jak ja mam to powiedzieć?

– Najlepiej prosto z mostu. Czuję, że jest jakiś problem, prawda?

– No jest – stęknęła Magda.

– Decyzyjny problem, jak sędzę. Musisz o czymś postanowić i nie wiesz, czy idziesz w dobrym kierunku?

– O, matko, jaka ty jesteś domyślna! – Magda wypowiedziała to z prawdziwą ulgą i poczuła dla swojej rodzicielki gigantyczną wdzięczność, tak dużą, że z trudem się opanowała przed przytuleniem telefonu.

– W końcu, Madziu, jestem twoją matką – zachichotała matka. – Poza tym to pocieszające, kiedy się okazuje, że kobieca intuicja w przeciwieństwie do ciała jakoś się nie starzeje. No, to teraz spokojnie i prosto: o co chodzi z tym ważnym dla ciebie człowiekiem?

Magda jeszcze raz zassała powietrze głęboko do płuc i wyrzuciła z siebie opowieść, która jednak nie była ani spokojna, ani prosta. Wiele razy kluczyła, po czym wracała do tego, o czym już zdążyła wspomnieć, po drodze potykając się na zająknięciach, westchnieniach, a nawet pochlipywaniach, bo i tych nie zabrakło.

Być może te nocne zwierzenia nie zasługiwały na miano spowiedzi z całego życia, ale spowiedzi z istotnej jego części toczącej się w dorosłości – już tak. Matka wbrew wszelkim poprzednim podejrzaniom Magdaleny stanęła na wysokości zadania, ograniczając zaznaczanie swojego istnienia do pojedynczych „mhm” i „aha”. Cierpliwie zaczęła, aż jej córka dobrnie do mety i kiedy ta, zmordowana, najwidoczniej już się na niej znalazła, mama pomyślała, że to jest ten moment, kiedy należało przejąć inicjatywę.

– Chcesz wiedzieć, co masz robić?

– Właśnie. Co ty byś na moim miejscu zrobiła?

– Dziecko kochane, nie mam pojęcia, co zrobiłabym na twoim miejscu, bo nigdy się w podobnej sytuacji nie znalazłam. Jak wiesz, ze mną i z twoim świętej pamięci tatą sprawy układały się znacznie prościej. Ot, poznaliśmy się, pobraliśmy się, a potem... potem to już wiesz.

– Tego się obawiałam... – mruknęła Magda grobowo.

– Poczekaj! Teraz ty, moja droga, zamień się w słuch, bo ja też ci coś opowiem. Pamiętasz, jak ci powtarzałam, że zanim się ludzie ze sobą zwiążą, powinni się dobrze poznać?

– Pamiętam, pamiętam. Trudno nie pamiętać, tyle razy ten temat poruszałaś.

– Odwołuję wszystko.

– Co?!

– Odwołuję. Bzdury gadałam.

– Ależ... Jak to?! – Magdalena była tak zdumiona, że pomyślała sobie, że mogłaby stanąć w Sèvres jako wzorzec totalnego zbarania.

– Prawda jest taka – westchnęła matka – że niezależnie od tego, jak długo z kimś jesteś, nigdy nie poznasz go dostatecznie dokładnie. Nigdy nie doświadczysz człowieka, nie przetestujesz go, czy jak to nazwać. Nie da się go zweryfikować pod takim czy innym kątem. Bez względu na to, czy znasz kogoś dwa miesiące, czy dziesięć lat, zawsze może zaistnieć coś takiego, co kompletnie zaskoczy. Drugi człowiek ciągle pozostanie tajemnicą i niespodzianką. Pozostaje po prostu to przyjąć. Jeśli ktoś uważa, że wie już o tej drugiej osobie wszystko, to najzwyczajniej wielu rzeczy nie dostrzega i być może percepcyjnie się zamknął.

– Rany, dlaczego nie mówiłaś o tym wcześniej, tylko tłukłaś mi do głowy coś zupełnie przeciwnego?

– No cóż, ja sama nie przestałam się uczyć. Słyszę i widzę różne rzeczy, wyciągam wnioski. Życie to jedna wielka, nieustanna szkoła. Nie da się powiedzieć: „dobra, już to umiem”.

– Oj, coś się za tym głębiej kryje. Takie mam podejrzenia.

Matka roześmiała się głośno do słuchawki, co Magdalena przyjęła z niejakim zdumieniem.

– Zawsze coś się kryje. Tak, stało się coś. Nie teraz się stało, tylko już jakiś czas temu, ale niedawno się dowiedziałam. Pamiętasz tę moją znajomą, co tak świetnie gotuje?

– Jezu, którą? Nie ma pojęcia, przecież masz sporo znajomych.

– No właśnie wbrew pozorom wcale nie. Ta młodsza ode mnie z dziesięć lat. Ta, co dzieci tak podobnie nazwała, Paweł i Paulina.

– A, ta! Ta, co taką fajną chałupę miała? Ta, do której jechałyśmy kiedyś po ciasto na jakąś okazję charytatywną? Ciasta robiła boskie, pamiętam. No i co z nią?

– Ech, no właśnie tę chałupę to ona miała. Już nie ma.

– O! Co się stało?!

– Jej mąż okazał się malwersantem, łapówkarzem i działał w grupie przestępczej. A ten dom, który mieli, postawił za lewe pieniądze i w rezultacie też go stracił.

– Co takiego?! Ten miły...? Ja w życiu...

– No właśnie ona też w życiu. W życiu by nie pomyślała. Do głowy by jej nie przyszło. Takie udane małżeństwo, z dzióbków sobie pili, on oddany rodzinie, ona całym sercem za nim i za dziećmi, życie im poświęciła. Na dodatek okazało się, że miał kochankę.

– No nie gadaj!

– A tak. Długonoga gazela. Podobno piękna. I oczywiście znacznie młodsza od Anieli.

Nie było tego widać, ale Magdalena mogła sobie wyobrazić, jak matka z rezygnacją kręci głową. Nie wiedziała, co ją samą zbulwersowało najbardziej. Czy to, że mężczyzna, który wydawał się na wskroś uczciwy i za takiego uchodził, w rzeczywistości popełniał jakieś niezłe machloje, czy to, że okazał się „jak wszyscy”, czy też to, że kochającą i oddaną żonę, która całe życie zasuwała dla niego i dla dzieci, zamienił na „tę młodszą”.

– I co teraz? – zapytała, ciekawa dalszej części.

– Teraz to on siedzi w więzieniu. Czy też w areszcie, cholera go wie?

– Rozwiedli się?

– Nie.

– Nie?!

– Wyobraź sobie, że nie. To jest ta następna niespodzianka. Aniela stwierdziła, że słów na wiatr się nie rzuca, przysięgi małżeńskiej zwłaszcza, i ona będzie na niego czekać, póki on nie wyjdzie z pudła. Bo da mu drugą szansę.

– No to nie było wybitnie mądre z jej strony – stwierdziła kwaśno Magda.

– Mądre, niemądre, nie mnie to oceniać. W ogóle nikomu oceniać, ich sprawa, ich życie. On był zapewne nie mniej zdziwiony niż ty. Chodzi tylko o to, że oboje nawzajem tak bardzo się zaskoczyli po tylu latach bycia razem. Jedno nie spodziewało się czegoś podobnego po tym drugim.

– Fakt.

– I wiesz, co chcę ci powiedzieć?

– No?

– Chcę powiedzieć... że nie wiem, co wybierzesz, co powinnaś wybrać i czy twój wybór będzie dobry. Ale cokolwiek postanowisz, niech argumentem przesądzającym nie będzie to, czy

zdążyłaś go dobrze poznać.

Magdalena pokiwała głową w zamyśleniu, choć matka nie mogła oczywiście tego zobaczyć. Wyprostowała się, w plecach jej zatrzeszczało i uświadomiła sobie, że cały czas siedziała strasznie zgarbiona, jakby kuliła się w strachu przed czymś. Przed czym? Decyzją? Decyzję chyba właściwie podjęła, a przynajmniej była jej podjęcia bliższa niż jeszcze dwadzieścia minut wcześniej. Stłumiła ziewnięcie. No tak, właściwie zbliżało się wpół do trzeciej. Nigdy jeszcze w taki sposób nie rozmawiała z mamą.

– Dzięki wielkie, mamó. – zdołała tylko wykrztusić. Chyba pierwszy raz w życiu. – Teraz już mogę iść spać.

– W takim razie dobranoc – powiedziała mama bardzo ciepło. – Pamiętaj, masz we mnie wsparcie. Mogę się jeszcze na coś przydać.

– Dzięki, naprawdę mi pomogłaś – powtórzyła Magda, czując, że głos jej się łamie.

– No, no, nie rozklejaj mi się tutaj. Jesteś zmęczona, połóż się. Daj znać, co postanowiłaś. Ja... zawsze będę tuż obok.

Magdalena odłożyła słuchawkę. Przez moment zastanawiała się, czy nie zadzwonić ponownie i powiedzieć, że matkę kocha, ale doszła do wniosku, że ona na pewno o tym wie, a na dzisiaj słów padło i tak bardzo dużo. Rekord pobiły, mistrzostwo świata w nocnych rozmowach matczyno-córczanych. Zresztą matka na pewno wróciła do łóżka, nie ma sensu wyciągać jej znowu. Sama też się w końcu położy, a jak już przylgnie głowę do poduszki, to sobie wszystko po raz ostatni dokładnie przemyśli.

19.



Dworzec Główny jakiś czas temu odzyskał swoją dawną świetność i po gruntownym remoncie prezentował się imponująco.

Co prawda, w przeciwieństwie do holu głównego podróżni nie zmienili się ani o jotę i jak dawniej, zwłaszcza w nocy, towarzystwo wyglądało i, no cóż, pachniało w stylu typowo dworcowym sprzed renowacji, przyznać jednak trzeba, że na plan pierwszy wysuwała się rewelacyjna forma architektoniczna, której wszystkie atuty można było podziwiać z galerii na piętrze.

Drewniane, nawiązujące do secesji wykończenie kas kontrastowało z nowoczesną poczekalnią i jeszcze bardziej nowoczesnym wejściem na perony. Same perony łączyły w sobie wspomnienie przeszłości i spojrzenie w przyszłość. Nic dziwnego, że Dworzec Główny od dłuższego czasu jest oblegany zarówno przez profesjonalnych fotografów, jak i amatorskich zdjeciorobów, a jedni i drudzy prześcigają się w coraz to bardziej innowacyjnych kadrach. Nic nie wskazuje na to, że wyścig ów miałby się zakończyć lub przynajmniej stracić na sile (i tempie), bo po prawdzie było na czym oko zawiesić.

Artur daleki był od zachwyty i daleki w ogóle od poświęcania czemukolwiek dookoła jakiegokolwiek cząstki uwagi. Stał na peronie trzecim i spoglądał na wyświetlacz, rejestrując minuty dzielące go od podstawienia szybkiego pociągu do Warszawy. Ich ilość malała powoli, lecz sukcesywnie, jak na czas przystało.

Czas nigdy nie odstawał żadnej fuszerki. Kiedy miał się ciągnąć w nieskończoność, to się ciągnął, kiedy miał uciekać jak wariat, to uciekał. To drugie nieodmiennie towarzyszyło przyjemnościom, pierwsze sytuacjom niechcianym.

Artur doświadczał wersji numer jeden. Miał wrażenie, że jakiś niewidzialny, acz wredny sabotażysta zablokował koła zębate czasu i ten lada moment stanie zupełnie. I już nie ruszy. To

byłoby dla Artura straszne, bo miał już serdecznie dość tego miasta w ogóle, a peronu w szczególności i pragnął jak najszybciej zostawić za sobą rozdział życia krótki, ale burzliwy i z wartką akcją. Niestety bez happy endu.

Zaprzagnął jak dawniej rzucić się w wir pracy i już niemalże widział, jak linijki informatycznego kodu szeroko otwierają swoje matczyne (ojcowskie?) ramiona i przytulają go, syna marnotrawnego, klepiąc po plecach i zapewniając, że wszystko będzie dobrze, bo od tej pory już tylko one i on, i nikt więcej, amen. Tak, uspokajała go myśl, że znów jego jedynym oknem na świat będą okienka aplikacji wyświetlane na ukochanym monitorze (jednym z kilku ukochanych monitorów, ale cóż), lecz wcześniej, jak tylko dotrze do Warszawy, a zanim na dobre rozsiądzie się w swoim wypasionym, cudownym, obrotowym krześle (za które dał majątek, ale warto było), to kupi sobie butelkę wódki, którą opróżni całkiem sam w cichości domowych pieleszy.

No, niezupełnie sam. Będzie mu towarzyszyła cała wirtualna zgraja, wszystkie newsy pierwszej i nie pierwszej świeżości zwałą się na niego lawiną, tylu ludzi do niego napisze w sprawach wagi państwowej i kompletnie żadnej. On to wszystko sobie, przy tej wódeczce (ma lód w zamrażalniku, uzupełnił przed wyjazdem, to naprawdę ociera się o geniusz), pięknie, powoli i metodycznie przeczyta i pies z kulawą nogą do niego nie zajrzy, a więc i w niczym mu nie przeszkodzi. Dystans. To jest to. Dystans. Dystans między nim a resztą ludzkości należy pielęgnować i doceniać. Najlepiej o niego zadbać już teraz, dlatego świetnym pomysłem będzie, uznał Artur, wyłączyć komórkę. A co. No i wyłączył. Chwilę później pendolino do Warszawy jak gigantyczny wąż wpełzło na peron.

Określenie, że tłum się rozstąpił, nie byłoby właściwe. Tłum wybuchł, wyfrunął, eksplodował na wszystkie strony, przy okazji wygrażając pięściami i rzucając słownictwo przez wielu uznawane za nieparlamentarne, a przez innych cenione jako nieodzowny i niezawodny wypełniacz zdań i zastępnik znaków przestankowych.

Nie miał innego wyjścia, ponieważ sporych rozmiarów postać ubrana na czarno przypuściła szturm jak nosorożec, a nosorożec, jak wiadomo, wbrew pozorom osiąga prędkości znaczne i siłą przebicia ciężko z nim konkurować. Postać była spocona, zaczerwieniona, z rozwianym włosiem i ewidentnie kobieca. Rozpychała się, czym tylko mogła, już to wydatnym biustem, już to trzema transporterami dla kotów, które trzymała w rękach. Koty w transporterach miauczały przeraźliwie, co dodatkowo nadawało całości lekki posmak grozy. Matki w ostatniej chwili zabierały z jej drogi dzieci, inni rzucali się na boki przerażeni, co niejednemu zapewne uratowało życie, choć nie uratowało świeżo zakupionych frytek, które niczym bierki rozsypały się po posadzce budynku dworcowego.

Magda przedarła się – na przekór tłumowi, którego głównym celem egzystencji najwidoczniej było uparte podążanie w zupełnie odwrotnym kierunku – przez wahadłowe drzwi, pokonała przedsiemek i wyhamowała przed zegarem w holu głównym, patrząc z niepokojem na tablicę przyjazdów i odjazdów. Pociąg do Warszawy odjeżdżał za minutę i już stał na peronie numer trzy. Spojrzała i wyrwała do przodu, rozwijając prędkość zasługującą na szacunek, zwłaszcza jeśli się taszczy transportery dla kotów. Popędziła przez łącznik pod peronami, skręciła ku schodom na peron trzeci i rzuciła się na nie, chcąc jak najszybciej zdobyć szczyt.

– Pociąg z Wrocławia Głównego do Warszawy Centralnej przez Opole Główne, Częstochowę Stradom, Warszawę Zachodnią odjedzie z toru pierwszego przy peronie trzecim – nosowy i zniekształcony głos bezlitośnie poinformował całą społeczność dworcową

o podbramkowej sytuacji.

Magda była dopiero w połowie schodów, sięgnęła więc do swoich najgłębszych rezerw siłowych i rzuciła się naprzód. Dopadła ostatniego stopnia i gorączkowo rozejrzała się po peronie. Granatowi konduktorzy szybkim krokiem szli to tu, to tam, przy czym „tam” okazało się kabiną maszynisty nowoczesnego pendolina. Ludzie ciągnęli za sobą walizki, dźwigali plecaki, albo też stali cierpliwie, czekając, aż na sąsiedni tor dostojnie wtoczy się inny pociąg, który zawiezie ich w zupełnie przeciwnym kierunku.

Oszalały wzrok Magdy wyłowił hen, daleko, w głębi peronu postać w dobrze jej znanej, czerwonej sportowej kurtce. Postać ta jak psa przy nodze trzymała walizkę na kółkach i z niewiadomego powodu nie wsiadła jeszcze do swojego wagonu.

– Gdzie lecisz, kobieto! – zawołał głos męski gdzieś z bardzo bliska i jakby spod spodu. – Ludzi tratujesz!!!

– Szybko! – krzyknęła Magda. – Łap go!

Drobny facecik tak bardzo przypominający niedożywnego studenta, że nie mogło być to dalekie od prawdy, spojrzał na nią ze zgrozą.

– Kogo?

– Tamtego w czerwonej kurtce, z walizką!

– Po co?!

– On nie może odjechać! Życie od tego zależy!

– Czyje?!

Magda spojrzała na niego złowrogo.

– Moje. A jeśli go pan nie złapiesz, to i pańskie. Już! – Dla podkreślenia klimatu wszystkie koty zamiauczały rozdzierająco i żałośnie.

Facecik spojrzał na nią raz jeszcze i pod wełnianą, mocno nieświeżą czapką włosy musiały mu stanąć dęba, bo wyrwał przed siebie i roztrącając ludzi na boki, biegł, ile sił w nogach i wrzeszczał.

– Stóóóóóój!!!! Ty w czerwonym!!! Stóóóóóój!!!!

Jak na złość mężczyzna ani go nie usłyszał, ani nie zauważył. Jeszcze dwie sekundy stał zwrócony w zupełnie innym kierunku, po czym podniósł walizkę, otworzył drzwi i wsiadł do wagonu. Facecik zatrzymał się i zderzył z nacierającą na niego z Magdą, po czym po raz drugi w tak krótkim czasie znalazł się w pozycji horyzontalnej.

– Wsiadł! – krzyknął.

– Widzę! – odkrzyknęła Magda. – Zatrzymaj pociąg!

– Zwariowałaś?! – Facecik przeraził się nie na żarty.

– Leć do kabiny maszynisty i zatrzymaj ten cholerny pociąg albo rozerwę cię na strzępy, nie żartuję!

– A ty co?

– A ja lecę do tego wagonu.

Młodzieniec poprawił czapkę, zerwał się na równe nogi i rzucił cwałem w kierunku konduktora, który już podnosił biało-czerwony lizak na znak odjazdu.

– Niiiiieeeeeee!!!! – wrzasnął. – Nie ruszaaaaać!!! Staaaaaac!!!!

Chłopak szczupakiem wyleciał do przodu, po czym chwycił za kolana konduktora i powalił go na ziemię. Ten zaczął się bronić i strącać z siebie intruza. Zaintrygowany maszynista przykleił nos do bocznej szyby swojej kabiny i przyglądał się sytuacji.

Magda dopadła drzwi wagonu, szarpnęła i najpierw wrzuciła do środka transportery z kotami, a następnie sama wskoczyła do pociągu, zaskakująco zwinnie, jak na swoją tuszę.

Zobaczyła go przez szybę w drzwiach. Siedział na końcu bezprzedziałowego wagonu

i właśnie niecierpliwie spojrział na zegarek. Nie tylko on zresztą. Pociąg parę minut temu powinien już ruszyć, tymczasem z niewiadomego powodu nadal stał na peronie wrocławskiego dworca.

Magda otworzyła drzwi i zaczęła się przeciskać do przodu między rzędami siedzeń. Rozległy się pomruki i posykiwania, a ona na lewo i prawo rzucała zdawkowe „przepraszam”, nie spuszczać z oka siedzącego tyłem do niej Artura. Niczego nie podejrzewał, dopóki Drań nie postanowił znacząco zamiauczeć. Artur odwrócił się w stronę dobiegającego go dźwięku i oczy momentalnie wyszły mu z orbit.

Siedzące naprzeciw niego dwie młode nimfy cud-urody z wyraźną pogardą spojrzały na grubą, potarganą, spoconą i zaczerwienioną babę z kotami, która pożerała wzrokiem przystojniaka w średnim wieku. Artur stanął naprzeciw Magdy, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa.

– To... nie... może być... koniec – wydyszała Magda, a cud-nimfy przewróciły oczami.

– Co ty... – zająknął się Artur. – Co ty tu robisz?

– Jadę z tobą.

Nimfy stłumiły śmiech i z politowaniem zaczęły przyglądać się scenie razem z resztą pasażerów. Ludzie wstali z miejsc i wpatrywali się w dziwną parę.

– Jedziesz ze mną?

– Sam mnie do tego namawiałeś, nie pamiętasz? A może powiesz teraz, że zmieniłeś zdanie?

Wagon przestał oddychać. Ktoś wyciągnął telefon i skierował go w stronę rozmawiających z ewidentnym zamiarem uwiecznienia sytuacji. Artur nie odzywał się przez dłuższą chwilę, stał i z otwartymi ustami wpatrywał się w Magdę. Ona nadal zadyszana strząsnęła z twarzy opadające włosy i nie odrywała od niego wzroku. Trwała cisza jak makiem zasiał i wtedy właśnie zamiauczał kot.

– W najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że się na to zgodzisz. Jak mógłbym zmienić zdanie?

Wagon zbiorowo odetchnął i od końca do końca rozległo się stłumione „aaaaaach”. Gracje zamrugały nerwowo, nie wierząc własnym oczom. Magda uśmiechnęła się i nieco zachwiała na nogach.

– Nie dzwoniłaś... – zaczął Artur.

– Nie dzwoniłam?! Dzwoniłam miliard razy! Czemu, na miłość boską, wyłączyłeś telefon?!

– Telefon wyłączyłem dopiero niedawno, nie dzwoniłaś wcześniej.

– Nie kłóćmy się, to nie jest dobry moment.

– Prawda, nie jest. Jest za to dobry moment, żeby ci powiedzieć, że jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało. Nigdy więcej nie pozwolę ci odejść – zakończył Artur, po czym nie zważając na wygląd Magdy, ludzi, którzy bez wyjątku podnieśli się z siedzeń, i transportery z kotami, złożył na ustach ukochanej gorący pocałunek.

W wagonie rozległy się gromkie brawa i donośne gwizdy, ktoś zaintonował *Sto lat* i wszyscy to podchwycili. Piosenka rozbrzmiewała w najlepsze, kiedy drzwi wagonu otworzyły się z hukiem i do środka wpadł konduktor, mając za plecami wygłodzonego studenta, który parę minut wcześniej powalił go na peronie.

– Gdzie jest ta wariatka, która zatrzymała pociąg, co?! – wrzasnął, a ponieważ na pierwszy plan wybijała się postać Magdy, ruszył prosto ku niej. – Czy pani zwariowała?! Co pani sobie wyobraża! Pani za to zapłaci i to słono.

Wagon znów zastygł w oczekiwaniu, zaraz po tym, jak ucichły ostatnie oklaski.

– Proszę pana, przepraszamy najmocniej – zaczął Artur. – Sytuacja była szczególna. Nikt nie miał zamiaru zdeorganizować pracy kolei. Pokryję wszystkie koszty.

– Ludzie, czy wy wyobraźni nie macie?! – pieklił się dalej konduktor, puszczając mimo uszu obietnice finansowe. – Mamy prawie dziesięć minut opóźnienia! Na peronie dopada mnie jakiś młokos i twierdzi, że baba z kotami groziła mu śmiercią, jeśli nie zatrzyma pociągu.

Wagon ukradkiem zarechotał.

– Co państwa tak bawi, można wiedzieć?! – zapytał konduktor, rozglądając się dookoła.

– Niech im pan odpuści... – rozległ się nieśmiały głos z końca wagonu.

– Szkoda, że pan tego nie widział – odezwał się ktoś inny.

– To naprawdę sprawa życia i śmierci – dołączył trzeci głos.

– Jakiego życia?! Jakiej śmierci?! – zachnął się konduktor.

– No... kociego życia – kontynuował głos i okazało się, że należy on do niezwykle wysokiego, chudego brodacza w rozciągniętym swetrze i z wielkimi słuchawkami zawieszonymi teraz na szyi. – Przecież to znany weterynarz jest, światowa sława – ciągnął, wskazując na Artura. – Pan nie wiedział? Te biedne zwierzęta można jeszcze uratować, on się nimi zajmie. W Warszawie. Ta kobieta życie narażała dla swoich przyjaciół.

Konduktor, milcząc, rozglądnął się po wagonie, a zewsząd dobiegały potakiwania i pełna zgoda, jakby wszyscy pasażerowie byli dokładnie poinformowani o kociej niedoli. Chwilę jeszcze milczał i sapał ze złością, po czym machnął ręką.

– Jasna cholera, niech wam będzie. Sam mam dwa koty i psa, ostatnie pieniądze na nie wydaję.

W wagonie rozległa się burza oklasków.

– Dobra, dość! – konduktor przekrzyczał entuzjazm tłumów. – Ruszamy. Mieciu, już dobrze – powiedział do krótkofalówki. – Ruszaj, musimy nadrobić na trasie.

Gromkie brawa wytłumiły końcówkę jego wypowiedzi.

Artur spojrzał na Magdę.

– Dlaczego tak na ostatnią chwilę?

– Do końca nie wiedziałam, co zrobić z kotami. Szukałam im miejsca. Matka wziąć ich nie chciała, przyjeżdżać do nich w nieskończoność nie mogła, życzliwi nie dopisali. Postanowiłam zabrać je ze sobą. Musisz przyjąć całą naszą czwórkę.

– Przyjąłbym dziesiątkę – uśmiechnął się. – Koty przytulam razem z tobą.

– Pamiętaj, że na nich zarabiam.

– Tym bardziej – powiedział i pocałował ją raz jeszcze.

Do samej Warszawy siedzieli obok siebie (uprzejmy pan po pięćdziesiątce zamienił się z Magdą miejscami, mrugając przy tym do niej znacząco i ukradkiem pokazując kciuk do góry), trzymając na kolanach po jednym transporterze, trzeci postawiwszy w przejściu między rzędami. Właściwie prawie się do siebie nie odzywali, po prostu nie czuli takiej potrzeby. Wystarczyła im sama obecność, to, że mogą wzajemnie czuć swoje ciepło. Prawdopodobnie będą mieli mnóstwo czasu i mnóstwo okazji, by opowiedzieć sobie o wszystkich rzeczach ważnych i mniej ważnych, o miłości i o pogodzie, o przyszłości i o zimie, która znowu zaskoczyła drogowców. Będą mogli snuć wspólne plany i śmiać się z głupich dowcipów. Nagromadzone emocje powoli opadały, oszalałe serca wyrównywały swój rytm.

Magda myślała o tym, że kto wie, gdyby nie rozmowa z matką, być może nigdy nie zdecydowałyby się na coś tak szalonego. I nawet pał licho, że pomimo wszystko nie chciała wziąć kotów. Tak czy inaczej, matka zrobiła swoje. Kobieta na medal.

Artur myślał o tym, że właściwie nie jest odpowiednio przygotowany na dalszy ciąg, który rozpoczął się tak spektakularnie, wśród oklasków podróży. Nie ma pojęcia, co dalej

będzie, czy im się uda, czy też przypadkiem nie czeka ich fala rozczarowań. Z lekką irytacją zorientował się, że właściwie trochę się boi. Spojrzał na Magdę, na jej twarz odbijającą się w szybie wagonu, na rozmarzony półuśmiech i stwierdził, że na dobrą sprawę, cokolwiek by się działo i tak nie byłby lepiej przygotowany niż teraz. Nigdy nie jest się dostatecznie gotowym. Objął Magdę ramieniem i pocałował w czoło.

Do samej Warszawy towarzyszyło im bezbrzeżne zdumienie dwóch nimf cud-urody.

WIOSNA

1.

Marta stała przed oddziałem banku i paliła papierosa. Niech to jasna cholera! Powinni otwierać już dziesięć minut temu, żeby mieć czas na sprawdzenie wszystkiego, włączenie, przebranie się w służbowe ciuchy i wypadałoby przecież jakąś kawę wypić. Albo przynajmniej ją zaparzyć, bo z wypiciem to może być różnie. Jeśli nie zdąży, to ją sobie potem będzie musiała odgrzać w mikrofalnej stojącej w pomieszczeniu socjalnym. Fuj. Teraz to już na pewno nie zdąży, bo Łukasz, który miał drugi klucz, oczywiście się spóźnił.

Ósma czterdzieści. No tak, teraz już na bank (cha, cha) nie wypije tej kawy, bo za dziesięć minut pod oddziałem zacznie się ustawiać kolejka emerytek, które za następne pięć minut zaczną jęczeć, że już dawno powinni pracować, choć przecież oficjalnie bank jest czynny od godziny dziewiętej.

Ale to przecież oczywiste, że powinni otwierać wcześniej, z myślą o tych, którym w życiu się nudzi i przychodzą sobie postać w kolejce, a co. W kolejce, jak wiadomo, toczy się najlepsze życie towarzyskie. Jak już tylko otworzą oddział, babcie wtargną do środka niepowstrzymanym strumieniem niczym woda z pękniętej zapory i biada temu, kto stanie im na drodze. Dwie sekundy później zainicjują komitet kolejkowy, choć przecież po prostu chcą zapłacić rachunki. Po kolejnej minucie zaczną jęczeć, dlaczego tylko jedna kasa jest czynna i nic ich nie przekona, że druga kasjerka przychodzi do pracy na jedenastą, bo oddział pracuje do siódmej. Nie. Od początku powinny być dwie i koniec. I oczywiście żadnego wychodzenia na przerwę. Jaka przerwa?! Tu ludzie czekają, prąd trzeba opłacić, bo im ucieknie kolejka u lekarza. A Łukasza nie ma.

Plac Bema żył swoim własnym życiem. Życie placu Bema polegało głównie na szaleńczej

gonitwie tam i z powrotem.

Tuż przed wejściem do oddziału, w którym pracowała Marta, jednego z kilku znajdujących się w nowym, okazałym biurowcu (ludzie nazywali go zagłębieniem bankowym), był przystanek kilku popularnych linii tramwajowych, więc było gdzie i komu pędzić. Przez plac Bema nikt nie szedł, wszyscy biegli. Właściwie tylko Odra się nie spieszyła i nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się dzieje w jej najbliższej okolicy, sunęła sobie leniwie w jedynie słusznym kierunku. Po przeciwnej stronie ulicy, na skwerku obok dziewiętnastowiecznych toalet (odremontowanych i działających dotąd) rosła sobie jakaś wiśnia czy czereśnia, czy coś tam jeszcze innego, Marta nie wiedziała co, ale nie miało to znaczenia, bo teraz właśnie całe obsypane było precudnym, różowym kwieciami.

Człowiek tak mógłby stać i gapić się na to drzewko, nie myśląc o niczym i delektując się pięknem. Mógłby, gdyby nie czekał na tego idiotę, bez którego nie można rozpocząć pracy, niech to szlag.

– Cześć, Marta – rozległ się głos obok.

– Cześć, Jacek.

– Co jest? Nie otwieramy? Kto ma drugi klucz w tym tygodniu?

– Łukasz.

– No to sobie jeszcze postoiimy. Super. Na dziewiątą mam umówionego klienta. To za... niech spojrzę na zegarek... tak, za piętnaście minut. Zanim się przygotuję... Znowu będę zapieprzał jak z motorkiem w dupie, wszystko mi się poprzesuwa.

– Coś grubszego?

– Kredyt. – Jacek wyciągnął papierosa i również zapalił. – Inwestycyjny. Papierów w ciul. Będzie siedział z godzinę, jak nie więcej, zresztą ze współnikiem przychodzi. Pięć baniek się kroi, jest o co się bić.

– O, no to plan zrobisz, że fiu-fiu! – Marta pokiwała głową z uznaniem.

– Plan! – zachnął się Jacek. – Plan to ja zrobię za dwa miesiące, jak ten kredyt uruchomię. Jeżeli uruchomię, bo nigdy nic nie wiadomo. To będzie dwa miesiące męki. A dzisiaj przychodzi do nas czarna mamba.

Marta wyraźnie się spięła.

– No co ty gadasz! Dzisiaj? Naprawdę?

– Ano. – Jacek wydmuchał dym w stronę przystanku i zapatrzył się w różowe drzewko.

– A po co?

– A bo ja wiem? Nosi ją. Młoda jest, chce się wykazać. Co dwa tygodnie przecież przychodzi, nie zauważyłaś?

– Nie zwróciłam uwagi, że to tak regularnie. Babcie kolejkowe całym moim światem.

– Przychodzi, przychodzi. Wcale się nie zdziwię, jak znowu wezwie kogoś na rozmowę i zapyta... czekaj, jak to było... o, już wiem: „Czy to na pewno ty jesteś tą osobą, z którą chcemy pracować dalej?”. Wyniki, wyniki! – Jacek zamachał rękami.

Chwilę milczeli.

– Za dziesięć – powiedziała Marta.

– Dzwon do niego – polecił Jacek. – Emerytki już krążą.

Telefon nie okazał się konieczny, bo ten właśnie moment wybrał Łukasz, by zaprezentować klasyczne wejście smoka. Zziązany, z poluzowanym krawatem i w rozpiętej marynarce pojawił się znikąd, trzymając przed sobą klucz jak trofeum.

– Jestem! Już jestem! – zawołał triumfalnie.

– No i co się tak cieszysz, baranie – zastopował go Jacek. – Wiesz, która jest?

– Wiem, wiem, przepraszam was bardzo, już otwieram.

– Wyłączyłeś alarm?

– Tak, tak. Raz, dwa, trzy. Marta, gdzie twój klucz? Dobra, wchodzimy.

Weszli do oddziału i szybko zamknęli za sobą drzwi na klucz, praktycznie tuż przed nosami pierwszych chętnych do skorzystania z usług bankowych. Ludzie byli bardzo niepokieszeni.

Marta pokazała dłonią na zegarek i przekazała parę słów wyjaśnienia, że oddział pracuje od godziny dziewiątej, co, oczywiście, nie spotkało się z należną dozą zrozumienia. Postanowiła jednak nie zwracać uwagi na sarkanie i standardowe stwierdzenia, że banki to złodzieje, tylko pognęła na zaplecze, by się przebrać w swój wymagany regulaminem uniform. W pomieszczeniu socjalnym Łukasz przed lustrem poprawiał krawat.

– I jak tam sytuacja na froncie? – zapytał.

– Atak odparty – mruknęła Marta, wyjmując ubranie z szafy i znikając za drzwiami toalety.

– Pewnie jęczą, że muszą stać na zimnie, co nie?

– Tu im się akurat nie dziwię – odezwał się Jacek znad ekspresu do kawy. – Kwiecień nas w tym roku nie rozpieszca. Sam zmarłem na kość i to przez ciebie, głąbie. Co tym razem? Znowu korki? – zwrócił się do Łukasza.

– Nie, tym razem to był gorący seks. – Chłopak uśmiechnął się zupełnie niezrażony, prezentując spojrzenie godne Casanovy i przeczesując włosy. – Nie wiem, jak ja będę dzisiaj pracował, prawie wcale nie spałem.

– Nie pogrążaj się – rzuciła Marta zza drzwi toalety. – To ta sama, co w zeszłym tygodniu? – dodała, nieudolnie usiłując ukryć zainteresowanie.

– Co? Nie, skąd! W zeszłym tygodniu była Ola i przecież się nie spóźniłem...

– Spóźniłeś, tylko nie otwierałeś oddziału – wtrącił Jacek.

– No tak, mniejsza z tym. Teraz jest Anetka. Anetka to ogień, mówię wam.

– Dobrze, to życzymy wam szczęścia, zdrowia i pomyślności – rzuciła Marta, wychodząc z toalety w służbowym ubraniu i trzymając swoje cywilne złożone w kostkę. – A teraz otwieram i idę na kasę. Znowu nie napiję się kawy. O suchym pysku do przerwy.

– Jakiej przerwy? – zapytał sarkastycznie Jacek.

– O właśnie! Otwieram, bo mnie zjedzą. Dzisiaj czarna mamba przychodzi, Łukasz, pamiętaj.

– Czarna mamba, czarna mamba... Kto to taki?

– O Jezu, ty tu nowy jesteś, faktycznie. Dyrektorka regionu. Będzie pytać cię o wyniki.

– Słyszałem o jakiejś zimnej Julii, ale o czarnej mambie nie.

– To ta sama – wtrącił Jacek. – Jest lepsza niż KGB, CIA i Mosad razem wzięte. No i nie zna litości.

– Bez przesady, poradzę sobie. – Łukasz nie tracił rezonu. – To przecież kobieta.

– No, no, mistrzu, żebyś się nie przejechał. To jest kobieta, wiesz, specyficzna. Rozjedzie cię na miazgę, zobaczysz.

– Oj tam, oj tam. No to pa, idę czarować klientki – rzucił i wyszedł z pomieszczenia.

Marta popatrzyła za nim.

– Jak Boga kocham, co one w nim widzą? Jeszcze nigdy nie pracował tu ktoś, do kogo ustawiałoby się tyle bab. No to pa, idę na kasę.

– No to pa – odpowiedział Jacek. – Idę walczyć o dobro banku.

2.

Trzy godziny wcześniej dla Julii rozpoczął się dzień jak co dzień. Budzik jak zwykle stanął na wysokości zadania i nieomylnie obwieścił nadejście godziny szóstej.

Otworzyła oczy i jak co rano pierwszą rzeczą, po którą sięgnęła, był elektroniczny termometr. Rutynowo zmierzyła temperaturę i chwilę później zobaczyła na wyświetlaczu wynik, który dla innej osoby wydałby się doskonały, ale dla niej świadczył tylko o tym, że rozpoczyna kolejny dzień oczekiwania na owulację, która może wkrótce nadejść, a może nie. Trzydzieści sześć i sześć kresek. Czterdziesty piąty dzień cyklu. Niech żyje zespół policystycznych jajników.

Bez zbędnej zwłoki wstała z łóżka, po drodze pokonując zaporę w postaci męża, który co prawda rozpoczynał swoją pracę wcześniej niż ona, bo o ósmej, ale był mężczyzną, a mężczyźni potrzebują o wiele mniej czasu na toaletę i ogólnie się zebranie, chrapał więc jeszcze w najlepsze.

Julia poszła do łazienki, skąd pół godziny później wyszła w świeżutkiej, ślicznej i – no jasne, że tak – bardzo drogiej bieliźnie, gotowa na podbój świata. Z łóżka dobiegło jakby mruczenie, zapowiedź rychłego, męskiego powstania z sennych.

Krzysztof nigdy nie nastawiał swojego budzika, jakby czynność ta urągała męskiej dumie. Zawsze zdawał się na żonę i jej poranną krzątaninę. Julia włączyła ekspres do kawy, co samo w sobie spełniało funkcję budzika nie tylko dla szanownego małżonka, ale i dla sąsiadów z góry i z dołu, ponieważ do rozlicznych zalet urzędzenia cicha praca nie należała. Do filiżanki skapywało powoli intensywne espresso, kiedy Krzysztof przeciągnął się, ziewnął szeroko i wstał z łóżka. Na wpół ślepo podszedł do Julii od tyłu i objął ją w pasie.

- Widzę, że moja piękna żona już wstała – powiedział, całując ją w szyję.
- Widzę, że mój piękny mąż wstał również.
- Nie mów na mnie „piękny”.
- Jasne, jasne, zapomniałam, że jesteś samcem alfa – roześmiała się. – Mój przystojny

mąż wstał również, czy tak już lepiej?

– Może być. A czy moja piękna żona znalazłaby trochę czasu, by dobrze zacząć dzień?

– A czy ten początek nie jest udany? Jest kawa... – przekomarzała się.

– Jest, jest, ale może być jeszcze bardziej udany, gdybyśmy wskoczyli na chwilę do łóżka. Zaraz potem z niego wyskoczymy, tylko o wiele szczęśliwi.

– Tak myk-myk?

– Tak myk-myk.

– Nie – odmówiła i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że odmowa daje jej przyjemne poczucie władzy. – Nie mam czasu, kochanie. Dzisiaj mam bardzo napięty plan dnia. Muszę zrobić rundę po oddziałach, a potem zdać raport wierzuszce.

– Co te banki robią z ludźmi. – Krzysztof był niepokieszony. – Ja mam dzisiaj sprawdzian w trzeciej ce.

– To ci... jak ty ich nazywasz? Potęga podświadomości?

– Potęga nieświadomości. Ich nieświadomość historii najnowszej własnego państwa mogłaby unicestwić imperia, gdyby tylko ktoś wpadł na pomysł, jak ją przerobić na broń masowego rażenia. Dwóch z nich widziałem ostatnio w telewizji. Załapali się przypadkiem do jakiejś ulicznej ankiety, w której pytano o drugą wojnę światową. Myślałem, że spalę się ze wstydu.

– Przecież nikt nie wie, że to twoi uczniowie.

– Ja wiem. To wystarczy. Są cudownie nieprzemakalni. Wiedza spływa po nich jak po kacze i pozostawia umysły zupełnie nietknięte, niezależnie od wysiłku włożonego w jej podanie.

Julia zarzuciła mężowi ręce na szyję i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Myśl pozytywnie. Masz dwa miesiące wakacji. Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby na przykład posprzątać mieszkanie.

– Ty to potrafisz podnieść człowieka na duchu. – Krzysztof pocałował żonę namiętnie w usta, po czym odkleił się od niej wreszcie i ruszył w kierunku łazienki.

– Tylko szybko wychodź, muszę się jeszcze pomalować! – rzuciła za nim.

Odpowiedzią był odgłos prysznicza i śpiewana równie głośno, co fałszywie znana piosenka oazowa „Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie”.

Julia sięgnęła do szafy po koszulową bluzkę przygotowaną wczoraj wieczorem. Przyjrzała się jej krytycznie i z zadowoleniem stwierdziła brak jakichkolwiek zagnieceń. Spośród ołówkowych spódnic, których kolorystyka wahała się od średniej szarości, przez ciemny granat, do pełnej czerni (restrykcyjny *dress code* robił swoje, a w oczach podwładnych musiała uchodzić za wzór), zdecydowała się na tę w odcieniu grafitowym. Naciągnęła cieliste rajstopy, zapięła spódnicę i oceniła swoją sylwetkę w dużym lustrze, stanowiącym jedno ze skrzydeł drzwi przesuwanych w ich wielkiej, małżeńskiej szafie.

Świetnie. Ma naprawdę niezłą figurę. No nie, bądźmy szczerzy bez fałszywej skromności. Figurę ma naprawdę godną pozazdroszczenia. W ogóle jest bardzo ładną kobietą. Przystojną – jak powiedziałoby się o bizneswoman. Jasne, nawet bardzo jasne i gęste włosy długości do pasa swobodnie spadały jej na plecy. Nie musiała ich farbować. Była naturalną, jasną blondynką. Szare oczy okolone wachlarzem rzęs, co prawda również jasnych, ale wystarczyło pociągnąć je tuszem i już robiły wrażenie. Smukła szyja. Ładnie zarysowane obojczyki. Jędrny biust, nie z tych najmniejszych, ale też nie na tyle spory, by generował problem w układaniu się odzieży. W sam raz. Bardzo kobiece wcięcie w talii, kształtne biodra i szczupłe nogi do samej ziemi.

Julia miała świadomość, że prezentowałyby się znakomicie we wszystkim, cokolwiek by na siebie nie włożyła, nawet w worku, a liczne piegi na twarzy zdecydowanie ją odmładzały.

Zupełnie nie wyglądała na swoje trzydzieści sześć lat.

Krzysztof wyszedł z łazienki, jak zwykle niewytarty do końca, jakby osuszenie ciała tak samo sprzeciwiało się poczuciu męskości, jak nastawianie budzika.

– Nie zbliżaj się do mnie z niecnymi zamiarami, jesteś cały mokry – powiedziała przewencyjnie Julia.

– Rany, jak ty pięknie wyglądasz – westchnął. – Powinnaś być żoną ambasadora, a nie nauczyciela historii.

– Przestań. Jestem z tobą szczęśliwa i nie chcę nikogo innego. Mogę już wejść do łazienki?

– Możesz.

Oparł się o framugę drzwi i patrzył, jak Julia delikatnie podkreśla brwi i tuszuje rzęsy, pokrywa usta subtelną pomadką, a następnie splata długie włosy w bardzo profesjonalny i ascetyczny kok. Idealny na spotkanie biznesowe.

– Popatrz na nas – powiedział. – Jesteśmy młodzi, mieszkamy w dużym mieście, mamy pracę, a nawet oszczędności. Mamy nowe mieszkanie. Cztery pokoje. Ty jesteś piękna, ja, no dobra, ja jestem przystojny. Brakuje nam tylko dziecka.

Ręka Julii drgnęła. Oparła się o umywalkę i przez chwilę patrzyła w lustro, widząc w nim siebie i swojego męża.

– Wkrótce będziemy mieć dziecko.

– Oczywiście, wiem, wiem. Zresztą jutro idziemy zobaczyć Stasia...

– Nie mów tak – zirytowała się. – To brzmi, jakbyś szedł oglądać, nie wiem co, szczeniaka jakiegoś czy coś.

– Ojej, to nie miało tak zabrzmieć. Wiem, że przyjmujemy do siebie Stasia, wiem, że damy mu dom, miłość i że będzie żył z nami, jak Bóg długo postanowi. Zastanawiam się tylko, czy to nie ma być jakaś lekcja dla nas.

– Jaka lekcja? – Julia poczuła, że z lekka narasta w niej irytacja.

– Wiesz, dlaczego Stwórca dał nam wszystko z wyjątkiem tego.

Odwróciła się do niego wyraźnie zniecierpliwiona.

– Wiesz co, Krzysiek? Ja nie mam teraz czasu na rozważania. Spóźnię się, ale jeszcze bardziej ty się spóźnisz, bo zacznasz wcześniej. Nie wiem, jaka lekcja. Może ta: „Komu więcej dano, od tego więcej wymagać się będzie”. Po ludzku rzecz biorąc, mamy wszystko i może właśnie dlatego to my wychowamy niepełnosprawne, chore dziecko, którego nikt inny nie chce, a które u nas znajdzie uczucie i uwagę.

Krzysztof spuścił głowę.

– Zgoda, zastanawiam się tylko, czy na pewno wymagać się będzie od nas aż tyle.

– Chodzi ci o to, że Staś jest ciężko chory i potrzebuje specjalistycznej opieki, i... i nie wiadomo, jak długo będzie żył? Na miłość boską, już tyle razy o tym rozmawialiśmy! Bóg tego chce, mówię ci! Nie czas teraz na taką rozmowę!

– Nie wiem, czy tego chce, czasami opadają mnie wątpliwości. Ale dobrze, to faktycznie kiepski moment. Widzę, że ty jesteś przekonana, ja też się cieszę, nie mówiąc o mojej mamie, która nie posiada się ze szczęścia.

Julia wpięła ostatnią spinkę, minęła Krzysztofa i wyszła z łazienki. Włożyła zakiet skompletowany ze spódnicą i czółenka na wysokim obcasie (ale nie za wysokim, odpowiednim do wymagań *dress code'u*). Krzysztof podał jej elegancki płaszcz.

– Jesteś sporo przed czasem – powiedział.

– Mam nielimitowany czas pracy, pamiętaj. A nielimitowany czas pracy oznacza wysokie wymagania. Dzisiaj wymagania względem mnie są szczególnie wysokie.

Krzysztof pocałował ją w czoło.

– Dasz radę.

– Z Bożą pomocą – odpowiedziała. – Dzisiaj będę jej mocno potrzebować.

Droga do podziemnego parkingu zajęła jej zaledwie moment (duża zaleta mieszkania na pierwszym piętrze), a tam już czekało na nią służbowe auto. Torbę z laptopem położyła na siedzeniu pasażera i uruchomiła silnik. Otworzyła pilotem drzwi garażowe, a następnie wyjechała z parkingu.

Już dawno przyzwyczała się do prowadzenia w szpilkach i w przeciwieństwie do wielu jej koleżanek nie sprawiało jej to najmniejszego problemu. Brama ogrodzenia w nowym, strzeżonym osiedlu otworzyła się szybko i bezgłośnie, a chwilę później Julia wyjechała na ulicę Rakietową na Muchoborze Wielkim. Oczywiście momentalnie znalazła się w korku, co było do przewidzenia. Była na to przygotowana. Nie znosiła się spóźniać, dlatego zawsze wychodziła przed czasem. Nie cierpiała działania w pośpiechu.

Muchobór Wielki mocno się rozrósł w ostatnim czasie, a osiedle Julii było jednym z wielu, jakie powstały w tamtej okolicy, jednak zgodnie z typowo wrocławską tradycją pozostał fatalnie skomunikowany z resztą miasta. Gigantyczne korki były zjawiskiem tak oczywistym jak obieg Ziemi wokół Słońca.

Julia nie przejmowała się. Najpierw planowała odwiedzić swój gabinet w siedzibie regionu na placu Grunwaldzkim (będzie jechać wieki, ale trudno), a stamtąd zrobić rundkę po oddziałach, zaczynając od placu Bema. Spodziewali się jej wizyty. To bardzo dobrze. Julia lubiła, jak na nią czekają.

3.



– Mariuszu Kowalski, ja bardzo cię proszę, ty nie zdawaj historii na maturze.

Prośba Krzysztofa skierowana została pod sam koniec lekcji w kierunku łysego z wyboru osobnika, którego głowa spoczywała bezpośrednio na ramionach, ze starannym pominięciem szyi. Jedynym znakiem istnienia tejże był gruby łańcuch, o którym chciało się myśleć, że nie był złoty, choć na swoje nieszczęście zapewne jednak był.

Łysy podniósł z siedzenia niespełna dwa metry swojej osoby, przez co skutecznie wypełnił połowę sali. Obciągnął zieloną bluzę z napisem „Śląsk Wrocław”, złożył dłonie wielkie jak łopaty i wyznał:

– Kiedy ja kocham historię, psorze!

– Ja ci wierzę, Mariuszu Kowalski, i uwierzyłbym, nawet jeśli byś powiedział, że to miłość od pierwszego wejrzenia.

– No właśnie.

– Tylko że po tym pierwszym wejrzeniu powinno nastąpić też drugie, a potem kolejne, a tutaj tego ewidentnie brakuje. Zanim zaistnieje porządny związek, ludzie muszą się poznać i z historią jest mniej więcej to samo. Jest duże prawdopodobieństwo, że cię twoja ukochana mocno zaskoczy w najmniej oczekiwanym momencie, na przykład, kiedy ujrzysz pierwsze pytanie na arkuszu.

– Psorze, ale jeśli nie historia, zostanie mi tylko WOS – wyjaśnił Kowalski. – A WOS zaskoczy mnie jeszcze bardziej.

– No dobrze – westchnął Krzysztof. – Rób, jak uważasz, tylko postaraj się, żeby to zaskoczenie było jak najmniejsze.

Dźwięk dzwonka zasygnalizował koniec lekcji i trzecia ce w liceum numer jeden przy ulicy Poniatowskiego wylała się na korytarz leniwym strumieniem. Krzysztof zebrał swoje materiały i dziennik, spojrzął na wyciszony telefon i zobaczył nieodebrane połączenie. Numeru

nie miał wśród zapisanych kontaktów, zdecydował się więc oddzwonić w drodze do pokoju nauczycielskiego.

– Halo? – rozległo się po drugiej stronie.

– Tu Krzysztof Michałkiewicz. Dzwoniono do mnie z tego numeru.

– Krzysiek, stary! Kopę lat! – Głos po drugiej stronie wyraźnie się ucieszył.

– Eee, a z kim rozmawiam?

– Nie poznajesz? To ja, Artur! Odnalazłem twój numer, chciałem sprawdzić, czy jest aktualny, no i proszę.

– Artur! Człowieku! Rzeczywiście kopę lat! Co porabiasz?

Krzysztof pamiętał Artura jako mrukliwego, zamkniętego w sobie, ale niezwykle zdolnego studenta ostatniego roku informatyki na Politechnice Wrocławskiej. Na obozie studenckim, na którym się poznali (Krzysztof wybrał się na ten obóz w uznaniu dla swoich własnych zasług, jako że zwycięsko wyszedł z sesji końcowej po trzecim roku), kręciło się wokół niego mnóstwo dziewczyn, co nie było niczym dziwnym, jako że Artur był mniej więcej tak samo nietowarzyski, jak przystojny, a nietowarzyski był bardzo. Potem był nawet na jego ślubie, kiedy w końcu dorwała go jakaś Karolina, potem spotkali się jeszcze parę razy przy różnych okazjach, a potem Artur zniknął i słuch wszelki po nim zaginął.

Teraz wyskoczył jak królik z kapelusza, wprawiając Krzysztofa w niezłe osłupienie. Zawsze dobrze się rozumieli, często bez słów (słowa to było ostatnie, po co informatyk sięgał), dlatego telefon był naprawdę przyjemną niespodzianką.

– Wiesz, teraz mieszkam w Warszawie, ale pojawia się od czasu do czasu we Wrocławiu, bo mamy tutaj strategicznego klienta, którego trzeba dopieszczać, i teraz właśnie przyjechałem. Może skoczylibyśmy gdzieś?

No, Artur był z gatunku tych, co to i do tańca, i do różańca, a ponieważ tańczyć nie umiał, a różaniec wychodził mu jeszcze gorzej, pozostawało wyjście na piwo. To w jego towarzystwie sprawdzało się zawsze. Krzysztof zgodził się więc bardzo chętnie. Poinformował Julię, jak się sprawy mają i że dziś w domu pojawi się później (albo w ogóle późno), Julia powiedziała, że nie ma problemu, bo i tak ugrzęzła z robotą, nie zanosz się więc, by i ona jakoś szczególnie wcześniej zawitała na Rakietową.

Z Arturem umówili spotkanie na ulicy Kurkowej, tuż przy Odrze, gdzie ostatnio wybudowano dwa niezwykle ciekawe architektonicznie apartamentowce i ktoś inteligentny zadbał, by można tam było również usiąść i coś zjeść tudzież wypić. Sama Kurkowa stała się sławna po tym, jak Steven Spielberg zdecydował, że w jego filmie *Most szpiegów* będzie udawać Berlin, wybrał ją jednak zupełnie nie ze względu na nowe budynki, tylko na to, co reprezentowała sobą poza nimi. Berlin miał być bowiem powojenny i zrujnowany. Kurkowa wywiązała się świetnie i nawet nie trzeba było jej szczególnie charakteryzować, co akurat niezbyt dobrze o niej świadczy, ale sława jest sławą i nie ma co dalej drążyć.

Siedzieli więc sobie teraz przy Kurkowej trzynaście, pili piwo i splatali na nowo nieco poszarpaną i raczej poluzowaną nić przyjaźni. Patrzyli na Odrę i na to, co za nią, a ponieważ na drugim jej brzegu piętrzyły się charakterystyczne dla Wrocławia kominy elektrociepłowni, wzrok siłą rzeczy zatrzymywał się głównie na nich[15]. Trzeba przyznać, że samej lokalizacji apartamentowców dodawało to charakteru, bo jedną nogą jakby stały na owianym złą legendą Nadodrzu, ale drugą jednak nie, przezornie utrzymując lekki dystans.

– No to jak tam, obywatelu, w waszym życiu osobistym – zapytał Artur, parafrazując słynny cytat z *Misia*. – Jak tam Julka? – dodał, albowiem Julię zdążył poznać i zapamiętać.

– Ech, Julia, Julia – westchnął Krzysztof i uśmiechnął się do jakichś wewnętrznych myśli.

– Julka piękna jak zawsze. Pamiętasz ją, zawsze była laska i teraz też jest.

– Chłopie, zapomnieć się nie da, wierz mi.
– Właśnie. No więc Julka bardzo dobrze sobie radzi, karierę w bankowości robi, jest dyrektorką regionu.

– Fiu, fiu.

– Żebyś wiedział, stary, fiu, fiu. Jakiś czas temu kupiliśmy mieszkanie na Muchoborze...

– Gdzie? – przerwał Artur.

– Na Rakietowej. Wiesz, gdzie to jest?

– No jasne. Jak się jedzie na Smolec?

– Dokładnie tam. Cztery pokoje, strzeżone osiedle, podziemny garaż, duży taras. Piękna rzecz. Na kredyt, ale Julka sporo zarabia, no i mieliśmy oszczędności.

– We frankach?

– Na szczęście nie. W złotówkach.

Artur pociągnął z kufła porządny łyk.

– To się pozmieniało od studenckich czasów, co nie?

– Oj, pozmieniało, pozmieniało. Zgodnie sobie żyjemy, stary, spokojnie. A ty?

– A ja nawet żonaty nie jestem. To znaczy, już nie jestem. Coś tam się potem zaczynało kilka razy, ale nigdy nie wyszło poza epizod. Dopiero teraz niedawno... To już taka poważniejsza historia. Magda. Może to głupio zabrzmie, ale mam wrażenie, że przez cały ten czas, no wiesz, jakoś tak zmierzałem w jej kierunku. Bardzo naokoło, ale jednak. A teraz wreszcie jesteśmy razem. Może więc tak ma być?

– Nie mnie o tym sądzić, ale czasem sobie myślę, że to my sami decydujemy, jak ma być.

– Może i tak. A wy nadal tak tego, wiesz, kościelnie działacie? – Artur szybko zmienił temat.

– Oczywiście. Tutaj nic się nie zmieniło. Jak pewnie pamiętasz, poznaliśmy się z Julką w Wawrzynach. Kojarzysz to duszpasterstwo akademickie? Ksiądz Orzechowski? No właśnie. I to tak trwa. To znaczy, nie przychodzimy już na wspólne spotkania ze studentami, ma się swoje lata. – Nauczyciel historii lekko się uśmiechnął. – Ale jest duszpasterstwo małżeństw i rodzin w ogóle. Spotykamy się raz na miesiąc, czasem coś razem organizujemy, gdzieś tam wyjedziemy od czasu do czasu. Jak okoliczności pozwolą, wiesz, jak jest.

– Macie dzieci?

Krzysiek przez chwilę się nie odzywał, obracał tylko w rękach na wpół pusty kufel i przyglądał mu się z uwagą, jakby pierwszy raz w życiu trzymał w rękach szklane naczynie.

– Z dziećmi to jest, chłopie, trochę bardziej skomplikowana sprawa...

Z początku, rzecz jasna, nic nie zapowiadało kłopotów. Na horyzoncie zdarzeń królował niezmacony najmniejszą chmurką błękit, trwał czas studiów, a wtedy, jak wiadomo, o dzieciach się nie myślało. Ważna była obrona pracy, do czego Krzysiek, jako że był trzy lata starszy od Julii, przystąpił wcześniej, ważne było znalezienie odpowiedniej pracy, by budowanej wspólnie najmniejszej komórce społecznej zwanej rodziną zapewnić odpowiednie fundamenty ekonomiczne.

Nie to, że nie chcieli. Chcieli, oczywiście, że chcieli, wiele razy o tym rozmawiali i nigdy w swoich marzeniach nie zatrzymywali się na jednym potomku. Było dla nich jasne, że dzieci ma być co najmniej dwoje. Co najmniej. Nie odkładali też decyzji w nieskończoność, po prostu jako ludzie odpowiedzialni nie chcieli działać nieroztropnie. Julka skończyła Uniwersytet Ekonomiczny i rozpoczęła pracę w sektorze bankowym, gdzie ku niejakiemu zaskoczeniu dla niej samej poczuła się pewnie i w swoim żywiole. Kiedy podpisała kolejną umowę na czas nieokreślony, uznali, że to jest właściwy moment, by postarać się o powiększenie rodziny. Miała wtedy dwadzieścia siedem lat.

Przez następne lata obserwowali, jak znajomym z duszpasterstwa rodziły się kolejne dzieci. Niektórzy mieli trójkę, niektórzy nawet czwórkę i nic nie wskazywało na to, by planowali na tym poprzestać, a Julia... A Julia odwiedzała kolejnych lekarzy. Seria badań, na które poszły niemałe pieniądze, wykazała, że jeśli kiedykolwiek zajdzie w ciążę, należałoby to traktować w kategorii cudu i ruszyć na stosowną pielgrzymkę do odpowiedniego miejsca, najlepiej na kolanach i z jakimś solidnym obciążeniem w postaci krzyża zbitego z małych drzewek.

Matka Krzysztofa, jako osoba głęboko wierząca i ostentacyjnie praktykująca, nie omieszkła przy okazji spotkań rodzinnych informować, że nie ustaje w modlitwach, przy czym nigdy nie zapominała zapytać, jakie są rezultaty jej starań. A rezultaty były nieodmiennie negatywne. Matka postanowiła zmienić nieco taktykę i pielgrzymek duchowych przerzuciła się na takie z prawdziwego zdarzenia.

Odwiedziła Lourdes, Medjugorie, Jerozolimę, nie wspominając o Częstochowie czy Licheniu, po czym zamieniała się w oczekiwanie, by przy najbliższej okazji zapytać o to, na co spodziewała się otrzymać zupełnie inną odpowiedź. Odpowiedź jednak, niestety, zawsze była ta sama. Julia wściekała się i zwierzała swojemu mężowi z poczucia osobistej porażki i świadomości bycia półkobietą. Męczyło ją wiecznie padające „No, a kiedy wy?” ze strony ludzi o życzliwych zamiarach, którzy nie mieli jednak pojęcia o toczącej się od lat ciągle przegrywanej walce, nie zdawali więc sobie sprawy, że ich słowa są jak posypywanie ran solą. Niesamowite, jak wielu zniszczeń są w stanie dokonać ludzie, którzy zaczynają zdanie od „chciałem dobrze”.

Lekarze sugerowali zastosowanie metody *in vitro*, nie dawali jednak żadnej gwarancji, że ciąża się utrzyma, zwłaszcza na swoim najwcześniejszym etapie.

Ponieważ dla Krzysztofa i Julii z racji ich przekonań religijnych *in vitro* nie wchodziło w grę, wcześniej czy później musiał więc wypłynąć temat adopcji. Wypłynął, rzecz jasna, jakże by inaczej, podczas rodzinnego spotkania, a inicjatorką nowego spojrzenia na poszerzenie rodziny była właśnie mama Krzyśka, która dopiero co wróciła z kolejnej pielgrzymki i oprócz kolekcji zdjęć (pięknych, trzeba jej to przyznać) przywiozła też nowe pomysły i sugestie działania. Młoda pani Michałkiewicz na początku wściekła się straszliwie i powiedziała, że co za dużo, to niezdrowo, troska troską, ale na takie ładowanie się z buciorami w jej życie zgody nie daje.

Teściowa załamała ręce i wybuchnęła płaczem, bo przecież ona chciała dobrze i ona przecież wszystko dla nich robi i ich losem żyje, i niczego ważniejszego dla niej nie ma, jak tylko ich szczęście, które płynąć może z dziecka posiadania. Miłe z początku spotkanie rodzinne przerodziło się w niezłą awanturę, w której ostre słowa fruwały nie gorzej niż talerze.

Przez pewien czas panowały ciche dni między oboma pokoleniami Michałkiewiczów, aż zupełnie nieoczekiwanie Julia oznajmiła, że ona jak najbardziej chce adoptować dziecko. Mało tego, przyjmie dziecko niepełnosprawne, ciężko chore lub nawet umierające, takie, które „wróżka adoptuszką” z zasady omija szerokim łukiem. Zaskoczyła tym wszystkich, łącznie z własnym mężem, który z początku nie chciał na to przystać, ale widząc determinację żony, szybko skapitulował i przyjął jej wizję świata za swoją.

Julia, jak to miała w zwyczaju, z miejsca przeszła od słów do czynów i przygotowania do trudnej adopcji ruszyły pełną parą. Teściowa nieco zdezorientowana na początku eksplodowała szczęściem, a gorące modlitwy kierowała teraz ku niebiosom w intencji swojego przybranego wnuczka *in spe*. Pękała z dumy, że Bóg powołał jej dzieci do pełnienia tak szlachetnej misji. Pielgrzymki trwały nadal, jednak ich wydźwięk z błagalnych zmienił się w dziękczynne.

Wśród znajomych z duszpasterstwa Julia i Krzysztof zyskali opinię bohaterów, ksiądz stawiał ich za przykład, jak wielką miłość w człowieku potrafi wzniecić Chrystus, stali się wzorem do naśladowania, podnieśli poprzeczkę tak wysoko, że ciężko było do niej doskoczyć.

W miarę upływu czasu postać dziecka zaczęła się konkretyzować i wyglądało na to, że zamieszka z nimi Staś, niepełnosprawny czterolatek z porażeniem mózgowym i wadą serca.

Informatyk wysłuchał wszystkiego i przez pewien czas nic nie mówił.

– No, bracie, teraz toś przywalił.

Kolega pokiwał głową.

– Wiesz, jeszcze sporo załatwiania przed nami. Nie tak prosto adoptować niepełnosprawne dziecko. To nie jest tak, że przychodzisz, a oni: „Jasne! Bierzcie! Dołożymy drugie w promocji!”. To potrwa. Dziecko jeszcze nas nie zna. Zresztą nie wiem, czy cokolwiek by zrozumiało. Ze względu na swoją niepełnosprawność.

Stary kumpel z dawnych lat milczał nieco dłużej niż poprzednim razem. Potem spojrzął na Krzysztofa i znowu milczał. W końcu podrapał się po głowie i pociągnął spory łyk, nie wiadomo już którego z kolei piwa.

– Stary, a teraz powiedz mi wyraźnie to, o czym mi nie mówisz.

Krzysztof westchnął.

– Jakby to ująć? To nie jest tak, że ja się nie cieszę. Cieszę się bardzo, cieszę się jak wariat, bo moja żona wreszcie będzie szczęśliwa. Jak ona będzie szczęśliwa, to i ja będę, a zresztą, wiesz, ja bardzo chciałbym mieć dzieci i boli mnie to, że ona ich mieć nie może. Ja mogę. Bez problemu. Pierwsze, co zrobiłem, to się przebadalem, więc wiem.

– Ale...

– No właśnie, zawsze jest jakieś „ale”. Julka to cudowna osoba, ale kiedy się za coś zabiera, zawsze idzie na całość. Rozumiem, że praca w banku na odpowiedzialnym stanowisku może mieć tu wpływ. Nie odpuszcza. Wiesz, o czym mówię?

– Szczerze mówiąc nie bardzo, trochę przybliż.

– To inaczej. Mieszkanie mamy czteropokojowe. Apartament. Wystarczyłyby nam trzy pokoje, nawet dwa, ale ona uparła się na cztery. Lokata kapitału i takie tam sprawy. Stać nas było, żadnego wypruwania żył, po prostu Julka takie wybrała i już. Każdy, kto do nas przychodzi... À propos, byłeś u nas? Nie? To też musisz wpaść. No więc każdemu, kto do nas przychodzi, opada kopara. Ach, jakie piękne mieszkanie, jaki taras, jaki garaż, ajajaj. Przy okazji Światowych Dni Młodzieży nocowało u nas sześć osób. Normalnie ludzie przyjmowali jedną czy dwie osoby. Julia zgłosiła, że weźmie osiem. Przyszło sześć, też dużo.

– Bracie, jak pomyślę, jakie imprezy można u was robić...

– Przecież! Imprezy miewamy, a jakże, domówki na Sylwestra, wiesz, jak jest. Ilu ludzi u nas spało, to nie zliczę. Nawet znajomi księża nocowali, poważnie.

– No to fajnie przecież.

– Fajnie, nie mówię, że nie, ale nie w tym rzecz. Weźmy wycieczki zagraniczne. Jeździmy, stać nas. Moja pensja to bardziej tak na waciki, ale Julka naprawdę nieźle zarabia. Jak myślisz „wycieczka zagraniczna”, to co ci się najpierw nasuwa?

– No, Grecja, Włochy, Chorwacja, Hiszpania, Egipt, Tunezja...

– Wystarczy. Mongolia raczej się nie pojawia, prawda? Albo Madagaskar. Nie mówiąc o Spitsbergenie.

– No nie mów!

– Właśnie mówię. Julka wyruszy zawsze w kierunku przeciwnym niż większość Polaków. I to jest super, nie powiem, robi wrażenie na ludziach. Gdzie byłeś na wakacjach? Na Spitsbergenie. Gdzie?! No wiesz, stary, obserwowałem niedźwiedzie polarne i zorze, musisz kiedyś spróbować mieszkania w stacji badawczej, gorąco polecam. Wszyscy walą do Chorwacji, a my ziu, na stepy Mongolii i dwa tygodnie w siodle od jurty do jurty. Taki surwiwał. Piękna sprawa, żebyś ty zdjęcia zobaczył, tylko że...

– Tylko że czasami człowiek chciałby tak zwyczajnie, po plebejsku wygrzać zwłoki w jakimś Pacanowie czy innych Konewkach?

– Otóż to! I teraz jeszcze kwestia adopcji. Sam ją namawiałem, bo jak wiesz, z początku była przeciwna, a w naszym przypadku in vitro pod uwagę nie bierzemy. Myśl sobie, co chcesz, nie i koniec. Sugerowałem, rozmawialiśmy, mówiłem, że chciałbym, że wierzę, że pokocham jak własne, że inną drogą do tego samego celu, bla, bla, bla. I teraz, kiedy się zgodziła, od razu poszła na całość. Ciężko chory Staś.

Artur zawiesił wzrok na kominach elektrociepłowni, a właściwie na rozmieszczonych wzdłuż nich mrugających światłach, ponieważ zdążyło zrobić się ciemno.

– Chyba łapię. Jakbyś nieustannie startował w zawodach o wszystko?

– Stary, lepiej tego ująć się nie da. Aż sobie wezmę kolejne piwo.

[15] Kominów oryginalnie było trzy. W czasie pisania tej książki do autorki doszła ścinająca krew w żyłach wiadomość, że jeden z kominów jest już właśnie rozbierany od środka, a za moment prace przeniosą się na zewnątrz i charakterystyczne trzy dymiące tyczki zmienią się w dwie. Autorka najpierw załamała ręce, a potem zareagowała prawidłowo, czyli sięgnęła po aparat fotograficzny. Spieszmy się fotografować kominy, tak szybko odchodzą.

4.

Łukasz wytoczył już najcięższe działa, ustawił w jednej linii wszelką możliwą artylerię swojego męskiego uroku osobistego i z przerażeniem obserwował, że wszystkie tak starannie wystrzelwane pociski rozbijają się o niezdobyte mury pięknej dyrektor regionu. Dramat.

Wił się jak piskorz pod jej przenikliwym spojrzeniem (a ponieważ nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło, czuł się w tej sytuacji podwójnie nieswojo) i nie pomagał mu fakt, że dyrektor oddziału, w którym pracował, też uczestniczył w rozmowie i obserwował Łukasza nie bez pewnej satysfakcji. Przeklinał nacisk na transparentność powodujący, że ścianki działowe wszystkich pomieszczeń, w których pracował personel, były ze szkła, przez co jego koledzy i koleżanki kursujący do ustawionej na tyłach bankowej drukarki, skanera, faksu i Bóg jeszcze wie czego, w jednym mogli oglądać jego mocno niewyraźną minę.

Łukasz nie wiedział, czy nie ulega pewnemu złudzeniu, ale odniósł wrażenie, że współpracownicy, odkąd zaczęła się jego rozmowa z dyrektorką, biegają do tego faksu podejrzanie często i każdy jakoś tak mimochodem na nich spogląda.

– Łukaszu – zaczęła po raz nie wiadomo który Julia i Łukasz poczuł, że wypowiada jego imię w taki sposób, jakby zaraz kazała mu wyciągnąć otwartą dłoń, żeby w nią plasnąć linijką. – Łukaszu, pracujesz u nas od niedawna, prawda?

– Tak.

– Dobrze. Nie na tyle jednak od niedawna, żebyś nie wiedział, jakie u nas obowiązują reguły. Jedną z takich reguł, wpływających na obraz banku jako całości, jest na przykład punktualność.

Łukasz zbladł, choć wydawałoby się, że uzyskanie jeszcze jaśniejszego odcienia skóry nie będzie już możliwe. Zaczął w umyśle gorączkowo kartkować kartoteki swoich współpracowników, żeby wytypować najbardziej prawdopodobnego donosiciela.

– Co zamierzasz zmienić w tej materii, Łukaszu?
– Eeee, to jest, zdarzało mi się spóźniać, ale tylko czasami.
– Łukaszu, ja zadałam ci wyraźne pytanie i oczekuję na nie konkretnej odpowiedzi. Jakie działania podejmiesz, żeby wyeliminować swoje spóźnienia do zera?

To straszne. Takiego przebiegu rozmowy zupełnie się nie spodziewał. Szalenie atrakcyjna dyrektorka, w opiętej, ołówkowej spódnicy, podkreślającej jej cudne nogi od ziemi do, ach, raju, w białej, koszulowej bluzce, rozpiętej na tyle, by było to zgodne z *dress code*m, ale też na tyle, by zerkający nabral chęci rozerwania w diabły wszystkich guzików i przekonania się, czy założyła biustonosz, z kosmykiem blond włosów figlarnie wymykającym się z perfekcyjnie upiętego koka i spadającym na twarz, który raz po raz odgarniała za ucho, doprowadzała go do szafu umiejętnym połączeniem seksapilu i mrozącego krew w żyłach spojrzenia służbistki. Doskonała, piękna i bezwzględna jak T-1000 z *Terminatora*.

Rzucił okiem w kierunku swojego bezpośredniego przełożonego i milcząco wzywał pomocy, ale ten udawał, że niczego nie dostrzega, symulując sporządzanie jakichś niezwyklej wagi notatek służbowych w terminarzu, który trzymał przed sobą. Jak w szkole.

– Będę wcześniej wstawał, pani dyrektor.
– Łukaszu, w naszym banku wszyscy mówimy sobie po imieniu.
– Będę wcześniej wstawał... Julko.
– Julio. – Cios był szybki, a temperatura w pokoju spadła do zera.
– Julio... – powtórzył.
– Szymonie, zanotuj, proszę – zwróciła się do dyrektora oddziału. – By przez najbliższy miesiąc godzina przyjścia Łukasza była skrupulatnie odnotowywana. Wyznacz, proszę, pracowników, którzy tego dopilnują. Proszę też, by było to przez ciebie skonfrontowane z nagraniami monitoringu. Co tydzień raport do mnie, a po miesiącu ocenimy efekty naszych działań i zastanowimy się, jakie kroki podjąć dalej.

Jeszcze trochę, a głowa Szymona odpadłaby od gorliwego potakiwania.
– Chcecie mnie zwolnić? – Oczy Łukasza zrobiły się okrągłe.
– Ależ Łukaszu. – Julia uśmiechnęła się zniewalająco i głęboko spojrzała rozmówcy w oczy spod wachlarza rzęs. – Nikt tego nie powiedział. Zależy nam tylko na dbałości o standardy, zwłaszcza w obliczu zbliżającego się rankingu „Newsweeka”. W tamtym roku zajęliśmy czwarte miejsce, najgorsze dla sportowca, bo pierwsze za podium, czyli spadliśmy o dwa miejsca w stosunku do roku wcześniejszego. Stawiamy mocny nacisk na to, by ta sytuacja się nie powtórzyła. Czy wyrażam się jasno?

– Oczywiście.
– Dobrze. – Julia zerknęła w papiery. – Porozmawiajmy teraz o twoich wynikach. Jedna trzecia kwietnia praktycznie za nami. Ile procent planu masz wykonanego do tej pory?

Łukasz spojrzał niepewnie na Szymona. Ten zerknął do laptopa.
– Piętnaście procent, Julio – pospieszył z informacją.
– Piętnaście procent. Jeśli to tempo się utrzyma i nic się nie zmieni, to na koniec miesiąca będziesz miał czterdzieści pięć procent. To zdecydowanie za mało. Jak zamierzasz zmienić ten wynik na sto procent?

Nastąpiło poprawianie krawata, lekki wyprost, zmiana nogi na nogę i spojrzenie, które nosiło w sobie taki ładunek słodczy, że gdyby mogło, zmieniłoby Julię w słup lukru, zamiast w słup soli.

– No tego, ten, no – zaczął Łukasz. – Mam umówione jedno spotkanie – ciągnął. – Znaczą kilka spotkań mam umówionych – ciągnął wytrwale Łukasz. – Te spotkania mam już niedługo – nie ustawał. – i dalej to zobaczymy – zakończył, po czym wypuścił powietrze z płuc.

Julia przez chwilę nic nie mówiła.

– A te spotkania będą dotyczyć?

– Kredytów.

– Na kwoty?

– Pięć... to znaczy dziesięć tysięcy. Lub coś.

– Lub coś?

– Tak.

– Lub co?

Łukasz przewrócił oczami.

– Lub piętnaście. Z ubezpieczeniem.

– I nic więcej?

– No, to znaczy, nie tak zupełnie nic, za każdym razem proponuję klientowi wykupienie ubezpieczenia inwestycyjnego, bo przecież ranking jest, prawda.

– I z jakim skutkiem proponujesz?

– Zdarzało się, że z pozytywnym.

– Informujesz ich, oczywiście, o ryzyku inwestycyjnym, jakie się wiąże ze skorzystaniem z takiej opcji?

– Jak, do cholery, mam zrobić plan, jeśli będę wszystkich o wszystkim informował i pokazywał im paluszkami, na co mają uważać?! Klient jest przecież dorosły! – Łukasz nieoczekiwanie wybuchnął, ale zaraz się zmiłgował. – Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć.

– Łukaszu, nie wiem, co chciałeś powiedzieć i nie wnikam w to. Musisz jednak wiedzieć, w jaki sposób zrobisz budżet. Pamiętaj, że oddział też musi zrobić plan i bez ciebie nie będzie to możliwe. To, o czym wspomniałeś, te spotkania, zdecydowanie nie wystarczą. Musisz dać z siebie wszystko, tego od ciebie oczekujemy. Rozumiesz?

– Tak – zgodził się potulnie Łukasz.

– Łukaszu, na koniec naszej rozmowy proszę cię tylko o jedno. Zastanów się, spójrz na siebie i stań w prawdzie.

– Stań w prawdzie? W jakiej prawdzie?

– Jeśli nie będziesz mi przerywał, to się dowiesz. Stań przed samym sobą w prawdzie i zadaj sobie pytanie, czy ty jesteś tą osobą, z którą chcemy dalej współpracować. Bądź wobec siebie szczery. Czy jesteś tą osobą?

Ciszę, jaka zapanowała w pomieszczeniu, dałoby się pokroić na kawałeczki. Szymon zamarł na wdechu, z długopisem wzniesionym nad terminarzem i z oczami utkwionymi w swoim pracowniku. Ten milczał dłuższą chwilę i wpatrywał się w swoje ręce.

– Tak – odezwał się w końcu. – Jestem tą osobą. Będę miał sto procent planu na koniec miesiąca.

– Brawo, Łukaszu, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć – odparła Julia i zakończyła spotkanie.

Łukasz opuścił gabinet dyrektora i mokry jak szczur udał się na zaplecze socjalne. Połowa oddziału niby przypadkiem weszła tam zaraz za nim, nie mogąc się doczekać, aż wzięty na męki zda im relację z izby tortur.

Dyrektor placówki na Bema zamienił jeszcze parę zdań ze swoją piękną zwierzniczką, pomógł jej włożyć płaszcz, po czym gnąc się w ukłonach i ścieląc przed nią metaforyczne czerwone dywany, odprowadził do samych drzwi oddziału. Odwracając się, odkleił z twarzy służbowy uśmiech i dyskretnie otarł pot z czoła.

5.

Julia poczuła się nagle bardzo, ale to bardzo zmęczona. Zjechała windą do podziemnego parkingu pod „zagłębieniem bankowym”, stanęła przy swoim służbowym samochodzie i czuła, że nie ma siły się ruszyć. Nie tylko nie zrobi ani jednego kroku więcej, nie jest w stanie nawet nacisnąć pilota, by otworzyć drzwi auta. Nie i koniec. Stała i patrzyła nieobecny wzrokiem na siedzenia samochodu, po czym bardzo powoli przyłożyła czoło do zimnej maski.

Nienawidziła takich rozmów, jak ta przed chwilą.

Musiała je przeprowadzać, bo tego od niej wymagano. Wymagano też raportów z realizacji wyników sprzedaży w poszczególnych oddziałach i prognoz na realizację nałożonych planów. Od tego, czy te plany będą realizowane, czy nie, zależało jej stanowisko. Bank jakiś czas temu, tnąc koszty, ograniczył zatrudnienie kadry kierowniczej i nic nie stało na przeszkodzie, by zredukować ją jeszcze bardziej. Albo zastąpić Julię na stanowisku kimś bardziej zmotywowanym i głodnym sukcesów. Mocniej niż ona. Mimo że ambicji, determinacji i zawziętości nie można jej było odmówić.

Mój Boże, ci wszyscy przerażeni pracownicy szeregowi, te durne pytania, które musi im zadawać i czuje się przy tym jak idiotka, ale raport jest raportem i nie ma zmiłuj. Ci dyrektorzy oddziałów, którzy starają się zaklinać rzeczywistość i przyciskają potem swoich podwładnych do muru. Nie może już na nich patrzeć, nie może!

Kiedy zaczynała swoją pracę w banku, była zachwycona wyzwaniem, kreatywnymi rozwiązaniami, rozwojem, perspektywami, nagrodami, jakie otrzymywała za spełnianie oczekiwań. Z czasem jednak okazało się, że dawać wystarczająco dużo zawsze oznacza dawać za mało. Nawet całkowite podporządkowanie życia pracy nie zmienia niczego, to również okazuje się za mało. Bo jeśli ktoś daje z siebie tak dużo, świadczy o tym, że może włożyć w pracę jeszcze więcej. Czuła, jakby codziennie stawiała na starcie maratonu i nie liczyło się dobiegnięcie do

metry. Liczyło się tylko i wyłącznie zwycięstwo.

Och, spełniała oczekiwania, a jakże. Dobięgała do mety niezmiennie na pozycji liderki. To dlatego przetrwała redukcję zatrudnienia, a nawet awansowała. Była szorstka, niezwykle wymagająca i nieprzystępna dla dyrektorów placówek, bo to dawało, jeśli nie gwarancję, to spore prawdopodobieństwo, że oni tę samą metodę zastosują względem swoich podwładnych.

Wiedziała, że nazywają ją „zimną Julią” i „czarną mambą”, wróble zawsze ćwierkają za głośno, ale nic sobie z tego nie robiła. Przeciwnie, schlebiali jej to. Była dobra, miała wyniki, nawet w obliczu coraz bardziej rosnących wymagań. Olimpijską zasadę – takie miała wrażenie – „szybciej, wyżej, mocniej” doprowadzono do absurdu, ale, o dziwo, zawsze się okazywało, że można szybciej, można wyżej i można jeszcze mocniej. Człowiek był jednostką niezwykle plastyczną, zdolną znieść obciążenia teoretycznie ponad jego siły. Teoretycznie. Praktyka pokazywała, że sił miał zawsze dość.

Julia, trzymając cały czas czoło oparte o szybę samochodu, miała jednak wrażenie, że dotarła do ściany. Już nie może szybciej, nie może wyżej ani mocniej. Nie tylko w sferze zawodowej. Tak po prostu. Czowała, że choćby nie wiem co, musi zejść do szatni. Albo zwariuje.

– Przepraszam, czy coś się stało? – usłyszała tuż za swoimi plecami.

Odwrociła się gwałtownie. Młody mężczyzna patrzył na nią z niepokojem i za bardzo nie wiedział, co ze sobą zrobić.

– Nie, nie, nic się nie stało. Musiałam chwilę odpocząć.

– Może panią gdzieś podwieźć?

– Nie, nie, dziękuję, wszystko w porządku. Dam radę prowadzić, jeśli o to panu chodzi.

– Tak tylko pytałem...

Mężczyzna wycofał się w głąb parkingu. Ona, jakby kierowana chęcią udowodnienia, jak bardzo wszystko gra, wsiadła szybko do auta, przekręciła kluczyk w stacyjce i wyrwała z piskiem opon, co było dość ryzykowne, jeśli wziąć pod uwagę ciasnotę podziemnego parkingu. We wstecznym lusterku widziała mężczyznę, który stał i przyglądał się jej.

Wyjechała na górę i włączyła się do ruchu. Sto metrów dalej stanęła na czerwonym świetle i czekała na skręt w prawo w ulicę Poniatowskiego i potem Drobnera. W pewnym momencie poczuła, że musi zrzucić z siebie ciężar codzienności. Koniecznie. Inaczej, jeśli zabierze go ze sobą do domu (Do jakiego domu? Jeszcze wizyta w kilku oddziałach, a potem znowu w siedzibie regionu!), to załamie się pod nią podłoga. Nie, musi się zresetować natychmiast i nawet wie, jak to zrobić.

Ruszyła spod świateł z piskiem opon, jak tylko zmieniły się na zielone, gwałtownie skręciła w prawo i wybrała pierwszy numer ze spisu kontaktów. Poinformowała wszystkie oddziały po kolei, że dzisiaj już do nich nie przyjdzie, bo wypadło jej coś nieoczekiwane. Wizytę przekłada na przyszły tydzień. Z drugiej strony słuchawki przez słowa rozczarowania, no bo ależ szkoda, no bo chcieliśmy się z tobą zobaczyć, no bo zależy nam na twoich odwiedzinach, wyczuwała wyraźne poczucie ulgi jak u skazańca, któremu odroczone wykonanie wyroku i może sobie jeszcze przez pewien czas istnieć, a nawet zachować nadzieję na łaskę (bezczelność ludzka nie zna granic). Doskonale znała ten ton. Zawsze się pojawiał. Trzymała w końcu swój region żelazną ręką.

Po wysłuchaniu wszystkich łatwych do przewidzenia formułek wybrała jeszcze jeden numer.

– Cześć, tu Julia. A dziękuję, w porządku. Dzwonię, bo chciałam zapytać, czy znalazłbyś trochę czasu, żeby pogadać. Nie, nic takiego, po prostu czuję, że potrzebuję rozmowy. Chyba że masz urwanie głowy... Możesz? To świetnie. Będę za pół godziny, pasuje ci? Nie, spokojnie, nie mam nic zaplanowane, ale miło, że pytasz. Za pół godziny? Super. Widzimy się. Cześć!

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do siebie. Jest naprawdę nietypowa i na opak. Jej koleżanki na stanowiskach relaksowały się w ramionach kochanków, jej koledzy z banku często gęsto miewali romanse i w ten sposób rozładowywali napięcie (zwłaszcza na konferencjach i szkoleniach wyjazdowych, które – żadna tajemnica – sprzyjały miłosnym skokom w bok), a ona jedzie porozmawiać z księdzem. Jakby o tym wiedzieli, padliby na zawał.

6.



Ksiądz Waldemar mógł się uważać za szczęśliwca.

Po pierwsze, zaraz po święceniach kapłańskich trafił do dużego miasta, a nie gdzieś do wioski zabitej dechami, gdzie owce na hali be, be, be, be, be. Nic nie miał przeciwko wioskom, z takiej się wywodził, jednak nie trzeba szczególnej inteligencji, by dojść do wniosku, że w mieście więcej się dzieje, a co za tym idzie, jest dużo możliwości do działań duszpasterskich. Miasto to więcej inicjatyw i więcej ludzi, problemów też co prawda więcej, ale i rozproszone w większej społeczności, czyli *per saldo* wychodzi na to samo.

Po drugie, trafił na porządnego proboszcza, który nie tylko nie torpedował jego działań, ale jeszcze służył mu wsparciem i radą.

Ksiądz Waldemar nie żył na pustyni, utrzymywał kontakty ze swoimi kolegami z seminarium, dlatego właśnie wiedział, że miał szczęście. Przygarnął pod swoje skrzydła dogorywającą grupkę duszpasterstwa akademickiego, którą wskrzesił, tchnął w nią nowy entuzjizm i sprawił, że się bardzo rozrosła. Postęp przeszedł nawet jego najśmielsze oczekiwania. Chcąc nie chcąc, Waldemar stał się sławny, jeśli nie na cały Wrocław, to przynajmniej na większą jego część, a studenci walili drzwiami i oknami na jego msze, podczas których głosił niezapomniane kazania – krótkie, a treściwe. Właściwie ciężko byłoby znaleźć drugiego człowieka, który w tak małej ilości słów byłby w stanie zmieścić tak głęboki przekaz.

Ponieważ technika poszła naprzód, na czas kazania studenci uruchamiali nagrywanie w swoich telefonach, a nauki księdza krążyły potem w sieci, bijąc rekordy popularności, by następnie przejść w stadium memów i sentencji, które zataczały jeszcze szersze kręgi.

Waldemar nie był showmanem, popularność przyjmował z godną podziwu pokorą, skutecznie opierał się wszelkim pokusom gwiazdorzenia i na przekór rozwojowi cywilizacji nie miał smartfona, a starą (ale jarą) nokię, oraz jeździł maluchem. Czerwonym. Jeździł zresztą

rzadko, ponieważ jego parafia znajdowała się w centrum miasta, linii tramwajowych było wokół w bród, na brak autobusowych też nie można było narzekać, ksiądz poruszał się więc komunikacją miejską, a auto służyło wyłącznie do wypadów poza Wrocław oraz ewentualnie jako rodzaj mikrodostawczaka na potrzeby duszpasterstwa.

Stale rosnąca liczba owieczek w jego studenckiej trzodzie napełniała Waldemara radością, ale najbardziej cieszył się z tych, którzy już dawno opuścili mury Alma Mater, a mimo wszystko utrzymywali z nim kontakt. Śledził ich losy, modlił się za nich, udzielał im ślubów, chrzczył ich dzieci, a to, że stworzyli zgrane, kochające się rodziny, napełniało go niezwykłą dumą. Przyłożył do tego rękę, nawet jeśli w niewielkim stopniu i zwyczajnie cieszył się z dobrze wykonanego działania.

Nie zdziwił się więc, że zadzwoniła Julia, i cieszył się na jej wizytę. Razem ze swoim mężem należała ona do starej gwardii, właściwie do najstarszego rdzenia duszpasterstwa, tych, których zastał tam na warcie, kiedy pojawił się w parafii, i dla nich zawsze znalazł czas.

– Kopę lat! Witaj, Julko! – zawołał, stojąc na progu plebanii. – Wejdz, wejdz, mam jakąś herbatę i ciasteczka.

Miasto miało jeszcze tę zaletę, że nikt nie chwycił za widły, kiedy młoda, piękna kobieta odwiedzała plebanię i młodego księdza. W końcu nie ona jedna. W mieście każdy miał swoje sprawy.

Julia weszła do skromnie urządzonego pokoju księdza, gdzie najwięcej miejsca zajmowały regały od podłogi do sufitu wypełnione książkami. Kapłan był z tego znany. Mógł sobie odmówić bardzo wiele, nie dbał o to, co je, ani co na siebie wkłada (poza sutanną, rzecz jasna), ale na dobrą książkę zawsze znalazły się pieniądze. Służył w związku z tym za parafialną bibliotekę, bo studenci nieraz przychodzili i pożyczali to i owo.

Julia usiadła w starym i – nie bójmy się tego słowa – nieco wyleniałym fotelu, a ksiądz podsunął jej kruche ciasteczka, po czym zajął się parzeniem herbaty. Kiedy wszystko było już gotowe, siadł sobie na krześle.

– To jak mogę ci pomóc? – zapytał.

Julia westchnęła.

– Właściwie nawet nie wiem, czy chodzi o pomoc. I głupio się czuję, muszę przyznać, bo zwyczajnie nie wiem, od czego zacząć.

– Najlepiej od początku.

– Ba! Trzeba wiedzieć, gdzie ten początek jest.

– Poszukałbym w sprawach najprostszych i drobnostkach, których jesteś pewna. W uczuciach jednoznacznych.

– Ech, łatwo mówić „najprostszych”. Nic nie jest proste w życiu, za to wszystko wydaje się strasznie skomplikowane – powiedziała Julia, a następnie postanowiła pomilczeć przez jakiś czas.

Ksiądz czekał cierpliwie, milcząc razem z nią i podejrzewając, że kobieta zbiera się w sobie. W końcu poruszyła się niespokojnie i zaczęła.

– Jestem zmęczona. Czasami... nie, nie czasami. Często. Coraz częściej wydaje mi się, że to, co robię, nie ma najmniejszego sensu. Brnę w jakąś ślepią uliczkę. Albo inaczej, stoję na krawędzi jakiejś przepaści i niewiele brakuje, by runąć. Och, to brzmi strasznie pretensjonalnie. – Zamachała rękami, jakby się ogarniała od natrętnych much i znów zamilkła.

– Słucham cię dalej.

– Właściwie nie mam nic więcej do powiedzenia. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak jest. No dobrze, mam dużo pracy, a bank, jak wiesz, to nie plaża, zwłaszcza stanowisko kierownicze. To na pewno stresujące. Ale przecież modłę się codziennie, modlimy się razem z Krzyśkiem,

staramy się być blisko Boga, szukać jego dróg, wypełniać jego wolę. Angażujemy się w różne dobre sprawy, chcemy adoptować Stasia, wiesz przecież, ale... Boże, przebacz, nie czuję się szczęśliwa! Mam wszystko, kochającego męża, wysokie stanowisko, piękne mieszkanie, pieniądze, figurę... przepraszam, że to mówię...

– Nie przepraszaj. To, że jestem księdzem, nie oznacza, że jestem ślepy. Falszywa skromność nie jest cnotą.

– No dobrze, mam świetną figurę, na dobrą sprawę mam wszystko. I nie jestem szczęśliwa. Trzeba mieć naprawdę nie lada pychę, by tak uważać. Nie sądzisz?

Ksiądz Waldemar spokojnie sięgnął po ciasteczko i siorbnął, próbując się napić gorącej herbaty. Przez pewien czas się nie odzywał. Julia wyraźnie zirytowana obracała w palcach swoją ślubną obrączkę. Zawsze tak robiła w chwilach zdenerwowania i zawsze ganiła się za ten odruch, bo przecież niejednokrotnie niewiele brakowało, a obrączkę, mówiąc wprost, trafiłby szlag i skrył niepamięci cud.

– Nie, nie sądzę. To zupełnie normalne uczucie – powiedział w końcu.

– Dla kogo normalne, dla tego normalne – burknęła Julia.

– Nie mówię, że jest w porządku. Nie jest. Nie bagatelizuję twoich uczuć. Chodzi mi o to, że w twojej sytuacji, w tym stanie, w którym się znajdujesz, to, co czujesz, jest zupełnie naturalne.

– No to co mam zrobić, żeby poczuć się szczęśliwą? Wreszcie szczęśliwą? Co mam zrobić, żeby nie doświadczać tego stałego poczucia pustki i wrażenia, że zapędziłam się w kozi róg. Co mam robić? Więcej się modlić? Inaczej się modlić?

– Nie, skąd. – Tym razem ksiądz Waldemar zamachał rękami. – Tu nie chodzi o ilość modlitwy, wierzę, że jest jej wystarczająco dużo. Tu chodzi o coś innego. Moim zdaniem, oczywiście, bo mogę tylko przypuszczać.

Sięgnął po kolejne ciasteczko. Ich ilość sukcesywnie malała. To była słabość Waldemara, wszyscy o tym wiedzieli – uwielbiał słodycze. Z roku na rok przybywało mu więc kilogramów i drobny facecik zaczął się wyraźnie zaokrągląć.

– Wiesz, jest taki film *Chłopaki nie płaczą*...

– No jest i co?

– I jest tam taki chłopak, Laska, który mówi taką znaną kwestię.

– Na miłość boską, myślałam, że posłużysz się cytatem z Pisma!

– Po Pismo zawsze można sięgnąć, ale tym razem odwołam się do filmu. No więc Laska mówi tak, że jeśli nie masz na utrzymaniu rodziny, nie jesteś Hutu ani Tutsi, to odpowiedz sobie na jedno za... wiadomo jak ważne pytanie: „Co chcę w życiu robić?”. A potem zacznij to robić.

– Tak, tak, znam to – westchnęła Julia. – Ale nie działa. Całe życie robię to, co chciałam robić, i jestem tylko coraz bardziej zmęczona.

– Myślę, że to, co mówi Laska, można śmiało połączyć z innym cytatem. Tym razem z Pisma – uśmiechnął się ksiądz.

– To chyba jakoś bardziej do mnie przemówi...

– Cytat jest ci znany: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”.

Julia przez dłuższy czas nie mówiła nic.

– Obawiałam się, że powiesz właśnie coś w tym rodzaju – odezwała się w końcu.

– Prawda, Julko, ma wiele twarzy, wiele wymiarów i wiele odcieni. Jest prawda przez duże P i jest prawda dnia codziennego. Miniprawda. To nie jest mniej ważna prawda czy półprawda, tylko prawda innej płaszczyzny. Spójrz na swoje życie, rozbierz je na czynniki pierwsze. Zastanów się nad tym, co robisz. I dlaczego to robisz. Ale coś tak czuję, że chyba jednak wiesz, w czym jest problem.

– Jest coś... Mój Boże, nawet nie wiem, jak to ubrać w słowa. Jest coś, do czego muszę się przyznać. Przed sobą samą. Przed innymi ludźmi. Przed Krzyśkiem...

– Odnajdź to, co w tobie prawdziwe. Zastanów się, gdzie jest prawda, a... gdzie jej nie ma. Od jak dawna dusisz to w sobie?

– Uwierzysz, jeśli powiem, że od kilku lat? – Julia rzuciła księdzu lekko zaniepokojone spojrzenie.

– Oczywiście. Właśnie dlatego masz już dość. Przychodząc tutaj, liczyłaś na to, że może się uda wykręcić założeniem plasterka, ale sama wiesz, że potrzebna jest operacja. I to chyba bez narkozy. Prawda wyzwala, Julko. I jeśli coś ma ci dać ukojenie, to właśnie odnalezienie jej po raz kolejny. Zwrócenie się w jej kierunku.

– Jak to zrobić, żeby nie bolało?

– Chyba się nie da. Musi zaboleć. Prawda wyzwala, ale to nie oznacza, że jest wygodna. Czasem bywa wcale niełatwa. Niełatwa do zaakceptowania dla siebie i innych. Czasem bywa bolesna, nawet bardzo. Przychodzi jednak taki moment, że człowiek czuje się postawiony pod ścianą albo jakby tkwił w kleszczach i jest gotowy przyjąć wszystko, byle tylko z tych kleszczy się wyrwać. Powinnaś zapytać samą siebie, czy jesteś gotowa na przyjęcie prawdy, nawet gdyby miała zaboleć.

Julia milczała przez dłuższy czas. Ksiądz też milczał, tylko co rusz mimowolnie sięgał po ciasteczko.

– Nie wiem, czy jestem gotowa – odezwała się w końcu. – Wiem jednak, że jeśli to dłużej potrwa, zwariuję. Jestem strasznie zmęczona. Wiem, co powinnam zrobić. Od dawna wiem. Od dawna jednak nie mam odwagi zmierzyć się z tym. Czeka mnie poważna rozmowa z Krzyśkiem. Nie wiem, jak on to przyjmie...

– To grubo.

– To grubo – przyznała Julia. – Właściwie to dałeś mi porządnego kopniaka w zadek.

– A śladów na ciele nie ma – zażartował ksiądz.

– No właśnie. Mistrz! – Julia się znów uśmiechnęła. – Dzięki, Waldek. Nie wiem jeszcze, czy jechać od razu do domu, czy wszystko sobie na spokojnie przemyśleć.

– Pośpiech nigdy nie jest dobrym doradcą. Podobno warto kuć żelazo, póki gorące, ale ja uważam, że trzeba się też trochę znać na kowalstwie. Poukładaj sobie, wystudź emocje. I działaj. Trudna prawda jest zawsze lepsza niż najatrakcyjniejsze kłamstwo.

– Ale... A jeśli... A jeśli przyznanie się do... czegoś... sprawi, że wszystko inne runie?

– A czy jesteś pewna, że runie?

– Nie jestem pewna. Ale jeśli... to czy w ogóle warto próbować?

– Bardzo trudne pytanie, Julka. Nie wiem, czy warto. Ty musisz o tym zdecydować, zrobić sobie prywatny rachunek zysków i strat. Być może coś się zawali. Pamiętaj, że, jak pisał ksiądz Twardowski, nie ma sytuacji na ziemi bez wyjścia. Gdy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno. Jeśli coś się zawali, może na zgłiszczach powstanie coś nowego? Zbudowanego na znacznie trwalszym fundamencie? Ryzyko jest wpisane w nasze życie. Nie da się go ominąć.

Julia wstała i sięgnęła po płaszcz. Z powrotem zawiązała na szyi jedwabną apaszkę, którą wcześniej zawiesiła na oparciu fotela. Ksiądz również podniósł się ze swojego krzesła i przyglądał jej się w zamyśleniu.

– Nie pomogłeś. I... pomogłeś – powiedziała.

– Julka, znam cię trochę i nie sądzę, że spodziewałaś się gotowej recepty czy instruktażu krok po kroku. Z medykamentem można nie trafić, a instrukcja bywa do bani. Mówisz, że wiesz, gdzie jest problem i co trzeba zmienić. Nie masz tylko odwagi, by zrobić ten krok, bo boisz się, że zbyt wiele stracisz. Nic na to nie poradzę. Musisz sama zdecydować, czy iść dalej. Pamiętaj

jednak, że zawsze masz we mnie przyjaciela i masz moje wsparcie. Zawsze możesz do mnie przyjść, a ja cię wysłucham.

– Wiem, Waldku, wiem. No dobrze, idę. Muszę to sobie wszystko dobrze przemyśleć.

– Poczekaj chwilę. Pomódlmy się na koniec razem o mądrość i siłę. Na pewno nie zaszkodzi.

Zmówili *Ojcze nasz* i Julia wyszła, a ksiądz uczynił za nią znak krzyża. Potem siadł w fotelu zwolnionym przez kobietę i sięgnął po ostatnie ciasteczko.

– No, no – powiedział do siebie. – Robi się interesująco. Ciekawe, jak to rozegra.

7.

Kwiecień nie był w tym roku łaskawy. Postanowił nikogo nie rozpieszczać, nie słodzić wiosną, jakby obraził się śmiertelnie na ludzkość i resztę przyrody. Uznał, że będzie lepiej, jeśli chluśnie porządnie deszczem, zatnie gradem, porwie w wichurze delikatne kwiaty drzew owocowych, zmuszając sadowników do załamywania rąk i rwania włosów z głowy. Śmiał się opętańczo, pchając przed sobą czarne chmury, łamiąc gałęzie i wnikając ze świstem we wszystkie szpary, w które tylko można wlecieć.

Nikt nie mógł czuć się bezpieczny. Ludzie zmyleni ciepłą końcówką marca z powrotem z niedowierzaniem wyciągali z szaf zimowe buty, czapki i puchowe kurtki. Przemykali przez miasto biegiem, kulili się na przystankach, przestępując z nogi na nogę i tupiąc w oczekiwaniu na tramwaj.

Nieliczni przechodnie podejrzliwie spoglądali na młodą kobietę, która w wiosennym prochowcu (wariatka!), z lekką apaszką przewiazaną na szyi bardziej dla ozdoby niż dla zatrzymania ciepła, siedziała na ławce nad Odrą, tuż obok kościoła na Piasku, przy Moście Tumskim, zwanym także mostem zakochanych. Kobieta wydawała się nie zwracać żadnej uwagi na porywający wiatr bezlitośnie niszczący jej fryzurę i targający włosy, jakby była nieczuła na przenikliwe zimno, które wdzierało się w rękawy i za kołnier z drobnym, irytująco kłującym deszczem. Siedziała bez ruchu i wpatrywała się w nurt Odry.

Wody było dużo. Tu i ówdzie zbierały się niewielkie wiry. Wrocławianie po wielkiej powodzi w 1997 roku nigdy nie pozbyli się podświadomego uczucia niepokoju, dlatego mętne wody największej z pięciu rzek przepływających przez stolicę Dolnego Śląska zawsze traktowali z rezerwą, jakby pod spokojną taflą czaiła się groźba. Odnowiony skwerek wyposażony w ławki sprzyjał rozmyślaniom i zawsze ktoś się tu kręcił. Zakochane pary upodobały go sobie i zatrzymywały się tutaj, zaraz po tym, jak na pobliskim „mostku miłości” zawiesili kłódkę ze

swoimi imionami i wrzucili kluczyk do Odry. Miejsce cieszyło się sporym zainteresowaniem, ale na szczęście dla Julii nie podczas tak podlej pogody.

Na skwerku wbrew wiatrowi, zacinającemu deszczowi, czarnym chmurom i zimnie, spędziła godzinę. Wstając z ławki, rzuciła okiem na napis pod pomnikiem: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Uznała go za wskazówkę. Zawiązała apaszkę, postawiła kołnierz na sztorc (co nic nie dało, ale i tak warto było spróbować), zabrała torbę z laptopem i, zupełnie się nie spiesząc, ruszyła w stronę Galerii Dominikańskiej, gdzie zaparkowała samochód.

8.

Zamek w drzwiach jak zwykle trochę się zacinał, jakby się droczył, i Krzysztofowi wejście do mieszkania zajęło jakiś moment, dłuższy niż by tego chciał. Kiedyś w końcu musi go wymienić, ale jakoś tak do tej pory się nie składało. Prowizorki są, jak wiadomo, rzeczą najtrwalszą we wszechświecie, a ta wydawała się mieć przed sobą jeszcze całe lata świetności.

Trochę kręciło mu się w głowie. Piew w towarzystwie Artura zeszło jednak sporo, a człowiek lata studenckie miał już za sobą i organizm nie mógł się poszczycić imprezową kondycją. Ze względu na przekonania Krzysztof możliwości swojej kondycji jakoś nigdy szczególnie dogłębnie nie testował, ale mimo wszystko inaczej się czujemy, mając lat dwadzieścia pięć, a inaczej, kiedy prawie zaliczamy czterdziestkę.

Zdjął z ramienia starą, wytartą, ale ulubioną, skórzaną torbę i zawiesił ją na wieszaku w przedpokoju. Lekko się zachwiał, mruknął coś pod nosem, po czym poszedł do łazienki. W mieszkaniu panowała całkowita cisza. Dwie minuty później ciszę tę przełamał najpierw odgłos spuszczonej w toalecie wody, a potem kropkę nad i postawił szum wody rozpryskującej się na umywalce i wymruczana jakaś zanucona piosenka, której wykonanie było właśnie typowo łazienkowe.

Krzysztof wyszedł z łazienki i powoli, nadal nucąc pod nosem, podreptał w stronę kuchni. Otworzył lodówkę, zlustrował jej zawartość, która zresztą nie wzbudziła jego entuzjazmu, i zdecydował się w końcu zrobić sobie kanapki z wędliną. Przygotował jedzenie, ułożył kanapki na talerzu w całkiem zgrabny stosik i obrał kierunek salon z myślą dopasowania najszlachetniejszej części swojego ciała do kanapy i włączenia telewizora. Pozostało tylko ustawić talerz z kanapkami na stoliku przy kanapie i sięgnąć po pilota. Kto ma pilota, ten ma władzę, a Krzysztof czuł, że o panowanie przez najbliższy czas nie ma się co obawiać. Znalazł atrybut swoich rządów i wycelował w ekran telewizora.

– Może czekoladkę? – Usłyszał z drugiego kąta pokoju.

Pilot wyleciał mu z ręki, spadł na talerz z kanapkami i stracił je na podłogę. Krzysztof odwrócił się gwałtownie i spojrzał na swoją żonę.

– Rany boskie, ale mnie wystraszyłaś! Myślałem, że cię nie ma! Co ty o tej porze robisz w domu? Nie powinnaś być teraz w pracy?

– Dziś będzie inaczej – odpowiedziała Julia i ułamała kolejną kostkę czekolady.

Siedziała w sporym, skórzanym fotelu z automatycznie wysuwającym podnóżkiem. Jakis czas temu zdecydowali się na kupno i nie zawiedli się. Właściwości relaksujące rzeczywiście miał imponujące. Jakoś tak się stało, że mebel okupowała głównie Julia.

Dwa puste opakowania po czekoladzie leżały na szerokim oparciu fotela. Na kolanach trzymała trzecią tabliczkę, zjedzoną już do połowy. Ubrana była w luźny, szary dres i zapinaną na zamek błyskawiczny bluzę z kapturem. Krzysztof nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział ją w takim stroju. Nie pamiętał też, żeby kiedykolwiek jadła czekoladę, a już na pewno nie w takiej ilości.

– Julka... Jesz czekoladę? Trzecią?! Przecież... Przecież ty tak dbasz o linię! Biegasz i w ogóle...

– No bo dbam. Ale dzisiaj zrobiłam sobie przerwę.

– Ale... Ty przecież nie robisz sobie przerw!

– No właśnie – odpowiedziała spokojnie Julia, wkładając do ust kolejną kosteczkę. – Kiedyś musiała nadejść ta pierwsza.

Krzysztof z niedowierzaniem spojrzał na swoją żonę, zebrał z podłogi rozsypane kanapki i znów ułożył na talerzu. Normalnie nie zdarzało się, by Julia siedziała w dresie. To było takie... nieeleganckie. To znaczy dla niej nieeleganckie, niepasujące do Julii, bo tak w ogóle, to Krzysztof uważał dres za zupełnie normalny rodzaj odzieży, pod warunkiem, że był czysty i nie nosił na sobie brzemienia jakiejś ideologii. Z jego żoną jednak nie grał mu zupełnie. Jakby mało było tego wszystkiego, ona w pewnym momencie odłożyła opakowanie po trzeciej czekoladzie (puste!), oblizała palce (Jezus, Maria!) i powiedziała coś, na dźwięk czego Krzysztofa przeszły dreszcze.

– Musimy poważnie porozmawiać.

Nie żeby „musimy poważnie porozmawiać” nie występowało w ich małżeńskim repertuarze zdań zdarzających się od czasu do czasu. Każde małżeństwo miewa takie zdania, niezależnie od tego, w jakim kontekście padają, jaki jest staż małżeństwa i jak mocne podwaliny jego istnienia. Sęk w tym, że ton wypowiedzi Krzysztof odebrał jako taki, którego wcześniej nie znał, a to oznaczało nowość, której należało stawić czoła. Stawianie czemukolwiek czoła po tyłu wypitych z kumplem piwach nie było zadaniem łatwym, ale powiedzmy, że mieściło się jeszcze w ramach jego męskich możliwości. Problem w tym, że Julia zawiesiła poprzeczkę jeszcze wyżej, bo spojrzała na swojego męża i powiedziała zaskakująco pokornie, cicho i wręcz potulnie jak na nią.

– Chcę ci się do czegoś przyznać. Czas, byś poznał prawdę.

To było dla biednego Krzysztofa zbyt wiele. Świat zatańczył mu przed oczami szczególnie energicznie, przez co on sam osiadł miękko, acz zdecydowanie za szybko na brzegu kanapy, nieszczęśliwie znów strącając kanapki na podłogę.

– Julka... – jęknął.

– Zastanawiam się, czy jesteś na tyle trzeźwy, żeby to usłyszeć.

– No jasne! – zapewnił Krzysztof ambitnie, lecz nieco fałszywie. – Mów. Znam go?

Julia nieoczekiwanie dla niego roześmiała się.

– Ty idioto! Przecież ja cię nie zdradzam! Nie, żebym nie miała okazji, ale nigdy

z takowej nie skorzystałam. Chodzi o coś innego.

– Julka, teraz to mnie naprawdę przestraszyłaś. Dobrze, porozmawiajmy. Nie jestem w najlepszej formie, ale lepiej, jeśli załatwimy to jeszcze dzisiaj. Od razu.

– Nie będzie mi przeszkadzało, jeśli zjesz sobie te kanapki.

– No dobrze – zgodził się Krzysztof, sięgając po talerz. – To wal.

– Pamiętasz, co sobie obiecaliśmy na drugich rekolekcjach w Piwnicznej?

Jakże mógłby nie pamiętać! Krzysztof nie był typem mężczyzny, dla którego najgorszą karą jest ustawienie daty ślubu jako hasła do Wi-Fi. Daty i zdarzenia do Krzysztofa lgnęły, a te związane z jego żoną lgnęły szczególnie.

Poznali się i właściwie z dnia na dzień zaczęli „chodzić” ze sobą podczas rekolekcji akademickich w Piwnicznej. Chodzić należałoby zresztą potraktować dosłownie, bo złązili Beskidy z góry do dołu i znowu do góry, co było skądinąd koniecznością, kiedy się mieszkało na samym końcu miejscowości i to akurat tym najwyższym. Momentalnie przypadli sobie do gustu, wpasowali się jak dwa kawałki puzzli, a potencjalni konkurenci wycofali się szybko i wkrótce potem machnęli ręką.

Julia i Krzysztof byli jak papużki nierozłączki, jak dwa gołąbki pijące sobie z dzióbeków, co – jak wieszczły zazdrosne koleżanki, powołując się na zdobyte do tej pory doświadczenie życiowe – rokowało jak najgorzej. Na złość wszystkim kreatorom czarnych scenariuszy związek przetrwał cały rok nie tylko nieosłabiony, ale wręcz dodatkowo scementowany, i na następne rekolekcje pojechali jako para.

Julka i Krzysiek przyjechali z mocnym zapleczem merytorycznym w postaci książek przygotowujących do stworzenia wzorowego modelu chrześcijańskiej rodziny. Książki – oczywista oczywistość – czytali wspólnie, bardzo poważnie podchodząc do planowanego małżeństwa.

To, że Krzysztof Julce się oświadczył, również było naturalne jak następujące po sobie pory roku i obrót Ziemi wokół własnej osi. Właściwie nie mogło być inaczej. Data ślubu była już znana, goście wstępnie zaproszeni, sala wstępnie wybrana, a ksiądz Waldek miał mnóstwo czasu, by przygotować się psychicznie do czekającego go zadania, bo wiedział już od dawna, że to właśnie on poprowadzi ceremonię zaślubin. Nawet menu weselne było już ustalone, bo młodzi lubili mieć z wyprzedzeniem wszystko zapięte na ostatni guzik i byli zagorzałymi wrogami typowej polskiej specjalności, czyli pospolitego ruszenia na ostatnią chwilę.

Było idealnie i nie mogło być lepiej. Piękna, młoda para, kochająca się szczerze i patrząca razem w tym samym kierunku, siłą rzeczy zaczęła być postrzegana jako wzór.

To oni zawieszali poprzeczkę, a ponieważ byli ambitni, zawieszali wysoko. To oni wyznaczyli standardy, zwłaszcza Julia, gdyż była inicjatorką posunięć, które później figurowały jako decyzje wspólne. Nie byli pierwszymi z ich grona wspólnych znajomych, którzy stanęli na ślubnym kobiercu, ale jakoś tak się wyczuwało, że oni zrobią to... lepiej. Wiadome też było – a przeczytane książki dowodziły, że to jest postawa jedynie słuszna – że stworzą liczną rodzinę, z co najmniej czwórką dzieci. Oczywiście najpierw odpowiednio się do tego przygotowują, nie było mowy o rzucaniu się z motyką na słońce, znajdują odpowiednią pracę i tak dalej, cel został jednak wytyczony, a machina wprawiona w ruch.

Wtedy to właśnie, na drugich rekolekcjach w Piwnicznej obiecali sobie – a właściwie obiecała Julia, a Krzysztof się z tym zgodził – że cokolwiek będą robić, cokolwiek razem budować, cokolwiek przedsięwzimą w jakiegokolwiek dziedzinie ich wspólnego życia, od prokreacji zaczynając, na wyposażeniu mieszkania kończąc, wszystko będzie oparte na solidnych podstawach i poczuciu bezpieczeństwa, że będą tworzyć idealne, biblijne „jedno ciało”.

– Dziś muszę tę zasadę złamać – powiedziała Julia i spuściła głowę. – Ale na dobrą

sprawę zламаłam ją już dawno.

Krzysiek milczał i uważnie wpatrywał się w swoją żonę, czekając na dalszy ciąg. Ciszę wypełniająca pomieszczenie dałoby się kroić jak ciasto.

– Postanowiłam odejść z banku – odezwała się w końcu.

Drgnął bardzo zdziwiony.

– Kiedy?

– Od razu. Od jutra. Jak tylko będzie możliwe przekazanie komuś moich obowiązków, a z pewnością nie będą mieli problemu z wytypowaniem następcy, bo chętnych jest sporo.

– Dlaczego?

– Już nie mogę. Już dłużej nie mogę, nie wytrzymam tego napięcia. Już nie mam siły, by sprostać nierealnym oczekiwaniom. Zaszłam wysoko, nawet bardzo, ale widzisz, jak to jest. Za wykopanie dołu nagrodą jest większa łopata[16]. Mam już dość tych wszystkich głupawych rozmów z moimi podwładnymi, tych pielgrzymek po oddziałach, monitorowania wszystkiego i wszystkich. Mam już dość nieustannego balansowania na krawędzi zachowań nieetycznych. Wymaga się ode mnie jednocześnie przymykania oczu na różne sprawy, bo przecież liczy się sprzedaż i wyniki regionu, z drugiej strony rozliczania ich surowo, kiedy coś się rypnie. To schizofrenia!

Julia urwała i popatrzyła na Krzysztofa, który cały czas milczał i nie przestawał uważnie przyglądać się swojej żonie. Po zamroczeniu alkoholowym nie został najmniejszy ślad. Jej mąż siedział przed nią niezwykle poważny i trzeźwy jak niemowlę.

– Nie wiem, co będę robić – podjęła. – Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym. Nie powodzi nam się źle, mamy sporo zaoszczędzonych pieniędzy. Znajdę coś szybko, teraz nie ma takiego problemu z pracą jak kilka lat temu. Wszystko się ułoży.

– No cóż... – Krzysztof w końcu zdecydował się odezwać. – Rozumiem, masz prawo czuć się zmęczona. Uważam, że harowałaś w tym banku jak wół i nie widzę problemu, że chcesz odejść. Nagle, bo nagle, ale masz dość. Jestem zaskoczony, wiadomo, bo wcześniej o tym nie rozmawialiśmy, nawet nie wspominałaś nic, co mnie, szczerze powiem, trochę boli. Zwierzyć się swojemu mężowi to w końcu nie grzech. Powiedzenie sobie „stop” to nie porażka. Czuję się trochę tak, jakbyś nie miała do mnie zaufania. Wiem, że tak nie jest – dodał szybko, bo Julia już otwierała usta, by zaprotestować – ale tak to na pierwszy rzut oka wygląda. Tak czy inaczej – rzucił już znacznie swobodniej – Zmiana pracy to nie jakaś gigantyczna rewolucja, nie musisz się tak spinać.

– To nie wszystko.

– Jest coś jeszcze? – Krzysztof uniósł brew.

– To był właściwie wstęp... – Julia niemal wyszeptwała.

– Zamieniam się w słuch.

– Właściwie... to nie jest takie proste. Bo widzisz... Rany, po raz pierwszy w życiu mam ogromną ochotę upić się, żeby było mi łatwiej.

– No bez przesady, nie przejmuj się. Jestem twoim mężem. Wytrzymałem z tobą tyle lat, wytrzymam i teraz to, co mi powiesz. – Krzysztof starał się rozluźnić atmosferę.

Jego żona uśmiechnęła się blado.

– Będziemy mieli okazję się o tym przekonać. Bo widzisz... powiedziałam ci na początku, że naszą zasadę zламаłam już dawno. Krzysiek, ile lat jesteśmy małżeństwem?

– Przecież wiesz. Jedenaście.

– No więc zламаłam ją jedenaście lat temu.

– Nie rozumiem...

– Krzysiek... wszystko ma początek w moim domu. Pamiętasz mój dom?

Krzysztof pamiętał.

Po prawdzie to trudno byłoby zapomnieć, bo w przeciwieństwie do jego środowiska dom Julii trudno było nazwać wymarzonym domem rodzinnym. Był to raczej klasyczny, polski dom, jeden z wielu polskich domów, który istniał, a istnieć nie powinien, dom, na który daje się przyzwolenie społeczne, bo tak już jest i Polak musi. Dom, w którym osiągnęłoby się znacznie więcej, gdyby nie trzeba było pokonywać wpływ basenu z wodą ognistą, a jak wiadomo, w alkoholu raczej się utonie, niż sprawnie przepłynie.

Tonęli więc za sprawą głowy domu (czy też raczej teoretycznej głowy domu), która co prawda pracowała to tu, to tam i nie leżała odłogiem, ale co zarobiła, to zmieniała w płyn. Życie przemijało nie tyle z wiatrem, ile z potokami alkoholu, a potok, jak to potok, unosił ze sobą wszystko, co napotkał po drodze, ze szczególnym uwzględnieniem planów i ambicji. Tak się składa, że do realizacji jednego i drugiego najczęściej niestety potrzebne są pieniądze, a tych wiecznie brakowało.

Codziennosc dzieliła się na okresy bezprzykładnego chłania, okresy wychodzenia z tegoż i obiecywania poprawy, krótkie okresy trwania w obietnicy i w końcu powrót do – nomen omen – źródeł. Ojciec Julii był człowiekiem uprzejmym i nieużywającym przemocy fizycznej, niestety jednak permanentnie pijanym jak bęła, co uniemożliwiało jakiegokolwiek działania z konwersacją włącznie.

Julia jako dziecko nie mogła brać udziału w zajęciach i szkółkach, do których uczęszczali inni, nie jeździła na wycieczki, nie uczestniczyła w takim czy innym życiu towarzyskim, bo do niej koleżanki przychodzić nie mogły (i bądźmy szczerzy – nie chciały), a jej do innych chodzić było głupio.

Miała dwa wyjścia. Mogła poddać się i płynąć z prądem, pogodzić się z tym i znaleźć sobie wygodną niszę gdzieś na dnie społeczeństwa, gdzie nie ma perspektyw, ale też człowiek o perspektywach nie myśli, bo nie przyjdzie mu do głowy, że mógłby je mieć. Mogła też zebrać wszystkie siły i spróbować jednak pokonać alkoholowy potop. Na szczęście dla siebie wybrała to drugie i poprzysięgła sobie, że się nie podda, nie da sobie zaprogramować życia i wyjdzie na ludzi.

Jak tylko mogła, zaczęła tu i tam pracować, zarabiać i ogólnie w sposób możliwy w jej wieku zbierać pieniądze, które starannie chowała, by ojciec nigdy nie dowiedział się o ich istnieniu. Na złość wszelkim okolicznościom zawsze uczyła się najlepiej. Ponieważ nie mogła sobie pozwolić na nowe, modne ciuchy, nauczyła się szyć i z materiałów zdobytych w lumpeksach za grosze (swoje zaoszczędzone, uciulane grosze) tworzyła takie cuda, że jej bogate koleżanki ustawiały się w kolejce, by i dla nich mogła coś wyczarować. Robiła to oczywiście odplątnie.

Kiedy miała osiemnaście lat, jej ojciec wypił w końcu więcej, niż mógł to wytrzymać, i znaleziono go w jego własnej bramie, gdzie wbrew wszelkim prawom fizyki wczułgał się o własnych siłach, po czym zasnął na schodach, by więcej się nie obudzić.

Julia uroniła urzędową łzę, bo w końcu to ojciec i tak nakazywało poczucie przyzwoitości, nie mogła jednak oprzeć się poczuciu ulgi. Od tej pory rodzina złożona z niej i zaharowującej się matki miała, nie da się ukryć, znacznie lżej. Dzięki pomocy swojej córki kobieta stanęła na nogi, wyszła z kredytów, co wydawało się pętlą nie do ściągnięcia z szyi, przeżyła nagłe nawrócenie Julki podczas studiów, poznała przyszłego męża swojego dziecka i nawet zdążyła go polubić, była na ślubie Julki i Krzysztofa, a niedługo potem zmarła na zawał, zupełnie nieoczekiwanie i cicho, jakby nagle postanowiła po prostu odpocząć.

Tym razem łza uroniona przez Julię wcale nie była urzędowa, wcale nie była też jednostkową namiastką wilgoci, ale prawdziwym strumieniem i szlochem. Julia czuła, jakby ktoś

nagle i podstępnie wydarł część jej życia, tę część bardzo cenną i kruchą, potrzebowała więc naprawdę sporo czasu, by dojść do równowagi. Istotną pomocą był dla niej jej świeżo poślubiony mąż i nie tak dawno odkryta wiara. Julia przeszła przez wichry życiowe jeszcze bardziej skupiona i zdeterminowana.

– Mój dom mówi o mnie bardzo dużo, prawda?

Nie mógł się nie zgodzić.

– Krzysiek, powiem to szybko, by nie przedłużać. Nie adoptujemy Stasia. Nie chcę.

– Dlaczego?

– Nie chodzi o to, że Staś jest ciężko chory. Nie chcę adoptować ani Stasia, ani żadnego innego dziecka.

– Dlaczego? – znów zapytał, ale tym razem głos zabrzmiał bardzo głucho.

– Krzysiek, ja nie chcę mieć dzieci. Nigdy nie chciałam.

I właściwie to byłby najlepszy moment na wybuch wulkanu, kiedy chmura pyłu, lekce sobie ważąc grawitację, eksploduje i ucieka od powierzchni ziemi, tworząc okazały grzyb, i kiedy wrzące skały spływają w dół i rozlewają się szeroko, by siał ostateczne zniszczenie. To byłaby odpowiednia chwila na wybuch wojny jądrowej, koniec świata, zagładę ludzkości, dywanowy nalot wyładowanych po brzegi bombowców i deszcz bomb, uderzenie w Ziemię wielkiej asteroidy, nagły rozpad Księżyca, eksplozję supernowej, słowem – apokalipsę. Najdziwniejsze jest to, że nic takiego nie nastąpiło.

Zamiast tego zapanowała głęboka cisza, której nie uszanował gdzieś w oddali szczekający pies sąsiadów.

– Nigdy nie chciałam mieć dzieci, ale zawsze chciałam być najlepsza – Julia zdecydowała się ponownie podjąć temat. – Tu właśnie tkwił fałsz. Słowo „porażka” nie istniało w moim słowniku. Nie ma czegoś takiego jak porażka. To sukces odroczony w czasie, zaproszenie do zdobycia tej samej góry od innej strony. Nie mogłam się pogodzić z tym, że nie mogę mieć dzieci, nie dlatego że ich brak to dla mnie trauma, tylko że byłaby to właśnie porażka, a na porażki zgody nie ma. Przynajmniej do tej pory nie było. Zawsze chciałam udowodnić innym, że stać mnie na więcej niż ich.

Umilkła. Krzysztof nie patrzył na nią. Siedział na kanapie ze spuszczoną głową nieruchomy jak posąg. Cisza trwała przez jakiś czas, nawet pies umilkł, jakby czekał w napięciu na to, co nastąpi.

– Bałam ci się przyznać. Najpierw myślałam, że jest jeszcze czas i lada moment to zrobię, a potem, cóż... dopasowałam się do obowiązujących w grupie standardów. Nie chciałam cię stracić. Chciałam za wszelką cenę mieć superżycie, miłość i podziw innych. Wszystko zawsze musiałam wywalczyć, wiesz przecież, i drogo mnie ta walka kosztowała. Skoro już więc walczyłam, uznałam, że liczy się tylko zwycięstwo. W każdej dziedzinie życia. Również gdy chodzi o dzieci. Stąd żelazna dyscyplina, ćwiczenia, dieta, świetne wyniki w pracy i w ogóle.

Julia pochyliła głowę i dalej mówiła już prawie szeptem:

– Nie mogę dłużej tego ciągnąć. Nie mogę dalej przekonywać samej siebie, że wystarczy, że coś jest słuszne, żeby to zrobić, a reszta się jakoś ułoży i będzie świetnie. To mogłoby zajść za daleko. Nie mogę dłużej oszukiwać cię i udawać przed tobą kogoś innego, niż jestem. Pozostaje mi tylko prosić cię, żebyś mi wybaczył. I żebyśmy mogli zbudować od nowa nasze małżeństwo. Tym razem na prawdzie.

Krzysztof wstał, podszedł do okna balkonowego, odwrócił się tyłem do Julii i skrzyżował ręce na piersiach. Można było odnieść wrażenie, że nie interesuje go nic poza wyzierającą tu i ówdzie zza balkonowej barierki niską zabudową Muchoboru Wielkiego.

– Co jeszcze poza tym, co powiedziałaś, jest inne niż w rzeczywistości? – odezwał się

w końcu.

- Nic. Wszystko inne jest prawdziwe.
- A czy twoja miłość do mnie jest prawdziwa?
- Nigdy nie było inaczej.

– Więc tak to wszystko wygląda... – Krzysztof westchnął, odwrócił się od okna i nie patrząc na Julię, ruszył do przedpokoju, gdzie włożył buty, narzucił na siebie kurtkę, szyję obwiązał szalikiem i bez słowa wyszedł z mieszkania.

Julia siedziała jak sparaliżowana, najpierw nie mając odwagi się ruszyć, a potem siedziała dalej, uznawszy, że na jakąkolwiek reakcję jest już za późno. Wyszedł. Zabrał się i wyszedł. Bez słowa. Stało się więc to, czego najbardziej się obawiała. Odszedł. Wszystko runęło, a on odszedł. Widać to było dla niego za wiele. Dowiedział się, że to, co niby wspólnie budowali, tak naprawdę on budował w pojedynkę, a ona uprzejmie się zgadzała. Z tchórzostwa. Mało tego, podbijała piłeczkę.

Postanowiła jednak zachować się uczciwie wobec nieuleczalnie chorego dziecka i nie wciągać go w świat udawania, w życie oparte na iluzji. Zagrała fair i... wszystko stracone. Drogie dzieci, lekcja dla was. Jeśli już robicie dobrą minę do złej gry, to nie ściągajcie maski przed końcem przedstawienia. Inaczej kłapa spektaklu jest nieuchronna. Prawda was wyzwoli. Dobrze. Nikt nie wspomniał, że drobnym druczkiem stoi, że owszem, wyzwoli, ale zostawi zgłiszcza. Wypali w ogniu szczerości całe życie i kiedy już nadejdzie wyzwolenie, człowiek zacznie się zastanawiać, czy było warto wywieszać białą flagę.

Odszedł. Najgorsze jest to, że słowa zostały wypowiedziane i nie można ich cofnąć. Nic nie wróci stanu sprzed pół godziny. Nie można udawać, że nic się nie stało i żyć dalej jak dawniej. To, co było do tej pory, jednym ruchem zostało zamknięte za masywnymi drzwiami, a klucz wyrzucono do rzeki. Koniec.

Co teraz będzie? Głupie pytanie, teraz wszystko się posypie. Najpierw wszyscy się dowiedzą, że ich małżeństwo się rozpadło. Dwoje wierzących ludzi się rozstaje. To więcej niż katastrofa. To hekatomba. Zaraz potem okaże się, że taka z niej chrześcijanka, jak z koziego tyłka trąba. Jak można wierzyć i nie chcieć mieć dzieci? Czyż nie powinna być otwarta na nowe życie? Powinna. A nie jest. Jej życie religijne w związku z tym też można odłożyć do przegródki „Ściema”.

Straciła męża, straci też znajomych. W kontaktach z nią nikt nie będzie mógł się pozbyć zażenowania. To krępujące uczucie, kiedy znasz kogoś, rozmawiasz z nim, ale w każdym momencie możesz wejść na minę. Nagle okazuje się, że nie macie sobie nic do powiedzenia, choć wcześniej przegadaliście niejedną wieczór i przetańczyliście niejedną noc, a na górskim szlaku dzieliliście się ostatnią kanapką. Można dalej podtrzymywać relacje? Można, tylko po co? Prędzej czy później i tak się rozleżą.

Mąż nie wytrzymał więc spotkania z prawdą i trudno mu się dziwić, skoro zaskoczyła go nią tuż przed podjęciem nieodwracalnej decyzji, która mogła raz na zawsze zmienić ich życie i wprowadzić w rejony dotąd im nieznanne. Zaskoczyła go po jedenastu latach małżeństwa, trudno więc się dziwić jego reakcji. Straciła też – można spokojnie to założyć – znajomych. Straciła szacunek, spadła z naprawdę wysokiego konia.

Oto wzór miłości i poświęcenia, wzór postawy chrześcijańskiej, mocna kandydatka do wzięcia do nieba żywcem, w pół drogi do kanonizacji za życia okazuje się wydmuszką i bańką mydlaną. A ludzie tak ją podziwiali. Przynajmniej oficjalnie.

Z ludźmi wiadomo, jak jest. Ci sami ludzie spojrzą teraz z satysfakcją i triumfem i pocują się dużo lepiej, bo oto ta najlepsza okazała się gorsza od nich. I to jak gorsza! Co za szczęście ich spotkało! Facebook się zatrzęsie. Jeśli nie publicznie, to w prywatnych

wiadomościach. I wszystko przez to, że po latach zachciało jej się uczciwości.

Co ma robić? Teraz to tylko usiąść i zapłakać. A ponieważ już siedziała, to po prostu rozplakała się po raz pierwszy od wielu lat, pozwalając sobie na demonstrację słabości, rezygnacji i rozgoryczenia. Płakała, wypuszczając z rąk wszystko, co wydawało jej się dotychczasowym osiągnięciem życia, żegnając się z tym, co, jak myślała, należy do niej. Płakała, ale ku swemu własnemu zdumieniu z każdą łzą coraz mniej żałowała podjętej decyzji i rozmowy z mężem.

W pewnym momencie do jej uszu dobiegł odgłos otwieranych drzwi, a chwilę później stanął przed nią Krzysztof, trzymając w rękach trzy pudełka czekoladek. Popatrzyła na niego bezgranicznie zdumiona.

– Nie odszedłeś?

– Odejść? Ja?! Głuptasie! Co ci przyszło do głowy?! Nigdy bym cię nie zostawił!

– Ale przecież wyszedłeś tak bez słowa...

– Uznałem, że teraz i natychmiast potrzebujemy większej ilości czekolady. Za mało jej było do tej pory.

Julia otarła łzy i wydmuchała nos w chusteczkę.

– Przebaczysz mi?

Krzysztof spojrział na nią bardzo poważnie.

– Przebaczę. Ale od tej pory zrobimy to trochę inaczej. Nie będziemy niczego nikomu udowadniać. Nie musimy.

– Och, nie wiem, co powiedzieć...

Krzysztof skoczył do fotela i usiadł u stóp swojej żony.

– To bardzo proste. Jak już zaczynać, to od samego początku. Czy wyjdiesz za mnie? I oczywiście za te czekoladki.

Julia objęła go za szyję i pocałowała.

– Jasne, że tak. Zwłaszcza za czekoladki.

– No, no, nie szarżujmy. Czekoladki to tylko wisienka na torcie. Druga sprawa, Julka, to sprzedaż tego mieszkania.

– Sprzedaż?

– Czy naprawdę potrzebny nam czteropokojowy apartament? Po co? Z powodzeniem wystarczą nam dwa pokoje. Sprzedamy mieszkanie, spłacimy resztę kredytu i kupimy mniejsze. A mamy jeszcze oszczędności. Poza tym mniejsze mieszkanie to mniejsze koszty, a skoro zamierzasz odejść z banku, nasze dochody będą uszczuplone.

– Masz rację. No właśnie, bank. Nie mogę już, Krzysiek, muszę stamtąd odejść. Presja jest zbyt wielka.

– Julcia, kochanie, to bardzo dobrze się składa. Bo widzisz, u nas w szkole rusza, a przynajmniej ma ruszyć, a z przyczyn obiektywnych nie może, przedmiot o nazwie edukacja ekonomiczna. Widzisz, dyrektor ma niekonwencjonalne metody prowadzenia naszego liceum i umie wyszarpać fundusze na nauczanie tego, czego normalnie nikt nie uczy. Mamy też cykliczne szkolenia dla uczniów z udzielania pierwszej pomocy. Uwierzysz?

– Z trudem. A jakie to przyczyny obiektywne?

– Brak nauczyciela oczywiście. – Krzysztof spojrział triumfalnie na żonę i uśmiechnął się od ucha do ucha. – Dyrektor będzie zachwycony, jeśli mu powiem, że znalazłem świetną kandydatkę. Znalazłem?

– Daj spokój, ja sobie nie poradzę!

– Najpierw powiedz szczerze, czy chciałabyś przekazać coś tym, ekhm, młodym ludziom.

– No... właściwie to jest tyle rzeczy do przekazania, o których normalnie się nie mówi,

więc myślę, że... tak.

– Bomba! – Krzysztof niemal podskoczył do góry. – Poradzisz sobie z palcem w nosie, jestem tego pewny, a przecież będziesz mieć we mnie wsparcie dydaktyczne. Zgodzisz się?

Julia westchnęła i otarła z policzków ostatnie ślady łez.

– No cóż, gdzieś pracować trzeba. Zgadzam się.

Krzysztof mocno przytulił żonę.

– Jestem zaszczycony. Nie spodziewaj się wielkich pieniędzy, raczej będą marne, to w końcu budżetówka, wiesz, jak jest, twój mąż jest nauczycielem. Wierzę jednak, że damy radę, a poza tym zrobisz coś bardzo sensownego.

– Krzysiek, poczekaj! – Julia nieoczekiwanie zerwała się z fotela i stanęła na środku pokoju. – Poczekaj chwilę. – Złapała się za głowę. – Co ty wyprawiasz?!

– Nie rozumiem...

– Krzysztof, zastanów się, jedenaście lat nie mówiłam ci prawdy w tak fundamentalnej sprawie. O mało nie zrobiłam czegoś nieodwracalnego, nadużyłam twojego zaufania, oszukałam cię, jestem inną kobietą, niż ci się wydawało, że jestem, a ty zacznasz ze mną wszystko od nowa? Tak po prostu?! Zastanów się jeszcze!

Krzysztof odłożył wreszcie czekoladki, które jakimś cudem cały czas trzymał, podszedł spokojnie do swojej żony i po prostu ją przytulił.

– Zapytałem cię – powiedział. – Czy twoja miłość była prawdziwa. Potwierdziłaś.

– Tak.

– To jest najważniejsze. Budowanie życia od początku może się udać, jeśli łączy nas to, co najważniejsze, i jeśli to, co nas łączy, jest szczere i prawdziwe. Najważniejsze jest to, co sobie ślubowaliśmy.

– Krzysiek, wiesz, że stracimy wszystkich znajomych...

– Nie wiem, czy stracimy, ale nie dbam o znajomych. Ślubowałem, że nie opuszczę aż do śmierci ciebie, a nie koleżanki i kolegów. Odzyskaliście siebie. I to się tylko liczy. Pamiętasz, jak to było? „Góry mogą ustąpić i pagórki się zachwiać, ale moja miłość nie odstąpi od ciebie”[17].

Julka popatrzyła mężowi prosto w oczy.

– Krzysiek, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Wiem, czego byś nie zrobiła – uśmiechnął się. – Pewnie nigdy w życiu nie kupiłabyś takiej ilości czekolady.

[16] Julia cytuje tutaj Terry’ego Pratchetta z jego powieści *W północ się odzieję*. Oczywiście nie ma pojęcia, że to Pratchett, cytuje więc zupełnie nieświadomie, bo samej powieści nie czytała i zapewne nigdy by po nią nie sięgnęła, nawet gdyby mogła. Stężenie czarownic i relatywizmu przekracza bowiem u Pratchetta wszelkie dopuszczalne i uznawane przez Julię normy.

[17] Krzysiek cytuje – i ciężko mu się dziwić – Księgę Izajasza, rozdział 54, wers 10. Trochę wcześniej, bo w wersie 1. stoi taka oto treść: „Śpiewaj z radości, niepłodna, któraś nie rodziła, wybuchnij weselem i wykrzykuj, któraś nie doznała bólów porodu.” Przypadek? Nie sądzę.

Epilog

Początki bywają różne, łatwiejsze i trudniejsze. Czasami życie kopniakiem popycha człowieka wraz z jego sprawami mocno do przodu, tak że ten ledwo jest w stanie utrzymać równowagę, a czasami klepie tylko lekko po ramieniu z zachętą, by człowiek, jeśli oczywiście ma ochotę i jeżeli czuje się już odpowiednio przygotowany (bo jeśli nie, to niech posiedzi sobie jeszcze i poczeka, nikt go nie popędza, nie, nie), spróbował łaskawie postawić pierwszy krok. Pierwszy krok, jak wiadomo, rzadko bywa do tyłu, ale kiedy ma się już go za sobą, to... Cóż, wtedy bywa różnie.

Wbrew pozorom spore ma znaczenie, gdzie się ten pierwszy krok stawia. W sensie geograficzno-społecznym. Inaczej zapewne rozpoczyna się nowy etap życia w Gdańsku, inaczej wygląda to w Kielcach lub Zamościu, inaczej w Poznaniu czy Warszawie, a jeszcze inaczej we Wrocławiu.

Wrocław jest naprawdę dobry w zaczynaniu wszystkiego od zera. Można powiedzieć, że ma wprawę. W końcu siedemdziesiąt trzy lata temu podniósł się z gruzów i spalonej ziemi, a choć nie było to łatwe i zajęło sporo czasu, wylizał rany, wyprostował plecy i ruszył, dlatego nadaje się na miejsce, w którym zaczyna się zapisywać karty zupełnie innej historii. Cóż, w końcu we Wrocławiu wszyscy byli lub są przybyszami, dlatego tak łatwo zapuścić tutaj korzenie.

Maciuś, podwładny Artura z korporacji na placu Dominikańskim, czasami dla żartu podśpiewuje: „A gdybym coś kiedyś zaczynać miał znów, to tylko we Wrocławu!”, a Piotr, jego nieodłączny towarzysz, najlepszy kumpel w pracy i specjalista od analizy zawartości korporacyjnej lodówki, wtóruje mu z entuzjazmem, choć z lekka fałszując. Piotrowi melodia nigdy nie przeszkadzała w śpiewaniu. Maciuś wie, co mówi, przyjechał na studia z Brzegu i został. Nie zarzeka się oczywiście, że zostaje na stałe, bo kto wie, czy życie nie zafunduje mu

wejścia w kolejny etap właśnie metodą motywującego, potężnego kopniaka i nie przerzuci go na przykład do Doliny Krzemowej lub innej Nowej Zelandii, ale, tak czy inaczej, kopniak nastąpiłby właśnie tutaj, w stolicy Dolnego Śląska. I to jest właśnie to.

Uczucie między Magdą a Arturem wybuchło z intensywnością bomby jądrowej, a choć docelową stacją ich podróży była Warszawa, to jedno i drugie nie odrzuca możliwości powrotu. Nie odrzuca to zresztą mało powiedziane.

Magda zaczęła poważnie tęsknić i trudno jej się odnaleźć w warszawskiej rzeczywistości. Trudniej niż przypuszczała. Mogłoby się wydawać, że cóż, miasto jak miasto. Tu ulice i tam ulice, tu domy i tam domy, tu wieżowce i tam... No nie, jednak we Wrocławiu trudno o wieżowce, a honor miasta ratuje jedynie Sky Tower, kompletnie wyłamujący się z koncepcji architektonicznej i wzbudzający takie same kontrowersje jak wieża Eiffla w początkach swojego istnienia, tak jak i ona będący najbardziej charakterystycznym i chyba najczęściej fotografowanym elementem miejskiej zabudowy. No więc tu wieżowce, tam nie-wieżowce, tu ludzie i tam ludzie, tu tramwaje i tam tramwaje, ale Magda już wie, już czuje podskórnie, już nie potrafi odgonić tej myśli lansowanej ochoczo przez jej podświadomość i kobiecą intuicję, że nie da się tak po prostu zamienić jednego miasta na drugie. Tak jakby nigdy nic.

No dobrze, wygląda na to, że kotom jest wszystko jedno. Niby więc interes psychologiczno-wróźbiarski miałby przed sobą szerokie perspektywy i w Warszawie, bo cechą charakterystyczną mieszkańców wielkich aglomeracji jest brak poczucia wewnętrznego bezpieczeństwa i idąca za tym głęboka potrzeba duchowego poklepania po plecach (takiego na już i tanio!), ale okazuje się jednak, że... no, że tak się po prostu nie da. Magda od pewnego czasu wygląda więc tak, jakby sama potrzebowała wsparcia.

Artur, choć większość dnia spędza wpatrzony w ekran monitora, wbrew pozorom nie jest ślepy. Dostrzega, co dzieje się z jego ukochaną, widzi, że coś ją zżera od środka, a ponieważ nie jest też idiotą, domyśla się, o co może chodzić. Domyśla się i ciężko wzdycha.

Kiedy przytuleni do siebie siedzieli w pociągu do Warszawy, troskliwie zagarniając transportery z kotami, był przekonany, że jedyne, co go dalej w życiu czeka, to święty spokój. Owszem, bał się, że ich na nowo odkryta relacja może nie wypalić, ale okazuje się, że z relacją jest wszystko w jak najlepszym porządku, tylko z miejscem zamieszkania nie za bardzo. Coraz częściej odzywa się w nim zatem myśl, że być może czeka ich kolejna przeprowadzka, tym razem na stare śmieci.

Artur odpędza tę myśl, jak może, tłamsi, depcze, by się nie wychylała, ale ona, diablina, wciąż dochodzi do głosu. Strasznie mu to nie pasuje, bo przecież fajne mieszkanie i dobra praca, no i jednak wrósł przez te wszystkie lata w stolicę, jeśli więc teraz miałby wszystko zmieniać... Niby we Wrocławiu też znalazłby pracę, z pocałowaniem ręki nawet, biorąc pod uwagę jego doświadczenie i kwalifikacje, niby też pieniądze nie są najważniejsze i wszystko jedno, gdzie się mieszka, ale... No właśnie. ALE.

Dla Katarzyny początek wielkiej miłości też miał miejsce we Wrocławiu, ale ona miasta bynajmniej opuszczać nie zamierza. To znaczy nie, to nie tak. Opuszczą je wkrótce i to razem z Rafałem, bo latem udadzą się w swoją pierwszą wspólną podróż nad morze. Dla Rafała w ogóle będzie to pierwsza podróż od nie wiadomo jak długiego czasu, dla niego więc poznanie Kaśki oznaczało wejście w kompletnie nową rzeczywistość.

Rafał z jednej strony odlicza niecierpliwie dni do sierpnia, a w Internecie zdążył już przeczytać wszystko na temat Jastrzębiej Góry, z drugiej umiera ze strachu, jak sobie poradzą. Niepełnosprawny chłopak i dziewczyna. Za pomocą Google Street View zlustrował wszystkie możliwe nierówności terenu, przeanalizował podjazdy i dziury chodnikowe, wie, jak wygląda ich pensjonat, a drogę już poznał na pamięć, ale mimo wszystko jednak się obawia. Zawsze to krok

w nieznane. Krok, dobre sobie. Cha, cha.

Katarzyna na szczęście patrzy na świat przez różowe okulary, dlatego stanowi naturalną przeciwwagę dla czarnowidztwa Rafała. Tak, tak, świetnie się w ten sposób uzupełniają. Odłożyła na bok pomysł zrujnowania się na nowy obiektyw, bo teraz priorytetem są wspólne wakacje, które będą (oczywiście, że tak!) niezapomniane. Wiadomo.

No i studia, też wiadomo. Po etapie zastanawiania się wybór ostatecznie padł na dziennikarstwo i... Katarzyna poczuła się jak ryba w wodzie. To było to! Ludzie bardzo ją interesowali, ich zwykłe, codzienne sprawy, którym nadawali rangę problemów w skali globalnej, czy sprawy miasta, których waga nieszczególnie interesowała jednostki, a przedstawianie rzeczywistości słowem i obrazem wbrew pozorom wykazuje ze sobą bliskie pokrewieństwo. Zwłaszcza jeśli można posługiwać się jednym i drugim. Słowem, Katarzyna zakochała się w swoim kierunku studiów i dzieliła teraz serce sprawiedliwie między dziennikarstwo a Rafała.

Fotografia nadal pozostała jej pasją. Z bezkrwawego polowania na ptaki przerzuciła się jednak na równie bezkrwawe polowanie na ludzi, którym strzela fotki za pomocą swojego smartfona. Bardzo dobrze odnalazła się w nowym, modnym trendzie zwanym fotografią uliczną tudzież po prostu streetem i na Instagramie rządzi, zbierając pochwały ze wszystkich stron. Swoją fascynację ulicą zawdzięcza, rzecz jasna, Rafałowi, z którym chodzi na spacer. Przyznaje, że nie jest to proste, bo jednak droga z trzeciego piętra dla osoby niepełnosprawnej (nawet takiej, która zawzięła się i codziennie ćwiczy, żeby mieć jak najwięcej siły w rękach i tak dalej) to nie bułka z masłem, ale z upływem czasu wypracowali sobie metodę, która pozwala na w miarę szybkie przemieszczenie się w dół.

Katarzyna i Rafał chodzą więc razem do kina, na piwo, lody czy gdziekolwiek się da, a ich randki nie są już tylko spotkaniami u niego w domu. Jeśli ktoś pokazuje ich palcem albo bezwstydnie wlepia gały, traktując jak parę dziwolągów, Kaśka bez wahania wyciąga telefon, wymierza w ciekawskiego i robi fotkę. Lubi ten popłoch i skrępowanie u wścibskich, kiedy starają się jak najszybciej uciec z linii strzału.

Rafał z jednej strony podziwia jej wyluzowanie, optymizm i zaangażowanie, ale z drugiej, tam w środku dusi w sobie pewną myśl, która napełnia go paraliżującym – nomen omen – strachem. Jeszcze bardziej boi się, kiedy myśl zastąpi słowem „przecucie”. Rafał ma więc przecucie, że Kaśka nie wytrzyma, że któregoś dnia stwierdzi, że to dla niej za dużo i... pęknie. Widział już niejedno takie pęknięcie, większość ludzi męczy się życiem z osobą niepełnosprawną, bo narzuca ono masę ograniczeń, których na fali pierwszego entuzjazmu się nie zauważa. Ich obecność uświadamia się sobie ze zdwojoną siłą, kiedy do głosu zaczyna dochodzić proza życia, a pierwotna tęcza gdzieś tam się rozwiewa. Rafał więc drży, choć nigdy w życiu nie przyznałby się do tego nikomu, a już zwłaszcza Kasi. Kurczowo trzyma się nadziei, że jego przecucie jest fałszywe i że to tylko niepotrzebny strach. Cóż, życie pokaże.

Henryk tego strachu nie czuje, bo Henryk wie, że Aniela nie pęknie. Teraz już nie. Mogła go rzucić i miałyby do tego pełne prawo, biorąc pod uwagę to, jaki los jej zgotował, ale ona wbrew wszystkiemu, wbrew światu, wbrew oczywistym oczywistościom i w końcu wbrew samemu Henrykowi zapałała się i już. Zakład karny na Kleczkowskiej to też jakiś początek, tylko czego? Nowego życia? Jezu, a co to za życie? To raczej trwające ileś tam lat stanie w progu do lepszej przyszłości i Aniela stoi razem z nim. Postanowiła zaczekać, aż będzie można w końcu te drzwi otworzyć. Kobiety są jednak nieprzewidywalne i Henryk nigdy ich nie zrozumie.

Tak sobie przynajmniej myśli, kiedy leży na swoim łóżku w celi, gdzie go niedawno przeniesiono i spogląda w zakratowane okno, w którym widzi kawałek nieba i fragment przeciwległego skrzydła budynku. Ktoś tam po przeciwnej stronie również tak jak on leży,

patrzy, również dostrzega kawałek nieba i pewnie, kto wie, okno Henryka. A może i nie. W każdym razie najgorsze w więzieniu ma już chyba za sobą, skończyło się bicie, skończyło się... mniejsza z tym. Jest Anieli głęboko wdzięczny, że trwa przy nim jak skała. O, skała to dobre określenie. Coś było gdzieś z tym budowaniem na skale, coś kiedyś... nieważne.

Aniela przychodzi do niego na widzenia bardzo regularnie. Ostatnio nawet przyniosła mu zdjęcie jego malutkiego wnuka. Nie chciał pokazać, jak bardzo się wzruszył, dlatego był chyba wtedy dla niej szorstki, nawet niemiły. Popatrzyła tak na niego nie jak zbity pies, tylko tak jakby była wściekła, ale zacisnęła zęby i postanowiła nie odpuścić. Mimo wszystko. Syn go nie odwiedza, synowa też nie, ani Paulina. Ani razu ich nie było, przychodzi tylko Aniela. Boże, jak mógł być takim idiotą i przegapić takie życie?! Wszystko przeciekło mu przez palce, kiedy on uganiał się za cieniem i ułudą. Straty wydają się nie do nadrobienia.

Żeby miał w sobie chociaż część tego samozaparcia co Wiesiek, jego towarzysz z celi. Wiesiek jest alkoholikiem lub raczej byłym alkoholikiem, bo się jakiś czas temu się zaszył. Gdyby mówić o niszczeniu życia sobie i innym, Wiesiek uchodziłby za profesjonalistę. Zostawił po sobie taką pożogę i zgliszczą, że na jego miejscu Henryk widziałby tylko jedno rozwiązanie – sznur. Wiesiek jednak zebrał się do kupy, zaszył się, ba, nawet się nawrócił. Zaczął czytać, a przecież wcześniej Wiesiek ledwo składał litery! Półanalfabeta. Ostatnio nawet odwiedza go syn, ten syn, nad którym Wiesiek kiedyś się znęcał. Tak, tak, Wiesiek wierzy w nowy początek i nowe rozdanie kart.

Krzysztof do dziś się uśmiecha, kiedy wspomina opowieść Julii, jak to złożyła w pracy wypowiedzenie. Jej zwierzchnicy załamali ręce i rozdarli szaty, słychać było płacz i zgrzytanie zębów, bo fakt, ciężko będzie teraz znaleźć kogoś, kto wykręci równie wysokie wyniki. Podwładni natomiast otwierali szampana i padali sobie w objęcia, bo oto skończyły się rządy „zimnej Julii”. Myśleli, że ona nie wie o tej ich z trudem skrywanej radości.

Oj naiwni, naiwni, naiwni, naiwni jak ćma, zanucił sobie Krzysztof i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Ogólnie było dobrze. Naprawdę dobrze. Na pewno lepiej niż wcześniej. Sprawy się wyprostowały, przynajmniej wiadomo było, na czym się stoi. To znaczy, wyprostowały się co do niego i Julki, bo wszystko inne przypominało tropikalny huragan połączony z inwazją Marsjan. Niech to szlag, że też w ich przypadku zawsze musi mieć miejsce jakaś rewolucja. A on tak chciałby, żeby choć raz, ten jeden, jedyny raz życie raczyło wykonać łagodny zwrot, a nie od razu salto mortale.

Rodzice nadal są w ciężkim szoku, muszą sobie poukładać wszystko od początku. Nie tak to miało wyglądać i kiedy myśleli, że już, już coś zaczyna być „jakieś”, okazało się, że nie, koncepcja radykalnie się zmienia. Znajomi... cóż, znajomi, chcąc nie chcąc, przeszli test. Jedni go zdali, inni nie. Większość nie wytrzymała takiej wolty i kontakty po prostu się urwały. To niesamowite, jak ludzie przywiązują się do swoich wyobrażeń o innych. Zresztą trudno, akurat znajomi różnej maści nie byli tutaj najważniejsi.

Julia zaczęła pracę w szkole i zaznajamia młodych ludzi ze światem pieniędzy. Nie było to jeszcze zaznajamianie takie na poważnie, bo przecież dołączyła do nauczycielskiego grona w drugim semestrze i to bynajmniej nie na jego początku. Ale Julia, jak wiadomo, radziła sobie w każdej sytuacji. Na razie i tak stawia pierwsze kroki na nowej ziemi, zajęcia nie wliczają się uczniom do średniej i służą właściwie jako trening przed biegiem, który na serio rozpocznie się od września.

Ku zdumieniu Krzysztofa kontakt złapała z uczniami naprawdę szybko i nawet cieszy się szacunkiem, co po tak krótkim czasie należy uznać za wyczyn. Licealiści dość entuzjastycznie chyba zdawali relację swoim rodzicom, bo pojawiła się prawdziwa pielgrzymka chcących poznać panią od ekonomii, finansów czy czegoś tam. W grupie odwiedzających znaczącą większość

stanowią zawsze ojcowie. Koń by się uśmieł. To znaczy, zupełnie zrozumiała rzecz, wcale im się Krzysztof nie dziwi, ale myślą się, jeśli myślą, że mieliby u niej jakiejkolwiek szanse. Nic z tych rzeczy, Julia potrafi być do bólu profesjonalna i świetnie trzyma ludzi na dystans. To znaczy dorosłych ludzi, bo w stosunku do niedorośliwych bywa zupełnie inna.

Krzysztof zaczynałby już nawet myśleć, że wreszcie powoli w ich życiu pojawiła się namiastka świętego spokoju, o której marzył już od dłuższego czasu, pewna doza zwyczajności czy nawet przasności, do której po cichu tęsknił, gdyby nie wydarzyło się coś, co zasiało w jego sercu niepokój. I to nie jaskółczy nawet. Bardziej przypominający kondora.

Julia przy okazji jakiejś mszy zetknęła się mianowicie z ludźmi wyjeżdżającymi na misje. Świeckimi. Opowiadali o tym, co robią gdzieś w Chinach czy innym Zimbabwe, jak żyją i co mają na celu, a potem zebrali datki, pogadali, pośpiewali i pojechali dalej. Od tego czasu Julia jakoś niebezpiecznie częściej chodzi zamyślona, szpera sobie w Internecie w poszukiwaniu informacji o misjach dla świeckich, zagadnęła nawet Krzysztofa raz czy dwa na ten temat.

Krzysztof więc obawia się, że jego najukochańsza żona znalazła sobie w życiu nowy cel, że gdzieś tam w niej wykiełkowała nowa koncepcja działania i że ona nie może tak po prostu nie działać przez pewien czas i zwyczajnie żyć, tylko zawsze musi tworzyć jakieś wiekopomne dzieło. Boże Świąty, niektórzy to są jednak niereformowalni. Krzysztof trzyma mocno kciuki, by – mówiąc językiem biblijnym – ziarno padło na grunt skalisty, gdzie szybko wejdzie, ale i równie szybko szlag je trafi, by Julia odpuściła, by dała spokój, a misyjna fanaberia okazała się rzeczywiście fanaberią, a nie jakimś nowym powołaniem. Boże uchwaj! To on tak marzył zwyczajnie o Mazurach pod namiotem czy Bieszczadach z plecakiem, a tej się wzięło na zbawianie Trzeciego Świata. A przecież jest tak dobrze, tak naprawdę dobrze!

Tak, Wrocław nadaje się na miejsce startu zarówno w przypadku krótkich tras i małych kroczków, jak i wyścigu po szczęście lub po prostu lepsze jutro, w którym trzeba po drodze zostawić wszystko, co się do tej pory miało.

Wie o tym Wołodimir, który przybył tutaj z Doniecka w poszukiwaniu bezpiecznych dni i spokojnych nocy. Tak jak kilkadziesiąt tysięcy jego rodaków wybrał Dolny Śląsk, tak jak wielu przed nim rozpoczął pracę na budowie. Tu się dużo buduje i jest dużo pracy. Jeszcze nie okrzepł, jeszcze czuje się nieswojo, ale to minie. Powoli uczy się nowej rzeczywistości, wrasta w miasto, oddycha nowym powietrzem, stapia się z tłumem sunącym przez centrum. Za jakiś czas dołączą do niego żona i dwudziestoletnia córka, choć jeszcze muszą poczekać. Ale spodoba im się tutaj, on to wie.

Zresztą jest wiosna, robi się naprawdę ciepło. Krokusy już dawno przekwitły i nawet zdziwił się, że tyle ich tu rośnie. Na takim placu Strzegomskim usiane nimi były całe wielkie trawniki! Forsycje przy ścieżkach rowerowych ciągnęły się żółtym szpalerem. Tulipany już też przekwitają i tych też zaobserwował całe mnóstwo. Od czasu do czasu przychodzą gwałtowne burze i wtedy potoki deszczu zmywają z miejskich ulic i chodników pył i brud. Wtedy miasto pokazuje swoje odświeżone oblicze. Kolory fasad budynków stają się intensywniejsze, zieleń w parkach bardziej soczysta, nawet asfalt na ulicach zaczyna migotać srebrem, zapewne za sprawą promieni słonecznych atakujących wściekle drobinki wody. Gdyby miasto jak żywy organizm miało serce, wyczuwałoby się w takich chwilach przyspieszony rytm jego uderzeń.

Wołodimir nie czuje się jeszcze jak mieszkaniec tego miasta, jako jeden z nich. Stoi na razie na pozycji obserwatora, ale dzięki temu więcej dostrzega i jest wyczulony na to, co umyka tym, którzy są tu dłużej. Czuje jednak, że już niedługo będzie swój. Jak oni. Tu prędzej czy później każdy jest swój, w końcu przecież oni wszyscy co do jednego nie są stąd. Zupełnie jak on, tylko oni przyjechali tu wcześniej.

Wołodimir wyszedł spod wiaty przystanku tramwajowego, pod którą schronił się przed

ulewnym deszczem i stanął w słońcu, by jego koszulka z krótkim rękawem szybciej wyschła. Jeszcze trochę i nadjedzie jego tramwaj, ale wcześniej mężczyzna zdąży zadzwonić do żony. Chce jej powiedzieć, że ją kocha i że niedługo będą już wszyscy razem. Tutaj. I jeszcze jej powie, że to jest to miasto, to miejsce. Że dobrze wybrał i że nie żałuje.

